



ZAKŁĘCIE
dla
CZAROWNIKA

MAGDALENA KUBASIEWICZ

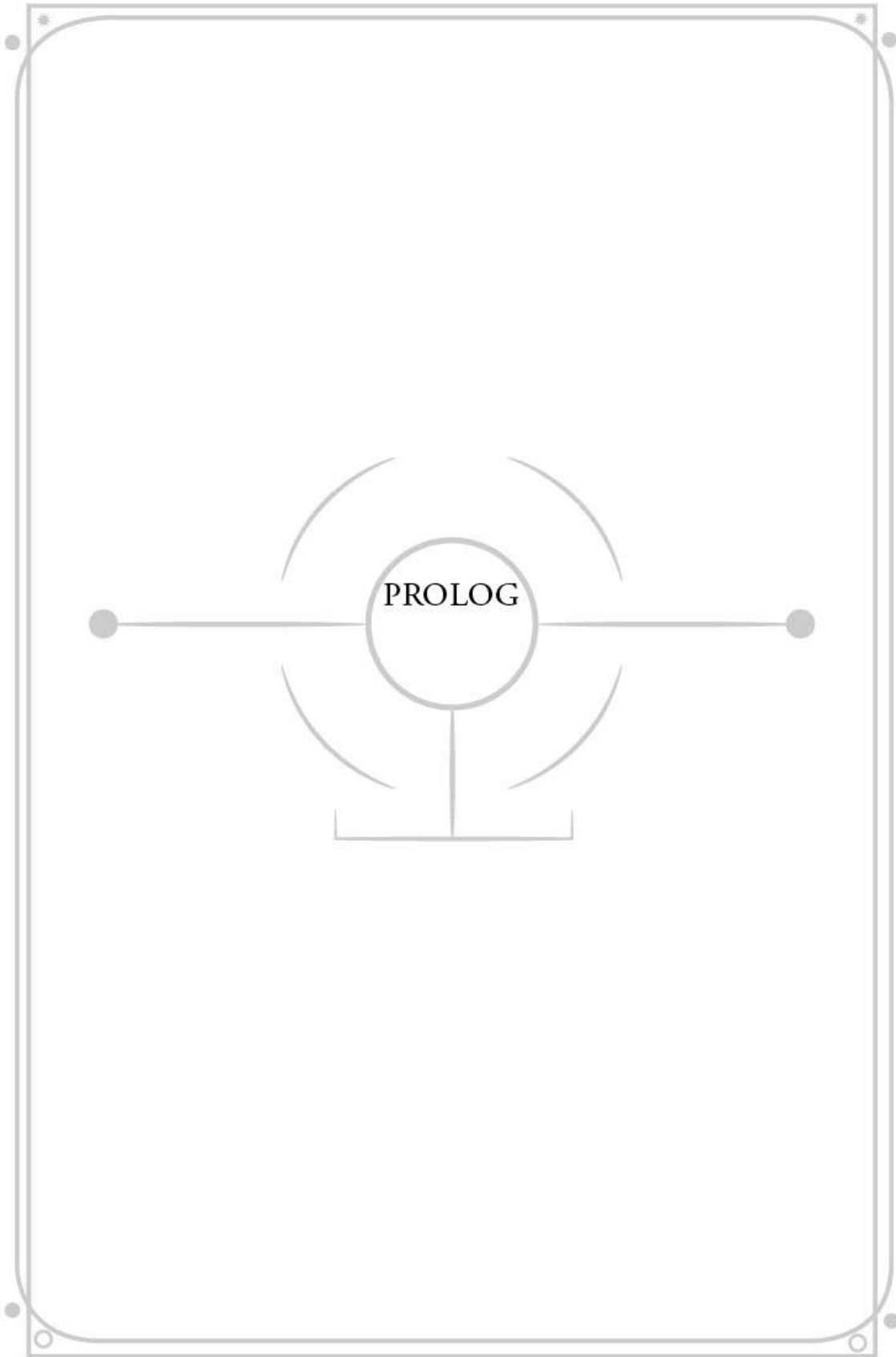
SON
imaginatio

ZAKŁĘCIE
dla
CZAROWNIKA

ZAKLEŚCIE
dla
CZAROWNIKA
MAGDALENA KUBASIEWICZ

KRAKÓW 2023

*Dla Ciebie, Czytelniku,
za towarzyszenie Jadze w jej przygodach*



– Listę książek do przeczytania masz na biurku w bibliotece. Zwróć uwagę szczególnie na *Odczynianie klątw i uroków* Brown i Skylera, zawsze pytają z tego na egzaminie. Zwłaszcza jeśli Brown trafi ci się w komisji.

– Daj spokój. Znam to na pamięć.

– Zostawiłam ci też spis klątw, które najczęściej każą zdejmować na teście praktycznym.

– Jeśli są częste, to na pewno umiem je zdjąć.

– Gdyby pojawiły się jakiegokolwiek problemy...

– Mam dać ci znać i zgłosić się do twojego brata. A poza tym absolutnie nie wchodzić do wieży, nie wpuszczać tu nikogo, to znaczy poza Jeremiaszem i Krystianem, dużo się uczyć, nie przeklinać przypadkowych przechodniów, nie pozwolić, żeby Jeremiasz kogoś zeżarł, i w ogóle być grzeczną dziewczynką.

Sonia Zawicka przewróciła oczyma, jakby chcąc podkreślić zdumienie udzielanymi po raz kolejny instrukcjami. Jej nauczycielka, Jagoda Wilczek, na moment przerwała pakowanie walizki i rzuciła uczennicy spojrzenie znad okularów. Czy też raczej Spojrzenie: Sonia uważała, że zasługuje na tę wielką literę. Może to była tylko wyobraźnia, ale mogłaby przysiąc, że w takich chwilach mistrzyni zastanawia się, czyby jej nie udusić.

Albo przynajmniej nie przekląć.

Sonia spodziewała się, że za chwilę dostanie pouczenie na temat zbliżającego się egzaminu na specjalistkę od klątw. Czegoś o tym, że z praktyką radzi sobie nieźle, ale wciąż ma pewne braki. I że jeśli trafi w komisji na Jeana Matthieu, ten prawdopodobnie nie daruje jej żadnego potknięcia. Może wspomnienia, że kolejną szansę na zdobycie uprawnień będzie miała najwcześniej za dwa lata, a bez zdanego egzaminu nikt o zdrowych zmysłach jej nie zatrudni.

Nic takiego nie nastąpiło.

– Co cię ugryzło? – spytała zamiast tego Jagoda.

Porzuciła składanie ubrań i przysiadła na łóżku, wciąż uważnie przypatrując się Soni.

– Nic mnie nie ugryzło. Dlaczego coś miałoby mnie ugryźć?

– Bo od dobrego tygodnia jesteś nieznośna – oświadczyła bezceremonialnie Jagoda. – Sama prosiłaś o listę lektur i klątw, które najczęściej trzeba zdjąć albo rzucić na egzaminach.

– Ale już nie o traktowanie mnie, jakbym była nastolatką, która pierwszy raz zostaje sama w domu – burknęła Sonia, uciekając wzrokiem ku oknu.

Na zewnątrz wiatr szarpał gałęzie drzew, na których jeszcze nie zdążyły się w pełni rozwinąć liście. Ciemne chmury spowijały niebo, co zwiastowało rychłe nadejście deszczu lub burzy. Pogoda w niewielkiej enklawie bywała nieprzewidywalna, ale jeśli już nadciągała burza, była gwałtowna. Sonia ich nie cierpiała. Tyle dobrego, że niedawno zawitała tu wiosna. Zakradała się wprawdzie powoli, nieśmiało i od dobrych dwóch miesięcy nie chciała rozgościć na dobre, ale wciąż była lepsza od panującej na zewnątrz zimy: chłodnej, błotnistej, niemal bezśnieżnej. Choć właśnie zaczął się marzec, pogoda w Warszawie ani trochę się nie poprawiała.

Jagoda przez chwilę milczała, jakby rozważając, jak zareagować. W końcu tylko westchnęła i zabrała się do upychania w walizce bluzy.

– Nie martwiłabym się, gdybyś nie zostawała w domu więdźmy, położonym obok ruin wsi, z którymi na pewno coś jest nie tak, ale po półtora roku wciąż nie umiem ustalić co – odparła ze spokojem. Spokojem, który Sonię tylko jeszcze bardziej irytował, bo jak Jagoda mogła być taka opanowana, skoro ją samą zżerały nerwy?! – Na pięćdziesiąt dni przed egzaminem, gdy jeszcze nie w pełni opanowałaś zdejmowanie klątw z ludzi. Ale nie martwię się dlatego, że uważam cię za dziecko. Możesz uznać moje zachowanie za przejaw nadopiekuńczości albo postępującej paranoi.

– Jeśli się martwisz, po prostu nie jedź – wyrzuciła z siebie Sonia, starając się, by zabrzmiało to nonszalancko.

„Nie jedź” – miała ochotę to powiedzieć od dwóch tygodni. Te słowa wielokrotnie tańczyły jej na języku, ale za każdym razem w ostatniej chwili je połykała i zwykle zamiast nich mówiła coś „nieznośnego”, jak to ujęła Jagoda. Nie mogła prosić, żeby Jaga została. Bo przecież Sonia była dorosła i powinna radzić sobie sama. Bo Jagoda była tylko jej mistrzynią, nie siostrą czy matką, i nie miała obowiązku przejmować się obawami uczennicy. Bo ta niedługo zda egzamin (oby!) i ich ścieżki się rozejdą. Bo Jagoda nawet załatwiła

jej parę lekcji z innym specjalistą, który miał pomóc Soni w nadrobieniu ostatnich braków...

Powtarzała sobie to wszystko, a i tak bardzo, bardzo nie chciała, żeby Jagoda wyjeżdżała. Bała się egzaminu i irytowało ją, że nauczycielka znika na dwa miesiące przed nim. Chociaż uwielbiała wiedźmi dom, skryty w niedostępnej dla obcych enklawie, niepokoiła się na myśl o przebywaniu tutaj bez mistrzyni. Mimo że Jeremiasz też tu mieszkał – bo jego pobyt jakoś się przedłużał – a Krystian wpadał dość często. Soni nie podobało się też to, że w magicznej Warszawie ostatnio znów działy się nieprzyjemne rzeczy i chociaż logika jej podpowiadała, że Jagoda nie zdoła na nie nic poradzić, po prostu czułaby się lepiej, gdyby nauczycielka była w pobliżu.

Poza tym nie mogła pozbyć się złych przeczuc. Martwiła się – nie o siebie, lecz o Jagę. Ta w ciągu ostatnich miesięcy stała się ponura, jeszcze bardziej zdystansowana niż wcześniej, a Jeremiasz, który był niezły w postrzeganiu aur, wspominał, że aura Jagody wygląda, jakby coś ją oblepiało. Sonia podskórnice czuła, że z nauczycielką dzieje się coś niedobrego. Że w podziemiach pod placem głównej, warszawskiej enklawy spotkało ją więcej niż to, o czym opowiadała i do czego dokopała się prasa. A może coś stało się niedługo potem? Przez ostatnie dwa tygodnie było coraz gorzej: odkąd Jagoda powiedziała, że wyjeżdża, właściwie bez przerwy siedziała w bibliotece, zdawała się zapominać o całym świecie i stała się niezwykle nerwowa.

Sonia nie wiedziała, o co chodzi, ale była pewna jednego: konszachty z czarnoksiężnikami i wyprawa w celu zdjęcia tajemniczej klątwy gdzieś na Wyspy Brytyjskie na pewno Jagodzie nie pomogą. I to też był jeden z powodów, dla których dotąd nie odważyła się pytać. Gdy próbowała się dowiedzieć czegoś o podziemiach, Calebie i wielu innych sprawach, nauczycielka robiła się drażliwa.

– Już przyjąłem to zlecenie.

– W takim razie powiedz, że się rozmyśliłaś.

– Nie mogę – odparła Jagoda. – Jeśli martwisz się egzaminem... Jean Matthieu może próbować robić ci pod górkę, ale jesteś dobrze przygotowana. Powinnam wrócić na tyle wcześniej, żebyśmy zdążyły powtórzyć materiał.

– A jak nie zdam?

– Spróbujesz za dwa lata. Uczysz się dopiero od trzech. Większość kandydatów podchodzi do egzaminu najwcześniej po pięciu, sześciu.

Sonia się skrzywiła. Wiedziała, że uczy się krótko, w dodatku przez pierwsze miesiące działała na oślep, korzystając z podstawowych materiałów, pokątnie zdobytych ksiąg i pomocy nauczyciela, który sam niewiele wiedział o temacie. Mimo to nie chciała czekać, bo europejskie egzaminy z powodu stosunkowo niedużej liczby chętnych organizowano w dwuletnich interwałach. Gdy wyznaczono datę najbliższego testu, a ona się zorientowała, że zdążyły przerobić większość niezbędnego materiału, postanowiła się zgłosić. Podobno miała talent i po prostu musiała się przekonać, czy tak jest naprawdę. Czekać nie chciała, ale oblać nie chciała jeszcze bardziej. Ależ by matka triumfowała! Jaką satysfakcję miałyby Jessika! A jej brat? Z pewnością powiedziałby coś w rodzaju „A nie mówiłem?”.

Powtarzała sobie, że ma szansę. Sama Jagoda przyznawała, że Sonia jest „cholernie potężną wiedźmą”. A kurs pod okiem Wilczkówny można było śmiało uznać za przyspieszony. W tej chwili jednak Zawicka martwiła się nie tylko egzaminem.

– Dlaczego nie możesz zrezygnować? – spytała w końcu. – Proszę, nie mów, że robisz to, bo zakochałaś się na śmierć i życie w Calebie, i w ogóle. Z nas dwóch to ja jestem od robienia głupot przez chłopców, okej? A nawet ja z tego wyrosłam, zapewniam! Poza tym jak się zastanowić, to chyba jednak na niego trzeba uważać, wiesz, nie wpakuj się jak ja z Danielem...

– Na Merlina, oczywiście, że nie chodzi o to – prychnęła Jagoda, zatraskując walizkę. – Skąd ci to przyszło do głowy?

– To mamy aż takie kłopoty finansowe? – naciskała Sonia. Zdewastowane mieszkanie Jagody przechodziło remont i pochłaniało spore środki. – Bo mogłabym płacić za lekcje trochę więcej... Tata dał mi sporo kasy na święta, na urodziny pewnie też sypnie groszem...

– Nie chodzi o to. Obiecałam zdjąć klątwę. Tym się zajmuję. To zlecenie jak każde inne.

– To ma coś wspólnego z Jacobem Redem?

Jagoda zachowała kamienny wyraz twarzy, ale to właśnie on przekonał Sonię, że ma rację. W innym wypadku Wilczek powinna być chociaż trochę zaskoczona. A nie była. Raczej próbowała ukryć irytację.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Ten stos książek o Jacobie Redzie był pewną podpowiedzią.
– Sprawdzalas, co czytam?
– Ej, mam oczy – stwierdziła Sonia. – Weszłam do biblioteki, zauważyłam wieeelką piramidę książek i zwróciłam uwagę na tytuły.

Tak naprawdę zrobiła to celowo. Specjalnie zakradła się tam, gdy Jagoda na chwilę wyszła, i przejrzała książki. Były bardzo różne tematycznie, ale – poza dotyczącą klątw pozagrobowych – łączyło je jedno. Albo znajdowała się w nich jakaś wzmianka o najpaskudniejszym i najpotężniejszym czarnoksiężniku ostatniego wieku, albo zostały przez niego napisane.

Oczywiście nie miała zamiaru przyznawać się do tego Jagodzie.

– Tak.

– Co tak? – naciskała Sonia, gdy Jagoda zaczęła sprawdzać zawartość torebki.

Nauczycielka zazwyczaj nie okłamywała jej wprost, ale tym, o czym nie mówiła, można by wypełnić krater po sporym meteorycie. Nie wspominając, że czasem wyciąganie z niej informacji przypominało próby przekonania osła, aby przeszedł tyłem po kładce.

– Tak, to ma coś wspólnego z Jacobem Redem. Mam zdjąć klątwę, którą rzucił – ustąpiła Jagoda. – Nikomu o tym nie wspominaj. A już na pewno nie swojemu bratu. Albo, co gorsza, mojemu bratu.

A więc Sonia miała rację! Dziewczyna odnotowała sobie, że musi poczytać więcej o Jacobie Redzie. Znała pobieżnie jego krwawą historię, dotąd jednak nie miała pojęcia, że był dobry w rzucaniu przekleństw. Przyptyw entuzjazmu nieomal natychmiast opadł. Skoro klątwę rzucił Jacob Red i nikt nie zdjął jej przez tyle lat po jego śmierci, istniały powody do obaw.

– Za kogo ty mnie masz? – oburzyła się. – Będę siedzieć cicho. A Antoni i Sebastian nie wyciągną ze mnie niczego nawet na torturach. Braciom pewnych rzeczy się po prostu nie mówi. Na przykład że idziesz na randkę z facetem o złej reputacji albo mieszasz się w aferę czarnoksiężników. O jaką klątwę chodzi?

– Jeszcze nie wiem.

– A jak się objawia?

– Też nie wiem.

– *Wait, wait, wait.* – Sonia uniosła dłoń, spoglądając na Jagodę z niedowierzaniem. – Zgodziłaś się zdjąć klątwę, chociaż nic o niej nie wiesz? Dlaczego?! Czy to nie ty mi powtarzałaś, żebym zawsze, ale to zawsze, zanim przyjmę jakieś zlecenie, zrobiła research? Że może nie chodzić o klątwę, bo laik się pomylił? Albo że może chodzić o taką, którą trzeba natychmiast zgłosić odpowiednim służbom, a nie zdejmować? Lub taką, której rzucenie prawdopodobnie było... usprawiedliwione, a w takim wypadku trzeba uważać na przekłętę? *Hello!* Co się z tobą dzieje?

Coś we wzroku Jagody podpowiedziało jej, że przegięła, jeszcze zanim nauczycielka wstała i zgarnęła walizkę.

– Nic się ze mną nie dzieje – odparła ostro Wilczek. – Miałam powody, żeby przyjąć to zlecenie, i nie prosiłam cię o opinię.

– Tylko... tylko wyrażam swoje zdanie – wymamrotała Sonia, spuszczać wzrok.

Tylko się martwię, pomyślała, ale tego już nie odważyła się powiedzieć na głos.

– Wiem – mruknęła Jagoda, już łagodniej. – Przyjmuję to do wiadomości, rozumiem twoje obiekcje, ale to moja decyzja. Poza tym nie mogę się wycofać. Zapłatę... dostałam z góry. Postaram się wrócić jak najszybciej. Zawieziesz mnie na lotnisko czy muszę prosić Sebastiana?

Soni ani trochę się to wszystko nie podobało. Zapłata przyjmowana z góry za zdjęcie nie-wiadomo-jakiej-klątwy-o-nie-wiadomo-jakich-objawach? W dodatku gdy zdjęcie tej klątwy wiązało się z wyprawą do innego kraju? I gdy w sprawę zamieszany był Jacob Red? Nic z tego nie pasowało do Jagody.

Miała ochotę na nią nakrzyczeć. Odstawić Rejtana w drzwiach i nie pozwolić jej wyjść, póki nie wyjaśni całej sytuacji – a najlepiej póki nie omówią, co takiego się stało, że Jagoda w ostatnich miesiącach niemal dosłownie wychodziła z siebie. Przywiązać ją do fotela w razie konieczności, a potem wyciągnąć informacje prośbą i groźbą.

Tyle że nic z tego by nie podziałało. Jagoda potrafiła być uparta. A chociaż zwykle zdawała się racjonalna aż do bólu, to zdaniem Soni miała też do przepracowania ogromną ilość problemów emocjonalnych. A to sprawiało, że w tym uporze nie zawsze działała rozsądnie. Tak jak teraz. Chyba upadła na głowę, skoro zgodziła się na taki układ z Calebem Blythe'em.

Może fotel, do którego należałoby ją przywiązać, powinien stać w gabinecie terapeuty.

– Proszę, daj mi znać, jak dolecisz, okej? – powiedziała jednak tylko, odpuszczając sobie wszystkie inne uwagi. Z westchnieniem podniosła się z fotela. – Słyszałam, że to dziki kraj, w którym piją herbatę z mlekiem zamiast cytryny. Z tymi ludźmi musi być coś nie tak.



ROZDZIAŁ PIERWSZY

ZLECENIE JAK KAŻDE INNE

„Zlecenie jak każde inne”. Nie było to kłamstwo, ale nie była to też cała prawda. I gdyby Jagoda rok temu usłyszała, że zgodzi się zdjąć nie wiadomo jaką klątwę, nie wiadomo kiedy i nie wiadomo w jakim dokładnie miejscu – w obcym kraju, dla człowieka, którego może i darzyła sympatią, ale któremu za grosz nie ufała – zapewne zgodziłaby się z Sonią. Musiałyby upaść na głowę, by pójść na coś takiego.

Problem polegał na tym, że naprawdę dostała zapłatę z góry, a było nią życie brata Soni i dawnego przyjaciela Jagody. Zawarła układ, prawdopodobnie nierówny, ale w tamtej chwili nie chciała myśleć o alternatywach. Nie mogła nawet złościć się o to ani na Antoniego, ani na Caleba. To jej własne, nie zawsze dobre wybory doprowadziły do tej sytuacji: i mogła tylko próbować naprawić popełniony błąd. Być może popełniając kolejny.

To zaprowadziło ją najpierw na lotnisko w Heathrow, a później na tylne siedzenie forda, który swoje najlepsze lata już dawno miał za sobą. „Ktoś cię odbierze”, napisał Caleb Blythe w wiadomości z prośbą, by przyjechała do Anglii. Tym kimś okazała się drobna dziewczyna, na oko trochę młodsza od Jagody, o krótkich, popielatych włosach, wielkich oczach i bladej twarzy. Przedstawiła się jako Eleanore, na pytania odpowiadała lakonicznie, a po tym, jak wsiadła za kierownicę (Jagoda nie mogła przyzwyczaić się do jej położenia i wciąż miała wrażenie, że nikt nie kieruje samochodem), milczała prawie przez całą drogę. Gdy już mówiła, przemawiała z melodyjnym akcentem, i wiedźma, choć dobrze znała angielski, ledwo ją rozumiała. Dziewczynę otaczała magia, a skoro Jagoda to wyczuwała, nawet bez specjalnych starań, Eleanore albo była niedawno wystawiona na działanie wielu zaklęć, albo władała silną mocą, której nie chciała lub nie potrafiła ukryć. Używała też przedziwnych, zapewne magicznych perfum, które wypełniły samochód zapachem kojarzącym się Jagodzie z jesiennym lasem.

Ponieważ nie mogła wiele wyciągnąć ze swojej przewodniczki, wiedźma zalogowała się na smartfonie do MAGnetu. Dotąd była pewna, że udaje się do Londynu albo w jego okolice, ale Eleanore, zapytana na lotnisku o cel podróży, wspomniała o Rainharbour. Magiczne miasteczko, którego nazwa brzmiała znajomo, choć Jagoda nie pamiętała, skąd ją zna.

W Polsce istniało zaledwie parę miejscowości zamieszkałych przez magicznych. Większość polskich magów żyła w „zwykłym” świecie, ochraniając domy zaklęciami, lub w enklawach ukrytych w dużych miastach. Brytyjcy czarodzieje jednak albo cenili sobie prywatność, albo lubili bliskość natury, bo tutaj takich magicznych miasteczek były dziesiątki. Tylko Londyn, Birmingham, Leeds, Dublin, Galway i Edynburg miały magiczne dzielnice. Niezbyt wiele, jak na trzy duże kraje. Przynajmniej połowa populacji czarodziejów na Wyspach wybierała życie w miasteczkach skrytych w enklawach. Jagoda, szukając na ich liście Rainharbour, zastanawiała się, jak udało im się zorganizować w przeszłości postawienie tak wielu barier. Paradoksalnie stworzenie i utrzymywanie jednej wielkiej enklawy w mieście było często łatwiejsze, bo prościej było zgromadzić zasoby.

Z drugiej strony, być może w przypadku niewielkiego miasteczka wystarczały podstawowe bariery. Jak przy pojedynczych posiadłościach.

Rainharbour.

Położona jakieś siedemdziesiąt kilometrów na wschód od Londynu, nieopodal Morza Północnego. Trzystu siedemdziesięciu mieszkańców. Brak atrakcji turystycznych. W przeszłości słynęła z uprawy magicznych ziół. Wciąż była tam niewielka plantacja. Znajdował się tu znany zakład alchemiczny i... tak, jedna z dwóch głównych posiadłości Czerwonego Rozpruwacza. To dlatego nazwa brzmiała znajomo, Jagoda natknęła się na nią w tekstach opisujących życie, dokonania i przede wszystkim zbrodnię Jacoba Reda. Gromadziła je od dawna, nieomal obsesyjnie. Tłumaczenia i oryginały. Wycinki z prasy, stare książki, gdzie – jeszcze przed odkryciem jego morderczego oblicza – omawiano wynalazki czarodzieja. Księgi i relacje z kroniką popełnionych przestępstw i przebiegiem procesu.

W jej głowie rozbrzmiały słowa wypowiedziane kiedyś przez Caleba. Jacob Red miał dwóch spadkobierców...

Zimny dreszcz przebiegł po plecach Jagody, gdy przyglądała się zdjęciu niewielkiego zamku niegdyś należącego do Reda. Jeżeli Caleb Blythe go odziedziczył i postanowił zabrać ją do miejsca, gdzie niedawno torturowano, eksperymentowano z czarną magią i mordowano, to chyba osobiście udusi Ucznia Czarnoksiężnika.

– Nie jedziemy do zamku Jacoba Reda? – spytała.

Światła Londynu pozostały już za nimi i teraz mknęły szosą, a że zapadł już zmrok, niewiele dało się dostrzec przez szyby. Skoro Rainharbour leżało siedemdziesiąt kilometrów od miasta, według obliczeń Jagody powinny powoli się do niego zbliżać.

– Nie. To przeklęte miejsce – odparła Eleanore krótko.

Skręciła ostro, zjeżdżając z głównej drogi na boczną wyboistą ścieżkę. Jagoda wcześniej jej nie dostrzegła: nie była pewna, czy przez mrok, czy może to było już pierwsze zabezpieczenie miasteczka. Droga dojazdowa skryta tak, by nie mógł jej zobaczyć nikt, kto nie wiedział, gdzie się znajduje.

Przeklęte miejsce.

Jagoda zastanawiała się, czy była to metafora, czy dokładny opis. Znów opuściła wzrok na ekran telefonu, przypatrując się fotografii zamku. Nie był duży i prezentował się zadziwiająco mało upiornie jak na siedzibę mrocznego czarnoksiężnika. Ale może o to właśnie chodziło. I może nawet po tylu latach wciąż pozostały tam niespodzianki, klątwy, których nie zdołali przełamać ani Caleb, ani tutejsi stróże prawa.

Pytanie brzmiało w takim razie, dlaczego Blythe chce je zdjąć. Czego strzegły? Co takiego planował uzyskać? Oczywiście, istniała szansa na to, że po prostu chciał sprzedać zamek. Albo przerobić go na atrakcję turystyczną – Jagoda nie wątpiła, że znajdą się szaleńcy chętni na wizytę w podziemnych laboratoriach. Tak, była taka możliwość. Problem w tym, że prawdopodobieństwo takiego rozwiązania wynosiło zdaniem Jagody mniej więcej jeden do miliona.

Już otworzyła usta, żeby spytać, czy zamek naprawdę jest przeklęty, ale nie zdążyła. Samochód zatrząsał się, jakby chwyciła go i zakołysała nim czyjaś dłoń, przez ciało Jagody przebiegł magiczny impuls. Zaciśnęła na moment powieki, a gdy je otworzyła, za szybą zobaczyła światła czarodziejskich lamp.

Rainharbour. Przejechały przez barierę otaczającą miasteczko.

Jagoda przysunęła się do drzwi i wpatrzyła w widok za oknem. Wzdłuż brukowanej drogi ustawiono lampy dające słaby, błękitnawy blask. W ich świetle mogła dostrzec zarysy budynków, w większości szarych, jednopiętrowych, wzniesionych chyba z kamienia. Ich dachy były pochyłe i niemal w każdym znajdowały się lukarny. W wielu oknach płonęły światła. W półmroku z trudem dawało się to ocenić, Jagoda odnosiła jednak wrażenie, że domy są stare – musiały stać tu od wielu dziesięcioleci, jeżeli nie od wieków. Eleanore najpierw wolno przejechała między nimi, a potem przez kamienny, wąski most. Po drugiej stronie nie było ani lamp, ani domków, jakby tutaj kończyła się miejscowość. Może jednak kierowały się ku przeklętemu zamkowi górującemu nad miasteczkiem?

Na całe szczęście już trzy minuty później Jagoda przekonała się, że nie zmierzały do zamku. Eleanore zaparkowała i wyskoczyła z auta, niemal natychmiast wyczarowując kulę światła. Wiedźma wysiadła z samochodu i spojrzała na budynek, przed którym się zatrzymały.

Nie był to zamek. Raczej dom, większy niż te, które mijali, ale rozmiarami nieprzewyższający posiadłości Wilczków. W przeciwieństwie do willi babki był stary, trochę zaniedbany. Zbudowany albo z jakiegoś czerwonego kamienia, albo cegły. Bluszcz o zbrązowiałych, uschniętych liściach piął się po rdzawych murach. Okna na parterze były wysokie i wąskie, ze szprosami. Na poddaszu paliły się światła, a ruch jednej z zasłonek zdradził, że ktoś był w środku.

– Uważaj i trzymaj się ścieżki – pouczyła ją Eleanore.

Jagoda, która pochylała się, by wyciągnąć torbę z bagażnika, zamarła. Obróciła się, próbując dojrzeć coś w ciemnościach. Miała wrażenie, że dom jest otoczony przez zwykły ogródek, ale...

– Są tu jakieś niebezpieczne rośliny? O tej porze roku?

– Tak naprawdę to nie. Ale Erin zamorduje cię w okrutny i wymyślny sposób, jeśli zdepcesz jej grządki.

Kim, u diabła, była Erin?

– Czy...

– Lane ci wszystko wyjaśni – ucięła Eleanore i szybkim krokiem ruszyła w stronę wejścia.

Chcąc nie chcąc, Jagoda poszła za nią. Ani przez chwilę nie myślała, że sprawa będzie prosta, a złe przecucia dręczyły ją nieustannie od czasu walki w podziemiach i zawarcia umowy z Calebem. Przedziwne miasteczko, jakby wyjęte z jakiejś baśni, posiadłość na angielskiej wsi, przeklęty zamek i najwyraźniej stado ludzi otaczające Blythe'a nie mieściły się nawet w pierwszej setce rzeczy, których oczekiwała.

Chociaż nie: mroczne siedziby czarnoksiężników były jednak dokładnie tym, czego się spodziewała. To cała reszta okazała się zaskakująca.

Posiadłość otaczały kolejne bariery ochronne: jedną, zewnętrzną, pokonały jeszcze autem, drugą wpleciono już w mury. Może były również i inne, których Jagoda nie potrafiła wyczuć, bo gdy przekraczała za Eleanore próg, miała wrażenie, jakby lekko poraził ją prąd. Drzwi na pewno broniła też klątwa, teraz nieaktywna, ale dość skomplikowana i paskudna, jak szybko oceniła wiedźma. Ktokolwiek tu mieszkał, nie życzył sobie niezapowiedzianych gości. Eleanore nie zapaliła światła, mrok wciąż więc rozjaśniała tylko wyczarowana przez nią kula. W jej błękitnym blasku Jagoda nie mogła zobaczyć za wiele. Niepokój mieszał się z narastającą irytacją. Czy naprawdę tak trudno było napisać maila z wyjaśnieniami? Albo posłać na lotnisko kogoś, kto przygotowałby ją na... to wszystko? To, że wpakowała się w kolejną już umowę z czarnoksiężnikiem i nie miała wyboru, nie usprawiedliwiała podobnego traktowania.

W progu przedsionka rzuciła torbę na podłogę. Już chciała oznajmić Eleanore – która niczym zjawa szła przez pomieszczenie z błękitną kulą unoszącą się nad dłonią – że nie idzie dalej, póki ktoś nie powie jej, co tu się dzieje, gdy pokój zalało światło. Zupełnie zwykłe, elektryczne. Jagoda przymknęła powieki, a kiedy je otworzyła, dostrzegła kolejną osobę: szczupłego, ciemnoskórego mężczyznę w okularach. Na oko był trochę po czterdzieście, ale w przypadku magów wygląd bywał złudny.

Ciasnym kokonem spowijała go klątwa, silna i obca. Ani na pierwszy, ani na drugi rzut oka wiedźma nie potrafiła odgadnąć jej działania. Spróbowała sięgnąć ku niej nieomal odruchowo, ale nici magii umknęły, zwinęły się w ucieczce. Musiałaby się skupić i mieć trochę czasu, aby dowiedzieć się czegokolwiek więcej. Wcześniejsza irytacja ustąpiła, wyparta przez zaciekawienie. Bo może właśnie o to chodziło: być może Caleb sięgnął ją tutaj, aby zdjąć przekleństwo ciężące na tym mężczyźnie.

– Dobry wieczór. Jagoda Wilczek, jak mniemam. Jestem Lane Benett.

– Dobry wieczór – mruknęła.

Najwyraźniej ona nie musiała się przedstawiać. Jej wzrok przesunął się po pomieszczeniu, które wyglądało na połączenie salonu i jadalni. Większość miejsca zajmował długi stół, a nieco z boku, przy kamiennym kominku, ustawiono fotele i kanapę. Królowały tu drewno i kamień, sprzęty wyglądały na wiekowe i zużyte, a ściany obwieszono pejzażami. Jeśli to był dom Caleba Blythe'a, to zupełnie do niego nie pasował.

A może po prostu Jagoda znała go bardzo, bardzo słabo.

– To ja pójdę do siebie. Rano mam robotę – rzuciła Eleanore i ruszyła ku wąskim schodom po drugiej stronie pomieszczenia.

– Chyba mnie nie polubiła.

Ani ja jej.

– Eleanore nie zdobyłaby nagrody na najsympatyczniejszą osobę pod słońcem – stwierdził Lane dyplomatycznie. – Ma pewne problemy w kontaktach z... ludźmi, a obecnie sytuacja jest dość napięta. Zakładam, że jesteś zmęczona po podróży. Może pokażę ci pokój?

– Wolalabym dostać parę informacji – zastrzegła natychmiast Jagoda. Owszem, była zmęczona po podróży i wcześniejszej bezsennej nocy, ale wiedziała też, że nie zaśnie, póki nie dowie się, w co została wciągnięta. – A właściwie wolalabym wiedzieć... wszystko.

Kąciki warg Benetta się uniosły.

– „Wszystko” to bardzo wiele.

– Wiesz, co mam na myśli.

– Tak, myślę, że wiem – zgodził się z nią. – W takim wypadku zostaw tu, proszę, na razie torbę. Chyba najwygodniej nam będzie w bibliotece. Jesteś pewna, że nie chcesz...

– Odpowiedzi proszę – powtórzyła.

– Chodź za mną.

Biblioteka znajdowała się zaraz za salonem. Była niewielka, zagracona i bardziej przypominała gabinet niż prawdziwą bibliotekę, choć książek faktycznie w niej nie brakowało: drewniany, odrapany regał ciągnął się wzdłuż całej ściany i nie znalazłaby się na nim ani odrobina wolnego miejsca. Lane usiadł przy sekretarzyku zawalonym papierami i zapalił stylizowaną lampkę. Jagoda siadła naprzeciwko niego, na niezbyt wygodnym, ozdobnym krześle. Poza krzesłami w pokoju znajdowała się jeszcze otomana, ale leżały na niej stosy książek.

– Od czego zaczniemy?

To było już trochę problematyczne: Jagoda miała w głowie jakąś setkę pytań. Na szczęście tym razem nie musiała ograniczać się do trzech. Postanowiła więc zacząć od pierwszego z brzegu.

– Gdzie jest Caleb Blythe?

– Sądzę, że w Irlandii, z Mayą i Evanem, powinien tu dotrzeć w najbliższych dniach. Zgodnie z planem miał wrócić najpóźniej dzisiaj rano, ale pojawiły się problemy, które zatrzymały ich dłużej. Caleb kazał za to przeprosić.

Co on tam robi, do diabła? Znowu poluje na demony? To pytanie odsunęła jednak na bok, jako chwilowo nieistotne. Jeżeli klątwa, którą miała się zająć, została rzucona na Lane'a, nie musiała nawet się spotykać z Blythe'em. I wołała nie zastanawiać się nad tym, czy bardziej czuje rozczarowanie, czy ulgę.

– Mam się tutaj zająć przekleństwem. Chodzi o to, które ciąży na tobie? – spytała, odpuszczając sobie formy grzecznościowe, skoro on z nich nie korzystał.

Nie wierzyła, że nie jest świadom istnienia klątwy. Była tak mocno wpleciona w jego aurę, że musiała ciążyć na nim od dawna, a jednocześnie – najwyraźniej – nie dawała morderczych rezultatów. Jeżeli zresztą znał Caleba, Blythe musiał ją dostrzec.

– W tę klątwę wpisane są pewne ściśle określone warunki i jej przełamanie siłą oznaczałoby niepotrzebne ryzyko. Nie, nie chcę, żebyś nad nią pracowała – oświadczył Lane.

Rozbudził tym ciekawość Jagody, bo nie tylko znał skutki klątwy, lecz sprawiał też wrażenie doskonale zaznajomionego z jej naturą. Podwójnie interesujące było to, że nie planował prosić o pomoc specjalistki. Klątwa musiała więc być na tyle potężna, że próba jej zdjęcia zagrażałaby jego życiu.

– Mogłabym ją zbadać? – spytała, zanim zdążyła pomyśleć. Jeśli nie tego dotyczyło zlecenie, w teorii nie była to jej sprawa... ale w tym splocie, który otaczał Benetta, było coś fascynującego.

– Może później – odparł i chociaż zupełnie go nie znała, podskórnie czuła, że to „później” oznacza „nigdy”. – Co jeszcze chciałabyś wiedzieć?

– Z kim mam do czynienia? Kim jesteś? A Eleanore? Erin? Czyj to dom?

– Jak już wspomniałem, nazywam się Lane Benett. Jestem... można chyba powiedzieć, że naukowcem, a przynajmniej tak lubię myśleć. Jak pewnie sama odgadłaś, współpracuję z Calebem Blythe'em. Ten dom należy obecnie do Eleanore i jej siostry Erin, ale ja również od kilku lat mieszkam tutaj na stałe. Eleanore już poznałaś, Erin poznasz niedługo. Obie są oficjalnie zatrudnione w Madainn ũr. To...

– Firma Jacoba Reda.

To wyjaśniało, dlaczego Blythe ją tutaj przysłał. Właścicielki domu były jego pracownicami.

– Już nie – zastrzegł, a jego ton zabrzmiał chłodniej niż wcześniej.

– Rozumiem – mruknęła tylko, bo wyglądało na to, że temat jest drażliwy. – W takim razie jaką klątwę mam zdjąć? Na co albo na kogo została rzucona?

Lane westchnął i odchylił się w fotelu. Musiał się spodziewać tego pytania, lecz milczał przez dłuższą chwilę, jakby zastanawiał się, w jaki sposób odpowiedzieć.

– Sprawa jest skomplikowana.

– Jak wszystko związane z Jacobem Redem.

– Trafna uwaga. W każdym razie nie jesteśmy pewni, na kogo została rzucona ta klątwa. A raczej... nie została wycelowana w żadną konkretną osobę. Nie dowiemy się tego, póki nie będzie za późno.

– Można jaśniej? – poprosiła, niepewna, czy zawodzi ją znajomość języka, mimo że zaopatrzyła się w specjalny amulet wspomagający zdolności w tym kierunku, czy też Lane wyraża się mocno nieprecyzyjnie. – Wiecie, że rzucił kiedyś jakąś klątwę, ale nie macie pojęcia na kogo?

– Inaczej – sprostował. – Wiemy, że rzucił klątwę. Ale klątwa nie ciąży i nie ciążyła na konkretnych osobach. Wciąż wybiera nowe ofiary.

– Klątwa nie może „wybierać” ofiar. Chodzi o samorozprzestrzeniające się przekleństwo? – spytała, mocno splatając palce.

Takie klątwy roznosiły się jak choroby, a ich rzucenie było trudne i wymagało albo bardzo specyficznych warunków, albo ogromnej mocy. Nie była pewna, czy ona by taką dysponowała. Zapewne nie. Nie wątpiła jednak, że Jacob Red znalazłby sposób, aby utkać taki urok.

Lane jednak pokręcił głową.

– Nie chodzi o zarażanie. Od jakiegoś czasu, a konkretnie od pięciu lat, rok w rok w okolicach rocznicy śmierci Jacoba, umierają osoby, które przyczyniły się do jego ujęcia. Zabija je klątwa. Klątwa, dodajmy, która wcześniej na żadnej z nich nie ciążyła, bo jej ofiarą padli także ludzie uprzednio sprawdzani przez najlepszych specjalistów. Wszystko wskazuje na to, że Jacob rzucił na swoich wrogów przekleństwo... które uaktywnia

się po pewnym czasie.

Wsluchiwała się w jego słowa coraz bardziej oszołomiona. W głowie obracała dziesiątki przypadków morderczych przekleństw, nazwy klątw, które mogły zabijać albo zadziałać po latach, a nawet stare opowieści o urokach już dziś nieużywanych, często uważanych za bajki lub wygodne alegorie. Nic jednak nie pasowało do tego opisu. Nie wspominając już o tym, że zbyt wiele rzeczy tutaj przeczyło podstawowym zasadom magii klątw. Choćby to, że do rzucenia tego typu zaklęcia potrzeba by albo osobistego kontaktu, choćby wzrokowego, albo przedmiotu, na którym klątwa by się przenosiła. Ewentualnie rzucający powinien dysponować rzeczami ofiar i najlepiej wprowadzić do ich ciał własną magię. Jagoda mogła nie znać każdego istniejącego przekleństwa, ale akurat te podstawy miała doskonale opanowane.

Przeklęty zamek byłby sto razy lepszy.

– Klątwy nie działają w ten sposób. To po prostu niemożliwe.

– Doprawdy? – Lane uśmiechnął się do niej, ale nie było w tym ani odrobiny wesołości. Wygrzebał spod papierów grubą teczkę i pchnął ją ku wiedźmie. – Być może zwykłe klątwy tak nie działają... ale tę rzucił Jacob Red.

*

Jagoda musiała przyznać Calebowi jedno: postarał się, aby dostała odpowiedzi, jeśli nie na wszystkie, to przynajmniej na większość pytań, jakie mogłaby zadać. Teczka, wręczona jej przez Lane'a, zawierała informacje o ofiarach, zgonach, wycinki prasowe, rozpisane powiązania zabitych z Jacobem Redem, a nawet kopie raportów tutejszego odpowiednika WMM, dotyczące okoliczności śmierci, autopsji i pomiarów magicznych. Same fakty. Jeśli mieli jakieś teorie, to w zgromadzonych papierach ich zabrakło. Być może nie chcieli, aby się nimi zasugerowała. Dopiero na samym końcu znalazła też krótką wiadomość, prawdopodobnie napisaną przez Caleba:

„Sądzę, że to autorskie przekleństwo, powstałe na bazie klątw ostatniego tchnienia i zemsty do siódmego pokolenia, ale nie mam pewności. Nawet J.R. nie powinien mieć tyle mocy. Omówimy sprawę, kiedy wrócę”.

Zmieniła liścik i cisnęła go na podłogę. Potoczył się po parkiecie prosto do zakurzonego kąta. Pokój, który oddano jej do dyspozycji, ktoś wprawdzie wywietrzył i posprzątał, ale nie na tyle dokładnie, by nie dało się zauważyć, że dość długo nikt tu nie zaglądał. Nieduże pomieszczenie o skośnym suficie znajdowało się na piętrze, wyposażone w dwa identyczne łóżka, stoliki nocne, niedużą komodę i skrzynię, która mogła pełnić funkcję siedziska. Z braku biurka Jagoda rozłożyła się z papierami na jednym z łóżek. Znowu pochyliła się nad dokumentami i przesuwiała po materacu akta pierwszych domniemanych ofiar. Domniemanych – bo gdy zginęły, nikt jeszcze nie podejrzewał, że może chodzić o klątwę, a na pewno nie o klątwę Reda.

Sędzia, który wydał wyrok skazujący. Wysoko postawiony pracownik Madainn'ur, współpracujący z funkcjonariuszami jeszcze na etapie, gdy Jacoba jedynie podejrzewano. Aaron, jeden z magów, którzy brali udział w aresztowaniu.

Ten pierwszy zginął siedem lat po złapaniu Reda. Drugi siedem dni później, a trzeci po kolejnych siedmiu. Wzór od tej pory powtarzał się przez kolejne lata i prawdopodobnie tylko dzięki niemu już rok później, gdy zginęły kolejne osoby, powiązane ze sobą te śmierci. Klątwa była podstępna, przypominała szybko postępującą chorobę, a za pierwszym razem zginęli czarodzieje na tyle wiekowi, że ich śmierć nikomu nie wydała się szczególnie podejrzana. W drugiej „turze” zmarł jednak ówczesny dowódca magicznego Scotland Yardu, co w połączeniu z dwoma innymi zgonami wywołało spore zamieszanie.

Elijah, specjalista do klątw, wezwany do ostatniej ofiary z tamtego roku, potwierdził, że ta zmarła na skutek klątwy niewiadomego rodzaju.

W trzecim roku Thomas Doherty, dyrektor wydziału specjalnego, tutejszego odpowiednika WMM, podejrzewając już, że sprawa powiązana jest z Redem, włączył w śledztwo Caleba Blythe'a. Tym razem wśród ofiar znalazła się bliźniacza siostra Michaela Thunderbirda, niegdyś zastępcy dowódcy, a obecnie komendanta Scotland Yardu. Spekulowano, że klątwa przeznaczona dla Michaela trafiła ją przypadkowo. Większość osób, która brała udział w śledztwie albo procesie przeciwko Redowi, została zbadana pod kątem klątw. Niczego nie wykryto. Sprawdzone dawnych przyjaciół i potencjalnych zwolenników Jacoba.

Na nic się to zdało, a trzecią ofiarą padł sam Elijah, specjalista od klątw Scotland Yardu. Też brał udział w nalocie na siedzibę Reda. Zdążył jeszcze poinformować zwierzchnika, że padł ofiarą przekleństwa, ale

ściągnięta w pośpiechu na miejsce Jeanette Brown przybyła za późno. Potwierdziła, że mężczyznę zabiła klątwa. Zdaniem Caleba, któremu pozwolono zbadać ciało, wzór magiczny przypominał ten Jacoba Reda.

Przez kolejny rok przeprowadzano analizy, zatrudniono nowego eksperta od klątw, szukano podobnych przypadków. Odczyty zebrane z ciał przez urzędników były bardzo słabe, jednak ich porównanie z zaklęciami pozostałymi po Redzie potwierdziło pewne podobieństwa magii. Przy następnej serii w okolicach feralnej daty nowy specjalista, Caleb oraz zaangażowana jako zewnętrzny ekspert Jeanette sprawdzali większość osób zaangażowanych w akcję przeciwko Redowi. Potencjalnie zagrożonych – a było ich niestety sporo, bo w nalocie na siedzibę Reda wzięło udział trzydzieści osób (z czego szóstka już zginęła), do tego funkcjonariusze obstawiający teren oraz rzucający zaklęcia ochronne, a także śledczy i osoby, które z nimi współpracowały – ostrzeżono, aby wypatrywali symptomów.

Podjęte środki ostrożności nie wystarczyły. Zginęły dwie osoby, które z różnych względów nie zostały sprawdzone, oraz jedna wcześniej kontrolowana pod kątem klątwy. Świeżo zatrudniony ekspert albo nie zdołał jej wyczuć, albo poraziła ofiarę już później. Ciężko było orzec, bo nowy klątwofilamant Scotland Yardu pechowo zginął w prozaicznym wypadku komunikacyjnym.

Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że cykl zacznie się od nowa za dziesięć dni. Zginie trójka ludzi, jedno po drugim. Sprawę wciąż udawało się ukrywać przed prasą, ale krążyły plotki. Zbyt wiele osób zaangażowano. Prasa zaczęła pisać o seryjnym zabójcy. Już rok temu jeden z dziennikarzy dopatrywał się powiązania między ofiarami a Jacobem. Kwestią czasu był wyciek informacji o tym, że winny mógł być nie sympatyk Reda, lecz on sam – i zapewne wybuch paniki.

A Jagoda, po zapoznaniu się z całą historią i opisem objawów, nie miała żadnego sensownego punktu zaczepienia. Żadnych pomysłów, jakie przekleństwo tu działało i w jaki sposób je ściągnąć. Nie wiedziała nawet, od czego zacząć. Wskazówki Caleba z liściku nie wydawały się jej pomocne. Klątwa ostatniego tchnienia miała pomóc wyrzucić zemstę, ale musiała zostać rzucona precyzyjnie, na konkretne ofiary. W przypadku siódmego pokolenia ścigała niejako krew, jednak ktoś powinien ją wyczuć, nawet jeżeli nie udałoby się jej złamać.

Nie wspominając o tym, że Jacob Red nie powinien mieć takiej mocy, nawet jeżeli poświęcił swoje życie, aby rzucić klątwę. Był prawdopodobnie na tyle potężny, że ta owszem, mogłaby pozostawać utajona i aktywować się po wielu latach, ale nie działałaby... w ten sposób. Na zdrowy rozsądek coś ją musiało odnawiać. Mniej racjonalne wyjaśnienie, jednak niewykluczone, gdy mowa o najpotężniejszym czarodzieju tego wieku, a może także paru poprzednich, brzmiało tak: przygotował się do jej rzucenia już dużo wcześniej, a w chwili śmierci jedynie dopełnił dzieła.

– Dziesięć. Cholernych. Dni – mruknęła, przenosząc się na sąsiednie łóżko. Oczy już ją piekły, a w głowie szumiało z niewyspania. Jednak nawet gdy zgasła światło i zwinęła się w kłębek pod kołdrą, niepokój nie pozwalał jej zasnąć. Półtora tygodnia, zanim ktoś zginie. Klątwa Jacoba. A ona zapewniała Sonię, ba, oszukiwała samą siebie, że to będzie zlecenie jak każde inne. Że najgorszymi problemami mogą się okazać jej własna głowa i towarzystwo Caleba. Jaka była głupia! W tej chwili zdejmowanie przekleństw w mrocznym zamku stanowiło szczyt jej marzeń. Z takimi na pewno by sobie poradziła, ale to wyzwanie ją przerastało.

Przez następną godzinę rozważała i odrzucała kolejne teorie. W przerwach lżyła w myślach Blythe'a, bo o ile teraz rozumiała, czemu tak bardzo chciał ją w to wciągnąć, o tyle nie usprawiedliwiała to ani nie poinformowania o szczegółach wcześniej, ani ściągnięcia jej tutaj w ostatniej chwili. A gdy nad ranem wreszcie niemal zdołała zasnąć, gdzieś na granicy snu i jawy nawiedziła ją myśl, która na długo odegnała senność.

Jeżeli umierali ludzie, których Jacob Red winił za swój upadek, Caleb z pewnością był na tej liście.

*

Jagodę obudziło słońce, które świeciło wprost w okno wychodzące na wschód. Zapomniała zaciągnąć zasłonki. Nie pamiętała, o czym śniła, wiedziała tylko, że nie był to przyjemny sen. Nic nowego. Koszmary zdarzały się jej często, a od sprawy Adriana dręczyły Jagodę niemal każdej nocy. Przez ułamek sekundy kusiło ją, by wcisnąć twarz w poduszkę i spać dalej. Wciąż była zmęczona, przemarzła w niedogrzanym pomieszczeniu, a głowa pulsowała bólem. Ledwie jednak dotarło do niej, że nie leży we własnej sypialni, i przypomniała sobie poprzedni wieczór, a poderwała się z łóżka.

Gdy szukała ubrań w torbie, stwierdziła, że zabrała za mało rzeczy. I ciuchów, i książek. Spodziewała

się, że klątwa może okazać się skomplikowana, ale zakładała, że spędzi tu maksymalnie tydzień. Tymczasem wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały na to, że „tydzień” przerodzi się w miesiąc.

Pierwsza ofiara umrze za dziewięć dni.

Ostatnia za dwadzieścia trzy.

Jagoda, choć zwykle w kwestii klątw była bardzo pewna siebie, tym razem miała przeczucie graniczące z pewnością, że tego pierwszego zgonu nie zdoła powstrzymać. Wprawdzie nie zamierzała próżnować i do obolałej głowy przyszło jej parę pomysłów na to, co mogłaby zrobić przez te półtora tygodnia, ale po pierwsze, większości mogli już próbować, po drugie – szanse na wymierne rezultaty były mizerne.

Być może zdoła coś osiągnąć, kiedy klątwa już kogoś dopadnie. W duchu godziła się z takim biegiem wydarzeń, nie mogła jednak po prostu beczynnienie czekać, aż ktoś umrze.

Wyszła na korytarz i minęła rząd identycznych drzwi. Na piętrze panowała cisza, a w salonie też nikogo nie zastała. Wahala się tylko przez chwilę, nim ruszyła w głąb domu. Może i było to wścibskie, ale sami ją tu sprowadzili, a teraz, najwyraźniej, zostawili samą. Na parterze poza biblioteką, również pustą, odkryła jeszcze kuchnię i spiżarnię, zejście do piwnicy i dwa zamknięte na głucho pomieszczenia. W końcu Jagoda wyszła przed dom.

Na zewnątrz wciąż było chłodno, a na ziemi osiadł szron. W świetle poranka wiedzmi ogród wyglądał imponująco nawet mimo przedwiośnia. O ile wewnątrz posiadłości sprawiało wrażenie zaniedbanego, o tyle tu czyjeś troskliwe ręce wytyczyły rabaty i urządziły klomby, regularnie przycinały krzewy i żywopłoty oraz starannie obramowały ścieżki kamieniami. Jedna z nich wiodła do kamiennej altany, gęsto porośniętej pnączami. W środku na ławie siedział Lane. Jagoda myliła się więc, gdy uznała, że wszyscy gdzieś bez słowa pojechali.

– Dzień dobry – przywitał ją, jeszcze nim zdążyła wejść do altany. – Mam nadzieję, że dobrze spałaś.

– Tak dobrze, jak może spać ktoś, kto dowiedział się, że ma półtora tygodnia na powstrzymanie czyjegoś zabójstwa – odparła.

Może była trochę nazbyt bezceremonialna, bo Bennett spojrzał na nią z zaskoczeniem.

– Przypuszczam, że przejrzałaś dokumenty?

– Tak.

– Jakież teorie?

– Kilka, ale żadna nie będzie na razie zbyt przydatna – powiedziała, siadając naprzeciwko niego.

Kamienna ławeczka, o dziwo, okazała się ciepła: musiała być w jakiś sposób zaklęta. Gdy wiedzma przyjrzała się roślinom spowijającym altanę, odkryła, że te już zaczynają się zielenić, choć było na to przynajmniej o tydzień za wcześnie. Najwyraźniej dom, mimo iż na to nie wyglądał na pierwszy rzut oka, był pełen magii. – Czy macie kogoś poza Calebem, kto zna się na klątwach?

– Niestety nie.

– A Scotland Yard?

– Ich specjalistę spotkał pechowy wypadek.

– Kolejnego? Czy nie znaleźli nikogo przez ostatni rok?

– Znaleźli. W wyniku niefortunnego zbiegu okoliczności, do którego doszło ledwie parę dni temu, będzie musiał nieco odpocząć od obowiązków... w miłym, spokojnym miejscu, nienarażony na stresy – poinformował Lane z kamienną twarzą. – W każdym razie ten chłopak nie okazał się dotąd zbyt pomocny i nie sądzę, by miało się to zmienić teraz.

– Potrzebuję po prostu kogoś, kto ma talent do magii klątw. Dwóch osób, poza mną.

Bennett poprawił okulary, a w jego spojrzeniu pojawiło się coś na kształt zainteresowania.

– Co planujesz?

Zawahała się. Nie znała Lane'a i przyznawanie, że chce rzucić jedną z grobowych pieśni, zaklęcie, które zasadniczo uznawano za niedziałające, mogło nie być najlepszym pomysłem. Nie wspominając o tym, że przeprowadzenie procedury na poprzednich ofiarach klątwy właściwie gwarantowało niepowodzenie.

Owszem, istniała szansa, że dokładnie zbada klątwę i dowie się, w jaki sposób działa. Ten plan zakładał jednak, że najpierw ktoś zginie, a ona zamieni jego ciało w proch.

– Jeszcze nie jestem pewna – powiedziała w końcu. – To plan awaryjny. Na początek chciałabym poznać wzór magiczny Jacoba Reda. To możliwe?

– Jego stara posiadłość jest zaraz obok. Wystarczy krótki spacer, by tam dotrzeć. Część zaklęć, jakie

rzucił, wciąż działa. Oczywiście miejsce znajduje się obecnie pod jurysdykcją rządu i jest zabezpieczone, ale myślę, że uda się nam zorganizować... małą wycieczkę.

Jagoda tylko skinęła głową. Wolała nie pytać, czy to oznacza, że Lane ma wysoko postawionych znajomych i błyskawicznie załatwi potrzebne zgody, czy też wie, w jaki sposób dostać się tam nielegalnie. Takich rzeczy lepiej nie wiedzieć, gdy się nie ma wielkiego wyboru. Obiecała, że zrobi co w jej mocy, aby zdjąć tę klątwę, ale żeby mieć na to jakiegokolwiek szanse, musiała najpierw dowiedzieć się więcej o magii Jacoba Reda. Przeczytała chyba wszystkie dostępne publikacje na jego temat, to jednak nie mogło zastąpić odczucia mocy Czerwonego Rozpruwacza na własnej skórze.

– Jak szybko uda się to zorganizować?

– Kiedy chciałabyś tam pójść?

– Dziś?

– Nie lubisz tracić czasu.

– Nie mamy go za wiele – odparła. Już pomijając to, że owszem, chciała mieć sprawę jak najszybciej za sobą, ponieważ w Warszawie czekali na nią krewni i dwójka podopiecznych, to do zrobienia było tysiąc i jeden rzeczy, a ona miała niecałe dwa tygodnie. Dwa tygodnie! Powinna być tutaj i działać już co najmniej od kilku dni. – To dopiero początek. Muszę sprawdzić osoby potencjalnie zagrożone, zwłaszcza jeśli Scotland Yard nie ma w tej chwili specjalisty. Chciałabym dostać dokładną listę. Porozmawiać z patologiem i Jeanette Brown, skoro była albo jest zaangażowana. Najchętniej spotkałabym się z bliskimi ofiar i dowiedziała więcej o tym, co robiły w ostatnich dniach życia. Zwłaszcza z Michaeliem Thunderbirdem, skoro prawdopodobnie zamiast niego umarła jego siostra. Nie wspominając o omówieniu sprawy z Calebem. Bo mam do niego bardzo wiele pytań. A to wszystko w ciągu najbliższych dziewięciu dni.

Po głowie chodziła jej też dość makabryczna idea wykopania któregoś ciała. Jeśli klątwa była tak mocna, jak się wydawało, mogły zostać po niej choćby słabe pozostałości.

Lane długą chwilę obserwował ją w milczeniu. Nie potrafiła odczytać jego wyrazu twarzy, ale miała dziwne wrażenie, że cokolwiek chodzi mu po głowie, nie jest to nic przyjemnego.

– Jest... dziewięta piętnaście – powiedział w końcu, spoglądając na zegarek. – Możemy się umówić na południe? Porozmawiam z Eleanore. Zabierze cię do zamku.



ROZDZIAŁ DRUGI

ZAMEK CZARNOKSIĘŻNIKA

Zamek Jacoba Reda nawet w połowie nie wyglądał tak upiornie, jak oczekiwała Jagoda. Zobaczyła go, zaledwie Eleanore wyprowadziła ją za mur posiadłości: stał na wzgórzu, widoczny z daleka, ponad lasem, który otaczał posiadłość sióstr Donelly. Najpierw czekał je kilkuminutowy spacer błotnistą, śliską ścieżką pośród drzew, potem wspinaczka. Wiało, gdy szły po zboczu, a wicher niósł ze sobą zapach morza. Z oddali dochodziło coś, co zapewne było szumem fal.

Chyba za bardzo ulegała wpływowi baśni, bo spodziewała się ciemnych ścian, strzelistych wież, może paru gargulców, szczerzących zęby w upiornych grymasach. Budynek, jak się okazało, wyglądał jednak dokładnie tak jak na zdjęciach. Ot, stary zameczek. Wzniesiono go z jasnego kamienia, miał cztery niewysokie baszty, które górowały nad murami. Główna część budynku miała tylko jedno piętro, a skrzydło było trzypiętrowe – Jagoda nie miała wielkiego pojęcia o architekturze, ale podejrzewała, że ta część została wzniesiona później niż reszta.

Ani jednej strasznej rzeźby. Brak krat w oknach. Ba, gdy się zbliżyły, wiedźma nie wyczuwała nawet mrocznej atmosfery. Tylko aurę zaklęć ochronnych. Nie były zamaskowane, wręcz przeciwnie, kiedy Jagoda spróbowała zbadać barierę, odkryła, że ta jedynie robiła wrażenie potężniejszej niż w rzeczywistości. Miało to pewnie odstraszać ciekawskich. Ochrona w istocie była dość standardowa, ale wciąż za mocna, aby Jagoda potrafiła rozbić ją bez długich przygotowań.

Na szczęście Eleanore wiedziała, w jaki sposób przełamać barierę, bądź została uwzględniona przez jej twórców. Potężne drzwi – wyglądające na niemal nowe – otworzyła kluczem, a iskierki magii wystrzeliły z zamka i znikły. Po chwili czarodziejka wyciągnęła dłoń do Jagody i przeciągnęła ją przez osłonę.

– Witamy w zamku czarnoksiężnika.

– Spodziewać się potworów?

– Nie. Red nie zniósłby konkurencji pod tym względem – odparła Eleanore z powagą, gdy prowadziła Jagodę przez przedsionek. – Czego dokładnie potrzebujesz? Wystarczą pozostałości jakichkolwiek jego zaklęć?

– Najlepsze byłyby klątwy, ale jeżeli to niemożliwe, zadowolę się czymkolwiek.

Eleanore przez moment nie odpowiadała, zagłębiona w myślach. W końcu skręciła w pierwsze drzwi – z pewnością, która świadczyła o tym, że nie była tu pierwszy raz – i ruszyła kamiennymi schodami na piętro. Jagoda miała wrażenie, że wchodzi do najwyższej części zamku, i szybko się przekonała, że tak właśnie było. Pochlebiała sobie, że ma niezłą kondycję, ale po pokonaniu trzech wysokich pięter złapała lekką zadyszkę. Eleanore za to wydawała się niemal frunąć po schodach, nierzadko przeskakiwała po dwa stopnie i szybko zostawiła drugą czarownicę w tyle.

– Dalej są pokoje Reda – oświadczyła przed jakimiś drzwiami. – Sam stawiał zabezpieczenia, w tym klątwę wielokrotnego użytku. Oczywiście wszystko dezaktywowano, ale potem uruchomiono znowu. Druga linia obrony po tej na wejściu. Na wypadek wizyty złodziei albo wielbicieli.

– Wielbicieli?

– Pojebów nie brakuje. Zdziwiłabyś się, ile są warte pamiątki po Czerwonym Rozpruwaczu – skomentowała Eleanore i wzruszyła ramionami. Odsunęła się i teatralnym gestem wskazała drzwi. – Tylko nie próbuj ich otworzyć, bo coś może wałnąć cię w twarz.

Jagoda ostrożnie dotknęła drewnianej powierzchni. Klątwę wielokrotnego użytku dało się dezaktywować i uruchomić z powrotem, jeśli znało się na przekleństwach lub jej twórca uwzględnił przy jej tkaniu konkretną osobę. Wilczek sama w ten sposób chroniła mieszkanie. Był to też najlepszy sposób, by dowiedzieć się więcej o magii Jacoba.

Osłona spowijająca drzwi była silna. Poza nią kryła się też druga, sprytnie ukryta, chyba silniejsza od zewnętrznej, i Jagoda wyczuła ją tylko dlatego, że większość członków jej rodziny specjalizowała się właśnie w tej gałęzi magii, miała więc pewne doświadczenie. Przez mgnienie oka zastanawiała się, czy Sebastian zdołałby złamać te zabezpieczenia. Być może, gdyby miał dość czasu i czyjaś pomoc.

Niemal od razu wyłapała też klątwę. Były w niej znajome nitki: człowiekiem, który aktywował ją ponownie, prawdopodobnie tak samo jak pozostałe osłony, był Blythe. Nie powinno jej to zaskakiwać, a jednak na moment się rozproszyła, nim sięgnęła głębiej, próbując poznać wzór magiczny pierwotnego autora przekleństwa.

Jacob Reda.

Klątwa była silna, skonstruowana na tyle przemyślnie, że Jagoda długą chwilę poświęciła wyłącznie

na sprawdzenie, w jaki sposób działa, a dopiero potem zajęła się tym, jak ją utkano. Przekleństwo było podstępne i połączone z jeszcze innym zaklęciem, tym razem nie klątwą. Zaintrygowana przez chwilę badała połączenie, zastanawiając się, czy potrafiłaby je odtworzyć od zera. Klątwa i czar miały wspólnie osłabiać osobę, która zdołałaby sforsować inne osłony, a potem, prawdopodobnie, uwięzić w pomieszczeniu. Musiało to być autorskie rozwiązanie, bo nigdy o czymś takim nie słyszała.

Nic nie mogła poradzić, że poczuła odrobinę podziwu. Red nie tylko był potężnym czarodziejem, ale też wykazał się pomysłowością. Umiał łączyć różne rodzaje magii, a to należało do rzadkości. W dodatku doskonale zamaskował swoje odciski palców – Jagoda podejrzewała, że większość specjalistów od klątw, nawet znających wzór magiczny Reda, nie potrafiłaby stwierdzić, że to on ją rzucił. Ba, nie była pewna, czy sama wyłapała wszystkie ślady jego magii.

W osłonach kryło się coś jeszcze: coś, czego nie umiała zbadać, ale co zdawało się... znajome.

W końcu się wycofała, jej dłonie ześlizgnęły się po powierzchni drzwi, nagle osłabły. Jagoda uświadomiła sobie, że gdzieś w międzyczasie opadła na kolana, a jej nogi zdążyły zdrętwieć i teraz miała problem ze wstaniem. Ból głowy, wcześniej przytłumiony dzięki tabletkom, uderzył ze zdwojoną mocą. Eleanore opierała się o ścianę i przypatrywała Jagodzie uważnie.

– Trochę ci to zajęło – skomentowała.

Kiedy Jagoda się zachwiała, Eleanore wyciągnęła rękę i pomogła jej wstać.

– Jak długo?

– Będzie... czekaj, trzydzieści siedem minut. Udało się chociaż?

– Prawdopodobnie – odparła.

Czekała, aż w nogach wróci prawidłowe krążenie. Chwilowo w kolana wbijały się setki fantomowych igiełek. Spędziła na badaniu klątwy zbyt wiele czasu, ale sama była sobie winna. Nie mogła oprzeć się pokusie sprawdzenia, jak działa.

– Z czystej ciekawości. Dałabyś radę zdjąć to przekleństwo?

– Tak. Wymagałoby to więcej czasu niż pół godziny, ale tak.

– Dobrze – skwitowała Eleanore. Wyraz twarzy miała poważny. – Gdybyś tego nie potrafiła, byłabyś zupełnie bezużyteczna.

– Dzięki za informację – mruknęła Jagoda.

Myślała, że Brytyjczycy są flegmatyczni i uprzejmi, ale widocznie uległa stereotypom. A może Eleanore postawiła sobie za punkt honoru zrażenie jej do siebie na dzień dobry. Albo zapałała do niej instynktowną nienawiścią. Może w przeszłych wcieleniach były śmiertelnymi wrogami lub małżeństwem z długim stażem.

– Potrzebujesz tu jeszcze czegoś?

Milczała przez chwilę. Zamek na pewno przeszukano. Ze szczególnym uwzględnieniem pokoi Reda i laboratoriów. Mogła zakładać, że byli tutaj i funkcjonariusze, i Caleb. Jeśli w budynku znajdowały się jakieś zapiski albo wskazówki dotyczące klątwy, prawdopodobnie dawno znikły. Odkąd Jacob opuścił to miejsce, minęło kilkanaście lat: dość, aby ulotniły się echa magii mniej trwałe niż te osłony. Być może pozostały tu jeszcze jakieś ślady po właścicielu, skoro budynek stał niezamieszany i nie oczyszczono go z dawnej energii, ale Jagoda nie należała do Czytaczy, zdolnych wychwycić tak subtelne aury.

– Jest tu jeszcze coś, co zawiera dużo magii Reda?

– Hm... Na dole są magiczne lampy, które samodzielnie wykonał. Nie chodzi o takie, które produkuje Madainn ũr. Stworzył je na prywatny użytek.

To nie było tak dobre jak klątwa, bo magię w przedmiotach wyczuwała dość słabo. Nie zaszkodzi jednak spróbować i dokonać porównania z tym, co zdołała wyciągnąć z przekleństwa i osłon.

– Jeśli można, chciałabym się im przyjrzeć.

Znów zeszyły na dół, do wtóru skrzypnięć jakichś starych drzwi. Wejścia do pomieszczeń na parterze strzegła osłona, ale była słabiutka i natychmiast opadła pod dotykem Eleanore. Widać tu nie kryło się nic na tyle cennego, aby marnowano dodatkowe zasoby na ochronę tej części budynku przed kimś dostatecznie zdeterminowanym, by pokonać pierwszą barierę.

Sala, do której poprowadziła ją Eleanore, była ogromna i niemal pusta. Tylko jaśniejsze miejsca na ścianach i podłogach zdradzały, że parę lat temu wisiały tu obrazy, stały sprzęty, leżały dywany. Jagoda podeszła do jednego z okien, zadziwiającą czystego jak na opuszczoną posiadłość, i wyjrzała na coś, co kiedyś

było wewnętrznym ogrodem. Potem skierowała się do ozdobnego kominka, który ostał się tu chyba wyłącznie dlatego, że nie dało się go zdemontować, i przesunęła palcem po gzymsie.

– Kontrola czystości? – zakpiła Eleanore. – Przynieść ci białą rękawiczkę?

– W pewnym sensie tak, i dzięki, ale się obejdzie. To te lampy? – spytała Wilczek, spoglądając na ścianę. Fantazyjne klosze pewnie przymocowano magicznie, skoro nie zabrano ich razem z resztą sprzętów.

– Tak. Prąd do miasteczka dociągnięto dopiero pod koniec lat dziewięćdziesiątych, więc wszędzie są jego lampy. Inne modele, oczywiście.

– Czym te się różnią?

– Nie potrafisz sama powiedzieć?

– Nie. – Starła się nie ulec irytacji. Czy to miał być kolejny test, sprawdzający, czy nie jest „bezużyteczna”? – Znam się na kłótwach. Trochę na wyczuwaniu magii, osłonach i magii ogólnej. Nie na magicznych przedmiotach.

Jeśli Eleanore była rozczarowana, to tego nie okazała.

– Regulacja natężenia światła, jego kierunku, barwy, brak potrzeby doładowywania, i przez „brak” rozumiem „całkowity brak”, a nie że wymagają go co dziesięć lat, jak najlepsze modele. Cale twierdzi, że mogą też zgasić każde inne źródło światła albo osłepiać. Ale sterować nimi potrafią tylko Red... i Cale. Dla innych są bezużyteczne.

Jagoda wyciągnęła rękę, żeby sprawdzić, jaka magia tkwi w lampie. Moc faktycznie się w niej kłębiła. Część wydawała się bardzo podobna do tej użytej przy osłonach i kłótwie, pozostawała jednak na wierzchu: jakby Jacob chciał zostawić swój podpis. Reszta się nie zgadzała. Albo nie potrafiła tutaj sięgnąć wystarczająco głęboko, albo Red starannie ukrywał część swojej magii. Tak, aby móc oznaczyć zaklęcia i wynalazki, z których był dumny, ale zadbać o to, aby nikt nie dysponował jego pełnym wzorem magicznym. Ukryć pewne czary i sprawki. Jagoda stawiała właśnie na to drugie.

Jebany geniusz zbrodni, pomyślała, cofając dłoń. W zamyśleniu spojrzała na swoje palce.

– Same się czyszczą?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Może?

– Ktoś tu bywa?

– Nie wydaje mi się. – Eleanore wzruszyła ramionami. – Zamek od paru lat stoi pusty. Na początku były próby włamań, ale tylko jedna udana, i nie dostali się wszędzie. Teraz już nie. Czasem, kiedy ktoś przyjeżdża do Rainharbour, przychodzi robić sobie zdjęcia z zewnątrz. Raz czy dwa próbowały się tu dostać miejscowe dzieciaki, ale nie zdołały wejść.

– Daj mi chwilę, proszę. Muszę coś zrobić.

Eleanore ruszyła za nią, kiedy wiedźma wyszła przed budynek. Z uniesionymi brwiami obserwowała, jak Jagoda wykopuje trochę dopiero kiełkującej trawy, a potem niesie korzonki wraz z pełną garścią ziemi z powrotem do sali, w której dopiero co były. I jak rozrzuca je po podłodze, a potem brudną dłonią wodzi po szybie. Milczała też, kiedy Jagoda wymaszerowała z pomieszczenia. Nie wytrzymała dopiero, gdy znalazły się znów na zewnątrz.

– To jakiś rytuał czy co?

– Test – odparła Jagoda. Nie wyjaśniała, o co chodzi, nie dlatego, że chciała być tajemnicza, ale na wypadek, gdyby się myliła. – Możemy... hm, na jakieś dziesięć minut stąd odejść, a potem wrócić?

– Jeśli ci to pomoże – stwierdziła Eleanore, jakby z rezygnacją.

Wilczek miała wrażenie, że dziewczyna zaczyna brać ją za wariatkę. Nie kłóciła się jednak, lecz powoli oddaliła od wejścia. Nie kierowała się w dół, drogą, którą przyszły, tylko okrążyła zamek. Jagoda poszła w jej ślady. Po ledwie paru metrach przekonała się, że dźwięki, które słyszała, faktycznie były szumem morza. Dało się je dostrzec z drugiej strony wzgórza, a tu, gdy nie chroniły ich ściany, wiatr świszczął w uszach i szarpał włosy.

– Jak daleko sięga obszar Rainharbour? – Podniosła głos, by przekrzyczeć podmuchy.

– Niedaleko się kończy – odpowiedziała Eleanore. Wskazała najpierw na morski brzeg, a później przesunęła ręką w stronę skał, obrysowując granice. – To jedno z największych miasteczek w Anglii, ale i tak możesz obejść je dookoła w ciągu półtorej godziny.

W takim razie było znacznie mniejsze niż warszawska enklawa. A Jacob Red mieszkał na samych granicach. Zwykle takie miejsca miały dwa, może trzy przejścia, być może jednak Czerwony Rozpruwacz

zadbał o własną ścieżkę. To ułatwiałyby mu zdobywanie „obiektów doświadczalnych” i transportowanie ich do zamku.

– Dobrze znasz... to miejsce? – spytała Jagoda, wskazując na budowlę.

Eleanore wzruszyła ramionami. Dłonie schowała do kieszeni, a wiatr szarpał jej krótkie włosy, gdy wpatrywała się w morze.

– Pomagałam je oczyszczać.

– Dwanaście lat temu? – zdziwiła się wiedźma.

Była pewna, że Eleanore jest młodsza od niej. W przypadku magów moc i odpowiednie eliksiry mogły spowolnić starzenie, ale to zwykle zatrzymywało ich w okolicach trzydziestki lub czterdziestki.

– Miałam osiemnaście lat.

Jednak starsza, choć niewiele. Za to o wiele za młoda, aby przed dwunastu laty pomagać w oczyszczaniu zamku mrocznego czarnoksiężnika.

– Scotland Yard cię tu zabrał?

– Nie. Cale – ucięła Eleanore tonem, który nie pozostawiał wątpliwości, że nie chce kontynuować tematu. – Minęło dziesięć minut. Test zakończony?

– Prawdopodobnie.

Zawróciły. Eleanore ponownie pomogła Jagodzie pokonać barierę i po raz kolejny weszły do sali, w której wcześniej oglądały lampy.

– O cholera – mruknęła Eleanore. Od razu wyłapała, czego zabrakło w pomieszczeniu. Ziemia i rośliny, naniesione przez wiedźmę, znikły. Podłoga znów lśniła czystością. Szyby nie znaczył już odcisk brudnej ręki.

– O co tutaj chodzi?

– O kogo – sprostowała Jagoda i podeszła do miejsca, w którym wcześniej nabrudziła. Rozejrzała się, zastanawiając, gdzie znikły porozrzucone tu korzonki. – W tej części świata to będzie... brownie? Albo Hob? Bwbach to bardziej Walia...

Nigdy nie była znawcą demonów, ani tych pomniejszych i nieszkodliwych, ani tych paskudnych, szczerzących kły. Ale odkąd dwukrotnie napotkała domowika i odkryła, że z jednym przyjdzie jej mieszkać, a z drugim mieszkała całe lata, postarała się poszukać informacji na ich temat. Opiekuńcze duchy dbające o dom pojawiały się w niemal każdej kulturze, podobne do siebie pod wieloma względami. Istniały różnice w wierzeniach – co do wyglądu, postępowania czy warunków opuszczenia budynku – w ogólnych zarysach wydawały się jednak tymi samymi istotami.

Oczywiście, skoro domowiki, które spotkała, były trochę inne, niż wynikało z folkloru, podobnie mogło być z brownie.

– Brownie? Że ciasto? Czekaj, mówisz o skrzatach? To bajki – powiedziała Eleanore, chociaż wpatrywała się w czystą podłogę ze zmarszczonym czołem. – Jakim cudem żadnego nigdy nie spotkałam? Ani ja, ani nikt z moich znajomych? Skąd wiedziałas, że tu jest?

– W dzisiejszych czasach są bardzo rzadkie i zwykle pokazują się tylko domownikom... albo właścicielowi domu. – Tadeusz nie miał oporów, ale Jagoda podejrzewała, że on w pewnym sensie „ewoluował” lub był specjalnym przypadkiem. Ubożę z domu prababki rozmawiało wyłącznie z nią, unikając Soni, Jeremiasza i gości niczym morowej zarazy. – A czasem nawet jemu nie, jeżeli są nieśmiałe albo za nim nie przepadają. Miałam... okazję poznać podobną istotę, umiem zauważyć pewne oznaki.

Na przykład lekkie, ledwo wyczuwalne muśnięcie dziwnej magii na osłonach komnat Reda. Zignorowałyby je, gdyby nie było identyczne jak w domu Wilczków i jej własnym: wyjątek wpisany w magię danego miejsca, niepozwalający zatrzymać jego opiekuna. Początkowo zresztą nie zwróciła na to szczególnej uwagi, a odpowiedź podsunęły dopiero skrzypięcia, starannie umyte okna, brak kurzu na lampach.

– Świetnie. W domu Rozpruwacza mieszka mały demon. To jakoś mnie nie dziwi – prychnęła Eleanore. – Co to dla nas oznacza? Trzeba się go pozbyć? Mam podarować mu ubranie? Wyśmiać? Zaczaić się i zobaczyć go przy pracy?

– Nie wiem – przyznała Jagoda uczciwie. – Nie mam pojęcia, ile w tych opowieściach jest prawdy, ale wolałabym go nie wyśmiewać. W swoich domach są bardzo potężne. Pozbywać się też nie, bo może się przydać. Kto jest właścicielem tego miejsca? Caleb?

– Nie. Zostało skonfiskowane. Podobno rozważali rok czy dwa lata temu przerobienie go na muzeum albo odsprzedaż na hotel, ale uznali... że na to za wcześnie.

– Szlag. Jeśli jest własnością rządu, to teoretycznie nie ma właściciela...

– Ach – mruknęła Eleanore z zastanowieniem. – Sądysz, że mógłby wywabić brownie? A ono...

– ...prawdopodobnie zna masę sekretów Jacoba Reda, tak – dokończyła wiedźma, cofając się.

Pomysł był niezły, ale skoro zamek stanowił własność publiczną, nie wiedziała, jak skłonić istotę, żeby się pojawiła. Nie mówiąc już o namówieniu jej, aby zechciała podzielić się tajemnicami poprzedniego pana.

O ile w ogóle gdzieś po drodze nie zmieniała się w swoją złośliwą wersję i nie próbowałyby teraz płać im figli. Pod rządami Reda mogło dojść do skażenia istoty.

– Do licha. Jeżeli tak jest, to coś wymyślę.

– Przecież nie zostawisz mu stosów kolorowych skarpetek.

– Albo czapeczek? – spytała Eleanore, uśmiechając się krzywo. Coś w sposobie, w jaki mówiła i patrzyła na Jagodę, się zmieniło. Ta zmiana była ledwo zauważalna, ale Wilczek miała wrażenie, że gdy odkryła obecność brownie, w jakiś sposób, przynajmniej częściowo, przekonała do siebie czarownicę. Może teraz uwierzyła, że gość z dalekiej, zdaniem tutejszych niewątpliwie barbarzyńskiej Polski, nie jest bezużyteczny. – Nie. Ale ja jestem tą gorszą wersją czarodziejki, więc jakoś go dorwę. Mam bardzo dobrą motywację.

– Trzy życia.

– Potencjalnie jedno należy do mnie – sprostowała Eleanore, odwracając się do wyjścia. – Byłam tutaj, kiedy ujęto Reda. Kto wie, czy nie jestem na jego liście? Chodźmy. Poszukam informacji o tych stworach.

Sądząc po determinacji w jej głosie, jeżeli istniał sposób na pochwylenie brownie, to Eleanore miała zamiar go znaleźć.



ROZDZIAŁ TRZECI

DONLON

Po powrocie Eleanore zamknęła się w bibliotece z Benettem. Jagoda nie chciała tkwić w zakurzonej pokoju na poddaszu, więc zabrała teczkę oraz sporządzoną przez Lane'a listę potencjalnych ofiar i rozsiadła się z nimi w altanie. Spowijające ławkę zakłęcie ciepła i gruby sweter chroniły ją przed chłodem, tutaj dotkliwszym niż w Warszawie.

Listy osób zagrożonych okazały się długie. Na pierwszej Lane uwzględnił najbardziej prawdopodobne ofiary: tych, którzy brali udział w nalocie, albo głównych świadków zeznających na niekorzyść Reda. Już tutaj miała łącznie pięćdziesiąt pięć osób. Dwanaście nazwisk przekreślono – ci zmarli w ciągu ostatnich lat, część na skutek klątwy, część z innych powodów: ze starości, choroby albo w wypadkach. Na szczycie spisu żywych znajdowali się Michael Thunderbird, Thomas Doherty i Caleb Blythe. Dalej byli także Eleanore Donnelly, Lane Benett oraz „Maya A.”, być może ta, która towarzyszyła Calebowi w Warszawie przed kilkoma miesiącami. Kolejne trzy dziesiątki nazwisk obejmowały pracowników Scotland Yardu, którzy byli w jakiś sposób związani ze śledztwem, i pracowników oraz znajomych Reda, już po jego ujęciu współpracujących z funkcjonariuszami. Powtórzyło się na niej nazwisko Donnelly.

Ta druga lista powstała, gdy w ostatnim roku zginęły właśnie takie osoby.

To z kolei wskazywało na celowy wybór ofiar, których nikt nie sprawdził i nie pilnował. W ten sposób nie działały klątwy, lecz ludzie.

Kolejne dwie godziny spędziła na robieniu notatek – w przerwach odpisując na messengerze Soni i Lilianie, zapewniając je, że nie została zamknięta w żadnych lochach, nic jej nie grozi i pracuje nad zleceniem. Gdy cienie zaczęły się wydłużać, słońce się zniżyło, a chłód coraz mocniej dawał się we znaki, Jagoda poskładała papiery. Nie czuła, aby była choć odrobinę bliżej rozwiązania zagadki niż wczoraj, ale pocieszała się, że pracowała na ograniczonym materiale. Wszystko, co w mojej mocy, obiecała Calebowi. Nie mogła dokonać cudu.

Zgarniała właśnie ostatnie dokumenty do teczki, gdy dostrzegła kogoś, kto prawie biegł przez ogródek od strony furty. Mężczyzna, niski, barczysty, rudowłosy, zaczął dobijać się do drzwi, które chwilę później otworzył Lane. Benett mówił cicho, obcy natomiast podnosił głos na tyle, że do uszu Jagody docierały strzępy rozmowy: przybysz koniecznie chciał się spotkać z Calebem. Zaintrygowana złapała papiery i ruszyła ku nim.

– ...nie poradzę, Thomasie.

– Nie uwierzę, że nie wiesz, gdzie on jest.

– Caleb zazwyczaj nikomu się nie tłumaczy – odparł Lane.

Ponad ramieniem mężczyzny rzucił Jagodzie spojrzenie, jakby ostrzegawcze. Nie miała pojęcia, czego od niej oczekiwał. Chciał, by się wycofała? Na to jednak i tak było za późno, bo Thomas albo ją usłyszał, albo zauważył spojrzenie Benetta i się obrócił.

– Tej nie znam. Nowa poplecniczka Caleba?

– Ja też pana nie znam – odparła sztywno, odruchowo przyciskając teczkę do piersi, choć nic na okładce nie sugerowało, co znajduje się w środku. – I nie jestem niczyją poplecniczką.

– Tak, każdy tutaj tak mówi – stwierdził mężczyzna, uśmiechając się ironicznie. – Thomas Doherty.

Szef wydziału specjalnego, tutejszego odpowiednika WMM. Innymi słowy: brytyjski Mariusz Olcha. Od Olchy trochę niższy, starszy, mocniej zbudowany, ale najwyraźniej równie irytujący. Przynajmniej dla Benetta, który uniósł spojrzenie ku niebiosom, jakby wypatrywał tam ratunku.

Do tego jedna z potencjalnych ofiar Jacoba Reda. Jeżeli czarnoksiężnik pragnął pozbyć się tych, których obwiniał za swój upadek, to Thomas prędzej czy później musiał paść ofiarą klątwy. Parę lat temu był zastępcą Thunderbirda, wtedy szefa wydziału specjalnego, i to on prowadził sprawę, zanim ta została przejęta przez jego zwierzchnika.

– Jagoda Wilczek.

– Rosja? Ukraina? Zresztą, nieważne. Lane...

– Jestem pewny, że pani Brown będzie mogła wam pomóc – uciął Benett.

Przesunął się, by umożliwić Jagodzie wejście do środka. Udała, że tego nie dostrzega, i uparcie tkwiła na zewnątrz.

– Policzy sobie fortunę. Potrójną stawkę, jeśli ściągnę ją z wakacji dwa dni przed czasem. O ile od razu mnie za to nie zamorduje. Poza tym minie przynajmniej kilka godzin, zanim tu dotrze. Caleb...

– ...jest niedostępny.

– Jeanette Brown? – Jagoda wcięła się w rozmowę. Lane prawdopodobnie miał powody, dla których

nie chciał, aby pchała się w oczy Doherty'emu. Problem polegał na tym, że wiedźma nie znała Benetta i nie ufała jego ocenie. Jeżeli zaś miała zająć się klątwą, prędzej czy później będzie musiała spotkać się z Thomasem. Po pierwsze, był zagrożony, po drugie, to on zorganizował akcję, podczas której aresztowano Reda, stanowił więc nieocenione źródło informacji. – Chodzi o klątwę?

– Jagoda, Eleanore chciałyby omówić z tobą sprawę, o której rozmawialiście po południu – wtrącił Lane ostrzegawczym tonem.

Wiedźma miała nieodparte wrażenie, że dopiero to przyciągnęło do niej uwagę Thomasa. Najwyraźniej odgadł, że Benett z jakichś powodów chce skłonić Jagodę do odejścia, i spojrzał na nią z nowym zainteresowaniem. Odezwał się, nim zdołała odpowiedzieć Lane'owi.

– Tak. Mamy do czynienia z dość paskudnym przypadkiem czarnomagicznej klątwy. Mój główny klątwolamacz od trzech dni jest... niedysponowany, a jego zastępca nie zdołał jej zdjąć. Miałem nadzieję, że Caleb mi pomoże. Może wiesz, gdzie go znaleźć, panienko?

Nie, a chciałabym wiedzieć, pomyślała.

– Nie mam pojęcia, za to mogłabym pomóc z przekleństwem – odparła, ignorując morderczy wzrok Benetta. – Jestem specjalistką od klątw... klątwolamaczem – sprostowała, sięgając po tutejszą nomenklaturę. Na Wyspach Brytyjskich rzucanie klątw cieszyło się wyjątkowo złą sławą i osoby oficjalnie specjalizujące się w tej dziedzinie magii najwyraźniej pragnęły podkreślać, że ich rolą jest głównie zdejmowanie przekleństw.

– Doprawdy? – Uśmiech nie znikł z twarzy Thomasa, chociaż w jego ciemne oczy wkraśl się chłód. – Caleb nic nie wspominał o znajomej klątwolamaczce.

– Jagoda dopiero przyjechała i wolałbym, aby została w posiadłości.

– Jestem pewna, że przy panu Dohertym nic mi nie grozi – odparła Wilczek, podając Benettowi teczkę.

Upór, z jakim próbował ją powstrzymać przed kontaktem z Thomasem, tylko utwierdzał Jagodę w przekonaniu, że powinna z nim pojechać. Jeżeli istniał jakiś konflikt między magicznym Scotland Yardem a Calebem i jego ludźmi, chciała wiedzieć dlaczego. Nie, inaczej. Nic dotąd nie wskazywało na konflikt, ba, wręcz przeciwnie, raczej na współpracę. Nawet to, że Doherty pojawił się tutaj, kiedy potrzebował specjalisty od klątw. Przyszedł do Caleba dokładnie tak, jak przychodził do niej Mario, gdy potrzebował zewnętrznego eksperta. To by sugerowało przynajmniej pewien kruchy rozejm.

Wyglądało na to, że chodziło więc o nią. Lane, a zapewne i Blythe, albo chcieli ukryć jej istnienie przed Thomasem, albo z jakichś powodów próbowali powstrzymać ją przed opuszczeniem posiadłości. Oba warianty bardzo się Jagodzie nie podobały. Caleb nigdy nie okłamał jej wprost, ale miał skłonność do półprawd i zatajania informacji. Jeżeli chciała mieć pełny ogląd sytuacji, musiała działać na własną rękę.

– Jak dobra jest pani w tej dziedzinie?

– Prawdopodobnie wystarczająco. I nie policzę tyle, co Jeanette, a płatność uzależniam od rezultatów.

– Brzmi doskonale. Lane, odstawię waszego gościa do domu przed północą. Możemy iść teraz? Czas trochę nas goni.

Skinęła głową. Benett miał taką minę, jakby chciał protestować, ale Thomas nie dał mu na to szansy. Odwrócił się i ruszył ku bramie, a Jagoda bez wahania pospieszyła za nim. Podejrzała, że Doherty postąpił w ten sposób po części z tego samego powodu, co ona: chciał się dowiedzieć, co tu robiła. Inaczej nie zgodziłby się tak łatwo na pomoc obcej osoby. Sama Jagoda zresztą również w normalnych okolicznościach najpierw chciałyby wiedzieć, co to za klątwa, i domagałyby się zaliczki oraz umowy. W tej chwili jednak bardziej od zlecenia czy zarobku interesował ją sam funkcjonariusz.

Gdy się obejrzała, zauważyła, że Lane wciąż stoi na progu, spoglądając za nimi.

– Skąd do nas przyjechałaś, panienko... przepraszam, nie zapamiętałem imienia.

– Ja-go-da – odparła, starając się wypowiedzieć imię powoli i wyraźnie. – Przyjechałam z Polski i nie jestem panienką. Ma pan auto?

– Owszem, zaparkowałem tuż za bramą. Ostatnio, kiedy wjechałem na podjazd, zaklęcia ochronne tej małej wiedźmy uszkodziły mi silnik. Od dawna zna pani Caleba?

Mała wiedźma. Jeżeli przez „małą” rozumiał „mikrego wzrostu”, miał zapewne na myśli Eleanore. Pomyślała, że być może później warto byłoby się dowiedzieć, jakie czary ciąży na budynku i przyległych terenach.

– To zależy, jak liczyć – stwierdziła, właściwie nie mijając się z prawdą. Odpowiedź, w zależności od punktu widzenia, mogła brzmieć „rok” albo „jakieś dwadzieścia parę lat”. – To pański przyjaciel?

– To zależy, jak na to spojrzeć – odbił piłeczkę. – Znamy się od dawna i zdarzało się nam współpracować. Ma pani certyfikację?

– Tak. Nie wpadłam na to, aby zabierać wyniki egzaminów, ale zakładam, że magiczna policja może mnie sprawdzić w systemie – zapewniła, czekając, aż otworzy samochód. W pierwszej chwili odruchowo chciała podejść do niego z prawej strony i w ostatniej chwili się przed tym powstrzymała. – Rozumiem, że jedziemy do Londynu?

– Tak, do jednego z biur. Ma pani doświadczenie z przeklętymi przedmiotami?

– Owszem.

– Dzięki Merlinowi – ucieszył się Thomas, siadając za kierownicą. Chyba był nawet szczery w tej radości. – Natknęliśmy się na pewien podejrzany przedmiot i jeden z moich ludzi został przeklęty.

– Może opowie pan coś więcej? – zasugerowała. – Przed nami kawałek drogi, a im więcej będę wiedzieć, tym szybciej zdejmę kłatwę.

– Niewielka grupa przemytników. Ugryźli więcej, niż mogli zjeść. Wstyd się przyznać, ale zdołaliśmy ich dopaść głównie dlatego, że kłątwa najpierw trafiła ich, oni odwiedzili szpital, a uzdrowiciele nas poinformowali, że coś jest nie tak.

– Tutejszy szpital nie ma kłatwołamacza?

Mimo popularności małych enklaw ta w Londynie według informacji z MAGnetu wciąż była największą w Anglii. Mieszkało tam prawie trzysta tysięcy magicznych, a wszystkie magiczne miasteczka też podlegały tutejszej jurysdykcji. Szpital w Londynie powinien mieć doskonałych ekspertów, nawet jeżeli poważne kłatwy zdarzały się rzadko.

– Ma, i to niezłego. – Doherty skrzywił się lekko. – Problem w tym, że po zdjęciu kłatwy z dwóch przemytników stracił przytomność. Zdaniem magomedyków obudzi się najwcześniej jutro i nie będzie mógł od razu pracować. Jego zastępca jest świeżo po egzaminach, a to naprawdę bardzo paskudne przekleństwo. Tymczasem podczas przeszukania ucierpiał też mój człowiek i nie może czekać. Przepraszam, pewnie powinienem był o tym wspomnieć, zanim pani wsiadła ze mną do samochodu.

Zastanawiała się, czy to „niedopatrzenie” wynikało z chęci postawienia jej w sytuacji, w której wycofanie się z próby zdjęcia przekleństwa byłoby trudniejsze, bo naprawdę zależało mu na pomocy, czy może chciał jak najszybciej zejść z oczu Benettowi, ponieważ ten próbował przeszkodzić w ich rozmowie. Nie miało to jednak większego znaczenia. Każde z nich grało w swoją grę, nie miała więc pretensji. A skoro kłatwołamacz z londyńskiego, magicznego szpitala zdołał zdjąć kłatwę z dwóch osób, była pewna, że i ona da sobie z nią radę.

– I tak chciałabym spróbować – zapewniła tylko, bo nie zamierzała okazywać nadmiernej pewności siebie. – Mogę prosić o opis objawów oraz przeklętego przedmiotu?

Gdy jechali najpierw przez miasteczko, a potem drogą ku Londynowi, Doherty pokrótce przedstawił objawy – które Jagodzie skojarzyły się z szybko postępującą febrą – i całą sytuację. Wyglądało na to, że posążek skradziono gdzieś w Afryce, był obiektem sakralnym i ciążyła na nim stara, potężna kłątwa przeciwko potencjalnym złodziejom. Prawdopodobnie w takim przypadku ktoś już zdążył paść jej ofiarą. Jagoda podejrzewała, że przekleństwo musiało utkać razem przynajmniej kilka osób, a jego moc – bo było wątpliwe, czy przemytnicy padli jego ofiarą jako pierwsi – powinna być na wyczerpaniu.

W Warszawie takie zlecenia trafiały się rzadko, a jeśli już, to zwykle dotyczyły rodzinnych pamiątek, które przeklął ktoś złośliwy, a nie zrabowanych, starożytnych skarbów. W normalnych okolicznościach Jagoda pewnie czułaby ekscytację na myśl o tej kłatwie i koniecznie chciała zbadać także przedmiot będący bezpośrednią przyczyną zamieszania. Obecnie jednak wciąż czekała, aż się okaże, czy Doherty podejmie temat powodów, dla których Caleb ją tu ściągnął... i zastanawiała się, jak powinna spytać o Jacoba Reda, jeżeli Thomas nie zada swojego pytania pierwszy.

Wytrzymał dość długo. Niemal do samego wjazdu do miasta.

– Caleb poprosił o pomoc przy... naszym małym problemie?

– Na razie poprosił tylko, żebym tu przyjechała – odpowiedziała wymijająco. – Minęłam się z nim. Nie znam szczegółów.

– Dlaczego właśnie pani?

Jagoda wzruszyła ramionami. Mogłaby odpowiedzieć na to pytanie. Problem w tym, że nie знаła Thomasa i nie zamierzała odkrywać wszystkich kart.

– Mam dobre rekomendacje – skwitowała. – Skoro to „nasz” problem, rozumiem, że dotyczy też pana?

– Można tak powiedzieć – stwierdził Thomas. Obserwowała go ukradkiem, a chociaż słabo widziała jego twarz i nie umiała zinterpretować miny mężczyzny, miała wrażenie, że nad czymś się zastanawia. – Naprawdę nie pani nie wie? Przeleciała pani całą Europę... nie pytając, czym będzie musiała się zająć?

Tu ją miał. Jeśli zajmujesz się klątwami i robisz coś takiego, świadczy to albo o głupocie, albo o skrajnej desperacji. W jej przypadku prawdopodobnie o jednym i drugim, bo gdy zgodziła się zawrzeć umowę, była zdesperowana. Niekoniecznie jednak powinna się do tego przyznawać.

– Powiedziano mi, że chodzi o potężną, czarnomagiczną klątwę, prawdopodobnie rzuconą przez Jacoba Reda, z którą nie poradzili sobie inni specjaliści. Zapłata, którą dostałam, była wystarczająca hojna, żebym zainteresowała się sprawą – wybrnęła.

– Tak, w ogólnych zarysach można to podsumować w ten sposób – powiedział Doherty powoli, jakby starannie ważył każde słowo. – Caleb, jak pewnie pani wie, sam trochę zna się na klątwach. Współpracujemy też z Jeanette Brown, która wróci do miasta za dwa dni. Rok temu korzystaliśmy także z usług trzech innych ekspertów, którzy niestety nie podołali zadaniu.

Jeden z nich zapewne był tym, który pechowo zginął w wypadku. Tuż po tym, jak przegapił, że na jednej z ofiar ciąży klątwa. Jagoda nie mogła oprzeć się myśli, że to podejrzane, ale Thomas prawdopodobnie zbadał okoliczności... Jeśli nie, to był niereformowalnym idiotą i być może dlatego Lane tak bardzo nie chciał, by z nim rozmawiała.

– Próbowaliście ściągnąć kogoś z zagranicy?

– Oczywiście. Jeden z tych trzech ekspertów przyleciał aż z Tajwanu. Niestety, niewielu jest klątwolamaczy silniejszych niż Jeane. Co więcej, nazwisko Jacoba Reda działa odstraszająco. Pani się nie martwi?

– Red nie żyje.

– Jego magia ciągle trwa.

Najwyraźniej niektórzy klątwolamacze po zapoznaniu się z przypadkiem obawiali się, że tak dziwnie działająca, samodzielnie wybierająca sobie ofiary klątwa trafi ich samych. A może bali się, że wdepną w coś, co ich przerośnie? Jagodzie nie wydawało się jednak, aby istniało tu ryzyko.

– Wątpię, żeby była wymierzona we mnie. Kiedy zginął, miałam jakieś szesnaście, siedemnaście lat i mieszkalam setki kilometrów stąd. Chce mnie pan zniechęcić?

– Nie – przyznał. – Ale Caleb nie wspomniał mi, że znalazł nową klątwolamaczkę, więc jestem ciekawy, co rozumiałe. Skoro uznał, że warto panią sprowadzić, musiał uznać, że dorównuje pani Jeane... to znaczy Jeanette Brown.

Urwał i przez ułamek sekundy spoglądał na nią zamiast na ulicę. Jagoda milczała chwilę, obracając słowa na języku, zastanawiając się, w jaki sposób odpowiedzieć.

– Myślę, że tak.

– Zna ją pani?

– Zdawałam u niej egzaminy.

– Punktacja?

– Komplet.

Zagwizdał.

– Chyba jedyny raz w jej karierze egzaminatorki? – stwierdził.

Musiał się orientować w systemie, co w pierwszej chwili Jagodę zdziwiło, bo ta dziedzina magii nie była aż tak popularna. Zaraz jednak pomyślała, że po pierwsze, pewnie sprawdzał wyniki zatrudnianych w jednostce ekspertów, po drugie, skoro od paru lat borykali się z klątwą nie do zdjęcia, musiał mieć do czynienia z różnymi specjalistami.

– Nie wiem. Dokładne wyniki punktowe zdających nie są ogólnodostępne.

Chociaż Jeannette już powszechnie cieszyła się opinią złej wiedźmy z bajki. Jagoda słyszała nawet, że podobno w rodzimym kraju niektórzy nazywali ją Maleficient – i to nie tylko z powodu talentu do klątw, lecz i paskudnego charakteru. Nie mogła powiedzieć, że szczególnie lubi Brown, ale takie pogłoski sprawiały, że trochę z nią sympatyzowała.

– Jeane nie daje kompletu z zasady. Podobno nie chce, by ktoś wpadł w pychę, i układa przynajmniej jedno zadanie tak, by nie dało się go wykonać.

– Pogłoski. Zaliczyłam u niej wszystkie zadania. Zdaje się, że to pan ją dobrze zna?
– Współpracujemy od paru lat – powiedział, a przez jego twarz przebiegł uśmiech. – Zaraz będziemy na miejscu.

Wjechali na prywatny podziemny parking. Najwyraźniej zastosowano tutaj podobne rozwiązanie jak w Warszawie, bo gdy wydostali się z podziemi z drugiej strony, byli już w innym Londynie: po ulicach, znacznie węższych, snuła się mgła, a tu i ówdzie rozbłyskiwały światła magicznych lamp. Budynki były niższe i prawdopodobnie starsze od tych po drugiej stronie. Gdy przejechali kilkadziesiąt metrów, Jagoda uniosła brwi, bo miała wrażenie, że w oddali widzi coś, co przypomina Big Bena.

– Big Ben? Tutaj?

– Jego... odpowiednik. Radzę nie planować zwiedzania. To niebezpieczne miejsce.

– Macie też pałac Buckingham?

– W pewnym sensie – odparł, a ona pożałowała, że skupiona na researchu dotyczącym Jacoba Reda, nie zainteresowała się dokładniej londyńską enklawą.

– W warszawskiej enklawie nie ma... żadnych kopii budynków – powiedziała w końcu. – Wszystko jest osobne. Może dlatego, że jej pierwotna część powstała, zanim wzniesiono miasto.

– „Donlon”. Tak tutaj nazywamy to miejsce. Są różne wersje dotyczące jego powstania i historycy nie są zgodni, która jest prawdziwa. Stanowi... w pewnym sensie odbicie części Londynu, chociaż niektóre budynki istnieją tylko tu albo tylko tam. Jest też na tyle nieprzewidywalne, że co rozsądniejsi ludzie już dawno wynieśli się na wieś.

– A pan?

– Ja nie jestem rozsądny.

Omam nie przykleiła nosa do szyby, gdy mijali posąg mężczyzny, u którego stóp leżał lew. Mogłaby przysiąc, że zwierzak się poruszył. Budynek za nim, wyłaniający się z mgły, przypominał jej katedrę, choć zapewne nią nie był, bo na jego szczycie powiewała jakaś flaga skąpana w błękitnym blasku.

– A ta mgła? Na zewnątrz jej nie było. Pogoda tu jest niezależna?

W głównej warszawskiej enklawie zazwyczaj warunki pogodowe były takie jak w mieście. Podobnie jak we wszystkich innych znanych jej enklawach, mniejszych czy większych. Z wyjątkiem domu jej prababki, gdzie nie zgadzała się już nie tylko pogoda, ale nawet pora roku.

– Ta cholerna mgła utrzymuje się tu przez większość roku. Zdaniem naszych mądrych głów Londyn i Anglia kojarzą się ludziom z mgłą, więc jakoś wpływa to na tutejszą magię i w konsekwencji pogodę. Druga teoria brzmi: tak już zaprogramowali to miejsce jego twórcy.

W końcu zatrzymali się przed szarordzawym budynkiem, trzypiętrowym i prawdopodobnie z poddaszem. Na tle innych mijanych budowli zdawał się mało imponujący.

Na jego dachu rzędem siedziało kilkanaście nieruchomych kruków. W pierwszej chwili sądziła, że to rzeźby, ale gdy wysiadła z auta, jeden z ptaków poderwał się do lotu.

– Spodziewałabym się odpowiednika siedziby Scotland Yardu.

Wzdrygnęła się lekko, czując ukłucia na całym ciele, jakby tutejsza magia ją sprawdzała. Może tak było?

– To jest odpowiednik siedziby Scotland Yardu.

– Naprawdę? Widziałam zdjęcia. Wygląda zupełnie inaczej.

– Mówi pani pewnie o tej przy Victoria Street. Oni się przenieśli. My nie – stwierdził Doherty, prowadząc ją do wejścia. – To główna siedziba Scotland Yardu, czy raczej Magicznej Policji Londyńskiej, od XIX wieku. Proszę tędy. Nicholas leży w sali medycznej, a nasza magomedyczka go monitoruje.

*

Usunięcie klątwy tak, by nie zostawiła żadnych efektów ubocznych, zajęło jej prawie godzinę. Mogłaby pewnie zrobić to szybciej, ale nie umiała się oprzeć dokładnemu zbadaniu struktury przekleństwa. Kolejną godzinę Jagoda spędziła pod czujnym okiem magomedyczki, która zmusiła ją do wypicia paskudnie pachnącej i jeszcze gorzej smakującej mikstury wzmacniającej. Dopiero po sprawdzeniu aury, zmierzeniu ciśnienia i pulsu oraz kilku innych tajemniczych procedurach medycznych, kobieta wreszcie uwierzyła, że wiedźma ani myśli mdleć. Wprawdzie pozbycie się tajemniczej klątwy, utkanej z obcej magii, z jaką nigdy dotąd nie miała do czynienia, wyczerpało Jagodę, ale eliksir zmniejszył zmęczenie i nawet sprawił, że ból głowy osłabł.

Po godzinie, wypuszczona z sali przez uzdrowicielkę, siedziała skulona na niewygodnym krześle w poczekalni. Dochodziła już dwudziesta, ale w budynku panował nieustanny ruch. Gdy przymykała oczy i skupiała się na impulsach magicznych, wyczuwała ich setki: stałe zaklęcia spowijające budynek ciasnym kokonem i te tkane obecnie. To przypominało jej trochę siedzibę WMM, choć cała reszta była inna – od znacznie bardziej staroświeckiego wystroju, po fakt, że tu większość funkcjonariuszy nosiła mundury.

– Pani... Wil-cak?

– Wilczek – poprawiła odruchowo, otwierając oczy.

Spodziewała się Thomasa, ale stał przed nią Michael Thunderbird. Widywała go na zdjęciach, często umieszczanych w prasie i książkach przy fragmentach dotyczących aresztowania Reda. Wyglądał jednak dużo starszej niż na fotografiach. Włosy, niegdyś ciemne, zupełnie mu zbieleły, na twarzy przybyło zmarszczek i choć w przypadku potężnych magów to zdarzało się rzadko, dałaby mu parę lat więcej, niż faktycznie sobie liczył: a dobiegał pięćdziesiątego siódmego roku życia. Oczy miał zapadnięte, tak ciemne, że tęczówka niemal zlewała się ze źrenicą. Wstała powoli, niepewna, czego się spodziewać.

– Rozumiem, że Thomas sprowadził panią, by zdjąć klątwę z Nicholasa?

– Tak.

– W takim razie dziękuję, że mu pani pomogła. Michael Thunderbird.

Wyciągnął do niej rękę. Gdy ją uściśnęła, między palcami przeskoczył impuls magii. Odruchowo nie tylko gwałtownie wyrwała dłoń, ale zrobiła też krok do tyłu i wpadła na krzesło: miała wrażenie, że niezbyt przyjemnie poraził ją prąd. Zastanowiła się, czy mógł to być efekt mocy Michaela – być może rodzinnej, która dała początek takiemu nazwisku.

– Tu pani jest! – Okrzyk Thomasa przyjęła z ulgą, bo nie była pewna, co powiedzieć i czy przeproszać za zachowanie. Doherty podszedł i ujął ją pod ramię. – Poznała pani, jak widzę, komendanta Magicznej Policji Londyńskiej. Michael, masz jakąś sprawę do pani Jagody?

– Dziękowałem jedynie za pomoc w sprawie Nicholasa. Rozumiem, że nie muszę już ściągać Alcotta ze Szkocji. Gdzie zdołałeś znaleźć klątwolamaczkę?

– Odwiedza wspólnych znajomych poza miastem. Obiecałem odwiedzić ją przed dwudziestą drugą, więc będziemy znikać.

Otworzyła usta, chcąc sprostować, że „przed północą”, i niemal natychmiast je zamknęła. Miała wielką ochotę zapytać, co tu się, kurwa, wyprawia – najpierw Benett nie chciał, by rozmawiała z Doherty, teraz Doherty nie chciał, by rozmawiała z Thunderbirdem. Podczas gdy wszyscy powinni współpracować, zjednoczeni, jeśli nie w imię wyższej sprawy, to w obliczu zagrożenia wiszącego nad ich głowami... bo Benett wprawdzie znajdował się tylko na „liście B”, wciąż jednak tam figurował.

Pozwoliła jednak wyprowadzić się z budynku do zaparkowanego na zewnątrz samochodu.

– W pobliżu jest kawiarnia, która powinna jeszcze o tej porze działać. Zechce pani poświęcić mi godzinę? – spytał Doherty, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć.

– A dostanę wyjaśnienia tej... ucieczki przed pańskim szefem?

– To nie była ucieczka – zaprotestował, wsiadając do auta. – Tylko strategiczny odwrót. Gdyby Michael dowiedział się, że ma być pani... zaangażowana w tę sprawę, w najlepszym wypadku siedzielibyśmy tu do północy.

– Dlaczego?

– Bo to służbista i nie lubi dopuszczać nikogo z zewnątrz – wyjaśnił, a przed oczyma Jagody niemal natychmiast stanęła twarz Olchy. – Miałby mnóstwo pytań, chciał przejrzeć wszystkie papiery i rekomendacje, sprawdzałby genealogię siedem pokoleń wstecz, a potem i tak doszedłby do wniosku, że lepiej będzie działać zgodnie z procedurami, bla, bla, bla, i zażądałby ode mnie dopilnowania, że nie będzie się pani wtrącać. Nawet na przyjęcie pomocy najpierw Caleba, a potem Jeane zgodził się tylko dzięki naciskom z góry. A pani, proszę się nie obrazić, pochodzi ze wschodu Europy i wygląda dość młodo. Zdaniem Michaela godni zaufania są tylko brytyjscy magowie, i to wyłącznie, kiedy mają powyżej trzydziestki. Jeszcze lepiej powyżej czterdziestki. Pomaga, jeśli są mężczyznami.

Najwyraźniej Thunderbird był jednak jeszcze bardziej uparty niż Mario. Przyparty do muru Olcha przynajmniej sięgał po wszystkie dostępne środki.

– A pańskim zdaniem?

– Ja chciałbym przeżyć w zdrowiu przynajmniej kolejne czterdzieści pięć lat. Zwłaszcza że żona mnie

wskrzеси i zabije drugi raz, jeśli zrobię z niej wdowę. A pani sama chodzi, i to całkiem żwawo.

– Słucham?

Jeśli żwawe chodzenie było dla niego kryterium, jakie stosował wobec potencjalnych współpracowników, to mieszkanie w Donlonie naprawdę musiało wieść prostą drogą do szaleństwa.

– Po zdjęciu tej kłątwy. Matthew, kiedy uporał się z jednym, podobno ślaniał się na nogach. Do drugiego wziął się po kilku godzinach i ledwo skończył, zaraz padł. A on jest naprawdę dobry. To były uczeń Jeane. Źródło jej nieustannych rozczarowań, ale w momentach słabości sama przyznaje, że gdyby się postarał, byłby niewiele gorszym specjalistą od niej. To już niezwykła pochwała w jej ustach.

– Czyli to był test.

– W pewnym sensie – przyznał Doherty. – Chociaż naprawdę chciałem, aby ktoś zdjął kłatwę z Nicholasa. Niemniej oberwał nią w szczęśliwym momencie i chyba dostanie za to podwójną premię. To jak? Skoro Caleb i Lane nie zechcieli pani wprowadzić, ja chętnie to zrobię.

Nie wahała się nawet przez chwilę. W końcu od początku liczyła, że czegoś się od niego dowie. A że Thomas mógł mieć w tym własny interes? Prawdopodobnie tak było, wiedziała jednak, że na pewno zależy mu na jednym: zdjęciu tej kłątwy. Wcześniej uważał, by nie zdradzić zbyt wiele, ale skoro sprawa Nicholasa go przekonała, Jagoda mogła tylko się cieszyć szczęśliwym zbiegiem okoliczności.

Wszystko, co w jej mocy, prawda?

– W takim razie odwiedźmy tę kawiarnię.

Przejechali zaledwie dwie ulice. Nie były nawet w połowie tak zatłoczone jak te po drugiej stronie, choć znalezienie miejsca do parkowania i tak zajęło Doherty'emu trochę czasu. Potem czekał ich spacer przez mgłę, snującą się mniej więcej na wysokość pasa. Kawiarnia, do której ją zabrał, mieściła się w piwnicy jednego z budynków. Murowane ściany, brak okien, kamienne stoliki we wnękach, światło magicznych lamp – prawdopodobnie opatentowanych przez Reda... – suszone kwiaty tu i ówdzie w roli ozdób tworzyły atmosferę wpisującą się w ogólny klimat Donlonu. A przynajmniej w ten klimat, który zdążyła dotąd poznać. Chwilami miała wrażenie, że to wszystko tylko jej się śni. W środku siedziało zaledwie kilka osób, bez trudu znaleźli więc miejsce, gdzie nikt nie powinien ich usłyszeć.

– Co pana łączy z Calebem?

– Więzy przyjaźni i nienawiści – odparł sentencjonalnie, gdy już usiedli przy stoliku. – Kilkanaście lat temu prowadziłem sprawę pewnego zaginięcia. Bardzo podobnego do innej, nigdy nierozwiązanej sprawy, którą dostałem na początku służby... A gdy podrażyłem głębiej, odkryłem, że było takich spraw więcej: niekoniecznie w okolicach Londynu.

– Red.

– Właśnie. Dokopałem się do tropów, które wskazywały na niego lub kogoś z jego otoczenia, ale nie miałem niczego pewnego, a mój ówczesny komendant uznał, że oszalałem. Nawet Michael, wówczas zajmujący moje obecne stanowisko, sądził, że widzę coś, czego nie ma. Wtedy wkroczył Caleb, cały na białą, i zaferował wsparcie. Reszta jest historią. Długiej, owocnej, ale burzliwej współpracy. A co panią łączy z Calebem?

Sama chciałabym wiedzieć, pomyślała.

– Sądzę, że mogłabym to podsumować podobnie jak pan – stwierdziła. – Współpracowaliśmy. Zrobił coś dla mnie, ja zgodziłam się przyjąć to zlecenie.

– Sprawdziłem panią – przyznał Doherty. – Kiedy zdejmowała pani kłatwę z Nika. Faktycznie, pełna punktacja, u wszystkich trzech egzaminatorów. A potem parę spraw na tyle głośnych, że pisano o nich nawet w naszej prasie.

– Śpiąca Królowna.

– Oraz Daniel MacClone. Między innymi.

Poruszyła się na krześle niespokojnie i niemal natychmiast samą siebie skarciła za okazywanie zaniepokojenia. Coś w tonie i spojrzeniu Thomasa, gdy wypowiadał ostatnie słowa, wybitnie się jej nie podobało.

– Miałem okazję go poznać – podjął. – Wiedziała pani, że przyjaźnił się z Calebem?

Tylko skinęła głową. Miała paskudne przeczucie, że w tej chwili każde słowo, które wypowie, może zostać użyte... może nie przeciwko niej, ale w jakiś sposób na pewno.

– Paskudna seria zabójstw.

– Wolałabym o tym nie rozmawiać – wykrztusiła w końcu. – Omal nie zabił mnie i mojej uczennicy. Możemy skupić się na kłątwie?

– Proszę wybaczyć – powiedział Doherty, choć nie wyglądało na to, że jest mu przykro. Zamilkli oboje, gdy kelnerka stawiała przed nimi filiżanki z herbatą. Thomas odezwał się znowu dopiero po jej odejściu. – Ile tak naprawdę pani już wie?

– Niewystarczająco – mruknęła. – Niewiele więcej niż to, co powiedziałam. Wiem, że co roku są trzy ofiary, że pomiędzy ich śmiercią upływa siedem dni i że dotąd nikomu nie udało się wykryć na żadnej z nich kłątwy, póki nie było za późno.

– Jakies teorie?

– Żadnej sensownej.

– A te mniej sensowne?

– Podzielę się nimi, kiedy będę miała szansę zebrać trochę informacji.

Skrzywił się, wyraźnie niezadowolony, ale udała, że tego nie zauważa. Sama nie była pewna, co ją powstrzymało przed podzieleniem się przemyśleniami: chyba wspomnienie Lane'a, który próbował zapobiec wyjściu Jagody z Dohertym. Mimo wszystko pracowała dla Caleba, przynajmniej w pewnym sensie.

– W takim przypadku jakies przemyślenia, dlaczego wszystko zaczęło się tak późno.

– Być może kłątwa musiała nabrać mocy, została... zapisana przez twórcę tak, by zadziałać po pewnym czasie, albo, co najbardziej prawdopodobne, miało to wzmocnić jej strukturę. W magii kłąt w są pewne zasady, których wykorzystanie bywa... przydatne. Niektóre liczby nie bez powodów uznaje się za magiczne. Siódemka i trójka się do nich zaliczają. Wpisanie ich w strukturę kłąt w mogło być albo warunkiem jej utkania, albo sposobem na jej wzmocnienie.

– Na pewno nie rozmawiała pani z Calebem? Mówił mniej więcej to samo.

Wzruszyła ramionami.

– Po co pan w takim razie pyta? Nie rozmawiałam z nim, ale prawdopodobnie mógłby to panu powiedzieć każdy specjalista... kłąt wołamacz.

– Jak dotąd usłyszałem to od dwóch. Jest pani trzecia – mruknął. – Powiedzmy, że chciałem poznać niezależną opinię. Przejdźmy dalej. Czy pani zdaniem tę kłąt w da się zdjąć?

– Każdą kłąt w da się zdjąć.

– Ale? Czuję, że tu za moment padnie „ale”.

– Czasem cena jej złamania jest wysoka – przyznała. – Czy zamierza się pan podzielić jakimiś przydatnymi informacjami, czy będzie tylko mnie wypytywał?

– Nawyk zawodowy – stwierdził, obdarzając ją niewinnym uśmiechem. – Co konkretnie chciałaby pani wiedzieć?

– Na początek chciałabym się więcej dowiedzieć o ostatnich dniach Jacoba Reda.

Chyba go tym zaskoczyła, a przynajmniej wskazywała na to jego mina. Jeśli jednak Caleb miał rację, podejrzewając wariację na temat kłąt w ostatniego tchnienia – która wymagała poświęcenia własnego życia, by dało się rzucić przekleństwo wynikające z pragnienia zemsty – Red musiał rzucić kłąt w lub przynajmniej aktywować ją już wtedy, gdy był w rękach policji. A to oznaczało, że najwięcej informacji na ten temat miał Thomas Doherty.

– Przebywał w specjalnym ośrodku. Nie mogliśmy wsadzić go do zwykłego więzienia, był na to zbyt niebezpieczny – zaczął w końcu Doherty.

– Zabezpieczenia przeciwko stosowaniu magii?

– Wszystkie możliwe i parę niemożliwych – powiedział, uśmiechając się. W tym uśmiechu brakowało jednak wesołości. – Runy na ścianach, drzwiach, podłodze i nawet na suficie. Stałe zaklęcia ochronne pierwszego i drugiego stopnia, a dodatkowo parę ustawionych specjalnie dla niego. Do tego specjalny krąg, tworzący strefę bez magii. Normalny mag nie zdołałby nawet się podnieść, a co dopiero rzucać czary. Notabene później parę osób, którym nie podoba się nasz system władzy albo sposób działania jednostki, robiło wielką burzę, że w ten sposób go zabilimy i złamaliśmy prawa człowieka.

Jagoda pominęła kwestię praw człowieka. Osobiście, po przestudiowaniu informacji o tym, co robił swoim ofiarom, uważała, że Jacob ostatecznie się wyrzekł człowieczeństwa, więc praw człowieka również. A nawet gdyby było inaczej, to jeśli sądzić po walce, jaką stoczył z funkcjonariuszami, jakiegokolwiek zaniedbanie skończyłoby się w najlepszym przypadku paroma zgonami, w najgorszym ucieczką Czerwonego

Rozpruwacza.

– „Normalny mag”. A on?

– Był całkiem żwawy. Ale mógłbym przysiąc, że nie powinien dać rady przywołać więcej magii niż ta potrzebna do wyczarowania paru iskieł.

To zaś oznaczało, że nie miał możliwości rzucenia klątwy w celi. Jeżeli została utkana, musiał ją przygotować wcześniej. Caleb podejrzewał jednak ostatnie tchnienie...

– Demoniczne paktów?

– Niewykluczone, ale najlepsi specjaliści nie wyczuli po nich śladu. Jeśli jakieś zawarł, nie zapłacił duszą, żaden demon nie objawił się w naszych podziemiach, a pod koniec Red nie dysponował demoniczną mocą. W tym przypadku nie ma mowy o pomyłce.

– A jego stan zdrowia?

– W pewnym momencie zaczął... po prostu gasnąć – powiedział Doherty, tym razem jakby z wahaniem. – Kiedy zaczął słabnąć, założyliśmy, że wreszcie podziały na niego zabezpieczenia albo udaje, by je zmniejszyć lub uzyskać przeniesienie do sali medycznej.

Być może więc było trochę prawdy w tym, że ostatecznie wykończył go brak możliwości używania magii. Nie chcieli zminimalizować ograniczeń na wypadek, gdyby był to podstęp. A Jagoda nie mogła ich za to winić.

– Trwało to...

– ...siedem dni?

– Właśnie. Dostawał eliksiry, uzdrowiciele go badali, ale oczywiście przez pole antymagiczne mieli ograniczone możliwości. Pod koniec Michael wreszcie uległ i zniesiono część zabezpieczeń. W celi można było użyć odrobiny magii, ale żadnej silnej. Magomedycy nie potrafili mu już pomóc. Był zresztą nieprzytomny i ich zdaniem nie udawał.

Jagoda przygryzła wargę. Skoro zniesiono część zabezpieczeń – na tyle, by magomedycy mogli użyć własnych możliwości – w teorii Jacob mógł sięgnąć po magię. Ale nie utkać taką klątwę. Nie w sposób niezauważalny.

Jeżeli jednak tylko ją aktywował, sprawa wyglądała inaczej.

– Między nami mówiąc: sądzę, że zbytnio się nie starali. Naszego magomedyka, który go „leczył”, przed rokiem dopadła klątwa. Był już na emeryturze. Nie sądziliśmy, że... trzeba go sprawdzać, bo nie brał udziału w śledztwie, nalocie ani rozprawach. Cat, druga uzdrowicielka, w tym roku ma już zostać sprawdzona. Na szczęście dalej u nas pracuje.

– Ktoś go odwiedzał? Reda?

– Broń Merlinie! – Doherty zdawał się przerażony samą sugestią. – Wpuściliśmy do niego Caleba. Raz, bo obiecał zdradzić mu... położenie jednego z ciał. Michael mu towarzyszył i nagrywaliśmy całość rozmowy. Poza nim do środka wpuszczano tylko uzdrowiciela z obstawą, mnie, Michaela i Carla... był wtedy szefem całego Scotland Yardu. Jego prawnik mógł z nim rozmawiać, ale wyłącznie przez ścianę.

– Poza nim i magomedykiem zginął ktoś spośród osób, które go wtedy... odwiedzały?

– Tak. Eva i Aaron. Zwykle robili za obstawę uzdrowiciela. Ale oboje brali udział w nalocie. Aaron ledwo go zresztą przeżył. On zmarł w pierwszym roku, Eva w drugim... – wymruczał Thomas z namysłem.

Musiał pomyśleć to samo, co Jagoda: z osób, które Red widywał pod koniec życia, celem ataku nie stali się jeszcze tylko on i Caleb. Michael prawdopodobnie miał umrzeć. To mogło mieć związek, ale nie musiało, skoro poza magomedykiem wszyscy byli w ten czy inny sposób zaangażowani w sprawę.

– Czy teraz podzieli się pani tymi mało prawdopodobnymi teoriami? – spytał, kiedy milczenie się przedłużało.

– Zakładam, że pewnie część już sprawdzono – odparła ostrożnie. Doherty zdawał się dość otwarty w dzieleniu informacjami, mimo wszystko nie uważała za dobry pomysł wyrzucania z siebie wszystkich przemyśleń. – Najbardziej prawdopodobne z nieprawdopodobnego... wspólnicy, którzy rzucili klątwę z nim i wciąż żyją.

– Rzeczywiście, braliśmy to pod uwagę. Wziąłem pod lupę chyba każdego, kto rozmawiał z Redem w ciągu roku przed jego ujęciem, a może mi pani uwierzyć, że było tych ludzi sporo. Nic nie znaleźliśmy, a Caleb upiera się, że to nie ten przypadek.

– W takim razie muszę z nim porozmawiać.

– Jakież inne pomysły?
– Splecenie z innymi czarami. Pozostawienie wyzwalacza. Demoniczny pakt, ale to podobno wykluczyliście. Kilka innych. Jak wspomniałam, wszystkie mało prawdopodobne, ale chodzi o Jacoba Reda.
– Cholernego Czerwonego Rozpruwacza – przytaknął Thomas i napił się herbaty. – Co za paskudztwo. Tęsknię za kawą.

– Dlaczego nie zamówi pan kawy?
– Jakiś czas temu miałem problemy zdrowotne, więc żona zarządziła radykalną zmianę diety – stwierdził. Jagoda nie była pewna, czy w opowieściach o słynnym dystansie Brytyjczyków było trochę przesady, czy też Doherty celowo stara się ten dystans zmniejszyć, bo czegoś od niej chce. – Czy życzy sobie pani sprawdzić moją aurę?

Nagła zmiana tematu zbiła ją z tropu, szybko jednak wzięła się w garść. Owszem, chciała. Powinna sprawdzić ich wszystkich, a Doherty znajdował się w pierwszej dziesiątce potencjalnych celów. I sam na pewno zdawał sobie z tego sprawę, skoro tak chętnie pozwalał na testy obcej osobie.

– Tutaj?
– Dlaczego nie? – Wzruszył ramionami. – Jeane już ją sprawdzała, oczywiście. Podobnie jak Caleb.
– W takim razie prawdopodobnie nic nie znajdę – przyznała.
Gdyby znalazła kłątwe i musiała ją zbadać, jej ciało zapewne stałoby się bezwładne i skończyłaby, leżąc na stoliku albo podłodze. Jeżeli jednak miała się tylko upewnić, czy Thomas nie został przeklęty, nie powinno być z tym problemu.

– Kłątwa niemożliwa do wykrycia.
– Nie ma klątw niemożliwych do wykrycia – uparła się. – Moim zdaniem w tej chwili jej tu nie ma... ale nie zaszkodzi spróbować.

Położył dłoń na blacie, a ona ją uściśnięła. Miała wielką nadzieję, że w kawiarni nie ma jego znajomych, bo gdyby ktoś ich teraz zobaczył, mógłby tę sytuację źle zrozumieć: młoda kobieta, trzymająca go za rękę, na której nosił obrączkę. Skoro jednak Thomas się tym nie przejmował, ona też nie powinna. Skupiła się więc na szukaniu śladów klątwy.

Magia Doherty'ego była dość silna, prawdopodobnie ukierunkowana bojowo. Kiedy trzymała go za rękę i starała się odszukać nici przekleństwa, odkryła, że nosił jakiś ochronny amulet. Nie, zaraz, dwa: jeden przeciwko klątwom – nigdy nie działały zbyt dobrze – i drugi, zapewne chroniący przed magią ofensywną. Znała się na tym za słabo, aby mieć pewność. Po kilku minutach wiedziała jednak jedno: w aurze Thomasa nie było niczego, co świadczyłoby o tym, że rzucono na niego kłątwe. Jakiegokolwiek rodzaju.

Cofnęła rękę i pokręciła głową. Kolory przez moment zdawały się jej mniej nasycone, a gdy Doherty się odezwał, jego głos docierał do niej jak zza szyby.

– Warto było sprawdzić. Zbieramy się? Jestem pewny, że Lane urządzi mi pogadankę, jeśli dotrzemy choć minutę po północy.

Wyszli, zostawiając na stole ledwo tkniętą herbatę. Na ulicy było teraz jeszcze więcej mgły, a powietrze przesyciła wilgoć. Jagoda, zmęczona po dniu pełnym wrażeń, omal nie zasnęła, gdy jechali najpierw przez uliczki Donlonu, a potem już przez jaśniejsze, bardziej zatłoczone ulice miasta. Z półsnu głos Thomasa wyrwał ją dopiero, gdy opuścili stolicę.

– Przyjaźni się pani z Calebem czy została przez niego tylko zatrudniona?
– Można nas chyba określić jako „starych znajomych” – powiedziała w końcu ostrożnie.
„Przyjaźnią” nie dało się tego raczej określić. Czasem go lubiła, czasem miała ochotę go zamordować. Pociągał ją, owszem, ale też trudno było mu zaufać.

– Zlecenie okazjonalne czy będzie pani z nim stale współpracować?
– Zdecydowanie okazjonalne.
– W takim razie pozwolę sobie na pewne ostrzeżenie. Może pani to wie, może nie, ale jeśli w grę wchodzi ta druga ewentualność, lepiej, by była pani świadoma, w co się pakuje. Proszę na niego uważać. Caleb Blythe nie zawsze przestrzega prawa.

– Mogę się tego domyślać – stwierdziła cicho. W samochodzie działało ogrzewanie, mimo to zrobiło się jej zimno. Caleb nie grał według reguł. To wiedziała. Pytanie brzmiało, jak daleko się przy tym posuwał. Albo raczej: jak bardzo mogło to przeszkadzać komuś takiemu jak ona, kto też nie zawsze postępował moralnie. Albo przynajmniej zgodnie z prawem? Wciąż nie potrafiła sobie na to pytanie odpowiedzieć. –

Między wami jest konflikt, prawda? Lane nie chciał, żebym z panem jechała.

– I tak, i nie. Współpracujemy. Nie zawsze jednak zgadzamy się co do metod działania. Wiedziała pani, że on i Daniel MacClone się przyjaźnili?

– Słyszałam o tym. Ale bardzo wielu ludzi przyjaźniło się też... na przykład... z Jacobem Redem – odparła, a w jej ton wkradła się ostrzegawcza nuta.

Znali się od jakichś pięciu czy sześciu godzin. O wiele za mało, aby miała ochotę omawiać z nim sprawę Daniela albo traktować jego słowa jako prawdy objawione.

– Wspomniał pani, ile osób zabił Daniel?

– Nie mam pojęcia – stwierdziła z irytacją. – Panie Doherty, dziękuję za ostrzeżenie. Jestem za nie naprawdę wdzięczna. Ale już mówiłam, że nie chcę o tym rozmawiać, a cokolwiek Daniel zrobił albo nie zrobił, nie ma wpływu na to zlecenie.

– Rozumiem – ustąpił, chociaż nie mogła się oprzeć wrażeniu, że nic nie zrozumiał.

Milczał jednak aż do chwili, w której dotarli do Rainharbour i zaparkował przed posiadłością sióstr Donnelly.

– To moja wizytówka. Proszę przysłać rachunek za dzisiejsze zlecenie na maila. A także skontaktować się, gdyby miała pani jakieś pytania, mało prawdopodobne teorie, którymi chciała się podzielić, albo... doszła do wniosku, że woli współpracować ze mną niż Calebem – powiedział.

Wcisnęła wizytówkę do kieszeni, pożegnała się i ruszyła do bramy. Furtka, na całe szczęście, okazała się otwarta. Mimo późnej pory – a dochodziła północ – w lukarnach na piętrze paliły się światła. Drzwi zaś otworzyły się, jeszcze nim Jagoda zdążyła zapukać. Na progu nie stali jednak ani Lane, ani Eleanore. Przywitał ją Caleb Blythe.



ROZDZIAŁ CZWARTY

SŁUGA
Z PRZEKŁĘTEGO ZAMKU

Jagoda na moment skamieniała przed wejściem. Lane mówił, że Caleb wkrótce wróci, ale nie spodziewała się zobaczyć go tej nocy. Z powodów, jakich sama do końca nie pojmowała, czuła się tak, jakby właśnie została przyłapaną na czymś nagannym – niczym nastolatka, która wymknęła się z domu bez zgody rodziców.

Ale nie była nastolatką, a on na pewno nie był jej ojcem. Postanowiła wziąć się w garść. Nic nie mogła jednak poradzić na zdenerwowanie wywołane bardzo wieloma rzeczami: sytuacją, ich ostatnim spotkaniem, przecuciem, że Uczeń Czarnoksiężnika nie będzie zadowolony z jej rozmowy z Thomasem. Zwłaszcza że jeden rzut oka na Blythe'a wystarczył, aby ocenić, że o ile ona jest podenerwowana, o tyle on jest wściekły. A to tylko rozdrażniało ją jeszcze bardziej i zbijało z tropu, bo przecież nawet jeżeli nie chciał, żeby rozmawiała z Dohertym, to nie był to powód do aż takiego gniewu.

– Dobry wieczór. Mogę wejść czy będziesz mnie tak trzymać na progu? – spytała.

Starła się ukryć niepokój i w rezultacie jej głos zabrzmiał aż nazbyt oficjalnie.

– Cześć, Jaga – powiedział, przeciągając samogłoski. Przesunął się, by wpuścić ją do środka, i poczekał, aż zdejmie płaszcz. – Cieszę się, że przyjechałaś. Miło cię widzieć.

– To dlaczego mordujesz mnie wzrokiem? – spytała wprost.

Zerknęła do jadalni, aby się upewnić, że nikt nie słucha, ale przypomniała sobie, że odruchowo przeszła na polski.

– Nie morduję cię wzrokiem. Zastanawiam się tylko, jakim cudem zdołałaś w pięć minut po przyjeździe do Londynu skończyć w siedzibie policji.

– Widać mam specjalny talent – oświadczyła.

Blythe nie odpowiedział od razu, tylko się jej przypatrywał. Gdy stali naprzeciw siebie, mierząc się spojrzeniami, odruchowo się cofnęła, a ręce splotła na klatce piersiowej.

– Tak, to na pewno – przyznał w końcu Caleb zgryźliwym tonem. Wydawało się jednak, że jego złość albo opadła, albo przynajmniej zdołał ją zamaskować. – Możemy omówić kwestię tego talentu i inne sprawy rano. Skoro zajmowałaś się łamaniem klątw dla Toma, pewnie jesteś zmęczona.

– Nie na tyle, by nie usłyszeć paru wyjaśnień.

– O północy?

– Godzina duchów i czarownic. Dlaczego nie? Poza tym mam cholerne dziewięć dni na działanie... Nie. Właściwie to osiem dni – sprostowała, zerkając na zegarek: właśnie wybiła północ.

Z jednej strony w ciągu półtora dnia zrobiła wiele, z drugiej miała wrażenie, że nie zbliżyła się do rozwiązania zagadki nawet o krok.

– Jak sobie życzysz. O tej porze najlepsza będzie biblioteka – mruknął i się odwrócił.

Jagoda właściwie skłamała: była zmęczona. Nie spała za wiele, używała magii najpierw w zamku Reda, a potem w siedzibie Scotland Yardu. Nie miała okazji odpocząć po wczorajszej podróży, godzinami studiowała dokumenty, a niesamowita atmosfera Donlonu sprawiła, że jeszcze teraz, po jego opuszczeniu, odczuwała niepokój i miała wrażenie, jakby wciąż oblepiała ją wilgotna mgła. Mimo to wołała porozmawiać teraz, ponieważ inaczej do rana zżarłyby ją nerwy. Wciąż zastanawiała się nad zbyt wieloma sprawami – od kontaktów Caleba i Thomasa, przez kwestię wykluczenia przez Blythe'a działania współników, aż po to, jak przebiegnie samo spotkanie – i myśli o tym nie dałyby jej zasnąć. Gdy jednak weszli do biblioteki i Caleb zapalił światło, doszła do wniosku, że on chyba był dużo bardziej zmęczony od niej – i że pewnie powinna się zgodzić na odłożenie rozmowy. Musiał przyjechać niedawno, bo dzinsy miał ubłocone i porwane, włosy wilgotne i rozczochrane, a pod jasnymi oczyma znaczyły się sińce. Opadł z impetem na otomanę, z której spadło parę książek.

– Pięć minut. I wpadasz na Toma.

– Właściwie to prawie dwadzieścia cztery godziny – sprostowała, odsuwając od biurka krzesło, by na nim usiąść. – Gdzie byłeś?

– Wczoraj czy wcześniej?

– Zacznijmy od wczoraj.

– W okolicach Galway. Myślałem, że zdążę wrócić, nim się pojawisz, ale musieliśmy... pilnie odwiedzić uzdrowiciela. O co poprosił cię Tom?

Odruchowo przyjrzała mu się uważniej, ale nie wyglądał na rannego. Jeżeli to on potrzebował pomocy, magomedyk dobrze się nim zajął.

– O zdjęcie klątwy. Z jego człowieka trafionego przekleństwem ze starożytnego, skradzionego posążka – uzupełniła, bo po tym „zdjęciu klątwy” rzucił jej spojrzenie pełne irytacji.

– Byłoby lepiej, gdybyś trzymała się od niego z daleka. Od niego i wszystkich ze Scotland Yardu.

– To polecenie?

– Sugestia – odparł i uśmiechnął się przy tym blado. – Jeśli spróbowałbym ci zakazać spotkania się z nimi, pewnie jutro siedziałabyś z Tomem na kawie, pojutrze plotkowała z jego żoną, a za dwa dni zapraszałby cię na chrzciny wnuka.

– Przecenisz mnie – skwitowała. Rozluźniła się, już mniej zdenerwowana, jakby żart i uśmiech Caleba przełamały niewidzialną barierę. Dotąd nie była pewna, jak się wobec niego zachowywać, ale może „jak zwykle” było właściwym wyborem. – Pamiętaj, złych wieśćm nie zaprasza się na chrzciny. Przychodzą nieproszone, żeby rzucić paskudne zaklęcia. Co się dzieje między wami? Z papierów wynika, że współpracujecie. Tymczasem ty sugerujesz, żebym trzymała się od niego z daleka, on radzi, żebym trzymała się z daleka od ciebie.

– Thomas kazał ci się trzymać z daleka ode mnie? – spytał, niby spokojnie, ale twarz mu stężała.

– Nie kazał, tylko sugerował – sprostowała. – Więc spokojnie, nie musisz przedstawiać mnie żonie ani szykować zaproszenia na chrzciny wnuka.

– Chyba nie zaproponował ci pracy? Michael nigdy by się na to nie zgodził.

– Znamy się jakieś pięć minut, więc nie, nie zaproponował mi pracy. Zasugerował za to chęć współpracy przy klątwie Jacoba Reda – wyjaśniła, obserwując Caleba uważnie. Wyciąganie z niego informacji było trochę jak próba otwarcia skrzyni zamkniętej na siedem spustów. Bez łomu ani rusz. Nie była nawet pewna, czy naprawdę nie chciał jej tego wytłumaczyć, czy zachowywał się tak z przyzwyczajenia. – Ty, Thomas. Co takiego zrobiłeś, że... sama nie wiem, jak to określić...

...że zdawał się z jednej strony Caleba lubić, z drugiej zaś tylko czekał, aż zaraz wyrosną mu kły i pazury? A może to była tylko ostrożność lub jakiś żal? Nie znała Doherty’ego, nie umiała więc wyjaśnić tej zagadki: mówił o Calebie jak o przyjacielu, współpracowali, a jednocześnie wyczuwało się w tym drugie dno.

– Pytał cię o Daniela?

– Tak.

– Powiedziałaś mu coś?

– Tylko tyle, że omal mnie nie zabił. Jeśli masz zamiar robić takie uniki na każde pytanie, to chyba faktycznie odłożmy rozmowę na rano. Nie mam teraz siły na wyszarpywanie z ciebie odpowiedzi.

– Chodzi o Daniela – powiedział Blythe. Wciąż miał kamienny wyraz twarzy, a głos poważny. – Zabił tutaj parę osób. Winnego nie znaleziono, ale Thomas podejrzewa, że to on. I że ja o tym wiedziałem, tylko im tego nie zgłosiłem.

Nie odezwała się, niepewna, jak zareagować.

– W porządku... już rozumiem, czemu nie chciałeś mówić – wymamrotała po chwili. – Wspominałeś, że... zabił ludzi w Londynie.

– Tak, mogłem coś wspomnieć. Wtedy oczywiście nie sądziłem, że jeśli tu trafisz, natychmiast wpadniesz na Toma, który będzie o to wypytywać – westchnął Caleb, przymykając oczy i odchylając głowę, by oprzeć ją o oparcie sofy. Gdy znów się odezwał, w jego głosie pobrzmiwała rezygnacja. – Czasem podejrzewam, że dysponujesz jakąś specjalną magią, która przyciąga kłopoty.

– Ja przynajmniej nie szukam ich sama.

To on szukał demonów, ścigał wilkołaki i mieszał się w podejrzane interesy.

– Nie? – zdziwił się obłudnie. – W każdym razie rzeczywiście, nie wydałem mu Daniela. Na początku się nie kontrolował, a dwie pierwsze ofiary... to nie byli ludzie, których mógłbym żałować... i których żałowałby ktokolwiek inny. Gdy się zorientowałem, że na tym nie poprzestał, omal się nie pozabijaliśmy, a potem uciekł z kraju. Musiałem go dorwać sam. Nie miałem głowy do składania doniesień i odpowiadania na wiele pytań, zwłaszcza że Tom i tak nie mógłby mi pomóc. Stosunki między nami już wcześniej bywały trudne, a teraz stały się jeszcze bardziej napięte. Dodajmy do tego, że tutejszy Scotland Yard ma... znacznie szersze uprawnienia niż warszawskie WMM i niedobrze, jeśli sądzą, że masz informacje, których potrzebują. Jeżeli nie stoją za tobą wpływy, mogą cię zmusić do ich ujawnienia. Czy to zaspokaja twoją ciekawość?

– W tej kwestii – mruknęła.

Tak naprawdę może i miałyby pytania, wiele, wiele pytań, ale były ważniejsze rzeczy, a Blythe

wyglądał na tak zmęczonego, że nie chciała go męczyć sprawą Daniela. Daniela, z którym – jak przypomniawszy sobie poniewczasie – kiedyś się przyjaźnił, więc rozmowa o tym mogła mu sprawiać trudności.

Caleb Blythe nie zawsze postępował zgodnie z prawem. To była jedna z takich sytuacji. Wiedziała o tym już wcześniej, więc nie czuła się zaskoczona tym wyznaniem. I nie umiała jeszcze zdecydować, co myśli w tym przypadku, bo pewnie byli ludzie, których sama by nie wydała, przynajmniej nie od razu. Mogła jednak odgadnąć, jakie poglądy na sprawę miał Thomas Doherty. Pod tym względem z pewnością przypominał Mariusza Olchę. Ukrywanie informacji, pomaganie przestępcy, być może też zdradzone zaufanie, skoro Daniela schwytano niedawno, a wcześniej Caleb i Thomas współpracowali. Doherty mógł nie uznać za okoliczność łagodzącą tego, że pierwszymi ofiarami padli prawdopodobnie przestępcy. Jagoda... przez to nie umiała ocenić sprawy.

– Dlaczego wyklucasz istnienie współpracowników? – spytała więc, żeby zmienić temat. – W przypadku tej kłątwy.

– Po pierwsze, musieliby być bardzo utalentowani. A Jacob współpracował tylko z jednym naprawdę utalentowanym kłatwołamaczem. Zatrudnił go w swojej firmie i on na pewno nie był zaangażowany, w dodatku zmarł dwa lata temu. Dość głupio. Spadł z drabiny. Policja wykluczyła udział osób trzecich. Po drugie, Red musiałby przygotować to wcześniej, a zapewniam, że nie był skłonny do pokazywania... swojej prawdziwej twarzy wielu osobom postronnym. Po trzecie, wzór magiczny na ofiarach, jaki wyczułem, nie zmienia się z roku na rok. Gdyby ktoś pomagał przy tej kłatwie, aktywował ją regularnie, wzór by się zmienił. Ubyłoby z niego... magii Jacoba. Poza tym wygląda mi na dzieło jednej osoby. I...

– I?

– Żeby rzucić taką kłatwę, trzeba być nim.

– Mógł stworzyć podstawę i podzielić się wzorem. To...

– ...zasady tej magii – dokończył Blythe ze zmęczeniem. – Jacob nie stosował się do tych zasad. Naginał prawa magii. Nie tylko w przypadku kłatw. Tak, istnieją inni, którzy potrafią to robić. Raz na kilkadziesiąt tysięcy czarodziejów trafia się taki mag, ale zwykle umie to robić wyłącznie w jednej dziedzinie i często nawet nigdy nie odkrywa swojego talentu. Dla Jacoba w każdej gałęzi magii to było łatwe niczym oddychanie. Wiem, że trudno to zrozumieć, ale możesz mi w tym względzie zaufać. Dobrze poznałem magię mojego nauczyciela. To jego zaklęcie, od początku do końca, może naznaczone cudzą magią w sposób, którego nie pojmuję, ale na pewno nie utkane przez innych ludzi.

Zastukała palcami w oparcie krzesła, nieprzekonana. Odrzucając tę teorię, opierali się głównie na przeczuciach Caleba i tym, co wiedział o swoim mistrzu. A Jacob Red miał mnóstwo tajemnic, na pewno także przed uczniem. Blythe miał jednak rację pod tym względem, że nie powinna ślepo podążać za tym tropem tylko dlatego, że zdawał się jej najbardziej prawdopodobny.

– A spadkobierca? – podsunęła. – Syn. Wnuk. Mógłby odziedziczyć jego umiejętności i częściowo wzór magiczny.

– Sprawdzalem to. Możesz porozmawiać o tym z Lane'em, jeśli potrzebujesz szczegółów, ale w skrócie: przesledziliśmy całą przeszłość Jacoba, jego kontakty, spisy najpotężniejszych magów i tak dalej... Jestem właściwie pewien, że nie miał dzieci. Konsultacja z jego lekarzami wskazuje zresztą na to, że był bezpłodny. Próbował się leczyć i nic z tego nie wyszło.

– Inni krewni? Był adoptowany.

– Kuzynostwo. Nie wiedzieli o jego istnieniu. Dalej nie mają pojęcia, że są spokrewnieni. Wzór magiczny się nie zgadza, są też dużo słabsi od niego. Rodzice nie żyją od dawna, podobnie jak wujostwo. Nie próżnowałem przez ostatnie dwa lata. Nie udało się nam może wiele osiągnąć, ale kilka rzeczy wykluczyliśmy. Jestem właściwie pewny, że kłatwę utkał Jacob.

Nie masz pojęcia, jak ciężko jest w tych czasach znaleźć wyższego demona.

– Czy demoniczna esencja ma z tym coś wspólnego? – spytała.

Caleb wyprostował się i spojrzał na nią z trudnym do zinterpretowania wyrazem twarzy. W końcu wykrzywił wargi w czymś, co od biedy mogło uchodzić za uśmiech.

– Jak się pewnie domyślasz, jesteśmy zdesperowani.

– Masz zamiar paktować? – spytała, siłąc się na spokój. Opanowanie było jednak złudne. Coś przekręcało się w jej żołądku, a serce biło szaleńczo, kiedy czekała na odpowiedź. Być może parę lat temu mogłaby... może nie zrozumieć, nie zaakceptować, ale przynajmniej po części takie postępowanie

usprawiedliwić.

Nie teraz.

Nawet jeśli sama szła ścieżką na samym skraju ciemności i wybrała ją więcej niż raz. Za dobrze pamiętała szaleńczy wzrok Izabeli i nieprawdopodobną moc czarodziejki łamiącą umysł. Dłoń Adriana, która zaciskała się na jej ręce i opadała chwilę potem.

Były granice, których Jagoda nie mogła i nie chciała przekraczać.

Wizytówkę z numerem Thomasa miała w kieszeni. „Wszystko, co w jej mocy”, by zdjąć klątwę. Czy to przyrzeczenie dopuściłoby do powiadomienia Doherty’ego o planach Blythe’a?

W oczach Blythe’a zapłonęło coś – złość? – iskra jednak natychmiast zgasła.

– Nie – powiedział, niemal łagodnie. – Nie zamierzam zostać niewolnikiem demona. Chcę spętać ducha Jacoba, a demoniczna esencja, którą nawiasem mówiąc, właśnie zdobyliśmy, jest potrzebna do rytuału.

– Przepraszam? Chyba się przesłyszałam.

– Chcę spętać ducha Jacoba – powtórzył Caleb. – Jest tylko jedna osoba, która wie wszystko o tej klątwie, i to właśnie Jacob. Próbowaliśmy zwykłego seansu z medium, ale nic z tego nie wyszło.

Już sama próba wywołania ducha była trudna. Wymagała nie tylko medium, a ten rodzaj magii należał do szczególnie rzadkich – ba, właściwie był najrzadszy, pierwszy na liście najrzadziej spotykanych talentów, tuż przed jasnowidzeniem i darem do klątw – lecz także odprawienia rytuału w odpowiednim miejscu i przedmiotów, z którymi związany był zmarły.

Ale spętanie?

– Pętanie duchów to nekromancka, zakazana magia – powiedziała cicho, bezwiednie powtarzając słowa, które on sam wypowiedział do niej parę miesięcy temu. Choć to, co wtedy chciała zrobić, zasadniczo było nielegalne tylko dlatego, że przy okazji niszczyło ciało.

Praktyki, do których chciał uciec się Blythe, znajdowały się na pograniczu czarnej magii i były prawnie zakazane we wszystkich cywilizowanych krajach.

– Jeśli wpadniesz na inny pomysł, chętnie z niego skorzystam – stwierdził chłodno. – Bo na razie niczego nie udało mi się znaleźć. Nie bardzo mam ochotę siedzieć i czekać na rok, w którym przyjdzie kolej na mnie.

Czterdzieści parę nazwisk. W obecnym tempie klątwa uporałaby się z nimi mniej więcej w ciągu kolejnej dekady, o ile znów nie zginąłby ktoś luźniej powiązany z upadkiem Jacoba. Caleb, przy swoich możliwościach magicznych, mógł spokojnie w dobrym zdrowiu przekroczyć setkę. Tymczasem prawdopodobnie znajdował się dość wysoko na liście do odstrzału, a w spisie byli też jego znajomi.

Dziesięć lat niepewności... chociaż może mniej. Jagoda miała paskudne przeczucie graniczące z pewnością, że klątwa uderzy raczej siedem razy po trzy razy.

Pytanie brzmiało, co stanie się po siódmym roku. Czy rozwieje się, czy wręcz przeciwnie? Nabierze mocy?

– Jak sądzisz, dlaczego jeszcze żyjesz? – spytała. Nie było to może zbyt grzeczne, ale ta kwestia dręczyła ją, odkąd przyjrzała się biografii ofiar. – Sędzia, który go skazał, dyrektor z Madainn ùr, z którym się przyjaźnił, komendant Scotland Yardu... mogę zrozumieć, dlaczego oni byli pierwsi, ale...

– ...ale ja powinienem otrzymać pierwszeństwo przed jakimś tam uzdrowicielem czy specjalistą od klątw? – dokończył Caleb, kiedy urwała. Pochylił się w jej kierunku, a jego spojrzenie znów stało się chłodne. – Może podejrzewasz, że to jakieś moje knowania? W celu przejęcia władcy nad światem, a przynajmniej Wielką Brytanią?

– Nie – odparła, tym razem nawet nie próbując ukryć frustracji. Tak, podejrzewała go o różne rzeczy, zwłaszcza wtedy, kiedy stanął półprzytomny na jej progu, ale na litość Twardowskiego, nie dopatrywała się jego winy w każdej powodzi i w każdym pożarze na świecie. A on zdawał się przewrażliwiony na tym punkcie. Omal mu tego nie wytknęła, w ostatniej chwili pomyślała jednak, że pewnie byłoby w tym trochę za dużo hipokryzji. Też była przewrażliwiona na punkcie porównań do swojej prababki. Może przed rokiem mogłaby pomyśleć, że maczał palce w takiej klątwie, teraz jednak nie wierzyła, że mordowałby niewinnych ludzi w imię zemsty za nauczyciela. – Próbuję zrozumieć zasady doboru ofiar. Jeśli to on... ustalił z góry listę albo nawet klątwa kierowałaby się jego emocjami, ty, Thunderbird i Doherty powinniście umrzeć najpóźniej w trzecim roku. Jest inaczej. Dopatrzyliście się jakiegoś klucza?

Ona go nie znalazła, ale studiowała informacje o ofiarach przez jeden dzień, nie przez kilka lat. Nie

wspominając o tym, że oni znali Reda i tych, których zabiła klątwa. Wiedzieli o rzeczach, których nie umieszczono w papierach. W tej chwili Jagoda była gotowa obstawiać przypadkowy dobór spośród konkretnej grupy, być może jednak istniały jakieś związki. Jak to, że zginęło kilka osób, które miały kontakt z Jacobem tuż przed jego śmiercią.

– Mam dwie drobne teorie. Jacob nie chciał, abyśmy za szybko odkryli działanie klątwy. Dlatego najpierw zginęły osoby starsze, niepowiązane ze sobą bezpośrednio, a w drugim roku, gdy dopadł komendanta, dwie pozostałe ofiary były... na tyle nisko postawione, że ich śmierć nie odbiła się szerokim echem. Gdyby Elijah nie wyczuł czegoś podejrzanego... pewnie śledztwo zaczęło by najwcześniej po trzech, czterech latach. Jeśli zabiłby od razu Michaela, Thomasa i mnie... wszystko byłoby zbyt oczywiste.

To miało sens. A raczej miałoby, jeżeli Red albo dokładnie wybrał ofiary i przygotował całą klątwę, z góry wyznaczając kolejność, albo jednak miał spadkobiercę lub współników, którzy kontynuowali jego dzieło. Magia sama z siebie nie mogła działać w ten sposób...

A może mogła? Może Jagoda zbyt kurczowo wierzyła w te prawa magii, których Jacob Red wcale nie musiał się trzymać?

– Druga teoria?

– Żadne przekleństwo nie zabija natychmiastowo. Elijah zorientował się, kiedy dopadła go klątwa. W ostatniej chwili, ale zrozumiał, że coś jest nie tak. Thomas to Czytacz, specjalizuje się w wyczuwaniu magii. Ja znam się na klątwach. Thunderbird nie tylko jest silnym magiem, lecz także obraca się w towarzystwie takich. Moglibyśmy odkryć, że klątwa zaczyna działać, i jeśli nawet się nie uratować, to przynajmniej dać czas na znalezienie czegoś, co pomogłoby ją zdjąć w przyszłości.

Skinęła powoli głową. Właściwie obie teorie – jeśli założyć wybór ofiar wcześniej – mogły być poprawne. Chęć utrzymania sprawy jak najdłużej w tajemnicy oraz pozbycia się konkretnych osób bez ryzyka, że klątwa zostanie przełamana przed czasem. W takim przypadku Doherty i Blythe powinni zginąć, gdy usunięte zostaną inne ważne cele.

A większość z nich już zginęła.

– Dlaczego nie ściągnęłaś mnie tutaj wcześniej?

– Po pierwsze, byłem zajęty. Ostatni miesiąc spędziłem w podróży. Po drugie... przecież nie zdołasz wiele zrobić, zanim ktoś zginie – oświadczył Caleb. Zabrzmiało to brutalnie, ale było mniej więcej zgodne z tym, co sama myślała. – Te kilka dni to dość, abyś poznała wzór magiczny Jacoba, przejrzała dokumenty i przygotowała się do tego, co nadejdzie.

– Nie mam zamiaru siedzieć i czekać, aż ktoś umrze.

– Czyżbyś jednak miała inny pomysł? – spytał, tak zaskoczony, że zabrzmiało to prawie obraźliwie.

– Nawet kilka – powiedziała, z trudem powstrzymując się przed cedzeniem słów. – Nie rozmawiałaś z Eleanore?

– Nie. Minąłem się z nią w drodze. Czyżby jej nagła wycieczka do Irlandii miała coś wspólnego z tobą? – spytał Caleb, prostując się gwałtownie.

– Irlandii?!

– Wyjechała kilka godzin temu. Nie raczyła wyjaśnić przyczyn, nie odbiera telefonu i prawdę mówiąc, mam ochotę urwać jej głowę – przyznał Blythe, po czym uśmiechnął się kpiąco. – Powinienem się domyślić, że maczałaś w tym palce.

– Nie kazałam jej jechać do żadnej Irlandii – oburzyła się. – W zamku Reda mieszka brownie. Albo hob. Albo boggart. Nie jestem pewna. W każdym razie jest tam istota magiczna, a Eleanore obiecała znaleźć sposób na jej złapanie.

– Przepraszam, co? Brownie wyginęły dobre dwieście lat temu. Jakim cudem Eleanore dała się przekonać, że mieszka tam jeden z nich?

Samo istnienie tego rodzaju istot Jagoda jeszcze niedawno wkładała między bajki. Teraz podejrzewała, że przestano je widywać, bo część faktycznie wymarła, razem z wyburzaniem i opuszczaniem starych budynków. Reszta w większości się skryła: ludzie nie zostawiali im darów, nie wierzyli w nie, a przecież i kiedyś niechętnie się pokazywały... I chociaż ledwo niedawno zaprzeczała istnieniu ubożęcia, nawet mając je przed sobą, teraz sceptycyzm Caleba ją zirytował.

– Skąd wiesz, że wyginęły? Bo nigdy żadnego nie widziałeś? Niezależnie od tego, o jakiej ich odmianie mówimy, jedno je łączy: nie lubią się pokazywać ludziom.

– Ty mówisz poważnie?

– Wyglądam, jakbym żartowała?

– Czasem trudno ocenić – westchnął, znów opadając na kanapę i odchylając głowę. Na chwilę przymknął oczy i wydawał się jeszcze bardziej zmęczony niż ledwie moment wcześniej. – Bogowie, w takim wypadku Eleanore prawdopodobnie pojechała szukać swojej prababki. Kurwa, mogła mnie uprzedzić, zamiast rzucać się w to sama. Jeżeli nie wróci, Erin mnie zabije.

– Zaraz. Prababka Eleanore miałyby ją tam zatrzymać? Albo coś jej zrobić?

– Jest zdecydowanie gorsza niż twoja prababka – mruknął, a brwi Jagody powędrowały w górę.

Jej własna prababka była mroczną wiedźmą, mistrzynią Caleba, i stosowała wyjątkowo surowe metody nauczania. Blythe nienawidził nauczycielki, uciekł od niej, a przed tą ucieczką stoczyli brzemienne w skutkach pojedynki.

Jeżeli krewna Eleanore miała być gorsza według standardów Ucznia Czarnoksiężnika, to powinna w tej chwili próbować przejąć władzę nad światem.

– Kto jest jej prababką? Zła Królowa z Królowy Śnieżki? Nie, czekaj, to było u mnie. Jej dostała się czarownica ze Śpiącej Królowy?

– Nie do końca... Myślę, że Eleanore da sobie z nią radę. Ale brownie?

– Albo hob – potwierdziła. – Nieważne, jak potężny był Red, jeżeli rzucił tę klątwę, musiał się przygotować. Jeśli robił to w zamku, ta istota będzie o tym wiedzieć.

– Świetnie. W takim razie zapołujemy na brownie. – Pokręcił głową. – Ale o metodach ich łapania i pętaniu duchów porozmawiamy rano, dobrze? Inaczej obawiam się, że w ciągu najbliższych minut zasną na tej kanapie.

Miała do niego jeszcze wiele pytań. Takich, które zadać powinna – o klątwie i Redzie; takich, które wynikały z ciekawości – o firmę, ten dom i jego mieszkańców; a także takich, których pewnie i tak nie odważyłaby się wypowiedzieć. Oboje jednak byli zmęczeni i mogło to poczekać do rana.

Wstała i wtedy on też dzwignął się z kanapy. Nim zgasił lampę, Caleb wyczarował magiczną kulę, i w jej słabym blasku przeszli najpierw przez korytarz, a potem salon ku schodom. Pomieszczenia tonęły w ciemności, nie słychać było żadnych dźwięków: wszyscy lokatorzy pewnie już spali. Blythe ruchem ręki posłał światło w górę, sam jednak nie wszedł na stopnie – najwyraźniej planował spać albo w salonie, albo w jednym z zamkniętych wcześniej pokoi.

– Dobrej nocy – powiedziała i wyminęła go, by wejść na pierwszy schodek. Nim zdążyła zrobić kolejny krok, dłoń Caleba, szorstka i chłodna, zamknęła się na moment na jej palcach.

– Naprawdę miło cię widzieć, Belladona – stwierdził krótko, nim cofnął rękę. – Dobranoc.

Odwrócił się i odszedł, zanim odpowiedziała. Ruszyła w górę, zła i na siebie, i na niego. Jakby, do cholery, mordercze klątwy, pełne magii zamki i mgły Donlonu nie narobiły jej w głowie wystarczającego zamętu. Caleb po prostu musiał dorzucić do tego chaosu jeszcze jedną cegiełkę.

*

Jagodę męczyły koszmary. W snach uciekała przed kimś ulicami tonącymi we mgle, a w końcu potknęła się i wpadła wprost do świeżo wykopanego grobu. Obudziła się w momencie, kiedy z jego dna wyłoniły się dłonie i zaczęły wciągać ją pod ziemię.

Tym razem spała długo, zbyt długo: dochodziła już jedenasta. Krople wody spływały po szybie, gdy zaś wiedźma podeszła do okna, przekonała się, że na zewnątrz szaleje zawieja, a z ciemnych chmur pada deszcz ze śniegiem. W pomieszczeniu panował chłód, choć nie tak przejmujący jak wczoraj – niewielki grzejnik pod parapetem okazał się ciepły. Z drugiej strony drzwi dobiegały dźwięki zwykłej krzątaczki. Gdzieś coś trzasnęło, schody skrzypiały, kiedy ktoś po nich wbiegał, Jaga usłyszała czyjś głos, zbyt daleki jednak, aby zrozumiała słowa. Pomyślała, że być może ludzie, z którymi Caleb był w Galway, też się tutaj zatrzymali. Ta idea wywołała w niej pewną nerwowość. Znajdowała się w obcym kraju, w obcym domu, pełnym obcych ludzi.

Może należało wynająć pokój w Londynie. Albo w Rainharbour, jeśli nie chciała zapłacić fortuny. Gdyby wiedziała, ile czasu tu spędzi, pomyślałaby o tym wcześniej.

Miała świadomość, że to tchórzostwo, ale ociągała się z wyjściem z pokoju. Na dół zeszła niemal godzinę po przebudzeniu i z pewną ulgą przyjęła, że dom zdążył opustoszeć. Dopiero w kuchni natknęła się

na Lane'a. Spodziewała się jakichś uwag na temat swojego wczorajszego zachowania i Doherty'ego, żadne jednak nie padły.

– Na dwóch dolnych półkach lodówki jest jedzenie, z którego możesz swobodnie korzystać – poinstruował ją. – Podobnie jak z suchego prowiantu, kawy i herbaty w tej szafce, mikrofal, ekspresu i toster. Każdy sam zajmuje się śniadaniem. Erin i ja czasem przygotowujemy obiad, ale częściej coś zamawiamy.

– Powinam dorzucić się do zakupów? – spytała niepewnie, rozglądając się po pomieszczeniu.

Wcześniej zajrzała tu zaledwie przelotem: poprzedniego dnia pominęła śniadanie, a obiad zastała już w jadalni. Królowało tu drewno: długie drewniane blaty, szafki z drewna z przeszklonymi drzwiczkami, drewniany stół i drewniana podłoga. Na szerokim parapecie w doniczkach rosły zioła, pęki suszonych roślin zwisały z belki pod sufitem. Przez przeszklenia mogła dostrzec talerze oraz ogromne ilości płóciennych woreczków, pewnie również zawierających zioła, porostawiane na półkach. Obudowę lodówki sprytnie zamaskowano tak, że wyglądała jak jeszcze jedna, duża szafka, mikrofalę umieszczono po prostu w jednej z szafek, ale nowoczesny piekarnik i ekspres odcinały się od reszty wystroju.

Sądząc po panującym tu bałaganie, niedawno wiele osób przyrządzało sobie śniadanie.

– Wszystko funduje Madainn ùr. Co mi przypomina, że przygotowałem dla ciebie umowę.

– Jaką umowę?

– Dotyczącą konsultacji w sprawie klątwy. Przyjęłaś zlecenie, prawda?

Skinęła głową machinalnie, choć nie spodziewała się żadnej umowy. Kontrakty przygotowywała zazwyczaj sama, w tym przypadku jednak... przyrzekła, że zrobi, co może, i potwierdzona magią obietnica była najlepszym gwarantem dla zleceniodawcy. A ona... cóż, nie była w pozycji do stawiania warunków.

– Co miałyby zawierać umowa?

– Standardowe sprawy. Klauzula poufności, sposób wypłaty wynagrodzenia i tym podobne. Poszczególne punkty w razie potrzeby możemy renegocjować, te kwestie omawiaj ze mną.

„Sposób wypłaty wynagrodzenia”? Podejrzała, że chodzi o potwierdzenie, że ją już otrzymała, ale i tak przed oczyma mignął jej zapis w rodzaju: strony ustalają, że formą zapłaty było odstąpienie byłego narzeczonego zleceniobiorczyni przez zleceniodawcę pod wskazany adres...

– Mhm – podsumowała. Otworzyła lodówkę i wyjęła z niej szynkę oraz ser. Przesunęła spojrzenie po siedmiu półkach. Wszystkie były wypełnione po brzegi, co sugerowało, że albo Eleanore i Erin miały wilcze apetyty, albo szykowano się na dłuższy pobyt większej ilości osób. – To miejsce to jakaś kwatera główna Zakonu Feniksa czy coś?

Słowa Blythe'a o tym, że należy do pewnej grupy, odbiły się echem w jej głowie. Chyba nie miał na myśli Madainn ùr?

– Słucham?

– Pytam czy... zbierają się tutaj ludzie na jakąś misję? Albo coś takiego?

– Można powiedzieć... że przyjechało tutaj paru przyjaciół i pracowników Caleba – powiedział Lane ostrożnie, jakby ważył każde słowo. – Jak z pewnością się domyślasz, chodzi o klątwę.

– I przywoływanie duchów?

– Powiedział ci o tym? – zdziwił się Benett, a Jagoda wzruszyła ramionami i zabrała się do szykowania tostów.

– Madainn ùr musi nieźle sobie radzić, skoro tak... dba o pracowników.

Szukała informacji o firmie, ale wygrzebanie czegoś poza oficjalnymi danymi było cholernie trudne. Dowiedziała się tyle, że niegdyś przedsiębiorstwo prowadziło bardzo szeroką działalność. Przede wszystkim opracowywało wynalazki, ale też zajmowało się zabezpieczeniami i eliksirami. Po śmierci Reda podupadło, gdy anulowano patenty na wynalazki Jacoba, a kontrahenci zaczęli się wycofywać. Obecnie jednak zdawało się, że wyszło z dołka, chociaż musiało mocno się ograniczyć. Oficjalnie specjalizowali się w zabezpieczeniach i produkcji lamp – inne firmy nie zdołały poznać ich tajemnicy – chociaż Jagoda miała niemiłe wrażenie, że może to być przykrywką. Albo tylko część ich działalności.

W końcu tak było z WilCom za rządów dziadka, ojca i wreszcie wuja. Nawet jeżeli ten bardziej z konieczności niż chęci zaczął w ostatnich latach ograniczać te „dodatkowe” aktywności.

Co ciekawe, oficjalnie dyrektorem firmy był niejaki Mark Franc, nie Caleb. Do informacji o tym, do kogo faktycznie należy Madainn ùr, prawie nie dało się dokopać.

– I tak, i nie. To już nie jest ta sama firma, co kiedyś, przychody nie są może niesamowite, ale zatrudnia

prawie trzystu pracowników i prowadzi działalność dwutorowo.

– Rozumiem. Gdzie jest... gdzie są wszyscy? Dom wydaje się pusty.

– Szykują się do, jak to ujęłaś, przywoływania duchów. Konkretnie jednego ducha. Przynajmniej większość, bo Eleanore jest właśnie w drodze powrotnej do Anglii. Będzie tutaj za godzinę. Jeśli dobrze zrozumiałem to, co przekazali mi rano Caleb i ona telefonicznie... szukała sposobu na schwytywanie brownie?

– Znalazła go?

– Podobno tak. Jakkolwiek zalecam ostrożność. Urażony brownie może przemienić się w znacznie mniej przyjemną istotę i nie spotkałem się dotąd z przekazami na temat ich ujęcia.

Przynajmniej jedna osoba nie zakładała od razu, że Jagoda oszalała, gdy twierdziła, że brownie istnieją.

– Jeśli nie przemienił się, gdy mieszkał z Jacobem, to chyba nie grozi mu to teraz – powiedziała.

Znów zastanowiła się, kim jest babka Eleanore, skoro wnuczka tak szybko zdołała dzięki niej dowiedzieć się, jak zapolować na brownie. W gruncie rzeczy ważniejsze było jednak to, czy jej sposób będzie skuteczny i czy istota powie im coś o kłątwie Jacoba Reda.

– Niekoniecznie. Brownie nie kierują się ludzkimi kryteriami. Póki Jacob nie traktował go źle, jego czyny... mogły nie kłopotać tego stworzenia.

Jagoda była więcej niż pewna, że gdyby babka nagle zaczęła zabijać ludzi w piwnicy, Tadeusz by tego nie ścierpiał. Jej własne ubożę może pogodziłoby się z czymś takim – wszak w piwnicach domu w enklawie znajdowały się nawet kajdany... – ale na pewno nie byłoby szczęśliwe. Wolała jednak nie wdawać się w dysputy na temat moralności magicznych istot sprawujących opiekę na domem.

– Przekonamy się – zbyła Benetta, wrzucając chleb do tosterka. – Kiedy planujecie zabawę w wywoływanie duchów?

– To nie zabawa.

– Tak się tylko mówi – mruknęła. – Chyba że to ściśle tajne przez poufne i próbujesz uniknąć odpowiedzi na pytanie.

Ta „zabawa” w najlepszym razie mogła doprowadzić do nałożenia wysokiej grzywny, w najgorszym zaś do zamknięcia jej uczestników za kratkami. Mogła więc po części zrozumieć opory Lane’a wobec dzielenia się z nią informacjami. Ale jeżeli planowali odprawić rytuał na cmentarzu, przy ciele Jacoba Reda... to powinna być na miejscu, nawet jeśli ten pomysł się jej nie podobał.

Ciało wciąż mogło nosić w sobie wspomnienia magii właściciela. Jeżeli by się im nie powiodło, przyjrzenie się zwłokom stanowiłoby dla Jagody kolejny punkt zaczepienia w badaniu kławy.

– Jutro w nocy.

– Tak szybko?

– To nie jest szybko – sprostował Lane. – Caleb szykował się do tego od trzech lat. A kto wie, może nawet dłużej. Czasem nie wiem, co mu chodzi po głowie.

Przyszło jej przez myśl, że jeżeli nie wiedział tego tylko „czasem”, to mogła mu pozazdrościć.

– W jaki sposób będziecie odprawiać rytuał?

Nie знаła się najlepiej na tego typu praktykach, ale wiedziała, że znaczenie mają miejsce, kotwice, czyli rzeczy związane ze zmarłym, rodzaj rytuału, obecność medium, odpowiednia ilość energii... Podejrzała więc, że spróbują Jacoba wezwać albo na cmentarzu, albo w zamku, w którym mieszkał.

– Gwarantujący największe szanse powodzenia – przyznał Benett niechętnie. – Wykopią jego ciało, więc owszem, być może też powinnaś być na miejscu.

Kiwnęła tylko głową, chociaż w duchu pomyślała, że tak naprawdę wcale nie ma na co czekać. Oglądanie trupa, który od kilkunastu lat leżał w grobie, było ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzyła.

– Lane?

– Tak?

– Na ile jesteście pewni, że Red leży w tym grobie? – spytała z wahaniem.

Bo pośród jej „mało prawdopodobnych teorii” kryła się jeszcze jedna: Czerwony Rozpruwacz przeżył i sam co roku rzucał lub odnawiał tę samą kławę. Szansa na to była tak mała, że niemal zerowa, wszak musiałby znaleźć sposób na ucieczkę z celi Scotland Yardu, ale... w tej chwili brała pod uwagę różne możliwości.

– Całkiem pewni. Caleb zajrzał do trumny przed pogrzebem. Tak... na wszelki wypadek. Potwierdził, że ponad wszelką wątpliwość ciało nie jest fałszywe. Mogłoby się wydawać, że to zbytek ostrożności, ale

chodzi o Jacoba Reda.

*

Eleanore faktycznie pojawiła się po godzinie. Ubrudzona ziemią, spowita magią, otoczona zapachem mchu i lasu tak mocnym, że Jagoda zaczęła sądzić, iż to jednak nie perfumy. I zmęczona na tyle, że po krótkim komunikacie „o zmierzchu łapiemy brownie, przekażcie Blythe’owi” weszła na piętro, słaniając się na nogach.

Podobno Brytyjczycy są flegmatyczni, ci jednak najwyraźniej nie lubili tracić czasu. Jeden dzień na chwytanie magicznych istot, drugi na łapanie duchów. To zdaniem Jagody były ambitne plany. Możliwe jednak, że miało to coś wspólnego z faktem, że matka Caleba była Polką, a Eleanore prawdopodobnie posiadała irlandzkie korzenie.

Dom zaczął się zaludniać kilka godzin później. Na korytarzu Jagodzie mignął Marek, którego widziała w Warszawie, i szatynka, równie niska jak Eleanore, o podobnych, jasnych oczach: być może Erin, która zabijała za uszkodzone rabatki. Potem wszyscy obecni, włącznie z Blythe’em i Lane’em, zamknęli się w bibliotece, pewnie żeby omówić wielki plan pochycenia ducha. Wszyscy poza Jagodą. Odebrała to jako wyraźny komunikat, że nie jest jedną z nich... i próbowała przełknąć tę pigułkę, powtarzając sobie, że jej smak nie powinien być gorzki. Bo przecież naprawdę nie była jedną z nich i wcale nie chciała być. Nie знаła tych ludzi ani ich historii, nagle wkroczyła w snute od dawna plany, w ich towarzystwie czuła się nieswojo. Nic dziwnego, że trzymali dystans, i nie powinna się o to złościć. Nie mogła jednak pozbyć się myśli, że Caleb może celowo trzymać ją w niewiedzy, i obawiała się, dokąd to poprowadzi. Czy nie otrzyma tylko tych informacji, których nie potrzebowała, czy może wszystkich, które grupa uzna za niewygodne? W ile nielegalnych spraw się wmiscza, na jak duże niebezpieczeństwo narazi?

Długo siedzieli na tym zebraniu. Na tyle długo, że Jagoda zaczęła powątpiewać, czy wieczorem dokądkolwiek pójda. Deszcz przestał padać i na godzinę przed zmierzchem wyszła na zewnątrz, bo dziwnie czuła się w cichym, pustym salonie, gdy za ścianą trwała narada. Zapach wilgotnej ziemi przesycił powietrze, chłód przedwiosennych dni wgrzyzał się w skórę, aż Jagoda mocniej otuliła się kurtką. Pożałowała, że nie zabrała cieplejszego okrycia.

Nie usłyszała Caleba i Eleanore. Oboje poruszali się tak cicho, że Jagoda najpierw wyczuła jego magię, zamaskowaną wprawdzie, ale na tyle znajomą, by mogła ją rozpoznać, kiedy się zbliżył.

– Więc łapanie brownie? – spytała.

Obróciła się ku nim i powiodła spojrzeniem po ich twarzach, szukając oznak zmęczenia. Najwyraźniej jednak zdołali się wyspać na tyle, aby wypocząć lub przynajmniej ukryć oznaki znużenia.

– Mam nadzieję – odparła Eleanore.

– Nigdy nie natknęłam się na nic o ich łapaniu – powiedziała powoli Jagoda. Prababka albo któryś z poprzednich właścicieli enklawy musiał wiedzieć o istnieniu ubożęcia, bo Jagoda znalazła zapiski na ich temat, ale nie było w nich ani słowa o tym, jak schwytać taką istotę. Nie mówiły też o tym legendy ani odręczne notatki, z których informacje Jagoda na podstawie własnych doświadczeń uznała za wiarygodne. Ba, w tych ostatnich wręcz doradzano ostrożność, bo na terenie domu, z którym był związany strażnik, jego moc miała niewiele ograniczeń. – Tylko o tym, że mogą zniknąć albo zacząć się mścić, jeśli dasz im ubranie, niewłaściwe jedzenie albo obrazisz w inny sposób.

– Taaak, Lane tak twierdzi. Ale zna też pewną legendę o bwbach, który po śmierci swojego przyjaciela stał się boggartem, a pewien mędrzec zdołał go przyzwać i wygnać aż do Morza Czerwonego. Albo Czarnego. Nie pamiętam. W każdym razie to znaczy, że da się to zrobić.

– Albo że ktoś, być może niemagiczny, wymyślił ładną bajkę – sprostował Caleb, a Eleanore rzuciła mu kose spojrzenie.

– Myślisz, że dlaczego fatygowałam się tak daleko? Sprawdzałam jej źródła.

Eleanore przyspieszyła, co zmusiło ich do wyciągania nóg, jeżeli chcieli utrzymać tempo.

– Była prawdziwa? – spytała Jagoda, kierując słowa już do pleców dziewczyny.

– Nie – odparła Eleanore, nie oglądając się za siebie. – Nie do końca. Ale jest sposób na osłabienie tej istoty, a potem pochycenie.

– Poprawcie mnie, jeśli się mylę, ale czy nie powinno się unikać denerwowania tych istot? – wtrącił Caleb.

– Pewnie będziemy musieli szybko uciekać i nie pokazywać się jakiś czas w zamku. Tak z dziesięć lat

– przyznała Eleanore.

Caleb westchnął i wymruczał pod nosem coś, co brzmiało jak „cudownie”. Mimo to nie zaprotestował, co było jasnym znakiem, że albo mimo marudzenia ufał tej dziwnej czarodziejce, albo był zdesperowany. Tylko dlatego Jagoda ugryzła się w język i nie podzieliła własnymi wątpliwościami.

Wszystko, co w jej mocy, by zdjąć klątwę. Złapanie brownie mogło w tym pomóc.

Eleanore wyprzedziła ich o dobrych kilka metrów, nieświadomie lub celowo. Szła prędko, nie patrząc pod nogi, zwinnie poruszając się po rozmięklej leśnej ścieżce. Nie zwalniała tam, gdzie Jagoda musiała ostrożnie stawiać stopy na błocie lub zboczyć z dróżki, by nie wejść w rozległą kałużę.

– Kim ona, do cholery, jest? – spytała cicho Caleba, który też zwolnił. Może zmagał się z podobnymi problemami, co Jagoda, a może tylko nie chciał zostawić jej w tyle.

– Zależy, o co pytasz.

– O jej magię. Spędziła ostatnie dwadzieścia lat w buszu czy to czary, że jeszcze nie padła na twarz w tym błocie?

– Właściwie jedno i drugie. Moc Eleanore i Erin jest po części związana z ziemią, chociaż u obu różnie się objawia... i u Erin to dużo bardziej wyraźne, jest typową maginką ziemi – odparł Blythe. Chwila wahania, niezbyt szybkie wypowiedzenie słów wskazywały na to, że zastanawiał się, ile powiedzieć albo w jaki sposób to wyjaśnić. – Lubi las, ale to chyba też część jej magii.

– Chyba?

– Sam nie jestem pewien.

– Ma powody, by mnie szczególnie nie cierpieć?

– Ellie? Nie, ona jest... hm, kolczasta. Właściwie chyba całkiem cię polubiła. Powinnaś widzieć, jak kąsa, gdy w pobliżu pojawia się Tom. Musiałaś zrobić wrażenie, skoro ci uwierzyła i pojechała aż do babki – stwierdził Caleb, zniżając głos jeszcze bardziej, by czarodziejka go nie usłyszała. – Naprawdę zamierzasz pytać mnie o nią, a nie o ducha Jacoba, jego klątwy, Thomasa czy wszystko, o czym rozmawialiśmy w bibliotece?

Przygryzła wargę i przestąpiła kolejną kałużę. Miał trochę racji. Tyle że, po pierwsze, nie chciała mu jej przyznać, po drugie, była ciekawa, a po trzecie wreszcie... ci wszyscy ludzie, ich magia, charaktery, to, co tutaj robili, nie miałyby znaczenia, gdyby przybyła zdjąć zwykłe przekleństwo. Jeżeli jednak miała mieszkać z nimi przez minimum kilkanaście dni, sprawa przedstawiała się inaczej.

– Tak. Lane twierdzi, że zatrudniasz ją w Madainn ùr.

– Większość osób, z którymi obecnie mieszkamy, to oficjalnie moi pracownicy.

A nieoficjalnie? – zastanowiła się.

– O co w tym wszystkim chodzi? Zatrudniłeś ich do zdjęcia tej klątwy?

– Skąd to pytanie?

– Demonolog. Przynajmniej dwie maginie bojowe. Specjalista od zabezpieczeń. Magini żywiołu ziemi... To nie brzmi jak ekipa przeciętnej magicznej firmy.

Obróciła się, żeby na niego spojrzeć, ale uśmiechnął się do niej tylko uprzejmym, niewiele zdradzającym uśmiechem. Niczego nie zdołała wyczytać z jego twarzy.

– Lubię, kiedy pracują dla mnie utalentowani magowie. Obecnie Madainn ùr, poza produkcją tych przeklętych lamp, specjalizuje się w zabezpieczeniach i ochronie na szeroką skalę, więc zapewniam cię, że talenty każdego z nich są przydatne dla firmy.

– Oni są tą „pewną grupą, do której należysz”?

– Tak. Czy ty nagrywałaś każde moje słowo?

– O czym rozmawialiście w bibliotece? – spytała, ignorując pytanie.

Oczywiście, że zapamiętywała wszystko, co powiedział jej Caleb. Zazwyczaj ich rozmowy toczyły się przy takich okazjach, kiedy musiała szukać w jego słowach drugiego dna, upewniać, że Blythe nie płacze się w zeznaniach, wyławiać z nich drobne wskazówki.

I była niemal pewna, że on postępował tak samo. Analizował wszystko, co mówiła. Co gorsza, miał o niej na pewno więcej informacji niż ona na jego temat.

– Więc jednak chcesz wiedzieć?

– I jaki rytuał planujesz? Jak ma wyglądać jego przebieg? Na ile jesteś pewny, że wyjdzie? Na ile to niebezpieczne?

– Zadałaś znacznie więcej niż trzy pytania – zauważył, a w jego głosie po raz pierwszy dziś zabrzmiało

coś na kształt rozbawienia.

– Przeczytałam kontrakt. Zleceniodawca i zleceniobiorca zobowiązują się do niezatajania informacji mogących wpłynąć na bezpieczeństwo drugiej strony umowy lub których ukrycie może uniemożliwić dopełnienie innych warunków kontraktu... i tak dalej, i tak dalej.

– Wiedziałem, że tego pożałuję – westchnął Caleb, zrównując się z nią, gdy wyszli z lasu i zaczęli wspinać się po grząskiej, kamienistej ziemi. – Lane wspomniał, że chcesz z nami iść. Jesteś pewna? Minęły lata, a ciało poddano działaniu tyłu zaklęć, że nie znajdziesz nawet cienia jego własnej magii.

Domyślała się tego. Szansa była nikła, mimo to Jagoda trwała w swoim uporze. Każda droga, jaką widziała przed sobą, dawała tylko tę nikłą szansę powodzenia. Mniej niż jeden procent.

Może jeśli spróbuje stu i jeden sposobów, w końcu któryś coś jej da.

– Dusza może wydzielać resztki aury.

Pokręcił tylko głową, jakby zrezygnowany.

– W to wątpię. Ale ogólne szanse powodzenia przywołania są duże. Jeżeli ten rytuał nie podziała, to żaden nie podziała.

– Jak bardzo jest nielegalny?

– Bardzo – przyznał Blythe bez oporów. – Samo przywołanie nie łamie prawa, ale spętanie duszy już owszem. Podobnie jak stosowanie demonicznej esencji i wykopywanie ciała, co niestety będzie konieczne. Zapytam jeszcze raz. Jesteś pewna, że chcesz brać w tym udział?

– Tak – odparła z naciskiem, chociaż tak naprawdę nie była pewna. Pomijając już nieprzyjemność obserwowania całego rytuału, jeśli Scotland Yard coś wyniucha, wszyscy uczestnicy wpadną w kłopoty. Chociaż ona miała być tylko świadkiem. Sama robiła już gorsze rzeczy, jak choćby obrócenie w proch ciała ofiary morderstwa, zanim na miejsce przyjechali funkcjonariusze.

Niestety, w przypadku Jacoba to nie miałyby szansy zadziałać. Upłynęło za wiele czasu i przy ciele użyto zbyt dużej ilości magii.

– Nie będę opisywać ci dokładnego przebiegu rytuału, ale jeżeli obawiasz się ofiar, to nie, nikogo nie będziemy mordować. Niebezpieczeństwo jest niewielkie, a grozi wyłącznie mnie i naszemu medium. Cel... zamierzamy spętać ducha Jacoba w ciele – wyliczył Caleb. – Czy to ci wystarczy?

– Może naoglądałam się nazbyt wielu seriali, ale czy tu nie powiewa ci czerwona flaga? – spytała. Nie była pewna, czy dreszcze, które przebiegły jej po kręgosłupie, zostały wywołane przez zimny wiatr czy myśl o duchu Reda uwięzionym w ciele martwym od lat. – Bardzo bym nie chciała, aby skończyło się wskrzeszeniem złego czarnoksiężnika.

– Za dużo seriali i gier – przytaknął. – Nie. Nie istnieje taka możliwość. Ta magia nie działa w ten sposób.

– A magia klątw nie działa tak, jak to opisujecie – wytknęła, zerkając na niego z ukosa.

Kąciki ust Blythe'a drgnęły, jakby próbował stłumić uśmiech.

– Dlatego na wszelki wypadek zadbałem o kilka dodatkowych zabezpieczeń. Nie po to pozbyłem się mojego mistrza, żeby pozwolić mu wrócić. Przyspiesz, proszę, Eleanore już stoi pod wejściem.

Eleanore faktycznie na nich czekała, oparta o jedno ze skrzydeł drzwi. Drugie zdążyła uchylić, zdjęła też część zabezpieczeń. Gdy się zbliżyli, bez słowa weszła do środka. Ochronna bariera nie reagowała nie tylko na nią, lecz także na Caleba, bo przestąpił próg w ślad za czarodziejką, a potem wyciągnął dłoń do Jagody. Eleanore już zniknęła w przejściu do opustoszałej sali, którą odwiedziły wcześniej. Caleb pociągnął wiedźmę za nią, dopiero w wejściu puścił jej rękę. Eleanore klęczała przed kominkiem i oglądała pustą miseczkę.

– Zostawiłaś dla niego mleko? – zdumiała się Jagoda, a Eleanore spojrzała na nią z niezbyt przyjemnym uśmiechem.

– Poprosiłam, aby Erin przygotowała specjalny podarek – powiedziała czarodziejka, po czym przyłożyła palec do ust.

Jagoda nieco nerwowo rozejrzała się dookoła. Brownie faktycznie mógł ich podsłuchiwać. Prawdopodobnie to robił. Lepiej, aby nie dowiedział się zawczasu, co dla niego szykują.

Najwyraźniej Eleanore doprawiła czymś mleko. A według opowieści to był jeden z najprostszych sposobów na zdenerwowanie tych istot. Wątpliwe jednak, aby zaserwowała im skwaśniałe specjały albo krwi mocz, jak w jednej z bajek. Czy próbowała otruć brownie?

– Chciałabym tylko zauważyć, że brownie są prawdopodobnie bardzo silne. Nasza trójka może nie

wystarczyć.

– Nie planuję przecież z nim walczyć – parsknęła Eleanore.

Wyciągnęła z torby kredę i zaczęła kreślić skomplikowany krąg. Znaki nic Jagodzie nie mówiły. Mogła tylko stwierdzić, że ani nie był to krąg ochronny, ani nie służył do medytacji i wzmacniania mocy. W milczeniu obserwowała, jak po nakreśleniu zewnętrznych linii Eleanore zaczyna wypełniać runami także środek okręgu. Miała chęć wyciągnąć komórkę i zrobić temu złożonemu rysunkowi zdjęcie, nie była jednak pewna, jak zareagowałby jej towarzysz.

– Blythe, użycz odrobiny mocy – poprosiła Eleanore, gdy skończyła. Zużyła niemal całą kredę, a choć rysowała szybko i pewnie, procedura zajęła dobre kilkanaście minut. Niebo za oknami nabierało granatowej barwy, do pomieszczenia wkradała się ciemność. – Szybko, zaraz zmierzch.

– To ma znaczenie? – wyrwało się Jagodzie, kiedy Caleb przykląkł i zaczął nasycać znaki magią.

– W momentach „pomiędzy” łatwiej odprawić niektóre rytuały. Zmierzch to moment między dniem a nocą – wyjaśnił Blythe.

Runy załśniły, ich moc sprawiła, że Jagoda odruchowo cofnęła się o krok. Po chwili jednak wygaśły, a wlana w nie magia uspokoiła się i wskutek wszystkich ochronnych zaklęć i obecności magicznych przedmiotów w budynku stała się niewyczuwalna. Wiedźma nie wątpiła jednak, że energia została tylko zamaskowana, nigdzie nie odeszła. Czymkolwiek był ten krąg, miał ogromną moc.

Eleanore też przyklęła i zaczęła recytować zaklęcie. Nie był to ani angielski, ani łacina, Jagoda władała nimi biegle, ani jeszcze starszy język, często używany do inkantacji, dziś już niemal niemożliwy do przetłumaczenia, którego może by nie pojęła, ale który by przynajmniej rozpoznała. Magia znów wypełniła krąg, rozchodziła się wokół, wnikała w podłogę, ściany, sufit. Jagoda pokryła się gęsią skórą, włoski na karku się zjeżyły, palce mrowiły, zmysły alarmowały o zbyt dużym natężeniu magicznej energii.

Cokolwiek robiła Eleanore, okazało się skuteczne.

W środku kręgu zaiskrzyło i z nicości pojawiła się istota mniej więcej rozmiarów człowieka. Nie przypominała ani ubożęcia, ani Tadeusza. Owłosiona postać odziana w łachmany, ni to zwierzę, ni humanoid, mająca mniej więcej półtora metra wzrostu. Tam, gdzie włosy – czy raczej futro – były rzadsze, dało się dostrzec fragmenty brązowej skóry. Było jednak coś jeszcze. Od istoty emanowała wściekłość, mroczna energia, przez którą Jagoda nie potrafiła uwierzyć, że pochodziło z tej samej grupy stworzeń, co znane jej domowiki.

Brownie zaskrzeczało i rzuciło się ku Eleanore, lecz zostało odepchnięte przez niewidzialną barierę. Krąg przyzwania, rozumiała wiedźma. Prawdopodobnie.

– Odpowiesz nam na pytania i będziesz wolny. Masz moje słowo – powiedziała Eleanore, a skrzek istoty nasilił się, stawał się głośniejszy i głośniejszy, zdawał się dobiegać już nie z kręgu, lecz ze wszystkich stron, jakby to nie brownie, lecz same ściany wrzeszczały.

Jagoda odruchowo zasłoniła uszy, a klęcząca czarodziejka zaczęła coś szeptać. Runy znów załśniły, niewidzialna siła pociągnęła brownie w dół, przygwożdżając do podłogi. Eleanore podniosła głos, znów przemawiała w obcym języku. Może było to zaklęcie, a może tylko zwracała się do brownie, które na nią spojrzęło. Wyłupiaste, ciemne oczy wypełniała czysta nienawiść.

– Jacob Red! Czy przed śmiercią przygotowywał tu klątwę?! – zawołała Eleanore.

Brownie syknęło, zaczęło się szarpać, kręcąc głową, mamrocąc coś pod nosem. Znaki znów załśniły.

– Czeka! On może nie rozumieć, o co chodzi – wtrąciła się Jagoda. „Ja tam nie wiem”, powiedziało ubożę, gdy pytała, jakiej magii używał Caleb w domu Joanny... – Poprzedni pan tego zamku. Czy tuż przed tym... jak doszło tutaj do walki i jego ujęcia, przynosił do zamku przedmioty, zdjęcia, krew lub włosy, których używał do rzucania zaklęć? Do... niebezpiecznej magii?

Brownie przeniosło na nią spojrzenie. Złe, nieludzkie, pełne wściekłości. Podłoga zadrżała pod ich stopami, Eleanore warknęła coś, runy zaiskrzyły. Wstrząsy ustały.

– Tak!

– Co to były za przedmioty? – wyrzucił z siebie Caleb, podchodząc bliżej, na samą granicę kręgu. – Kiedy?

– Pierścień. Książeczka. Włosy. Zdjęcie. Krew. Palił włosy, krew...

– Gdzie?

– W podziemiach.

– Kiedy?!

– Dawno.

– Dokładnie – warknął Blythe, a Jagoda złapała go za przedramię i odciągnęła, bo już wyciągał ręce ku brownie, co Eleanore przyjęła ostrzegawczym okrzykiem.

– On nie wie! On nie mają takiego poczucia czasu jak my – powiedziała szybko. – Powiedz nam, proszę, czy to było tylko te pięć przedmiotów? Czy tkął czar tylko raz?

– Pięć rzeczy. Jeden czar po siedmiokroć.

– Klątwa? – wyrwało się Calebowi, ale brownie popatrzyło tylko na niego, trzęsąc się na całym obrośniętym futrem ciele, ze złości lub pod wpływem pętającej go magii.

– Kto był na zdjęciu? Widziałeś? Mężczyzna? Kobieta? Kilka osób?

– Mężczyzna.

– On? – spytała Jagoda, lekko pociągając za przedramię Caleba.

Brownie pokręciło głową. Jego sierść stanęła dęba jak naelektryzowana, znaki rozbłyskiwały raz po raz.

– Nie jasny. Ciemny.

– Ciemny? Z włosów? Skóry? Magii? – naciskał Blythe.

– Ciemny.

– Starszy? Młodszy?

– Nie wiem.

Podłoga znów zadrżała. Tym razem zaklęcie wypowiedziane przez Eleanore nie dało rezultatów.

– Widziałeś go tutaj wcześniej?

– Tak.

– Jak wyglądał pierścień? – spytała Jagoda.

– Czerwone oko... – mówił brownie, wyrzucał z siebie słowa powoli, coraz cichsze, tak że ostatnie ledwo usłyszała.

– Cholera – syknęła Eleanore. Jagoda dostrzegła, że dłonie czarodziejki, oparte niemal na granicy kręgu, trzęsą się jak w febrze. Z nosa kobiety spływał strumyczek krwi. – Zmiatajcie stąd!

– Jak miał na imię? – naciskał Caleb.

Ziemia pod ich stopami drżała coraz bardziej, coś trzasnęło i wzdłuż najbliższej ściany przebiegło pęknięcie. Runy zaczęły wygasać, kreda na niektórych z nich zniknęła, jakby starta niewidoczną gąbką.

– UCIEKAĆ, JUŻ! – zawyła Eleanore.

Sama uderzyła magią, nie w brownie, tylko żeby odepchnąć Blythe'a. Odbił zaklęcie, ale jakby go to otrzeźwiło. Oboje z Jagodą, przy akompaniamencie huków i trzasków, rzucili się ku wyjściu. Eleanore nie żartowała, gdy wspominała, że pewnie będą musieli stąd szybko uciekać. Wybiegli na zewnątrz, a ledwo sekundę po nich przez bramę wypadła Eleanore, szybko, w skoku, jakby niewidzialna siła znajdowała się tuż za nią. Straciła równowagę i potoczyła się po trawie.

Brama sama zatrzasnęła się za nimi, a zamek zgrzytnął i zaryglował wejście.

– W porządku? – spytał Caleb, pochylając się nad maginią.

Eleanore leżała na plecach, z trudem łapiąc oddech. Błądą twarz miała wysmarowaną krwią.

– Aha.

– Chyba właśnie stworzyliśmy boggarta – mruknęła Jagoda, zapatrzona w zamknięte wrota. Była więcej niż pewna, że żadne z nich nie powinno tutaj wracać.

– A chociaż pomogło to w czymś? – spytała Eleanore, unosząc się na łokciach. – Nie znam się na klątwach.

– Tak – odparł Caleb. – Jesteśmy już pewni, że przygotował tę klątwę wcześniej.

– To nie musiała być klątwa – zaprotestowała Jagoda. – Te składniki są idealne do klątw, ale też... do...

– ...niektórych zaklęć czarnomagicznych? – dokończył Blythe. – Jest ich niewiele i niemal żadnego nie rzucisz na odległość. Nie. Jacob utkał tu tę klątwę. Jedno zaklęcie, po siedmiokroć.

– Ale jeśli szykował tę klątwę dla większej liczby osób, powinien mieć rzeczy ich wszystkich. Poza tym nie mógł wtedy wiedzieć, kto będzie jego uzdrowicielem. Ani kto dokładnie weźmie udział w akcji – uświadomiła go z irytacją. – To mogło być zupełnie niezwiązane.

– Być może Jacob odkrył nowy, skuteczniejszy sposób na rzucanie klątw – powiedział Caleb sucho. Wyciągnął do Eleanore rękę, aby pomóc jej wstać. – Kto wie? Mógł nad tym pracować od lat.

– Świetnie – westchnęła Eleanore z sarkazmem. Otarła krew rękawem. – To co dalej?

– Pogawędka z duchem Jacoba – odparł Blythe, spoglądając na zamek, teraz znów cichy i spokojny. – A jeżeli to się nie uda, musimy znaleźć mężczyznę ze zdjęcia.



ROZDZIAŁ PIĄTY

W POGONI ZA DUCHAMI

Wracali z zamku już w ciemnościach, rozpraszanych tylko przez kulę światła Caleba. Szli wolno, bo Eleanore, wyczerpana po odprawieniu rytuału, nie poruszała się tak sprawnie jak wcześniej. Jagoda co chwilę się na nią oglądała, niepewna, czy czarodziejka zaraz nie padnie prosto w błoto. Zacięta mina towarzyszki sugerowała jednak, że nie przyjmie pomocy.

W domu światła płonęły w niemal wszystkich oknach. Kiedy weszli do salonu, przy długim stole siedziało mnóstwo osób. Jagoda rozpoznała Lane'a, Mayę, Evana i Marka, ale poza nimi była jeszcze ta niska szatynka, która mignęła jej wcześniej na korytarzu, i mężczyzna o tak jasnych włosach i cerze, że prawdopodobnie był albinosem. Przed sobą mieli talerze z resztkami kolacji.

– Udało się? – spytał Benett, a szatynka poderwała się zza stołu i podbiegła do Eleanore.

Czarodziejka odepchnęła wyciągnięte dłonie.

– Nic mi nie jest, Erin.

– Pewnie, że nic ci nie jest, to normalne, że wyglądasz jak coś, co pies wypluł na dywan. Chodź, przygotowałam dla ciebie mieszankę...

– Pójdę. Sama – mruknęła Eleanore, nie dając się podtrzymać.

Ich głosy cichły, w miarę jak się oddalały. Caleb tymczasem usiadł przy stole. Jagoda wciąż stała przy wejściu, niezdeterminowana, czy też powinna usiąść, czy może pójść na górę, by im nie przeszkadzać.

– Rzeczywiście, w zamku Jacoba mieszka brownie i Eleanore udało się go pochwycić – powiedział Blythe. Na jego słowa wybuchł niewielki tumult: Lane, Maya i Evan zaczęli mówić jednocześnie, aż Uczeń Czarnoksiężnika uniósł ręce i podniósł głos, żeby ich uciszyć. – Chwila! Może najpierw wszystko opowiem, a potem pytania?

Obejrzał się na Jagodę i odsunął krzesło obok siebie. Gdy siadała, Maya zmierzyła ją niechętnym spojrzeniem, ale cała reszta wpatrywała się w Caleba, który zaczął relacjonować wizytę w zamku.

– Poprawcie mnie, jeśli się mylę, ale czy przypadkiem przedmiotów użytych do rzucenia klątwy nie należy odpowiednio traktować? Przynajmniej dopóki klątwa pozostaje aktywna? – spytał Benett.

Przed oczyma Jagody stanęło nadgryzione jabłko, toczące się po podłodze. I szkatułka, zapieczętowana zaklęciem, zakopana przed progiem domu w enklawie: szkatułka zawierająca życie i śmierć Zbigniewa Potockiego. Powoli, lecz nieuchronnie popychająca go ku tej drugiej.

– Nie zawsze, ale w przypadku czaru rzuconego z użyciem rzeczy opisanych przez brownie... owszem – przytaknął Caleb. – W zależności od klątwy powinny zostać zniszczone, zachowane przez rzucającego przekleństwo i w niektórych wypadkach używane do podtrzymywania przekleństwa albo podrzucone ofierze.

– Zniszczenie możemy wykluczyć – mruknęła cicho Jagoda, spuszczać wzrok na własne dłonie. – Jeśli czar był morderczy i miał zadziałać w przyszłości, ich unicestwienie anulowałoby klątwę.

– Ani w zamku, ani w domu rodzinnym Redów nie znaleziono niczego, co odpowiadałoby opisowi – stwierdził Blythe z namysłem.

– Co nie znaczy, że tego tam nie było – wtrącił Marek. – Nawet jeśli prawie rozebraliśmy te budynki, coś mogło nam umknąć.

– Poza tym nie szukaliśmy konkretnie tych przedmiotów – przyznał Caleb, a potem, ku pewnemu zaskoczeniu Jagody, spojrzał pytająco na Benetta. – Lane?

– Być może istnieje sposób na ustalenie, czy znajdują się w zamku, albo na przyjrzenie się tej fotografii – powiedział Lane powoli, z zastanowieniem. Zdjął z nosa okulary i czyścił je rękawem, zapatrzony w przestrzeń. – Każda metoda będzie obciążona ryzykiem niepowodzenia, ale sporządzę listę.

– Będą wymagały przygotowań? – spytała Maya.

– Owszem, chociaż żadnych przekraczających nasze możliwości. Tyle że potrzebuję trochę czasu, zresztą lepiej... dać brownie parę dni na uspokojenie – powiedział Benett, znów zakładając okulary na nos. – Czy będę jeszcze potrzebny? Jeśli nie, od razu wezmę się do pracy.

– Właściwie wszystko, co istotne, omówiliśmy wcześniej – stwierdził Caleb. – Została tylko jedna sprawa. Większość z was już kojarzy Jagodę, ale dla formalności: Jagoda Wilczek, specjalistka od klątw. Jaga, nie miałaś jeszcze okazji poznać Aideny. Jest medium, prowadzi własną działalność i przyjął zlecenie na przeprowadzenie rytuału.

Blady, białowłosy chłopak uśmiechnął się do niej. Dopiero teraz, gdy zwrócił na nią spojrzenie, dostrzegła barwę jego oczu: jasnoczerwoną, odcinającą się od bladej cery i białych rzęs. Jako jedyny nie odezwał się dotąd ani razu, teraz też zresztą tylko skinął jej głową. Postąpiła tak samo, czując się trochę

niezręcznie, niepewna, czy należało coś powiedzieć.

– Za Eleanore wyszła Erin, która zna się trochę na magii ziemi, ale jej prawdziwe talenty to zielarstwo i alchemia. Lane’a można uznać... za nasz mózg operacji.

Odruchowo spojrzała na Benetta. Zastanawiała się, czy nie miał żadnych szczególnych umiejętności magicznych, czy Caleb celowo nie chciał, aby je poznała. Bo zebrał tutaj całkiem utalentowaną i zróżnicowaną grupę. To tylko potwierdzało, że jak paskudnym zadaniem musieli się mierzyć, skoro wszyscy znaleźli się w tym domu.

– Jakies pytania?

– Jedno? – ośmieliła się Jagoda.

Caleb zwrócił na nią spojrzenie. Uśmiechnął się półgębkiem, jakby w ten milczący sposób komentował to „tylko jedno pytanie”, ale nic nie powiedział.

– Jeżeli wasz plan się nie powiedzie, powinnam sprawdzić osoby, które może dotknąć klątwa. Jak najwięcej. Da się to załatwić?

– Prawdopodobnie. Część osób z listy mieszka zresztą w tym domu.

– Jeśli klątwa nas dotknie, Cale ją wyłapie – mruknęła Maya, wzduszając ramionami, jakby zupełnie nieprzejęta zagrożeniem.

– Mam nadzieję, że nie będziemy musieli tego sprawdzać – skwitował Blythe. – Coś jeszcze?

– Chciałabym coś omówić na osobności – poprosiła Maya. – Znajdziesz chwilę?

– Dobrze. Aha, Lane, przypomnij, proszę, Eleanore i Erin, by jutro nie używały magii. W nocy będziemy potrzebować dużo mocy.

*

Na cmentarz wyprawili się dopiero po dwudziestej drugiej, gdy szanse na spotkanie przypadkowych przechodniów zmaleły. W szóstkę: poza Jagodą i Calebem w grupie znaleźli się także Aiden, Eleanore, Marek oraz Erin. Zaskoczył ją brak Benetta i Mayi, taki wybór jednak musiał być czymś podyktowany i postanowiła zapytać o to później.

Ciało Jacoba Reda spoczęło w samym rogu cmentarza w Rainharbour, w nieoznakowanym grobie. Nie było pomnika, krzyża, nazwiska, jedynie kamienny prostokąt wyznaczający mogiłę. Miało to utrudnić znalezienie miejsca spoczynku Reda i jego wrogom, i tym szaleńcom, którzy go podziwiali. Kiedy Marek i Caleb usunęli trochę ziemi, okazało się, że przysypaną część kamiennego obramowania gęsto pokrywają runy. Jagoda nie rozpoznała większości z nich, ale te kilka znajomych znaków sprawiło, że zaczęła się zastanawiać, czego obawiali się ci, którzy zadbali o pochówek. Że ktoś spróbuje wykopać ciało – jak planowała ich grupa – czy że Red powstanie z grobu?

Marek, specjalista od zabezpieczeń, złamał ochronny krąg w kilka minut. Caleb usunął kolejny czar, doskonale zamaskowany, z taką łatwością, że Jagoda zaczęła podejrzewać, iż sam go tutaj zostawił w przeszłości. Potem do pracy wzięła się Erin. Maginka przyklękała i przesunęła dłonią po ziemi, a ta zaczęła drżeć, rozchodzić się na boki, posłuszna woli czarownicy, aż wreszcie odsłoniła trumnę. Przy pochówku naprawdę niczego nie zaniedbano: na oko Jagody trumna została wykonana z jesionu i również pokryta ją ochronnymi symbolami. Gdy Erin wyciągnęła dłonie, ziemia znów odpowiedziała na wezwanie. Zadrżała pod nimi, po czym powoli wyniosła trumnę pod ich stopy. Eleanore, Marek, Caleb i Aiden w bladym blasku magicznego światła od razu zabrali się do kreślenia znaków na kamiennym niskim murku otaczającym grób i do szeptania zaklęć. Każde zaczęło w innym punkcie, a potem przesuwali się zgodnie z ruchem wskazówek zegara.

– Lepiej usiądź, trochę im to zajmie – mruknęła Erin, po czym odeszła kawałek, by bezceremonialnie przysiąc na jednym z grobów. – Nie patrz tak na mnie, ten jest jeszcze pusty. Nasza sąsiadka chciała się upewnić, że będzie miała ładny nagrobek. To dla niej bardzo ważne.

– Co oni robią? – spytała Jagoda po chwili wahania, zajmując miejsce obok czarownicy. – Rozpoznają krąg ochronny... ale reszta...

Znajome były tylko runy, które naniósł Marek. Krąg ochronny był na tyle zaawansowany, że sama nie potrafiłaby go postawić i nasycić magią. Wyglądało na to, że każdy tka osobny czar, nie mogła jednak odgadnąć ich przeznaczenia.

– Marek zabezpiecza, żeby nasz zombie nigdzie nie wylazł. Aiden przygotowuje krąg przyzwania.

Eleanore szykuje czar na wypadek, gdyby coś poszło nie tak. W razie czego spopieli wszystko w kręgu, czy będzie to ciało, duch, czy zombie. A Caleb... wszystko to wzmacnia.

– Często to robicie? To znaczy przywołujecie duchy?

– Tylko raz do roku.

– Poważnie?

– Tak i nie. Tego konkretnego próbowaliśmy przyzwać już trzy razy, ostatni raz jakiś rok temu – wyjaśniła Erin. – A raczej oni próbowali, bo ja ciało wyciągałam im dotąd tylko raz. Jestem tu, żeby się tym zająć... i tak na wszelki wypadek, gdyby ktoś zemdleł.

Trzy nieskuteczne przyzwania. Mina Jagody musiała wyrażać powątpiewanie, bo Erin obdarzyła ją wymuszonym uśmiechem.

– Przy zwykłym seansie, jeśli duch nie chce się pojawić, a ma wolę silniejszą od przywołującego, przywołanie kończy się niepowodzeniem. Dlatego dwa pierwsze nie wypaliły. Przynajmniej tak mówi Aiden. Za trzecim razem zabraliśmy się do tego na cmentarzu i podobno zaklęcia rzucone na ciało oraz grób mogły utrudnić sprawę. Ten rytuał, który odprawiamy teraz, ponoć jest najskuteczniejszy. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent szans powodzenia – wyjaśniła. Mówiła cicho, ale teraz, zadając kolejne pytanie, zniżyła głos jeszcze bardziej. – Skąd znasz Cale'a?

– Nie powiedział wam?

– Chcę skonfrontować jego wersję z twoją. Och nie, znowu to spojrzenie. Nie podziela na mnie, Eleanore zawsze tego próbuje – zapewniła Erin. Chociaż wyglądała na ładnych parę lat starszą od Soni, jej zachowanie jakoś przypominało Jagodzie uczennicę. Przez twarz dziewczyny przebiegł uśmiech, który jednak szybko znikł.

– Twierdzi, że jesteście starymi znajomymi i pomogłaś mu... w sprawie Dana.

– Znałaś Daniela?

– Wszyscy go znaleźliśmy – mruknęła Erin, odwracając wzrok.

Mdły, błękitnawy blask zagrał na jej twarzy, sprawiając, że wydawała się trupioblada. Jagoda przygryzła wargę, opuściła głowę i spojrzała na własne buty. Niby wiedziała, że Daniel kiedyś przyjaźnił się z Blythe'em, ale nigdy nie poświęciła tej sprawie głębszej myśli. Dla niej MacClone był tylko potworem. Słowa Erin uświadomiły jej, że dla osób stąd był kimś znacznie więcej.

– Kiedyś się znaleźliśmy. Potem nie mieliśmy kontaktu przez lata – podkreśliła, podobnie jak Erin szeptem. Zerknęła przy tym na pracujących magów, a konkretnie Blythe'a, choć przecież nie dzieliła się z maginią żadnymi sekretami. Głupio jej jednak było rozmawiać o nim tuż za jego plecami. – Jakiś czas temu poprosiłam Caleba o informacje, a potem w Warszawie pojawili się on i MacClone.

– Cale... niezbyt chciał o tym mówić – powiedziała Erin, jakby ostrożnie.

Jagoda pomyślała, że to do niego pasowało. Przynajmniej przekonała się, że nie tylko wobec niej posługiwał się niedopowiedzeniami.

Być może po części to stąd wynikała nieufność tych ludzi. Wiedzieli, że była zaangażowana w śmierć Daniela, a milczenie Blythe'a dawało pole do domysłów.

– Chciał mnie zabić. MacClone – wyjaśniła. Domyślała się, że temat może być dla Erin trudny, ale sama zaczęła. – Omal nie dorwał mojej uczennicy. Ja i Caleb współpracowaliśmy. Pomogłam przy złapaniu MacClone'a. To właściwie wszystko.

– A rok temu pomogłaś w podziemiach. Wiem od Mayi. – Erin znów na nią spojrzała z pewnym zastanowieniem. W końcu pociągnęła temat. – Słuchaj... ona cię nie lubi. Uważaj na nią, okej? Maya bywa... emocjonalna.

– Widzieliśmy się przez góra pięć minut i zamieniłyśmy dwa zdania.

– Jej tyle wystarczy, aby kogoś pokochać albo zniechęcić.

Świetnie. Zniechęciła ją magini bojowa, z którą musiała chwilowo mieszkać. Jagoda odnosiła dziwne wrażenie, że tam, gdzie Caleb milczał, wywołując różne domysły, Maya co nieco o niej opowiedziała także reszcie grupy, i niekoniecznie były to słowa pochlebne. Na szczęście wyglądało na to, że panna Donnelly postanowiła wyrobić sobie własne zdanie, skoro zachowywała się uprzejmie i nawet ją ostrzegała.

– Nie ma jej tu, bo ja się pojawiłam?

– Nie. Nie ma jej tu, bo nie zbliżyłaby się do Reda, obojętnie, martwego czy żywego – odparła Erin i wyraźnie spochmurniała.

Jagodę kusilo, by spytac o powód, nie zrobila tego jednak. Czesci historii mogla sie domyslec. Kobieta o imieniu Maya znajdowala sie na liście potencjalnych ofiar klątwy. O ile w przypadku niektórych osób – zwłaszcza dotychczasowych ofiar – zamieszczono szczególowe informacje o ich powiazaniach z Redem, o tyle przy niej znalazla sie tylko krótka notatka. Zeznawala przeciwko niemu.

W zadnych artykulach i ksiązkach na temat procesu, do których wiedzma sie dokopala, ani razu nie padlo imię Maya, jej zeznania albo tozsamosc zostaly wiec utajnione.

– W czym dokładnie specjalizuje sie Maya?

– Typowe zaklęcia ofensywne.

– Jak dobra jest?

Erin zawahala sie, ale w koncu wzruszyla ramionami.

– Niezla. Naprawde niezla. Uczyla ja matka, Japonka, zna wiec sporo zaklęć, które u nas raczej nie sa popularne. Duzo mocy, ale mniej niz maja Caleb i Eleanore. I prawde mówiac, ona nie bardzo lubi walczyć.

– Nie lubi walczyć, a polowala na demony?

– Koniecznie chciala zastapic Eleanore na tym wyjeździe. Nie pytaj mnie czemu.

– Dzieki.

– Za?

– Ostrzezenie – wymamrotala.

Pewnie nie przyszlo ono Erin latwo, skoro tak dobrze znala sie z Maya.

Donelly wzruszyla ramionami.

– Nie znam cie, ale tez nie mam powodu do niecheci. Wiem, ze Maya czasem przesadza. I wolalabym, zebyście nie pobily sie na srodku mojego salonu.

Zamilkly obie, obserwujac, jak pozostali powoli koncza prace. Godzine zajely im obejście grobu i powrot na poczatkowe pozycje. Kiedy skonczyli, powietrze zdawalo sie wręcz gęste od magii. Aiden przyklakl przed trumna i wyciagnal z torby kielich, noz i jakies fiolki. Moze w jednej znajdowala sie demoniczna esencja? Caleb pochylil sie, odrzucil trumienne wieko, a potem cofnal, gdy z wnetrza uniosl sie pyl.

– Jezeli zyczysz sobie cos sprawdzac, to ostatni moment – powiedzial do Jagody.

Wiedzma wstala. Niechętnie, bo chociaz sama nalegala na to, by tu przyjsc, wzdrygala sie wewnetrznie na mysl o zajrzeniu do trumny. Nie miala wielkiego doswiadczenia z nieboszczykami. Nekromancja zdecydowanie jej nie interesowala. Zeby sie dowiedziec, czego moze sie spodziewac, poprzedniego wieczora poszukala jednak informacji w internecie. Po kilkunastu latach po cielem powinien pozostac glownie szkielet i resztki ubran. Sadzila, ze tak bylo lepiej, niz gdyby trup wciaz mial scięgna lub, co gorsza, skore i miesnie, ale i tak musiala sie mocno starac, aby zachowac kamienny wyraz twarzy, kiedy spojrzala na doczesne szczatki Jacoba Reda.

Jeśli mag byl potężny, echa jego magii zazwyczaj pozostawaly w cielem, nawet dlugo po smierci. A Jacob Red bez watpienia nalezal do najpotężniejszych magow ostatniego wieku. Jagoda nie zdziwilaby sie, gdyby nie potrafila wyczuc wiele, ale jezeli umarl, by swoim zyciem przypieczetowac klątwę, to jedno powinna wylapac: slabe pozostalosci aury przekleństwa. Nawet jezeli ciało zostalo starannie oczyszczone.

Bez względu jednak na to, jak dlugo pochylala sie nad trumna... nie czula niczego.

Grób promieniowal magia. Przed oczami kogos wprawionego w aurowidzeniu z pewnoscia mienily sie feeria barw. Ciało Reda bylo jednak tak niemagiczne, jak to tylko mozliwe.

– Czym traktowaliscie szczatki?

– Testy majace potwierdzic smierc i tozsamosc. Na wszelki wypadek... gdyby to bylo zaklęcie imitujace letarg podobny do smierci albo ciało podmieniono – zaczal wyliczac Caleb. – Czar petajacy, standardowy czar oczyszczajacy. Zaklęcia i runy chroniace grób.

Jagoda zmarszczyla czoło, po czym sie odsunela. Te wszystkie czary mogly utrudnic odczyt, ale powinna byc zdolna wyczuc... cos. Cokolwiek.

– Nic nie czujesz, prawda? – mruknel Blythe.

Jagoda pokręcila glowa.

– Mowilem. Ja tez nie – westchnal. – Ani Eleanore. Skoro nie wyczulasl aury klątwy, to tylko potwierdza, ze Jacob uzyl calej swojej magii przed smiercia. Kazdej jej drobiny.

– To niemozliwe.

– Sa rzeczy na niebie i ziemi, o których nie snilo sie magom – rzucila Eleanore. Nie wydawala sie

zaskoczona tym, że Jagoda niczego nie wyczuła. Jeżeli Caleb miał na to cień nadziei, ona najwyraźniej była od początku sceptycznie nastawiona. – Prawdopodobnie poświęcił dla tej klątwy i życie, i magię. Możemy zaczynać? Zimno tutaj.

– Odsuń się, proszę – rzucił Caleb.

Jagoda wycofała się z powrotem do Erin.

Poświęcił dla tej klątwy i życie, i magię?

Słowa rzucone przez Eleanore od niechcenia odbijały się echem w głowie Jagody.

Otrząsnęła się z zamyślenia, gdy poczuła, jak wokół Aideny narasta moc. Mężczyzna skropił czymś zwłoki, a potem rozpalil przed trumną ogień. Wrzucił do niego garść ziół, które zabarwiły płomień na sino, potem jakąś substancję z fiołki, a wreszcie przeciął sobie rękę, nasączył krwią szmatkę i ją również cisnął w płomień. Marek zaczął coś szeptać, prawdopodobnie zaklęcia ochronne. Świeżo umieszczone na nagrobku znaki zapłonęły, kiedy Caleb i Eleanore wyciągnęli ku nim ręce. Z ust Aideny popłynęła łacińska inkantacja. Erin aż się wzdrygnęła i skuliła, gdy dotarła do nich wyzwolona fala magii. Jagoda czuła, jak skóra mrowi ją w zetknięciu z energią zaklęć. Serce biło szaleńczo, a instynkt ostrzegał o niebezpieczeństwie i wzywał do ucieczki. Z trudem zmusiła się, by pozostać na miejscu.

Błękitny ogień, rozpalony przez Aideny, nie rozgrzewał. Mroził. Jagoda, skupiona na próbach pojęcia, jakiej magii dokładnie używano, dopiero po chwili zdała sobie sprawę z tego, że czuje chłód znacznie dotkliwszy niż jeszcze chwilę wcześniej. Gdy wypuściła powietrze z płuc, jej oddech zamienił się w parę. Spojrzała w dół: szron pokrył ziemię, sięgnął do stóp jej i Erin. Odruchowo uniosła nogi i podciągnęła je na pomnik, na którym siedziały. Sam grób Reda i obszar najbliższej ogniska pokrywał lód. Grobowa magia wysysała ciepło z otoczenia. Eleanore objęła się ramionami, wciąż trwając jednak na miejscu i karmiąc znaki mocą. Marek trząsał się tak, że Jagoda mogła dostrzec to nawet w półmroku.

Głos Aideny stawał się coraz głośniejszy, gdy wyśpiewywał słowa wypełnione mocą.

Był to chyba najpotężniejszy magiczny rytuał, jaki widziała. Po dwóch, może trzech minutach pieśń medium zaczęła jednak cichnąć, magia powoli opadała. Ogień wygasł, a znaki płonące na kamieniu jasnymi barwami zblakły. Marek jęknął i usiadł wprost na trawie. Eleanore zaklęła, wycofując się, odchodząc od zamrożonego grobu, przy którym wciąż musiało panować trudne do zniesienia zimno. Między jej dłońmi zapłonęła niewielka kula ognia.

Caleb pochylił się ku Aidenowi, który wciąż klęczał. Chłopak oparł się dłońmi o ziemię, z trudem chwycił oddech. Na jasnych włosach Caleba i białej czuprynie Aideny osiadł szron. Jagoda nie słyszała, o czym rozmawiali przyciszonymi głosami, ale mogła się tego mniej więcej domyślić.

Trzy lata przygotowań, polowania na demony, zgromadzenie paru silnych magów o rzadkich talentach, cała ta wyzwolona magia – wszystko na darmo.

Rytuał się nie powiódł.

*

Szron topniał na włosach i płaszczach magów, gdy opuszczali cmentarz. Na Eleanore, Aidenie, Calebie i Marku wciąż ciążyła pozostałość użytej mocy: ślad nekromanckiej magii ciągnął się za nimi, tak silny, że Jagoda nawet nie musiała się wysilać, by go dostrzec. Wręcz przysłaniał naturalne kolory aur. Była pewna, że rytuał nie tylko wyczerpał ich z zasobów magicznej energii, lecz także wyczerpał psychicznie i fizycznie. Nawet ona marzła w chłodną wiosenną noc, a oni próbowali sięgnąć ku zaświatom. Marek przeklinał cicho pod nosem, wciąż trzęsąc się z zimna. Eleanore szła ponura, odpowiadała półsłówkami na pytania Erin, a Aiden włócił się ze spuszczoną głową, skulony. Caleb zdawał się spokojny, ale Jagoda przeczuwała, że ten spokój to tylko pozór.

Eleanore wpadła do domu jako pierwsza i wymruczała pod nosem coś o gorącym prysznicu. Marek wszedł do środka zaraz za nią. Głośno oznajmił, że zaklepuje łazienkę na parterze. Jagoda miała zamiar wejść do środka za Erin i Aidenem, obejrzała się jednak i przekonała, że Blythe nie wybiera się z nimi. Zamiast tego szedł przez ogród, depcząc cenne rabaty Erin, na których jeszcze nie zdążyły dobrze wyrosnąć rośliny.

Absolutnie genialne postępowanie po stosowaniu magii, która wysysała z ciała ciepło i energię, a także prawdopodobnie rzutowała na umysł.

Mimo rytuału prawdopodobieństwo tego, że Blythe skończy nieprzytomny wśród krzaków, było raczej niewielkie. Jeśli zasoby magiczne przeciętnego maga porównać do wiadra z wodą, on najpewniej miał do

dyspozycji całe jezioro. Istniał jednak ten jeden procent szans na to, że Caleb zaraz wpadnie nosem w rabatkę. Stracili masę energii i wyziębili ciała. Tkwiła więc przez chwilę przed drzwiami, niezdecydowana, nim wreszcie ruszyła w ślad za nim. Musiał usłyszeć jej kroki, a może tylko wyczuł jej magię, bo zatrzymał się przy rogu budynku.

Zgasił magiczną kulę, w której blasku wędrowali tu z cmentarza. Jedynym źródłem światła były teraz okna domu i w półmroku widziała tylko zarys jego sylwetki. Na płaszczu i włosach Caleba wciąż lśniły krople wody. Chłodny wiatr sprawiał, że Jagoda odruchowo się kuliła, szarpał jej włosy i szalik, Blythe musiał więc marznąć podwójnie. W nozdrza wdzierał się zapach mokrej ziemi i czegoś jeszcze, trudnej do opisania woni nocnego ogrodu, który nie zdążył na dobre przebudzić się do życia.

– Jeśli chcesz rozmawiać o dalszych krokach, jutro po południu Lane przedstawi listę – powiedział Caleb, nie odwracając się.

– Chciałam tylko powiedzieć, że powinieneś się ogrzać – mruknęła.

– Oferujesz się z pomocą?

Gdyby miała być szczerą sama ze sobą, musiałyby w duchu przyznać, że owszem, może i byłaby zainteresowana. Powstrzymywało ją jednak mnóstwo rzeczy: począwszy od tego, że to skomplikowałoby jej pobyt tutaj, przez przebywanie w domu pełnym obcych ludzi, aż po pewność, że jego zainteresowanie przynajmniej po części wynikało z wyrachowania.

Poza tym to pytanie raczej stanowiło próbę odstraszenia jej albo żart w złym guście niż propozycję. A nawet jeżeli nią było, to wybitnie niegrzecznie wyrażoną.

Zduśliła w sobie ripostę. Nie miała zamiaru przerzucać się z nim złośliwościami. Nie w takiej sytuacji.

– Nie. Sugeruję wejście do środka, kąpiel albo koc, zanim padniesz nieprzytomny. Ale jeżeli wolisz zostać sam, to naprawdę rozumiem. Nie musisz zachowywać się jak palant, żeby się mnie pozbyć.

Obróciła się, by odejść, jednak zanim zdążyła zrobić dwa kroki, Caleb dogonił ją i złapał za rękaw.

– Przepraszam. Jestem wściekły, ale to nie ma nic wspólnego z tobą.

Irytacja, jaką przez chwilę czuła, niemal natychmiast opadła. Nie chodziło przecież tylko o ten jeden rytuał ani nawet o trzy lata starań, które go poprzedzały. O szukanie potężnego medium, składników do zaklęcia, łowienie demonów i wcześniejsze nieudane próby. Gdyby się im powiodło, wiedzieliby, co zrobił Jacob Red. Mogliby zdjąć klątwę. W tej chwili Caleb i niemal wszyscy w tym domu wciąż byli zagrożeni. Jagoda nie wierzyła, że zdołają osiągnąć cel, ale kiedy spojrzała z bliska na znękaną twarz Blythe'a, pojęła, że on wiązał z rytuałem ogromne nadzieje.

Wszystko inne, włącznie ze ściągnięciem tutaj jej, stanowiło plan zapasowy.

Kiedy to nad głową Jagody i jej bliskich wisiał taki miecz Damoklesa, też niekoniecznie była uprzejma.

– W porządku. Rozumiem.

– Jutro możesz sprawdzić aury Eleanore, Mayi i Lane'a.

– Tak zrobię. Chociaż... sprawdzałam Doherty'ego – powiedziała po chwili wahania. To nie była najlepsza pora na dyskusowanie o tej sprawie: po północy, w ciemnościach ogrodu, gdy Caleb musiał być wyczerpany. Sam jednak poruszył sprawę. – Nic nie widzę.

Jeszcze kilkanaście dni temu stwierdziłaby, że jeżeli nie wyczuwa śladów klątwy, to tej nie ma. Pobyt tutaj i ciągłe wysłuchiwanie, że gdy chodzi o Jacoba Reda, nic nie jest pewne, zachwiały tym przekonaniem.

– Elijah wyczuł, że umiera. Jeśli klątwa się uaktywni, będziesz o tym wiedzieć. Poznanie ich aur wcześniej to ułatwi.

– Sądzisz, że ty ją wyczujesz?

Zawahał się nad odpowiedzią.

– Prawdopodobnie. Ale wtedy może być już za późno – mruknął. – Dlatego mam tu ciebie, prawda?

– Wcale nie chcesz, żebym próbowała złamać tę klątwę – odgadła.

Nagle stało się jasne, dlaczego nie sprowadził jej wcześniej. Nie tylko dlatego, że wierzył w powodzenie rytuału, po którym nie byłaby już potrzebna. Nie bez powodu nie zachwyciło go, że pojechała gdzieś z Dohertym, mieszając się w śledztwo. Celem zgromadzenia tylu ludzi w jednym miejscu też niekoniecznie było ułatwienie koordynacji działań, a przynajmniej nie tylko to.

Nie miała złamać klątwy, lecz dopilnować, że jego ludzie przeżyją, jeśli ta na nich spadnie.

– Chcę, żeby została zdjęta. Ale oboje wiemy, że do tego któreś z nas musi mieć z nią kontakt, a i wtedy może się nie udać. Będzie lepiej, jeśli na początek skupisz się... na pilnowaniu tu zgromadzonych.

– Aha.

Znów odwróciła się, żeby odejść, jego palce jednak, wciąż zaciśnięte na rękawie Jagody, zamknęły się mocniej. Nie patrzyła na Caleba: nie chciała, by wyczytał złość z jej twarzy. Musiał jednak się tej domysleć, a może wyłapał drgnięcie w głosie, bo powiedział:

– Nie chodzi o to, że nie wierzę w twoje umiejętności, w porządku?

Niemal zgrzytnęła zębami, walcząc z narastającą wściekłością, bo nie, nie było w porządku i zupełnie nie pojmował, o co chodzi. Powtarzała sobie, że nie ma ku temu powodów, przecież to było zlecenie jak każde inne, a poza Blythe'em nie znała dobrze nikogo, kto byłby zagrożony.

Ale potem przed oczyma stanęła jej twarz Thomasa, jego uśmiech, a w uszach rozbrzmiało wspomnienie o żonie i słowa o tym, że jego i Caleba łączyły długoletnia współpraca oraz więzy przyjaźni. Chyba w to wierzył, naiwny człowiek, nieświadom, że Blythe tak łatwo spisał na straty jego i wszystkich innych. Że od początku nie zamierzał nawet pozwolić Jagodzie, żeby spróbowała zrobić coś więcej... A może Doherty to wiedział albo przynajmniej się domyślał? Może dlatego wetknął jej tę wizytówkę?

Gdzieś w głowie Jagody krążyła myśl, że pewnie równie prosto skreśliłby i ją. Znali się przecież dużo słabiej niż on i Thomas Doherty.

Zrobię, co w mojej mocy, aby zdjąć tę klątwę, przyrzekła mu tamtej strasznej nocy i magia ją pętała, a nawet gdyby tak nie było, to pozostawały też jej słowa, których nie rzucała na wiatr. Nawet jeżeli Blythe nigdy nie chciał, aby ich dotrzymała. A może chodziło o coś jeszcze innego? Wszak sam był i będzie w niebezpieczeństwie, rok po roku, aż lista skurczy się, aż nikt na niej nie zostanie... Czy może wierzył, że jeśli klątwa uaktywni się na nim, zdoła ją wykryć i zdjąć odpowiednio wcześniej? Odetchnęła, starając się odzyskać spokój. Miała za sobą ciężki wieczór, ciężki dzień, ciężkie dni, i rozsądek podpowiadał, że mogła nadinterpretować. Pod wpływem zmęczenia i stresu nadmiernie ulegać emocjom, patrzeć na wszystko ze złej strony. Rozum to wiedział, lecz nie potrafiła stłumić irytacji.

– Belladona? – Pochylił się ku niej na tyle blisko, że jego oddech łaskotał jej ucho i czuła jego zapach. Pachniał deszczem i czymś, co przywodziło jej na myśl morze. Przesunął palce na jej nadgarstek i mimowolnie drgnęła, bo skórę miał lodowatą, jakby całe ciepło uciekło z jego ciała wraz z magią. – Jeśli ktoś może zdjąć tę klątwę, to ty, ale... to może okazać się niemożliwe.

Nie o to chodzi, kretynie, chciała powiedzieć, tyle że to przecież nie miało znaczenia. Kątem oka wyłapała też ruch przy jednym z okien, drganie firanki, ciemniejszą sylwetkę, gdy zgasło tam światło. Ktoś ich obserwował.

– Każdą klątwę można zdjąć – stwierdziła beznamiętnie; pierwsza zasada tej magii, prawo, któremu na pewno musiał podporządkować się nawet Jacob Red. Obróciła rękę tak, by wyzwolić ją z uścisku palców Ucznia Czarnoksiężnika. – Chodźmy do środka. Marznę.

Ruszyła w stronę wejścia. Tym razem Caleb jej nie zatrzymywał, a ona nie obejrzała się, by sprawdzić, czy idzie za nią.

*

Rano Jagoda wstała dość późno, choć i tak jako jedna z pierwszych. Rytuał zebrał swoje żniwo i nikt z czwórki, która brała w nim bezpośredni udział, nie pokazał się na dole przed południem. Aiden opuścił dom niedługo potem – wywiązał się z kontraktu i najwyraźniej albo nie był dłużej potrzebny, albo jako niezagrożony klątwą nie musiał pozostawać z resztą pod jednym dachem. Koło drugiej Lane poprosił Jagodę, aby przyszła do biblioteki, gdzie zaczęła sprawdzać kolejno resztę mieszkańców.

Eleanore, z aurą pełną zieleni i czerwieni, władająca mocami, których natury Jagoda nie potrafiła się domyślić. Maya – jej magia przywodziła na myśl moce Mariusza Olchy, choć trochę słabsze. Czarodziejka podczas całej procedury nie odezwała się ani razu i patrzyła na Jagodę z niechęcią w oczach. Marek, specjalista od osłon i magii obronnej: na podstawie samej aury wiedźma nie rozpoznałaby natury jego umiejętności, gdyby ta nie przywoływała ulotnego wspomnienia Wawrzyńca. Nie była może identyczna, ale na tyle podobna, że po sprawdzeniu maga odczekała kwadrans, zanim poprosiła do biblioteki Lane'a.

On miał albo bardzo mało mocy, albo tak wiele, że potrafił bez trudu ją ukrywać. Wyczuwała jednak klątwę, która go oplatała, i odgadła jej przeznaczenie: czar wiążący. Chciała spytać, czy powinna ją złamać, coś ją jednak powstrzymało. Może świadomość, że choć przekleństwo było potężne – na tyle mocne, że potrzebowałyby pewnie paru godzin, aby przygotować się do jego zdjęcia, i mogłaby polec za pierwszym

razem – to Caleb prawdopodobnie również mógłby mu sprostac? A może myśl, że to on je rzucił? Nie rozpoznawała wzoru, tak naprawdę jednak nigdy nie miała okazji widzieć, aby Blythe rzucał jakąś klątwę, i nie mogła być pewna, że od razu odkryje jego autorstwo.

Na końcu zjawił się Evan. I u niego nie znalazła śladów przekleństwa, tylko odrobinę czerni, która znikła, kiedy próbowała się jej przyjrzeć. Porzuciła próby zbadania jej natury, bo nie była to magia klątw, lecz coś innego – coś, co podpowiadało, że przed Evanem należy mieć się na baczności. Być może wykwalifikowany aurowidz mógłby to rozpoznać. Jagoda nie potrafiła i, tak naprawdę, wolała nie wiedzieć.

Caleb nie przyszedł. Zastanawiała się przez chwilę, czy próbował jej unikać, czy może w jego aurze więcej było czerni podobnej tej, jaką został naznaczony Evan, i nie chciał ryzykować, że za bardzo się odsłoni. Tylko czy to by coś zmieniło? Właściwie nie. Chociaż sama Jagoda nie nosiła jeszcze w aurze ciemnych pasm, to nie była dobrą wróżką z bajki. Była wiedźmą i na rękach miała już dość krwi, nawet jeżeli nie użyła czarnej magii, aby zabić. W ostatnich latach przesuwiała własne granice coraz dalej i dalej i przerażało ją, że staje się to coraz łatwiejsze.

Jagoda wyszła z domu pod wieczór. Nikt jej nie zatrzymał ani nawet nie spytał, dokąd idzie, choć po drodze minęła i Benetta, i Evana, i Eleanore. Bariery osłaniające posiadłość także ją przepuściły. Skierowała się najpierw w stronę lasu, znaną już sobie ścieżką, a potem okrążyła wzgórze, kierując się na nadmorski brzeg. Mury i baszty odcinały się na tle bezchmurnego nieba i tego dnia zamek wyglądał bardziej jak siedziba czarodzieja z baśni niż złego czarnoksiężnika. Kolejny element gry pozorów Jacoba Reda.

Z dala od morza niemal nie wiało, tutaj jednak, na szczycie klifów, bryza niosła ze sobą zapach morza i wodorostów. Woda tego wieczora miała niebieską barwę, a fale pojawiały się dopiero przy samym brzegu, rozbijając się o skały. Jagoda usiadła na omszałym kamieniu i zamknęła oczy. Wdychała wilgotne powietrze, wsłuchiwała się w dźwięki morza. Dręczyła ją myśl, że gdyby przyszła tu jedenaście lat temu, pewnie nigdy nie wróciłaby do domu. Chociaż kto wie? Jacob Red starannie dobierał swoje ofiary. Niemagicznych żebraków, narkomanów, prostytutki. Z czarodziejów zaś najchętniej kobiety, głównie turystki albo imigrantki, krótko przebywające w Anglii, albo młode, samotne dziewczyny szukające zatrudnienia. Później, dużo później, gdy odnaleziono kilka ciał, okazało się, że część z nich starała się o pracę w Madainn ūr. Same dostarczyły wszystkie potrzebne informacje. Ba, może nawet spotkały się z Redem na osobności, by porozmawiać o pracy...

Podjęła już decyzję. Przynajmniej tak myślała, gdy wychodziła z domu. Gdy jednak sięgnęła po telefon, nie od razu wybrała numer. Znow walczyła sama ze sobą, bo z jednej strony naprawdę chciała zdjąć tę klątwę. Z drugiej – po raz kolejny uczestniczyła w grze, której reguły nie do końca знаła, podobnie jak motywację pozostałych graczy. Każdy ruch mógł być błędem.

Poza tym Caleb nie będzie zadowolony.

Zduśla tę myśl, wystukując na telefonie numer z wizytówki.

– Jagoda Wilcak – przywitał się Thomas Doherty. Odebrał zaledwie po dwóch sygnałach. – W czym mogę służyć?

– Właściwie to ja chciałam zadać to pytanie – odparła. – Czym ja mogłabym służyć, gdybym przyjęła ofertę współpracy?

– Przede wszystkim rozmową z Jeane. Poza tym sprawdzeniem kilku osób, które wydają się najbardziej... prawdopodobnym celem ataków.

– Nie boi się pan, że będę szpiegować dla Caleba?

– Niezbyt – odparł Thomas bez wahania. – Znam go od lat. Na pewno i tak ma kogoś w naszej jednostce.

Nie potwierdziła, choć pomyślała, że to bardzo prawdopodobne. „Miał” kogoś nawet w WMM w Warszawie. Pieniądze, które odziedziczył po nauczycielu, otworzyły przed nim bardzo wiele drzwi.

– A Michael Thunderbird? Nie będzie robił problemów?

Tym razem Doherty milczał dłużej. Jagoda go nie poganiała. Obserwowała morze, choć ta przedłużająca się cisza była oznaką, że oto pojawiła się kolejna nowa reguła w grze, której ona nie rozumie. Wpadła w sieć powiązań, sekretów i kłamstw, oplatały ją na podobieństwo pajęczej sieci, a ona nie potrafiła zobaczyć, gdzie czai się pająk. Byłoby łatwiej, gdyby mogła zaufać Calebowi. Chciała mu zaufać. Ale nawet jeżeli nie planował okłamywać jej celowo, zbyt wiele rzeczy pozostawało niedopowiedzianych, aby mogła to po prostu zaakceptować.

- Postaram się tym zająć.
- W takim wypadku spotkam się z Jeanette Brown.
- Nie martwi się pani, co na to powie Caleb?
- Zatrudnił mnie do konkretnego zlecenia. Nie może kontrolować, z kim i kiedy rozmawiam.

Po drugiej stronie znów zapadła cisza. Gdy Thomas wreszcie się odezwał, mówił powoli, jakby starannie ważył każde słowo.

- Powinna być pani ostrożna. Caleb nie lubi, gdy jego... współpracownicy mają przed nim tajemnice.
- Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma – odparowała, bo tak, doskonale wiedziała, że Blythe pewnie się wścieknie, a chociaż jeszcze do tego nie doszło, już irytowała się na samą myśl. – Nie jestem jego niewolnicą, poza tym sama mu powiem, że mam zamiar skontaktować się z Jeanette.

Caleb mógł być utalentowany w magii klątw, ale Jagoda była pewna, że ma braki w wiedzy. Uczył się pod okiem jej babki jako nastolatek i na pewno nie ukończył pełnego kursu. Celował w zbyt wielu dziedzinach magii, aby mógł się później skupiać tylko na klątwach. Jeanette Brown w tej sztuce prawdopodobnie dorównywała mu mocą, a na pewno przerastała wiedzą. I studiowała tę sprawę od lat.

- Zdoła pani przyjechać do Donlonu, czy my mamy pojawić się w Rainharbour?
 - Nie mam pojęcia, jak się tam stąd dostać.
 - W takim razie proszę dać mi godzinę. Skontaktuję się i podam czas i miejsce. Być może po panią przyjadę. Tak byłoby najlepiej. Mogłaby pani od razu... sprawdzić jedną albo dwie aury.
 - Czekam na telefon.
 - Gdyby pojawiły się problemy...
 - Nie pojawią się – odparła zdecydowanie, choć w istocie wcale nie była tego pewna.
- Thomas chyba też wątpił w jej słowa, bo westchnął ciężko.
- W takim razie do usłyszenia.

Rozłączył się, a ona jeszcze przez chwilę siedziała na kamieniu, nim chłód i ciemniejące powoli niebo nie wyгнаły jej z wybrzeża. Nie chciała wracać do domu sióstr Donnelly: nie mogła poczuć się tam swobodnie ani bezpiecznie. Poza tym po powrocie musiała podjąć decyzję, co i w jaki sposób powiedzieć Calebowi. Nie mogła nie zadzwonić do Thomasa, ani też krzyć, że to zrobiła – za łatwo mogło to wyjść na jaw, powodując tylko jeszcze większe niesnaski.

Od lat uważała się za samotniczkę, ale teraz, gdy szła ku obcemu domowi pełnemu obcych ludzi, tęskniła nie tylko za własnym mieszkaniem, lecz także za tymi, których znała i po których mniej więcej wiedziała, czego się spodziewać. Za siostrą, Iga, bratem i Sonią, ba, nawet za Jeremiaszem i za babką, choć do niedawna to ostatnie nie wydawało się jej możliwe. Być może chodziło o to, że nawet jeżeli zwykle nie zwracała się do nich po pomoc, gdzieś zawsze towarzyszyło jej przekonanie, że mogłaby to zrobić w razie potrzeby.

Tutaj była sama. A Rainharbour, dom Donnelych i Donlon były miejscami tylko trochę mniej obcymi niż druga strona lustra. Nie rozumiała tutejszych stosunków, reguł gry ani nawet magii. Jeżeli sytuacja w Warszawie, gdzie jej życie nagle się zmieniło, gdzie toczyły się gierki polityczne, a wspomnienie wszystkich ofiar demona nawiedzało sny, ją przerastała, to ta tutaj zaczynała powoli dusić.

- Czyżbyś zwiedzała okolicę, Belladona?

Gdy przestąpiła bramę, od strony altany dobiegł podniesiony głos Caleba. Gdy spojrzała w tamtym kierunku, dostrzegła, że Uczeń Czarnoksiężnika na wpół siedzi, na wpół leży na jednej z ław i spogląda w jej kierunku. Ruszyła ku niemu dopiero po chwili, z ociąganiem. Nie mogła oprzeć się myśli, że Blythe doskonale wie, dokąd poszła, z kim rozmawiała i że czeka tutaj mimo chłodu i późnej pory właśnie z tego powodu. A chociaż zamierzała mu o tym powiedzieć – nie planowała wymykać się stąd ukradkiem, niby nastolatka na spotkanie z chłopcem nieakceptowanym przez matkę – czuła się tak, jakby przyłapano ją na czymś nagannym.

Nie weszła do altany. Zatrzymała się w wejściu, pozwalając, by przedzielał ich stół. Caleb patrzył na nią w milczeniu, czekał na odpowiedź. Jagoda przez chwilę obracała w głowie różne wersje tej odpowiedzi, prawdy i półprawdy, wyjaśnienia, usprawiedliwienia i oskarżenia... by w końcu wybrać słowa najbardziej lakoniczne, za to dokładnie opisujące sytuację.

- Zadzwońłam do Thomasa Doherty'ego. Jutro spotykam się z Jeannette Brown.
- Potrzebujesz podwózki do Donlonu?

Udało mu się zbić ją z tropu. Spodziewała się różnych reakcji: od pytań i prób przekonania, by zmieniła

zdanie, przez mniejszy lub większy wybuch złości, aż po zakazanie jej tego spotkania. Jeżeli jednak go zirytowała, to tego po sobie nie pokazała.

Nie zdawał się zaskoczony. Albo dokładnie się tego spodziewał, albo jakoś zdołał podsłuchać rozmowę.

– Nie masz nic przeciwko?

– A gdybym miał, to by coś zmieniło?

– Nie wiem – przyznała, wzruszając ramionami. – Wysłuchałabym twoich argumentów.

– Już je znasz, ale proszę, mogę powtórzyć. Thomasowi może teraz bardziej zależeć na wydobyciu z ciebie informacji niż na zdjęciu klątwy. Jeanette nie powie ci niczego, czego nie powiedziała mnie. Donlon to nie miejsce dla ciebie, a Scotland Yard to nie wasze WMM, ma... bardzo szerokie uprawnienia i możesz łatwo wpakować się w coś, czego nie rozumiesz. Zwłaszcza że tutaj nie ochroni cię twoja rodzina. Czy to cię przekonuje?

– Nie.

Obdarzył ją uśmiechem. Bładym, jakby zmęczonym.

– W takim razie pozostaje mi tylko pojechać z tobą. Nie mogę cię tu zamknąć, Jago, nawet jeżeli miałbym ochotę.

– To miło z twojej strony – mruknęła i po chwili wahania opadła na ławkę naprzeciwko niego.

Zakłęcie rozgrzewające sprawiało, że temperatura w altanie była odrobinę wyższa. Z ulgą oparła zmarznięte dłonie na ciepłym drewnie.

– To nie jest miłe. To pragmatyczne. Thomas wie, że tu jesteś. Pewnie powiedziałaś też rodzinie. Nie chcę potem pozwu od twojej babki. Dlatego daj mi znać, na którą masz tam być, i pojedziemy razem – odparł i znów nie umiała odgadnąć, czy mówił poważnie.

Czy powstrzymywała go tylko obawa przed koneksjami rodziny Wilczków, czy i tak by jej tu nie uwięził? Wciąż nie potrafiła rozsądzić, kim naprawdę był Caleb Blythe i po której stronie stał. Jego obraz nie malował się ani bielą, ani czernią, i to wiedziała doskonale, ale nie umiała zdecydować, czy w tej szarości więcej jest jasnych, czy ciemnych odcieni. Jak blisko było mu do Jacoba Reda?

Jak blisko było mu do jej prababki?

Czasem zachowywał się jak sympatyczny chłopak i wtedy można było niemal zapomnieć, jak jest niebezpieczny i przebiegły.

Czasem zdawał się wręcz próbować o tym przypominać, jakby chciał uchodzić za jeszcze gorszego niż jest rzeczywistości. Jak w tej chwili.

Była pewna, że i jedno, i drugie zachowanie trochę pokazywało to, kim był naprawdę, a trochę wynikało z chłodnej kalkulacji, ale nie potrafiła wskazać, gdzie przebiegała linia podziału.

– Zamknąłbyś mnie tutaj, gdybyś nie musiał bać się konsekwencji? – spytała w końcu i chyba tym razem to ona zaskoczyła go szczerym pytaniem, bo brwi powędrowały mu lekko w górę. Jakby te słowa zdziwiły go bardziej niż to, że za jego plecami knuła z Thomasem Dohertym.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Nie pytałabym, gdyby było inaczej.

– Jeśli uznalibyśmy, że tak będzie najbezpieczniej, i nie widział innego, dobrego wyjścia – stwierdził.

Wyraz twarzy miał poważny i tym razem Jagoda czuła, że mówił szczerze.

I on dziwił się, że miała problemy z zaufaniem. Jak mogło być inaczej, skoro czasem był po prostu Calebem, by chwilę później przypomnieć, że jest też Uczniem Czarnoksiężnika?

Jagoda na moment mocniej zacisnęła palce na brzegu ławki, ale czar rozgrzewający nie mógł przepłoszyć chłodu, jaki ją ogarnął.

– Wiesz co, Caleb? – spytała i się podniosła. Ostatnie słowa wypowiedziała, już wychodząc z altany, bo nie miała ochoty zostawać w niej ani chwili dłużej. – Jestem pewna, że moja prababka też tak sądziła, zamykając cię w enklawie. Że nie ma innego wyjścia.

*

Kolejny dzień był pogodny, niemal wiosenny, choć do początku kalendarzowej wiosny wciąż zostało kilka dni. Caleb nie mówił wiele, kiedy wsiadali do auta, i milczał prawie całą drogę do Donlonu, a ona też nie próbowała go wciągać w rozmowę. Trochę dlatego, że było jej wstyd, bo czuła, że nie powinna porównywać

go do swojej prababki: nie, gdy sama tak bardzo nienawidziła tych porównań. Trochę dlatego, że znów była zmęczona i niewyspana. Tego ranka obudziła się bardzo wcześnie, prześladowana uczuciem niepokoju, którego źródła nie umiała pojąć, gdy balansowała na granicy jawy i snu. Dopiero po chwili w jej głowie zaczęła tłuc się myśl – zostało tylko pięć dni – i wraz z nią w gardle urosła gula, a wiedźma zwinęła się pod okryciem i zacisnęła powieki. Wiedziała, że nie powinno jej to tak poruszać. To przecież było zlecenie, zlecenie jak każde inne, a nawet jeżeli ktoś umrze, nie zawali się świat, nie ucierpi wielu niewinnych, ba, prawdopodobnie osoba, której sięgnie klątwa, to będzie ktoś, kogo nigdy nie poznała i nigdy nie miała poznać. A jednak obietnica, że zrobi wszystko, co potrafi, rzuciła na ramiona Jagody ciężar odpowiedzialności, i to nie tylko ten magiczny. Poza tym to był dopiero początek. Widmo Jacoba Reda, wspomnienie jego zamku, wszystkie tajemnice Caleba, tworzyły sieć, która oplatała ją niepokojem. I wreszcie było pytanie: co w przypadku, jeżeli ofiarą nie będzie ktoś nieznan, jeśli to będzie Thomas, Eleanore albo Caleb? Jeśli umrą, bo ona zawiedzie, nie sprostają zadaniu, nie dostrzeże w aurze zaczątków przekleństwa, nim spowije ono duszę i ciało, wypije z nich wszystkie siły?

O ile niebo nad Londynem było błękitne, o tyle nad budynkami Donlonu snuły się chmury, przysłaniając słońce. Za dnia Jagoda miała szansę uważniej przyrzeć się okolicy, podobnej i jednocześnie niepodobnej do niemagicznego Londynu, lecz także warszawskiej enklawy. Dopiero teraz zauważyła, że niektóre budynki może i wyglądały jak odbicia tych, jakie dało się zobaczyć po drugiej stronie... ale były to odbicia powstałe dawno temu: tak domy te musiały wyglądać pięćdziesiąt czy sto lat wstecz. Nigdzie, jak okiem sięgnąć, nie widać było niczego, co przypominałoby nowszą architekturę.

– To miejsce zastygło w czasie? – wyrwało się jej.

Przerwała ciszę po raz pierwszy, odkąd wjechali do miasta.

– Nie. Skąd ten pomysł?

– Wydaje się... inne niż niemagiczny Londyn?

– Bo jest inne – przyznał Caleb, skręcając w uliczkę. – Jego twórcy prawdopodobnie wzięli sobie za wzór niemagiczny Londyn, ale potem... miasta zaczęły się rozjeżdżać. Z jednej strony, robiono tu pewne rzeczy, których nie robiono tam, i odwrotnie. Z drugiej, magia działa tutaj nieprzewidywalnie.

– Na przykład?

– Budynki same zaczynają się zmieniać, aby przypominać te po drugiej stronie. Ale tylko niektóre z nich. Są i takie, które istnieją tylko tu.

Przypomniały się jej słowa Doherty'ego. „Londyn i Anglia kojarzą się ludziom z mgłą, więc jakoś wpływa to na tutejszą magię i w konsekwencji pogodę”. Może to też tłumaczono tą teorią: jeśli dostateczna liczba ludzi utożsamiała jakieś miejsca i ich wygląd z Londynem, wpływało to na odpowiedniki tych miejsc w Donlonie. Zaczynała rozumieć, dlaczego Thomas mówił, że mieszkają tutaj tylko szaleńcy. Warszawska enklawa była po prostu kilkoma magicznymi dzielnicami, częścią miasta, do której nie każdy miał dostęp. Ta londyńska zdawała się żywym, kapryśnym organizmem.

– Doherty mówił, że... na Donlon wpływa to, w jaki sposób ludzie postrzegają Londyn.

– To jedna z opcji. Osobiście uważam, że magowie, którzy tworzyli tę enklawę, rzucili potężne zaklęcie powielające część obszarów miasta. Jego moc trwała później, już słabsza, i sprawiała, że to miejsce zmieniało się samoistnie... a teraz pozostały już po niej okruchy. Dlatego oba miasta idą coraz mocniej we własne strony, ale dalej mają punkty wspólne.

– Co się stanie, kiedy moc czaru całkiem się wyczerpie?

Caleb nie odpowiedział od razu, zajęty parkowaniem w ciasnej uliczce. W pobliżu znajdowała się ta sama kamienica, w której Jagoda była już z Dohertym: Blythe nalegał, aby spotkała się z Jeanette na neutralnym gruncie, a ona się zgodziła. Wciąż w pamięci miała to, co powiedział o szerokich uprawnieniach Scotland Yardu. Nie chciała znów skończyć w jakiejś celi.

– Zdaniem większości nic. Po prostu tutejsza magia stanie się bardziej przewidywalna.

– A twoim?

– Ostatnio zadajesz strasznie dużo pytań, Jaga – westchnął Caleb. – Nie wiesz, że czarnoksiężnicy nie odpowiadają na nie za darmo? Poza tym co z tradycją trzech pytań?

Przez ułamek sekundy było jej prawie głupio i rozłościła się o to bardziej na siebie niż na niego. Kiedyś owszem, bardzo pilnowała, by nie pytać za wiele: zwłaszcza że nie wszystkie odpowiedzi chciała usłyszeć i nie była pewna, czy lepsze poznanie Caleba to dobry pomysł. Ale sam ją przecież tu ściągnął, do

zupełnie obcego miejsca, w którym musiała się jakoś odnaleźć, więc chyba naturalne było, że zadawała pytania...

– Myślałam, że jesteś tylko Uczniem Czarnoksiężnika, nie czarnoksiężnikiem.

– Nie, nie myślałaś tak – sprostował.

Otworzyła usta, by zaprzeczyć, nie zrobiła tego jednak, bo uświadomiła sobie, że właściwie miał rację. Przynajmniej do pewnego stopnia.

– Moim zdaniem pewnego dnia Donlon może zostać odcięty od niemagicznego świata, a ci, którzy tu przebywają, zostaną uwięzieni... Nie patrz tak na mnie, to na pewno nie zdarzy się dziś, jutro, w tym roku ani nawet w tej dekadzie. Leć. Brown nie lubi czekać.

Jego zapewnienie nie do końca ją uspokajało. Była pewna, że myśl o utknięciu w Donlonie na dobre zagości w jej głowie i nie zagna spokoju, póki go nie opuszczą.

– Sądziłam, że też chcesz iść.

Wzruszył ramionami.

– Nie, chcę tylko, żeby Doherty wiedział, że jestem tu z tobą, i niczego nie kombinował. A jeżeli faktycznie jest cokolwiek, czego Jeanette nie powiedziała mi, a mogłaby powiedzieć tobie, to nie przekaże tego w mojej obecności. Poza tym nie mam jej nic do powiedzenia i chyba nie chcę słuchać tego, co ona miałaby ochotę powiedzieć mi.

– Caleb...

– Aha?

– Czy ty się jej boisz?

Kąciki ust Blythe'a lekko drgnęły.

– Skorzystam z prawa do zachowania milczenia.

Jagoda uśmiechnęła się mimowolnie, a potem wysiadła z samochodu, by ruszyć do kawiarni. Umówili się w południe, zaledwie pół godziny po otwarciu lokalu, więc sala świeciła pustkami i wiedźma szybko wypatrzyła Jeanette. Siedziała przy stoliku w kącie. Sama, choć Jagoda sądziła, że będzie towarzyszył jej Doherty.

Brown skończyła pięćdziesiątkę, ale jak większość potężnych magów – a Jeanette była potężna, miała talent nie tylko do klątw, lecz również niezłe radziła sobie z uzdrawianiem – wyglądała na znacznie młodszą. Niemal nie zmieniła się od ich ostatniego spotkania. Ani nawet od pierwszego, na egzaminach Jagody. Podobnie jak wtedy rude włosy, w których nie znać było śladów siwizny, zebrała w ciasny kok. Miała na sobie elegancki, jasny kostium, na jej nadgarstku połyskiwał zegarek – bez wątplenia drogi – a na szyi nosiła wisior z okiem proroka wpisanym w srebrny trójkąt. Dyskretny makijaż dopełniał całości. Ubiór, uczesanie, dodatki, wszystko wysyłało jasny komunikat: ta kobieta ma pieniądze, styl i pozycję.

Jagoda, która związała kręcone włosy w byle jaki kucyk, nie umalowała się i założyła dzinsy oraz wymiętą koszulę w kratę, pomyślała, że jej wygląd pewnie też wysyła jakiś komunikat. Nie była tylko pewna jaki. Jeśli byłoby to „jestem zmęczona, nie mam chęci do życia i nie spakowałam do walizki niczego szczególnie eleganckiego, bo nie spodziewałam się oficjalnych okazji”, uznałaby go za całkiem trafiony.

– Pani Brown.

– Młoda Wilczek.

– Już nie jestem taka młoda – mruknęła Jagoda, siadając.

Gdy widziały się pierwszy raz, Wilczek ledwo zdążyła skończyć dziewiętnaście lat.

– Jesteś, ale z tej wady czas bardzo szybko cię wyleczy. Słyszałam, że zdjąłeś klątwę Ragnarfell.

– Tak.

Przez ułamek sekundy kusiło ją, by zapytać, co się stało z Rollinsami. Nie odezwała się jednak. Czasem lepiej było nie wiedzieć.

– Tym razem nie pójdzie tak łatwo – powiedziała Jeanette suchym tonem, choć ona nie zdołała zdjąć tamtego przekleństwa przez dwadzieścia pięć lat prób. I chociaż Jagoda zdecydowanie nie zgodziłaby się z tym, że „poszło jej łatwo”. – Tamto przekleństwo dało się przynajmniej wyczuć.

– Każde przekleństwo da się wyczuć.

– Grzeszyłaś zbyt pewnością siebie już dziesięć lat temu – stwierdziła Jeanette, po czym uniosła filiżankę do ust.

– Dzielimy ten grzech, pani Brown – odparowała Jagoda. – Elijah wyczuł klątwę.

– Zbyt późno.

– Chciała się pani ze mną spotkać, by mnie zniechęcić?

– Ależ skąd. Chciałam się z tobą spotkać, bo chociaż ty nie powinnaś mieć obsesji na punkcie Jacoba Reda – oświadczyła Brown, obdarzając przy tym Jagodę chłodnym uśmiechem. Upiła łyk herbaty, po czym wbiła uważne spojrzenie w twarz młodszej wiedźmy. – Wyczuwałam pozostałości kłątwy na ciałach. Znikome, niemal rozwiane. Nie wyczułam jej na tych samych ludziach kilka dni wcześniej.

– Ale, jeśli dobrze zrozumiałam informacje z dokumentacji... żadnego z nich nie spotkała pani w ciągu doby przed zgonem.

– Owszem. A ponieważ przed rokiem spędziłam ten czas na niemal nieustannym monitorowaniu najbardziej zagrożonych osób...

– ...ofiary zostały wytypowane na tej podstawie – dokończyła Jagoda, gdy Jeanette urwała. – Wydaje mi się mało prawdopodobne, aby nawet Jacob Red mógł wpisać w kłątwe takie założenia.

– Był najpotężniejszym magiem ostatniego stulecia, a może i tysiąclecia. Ale i on nie był wszechpotężny. Tak, nawet pierwotne i starożytne kłątwy nie działały w ten sposób.

Najwyraźniej Brown też przychyliła się do teorii tak stanowczo odrzucanej przez Doherty'ego oraz Caleba: poza Jacobem w sprawie maczał palce ktoś jeszcze. A jednak to nie ten element wypowiedzi Jeanette przyciągnął uwagę Jagody. Wiedźma utkwiała spojrzenie w filiżance – chyba wypełnionej herbatą z mlekiem, którą tak pogardzała Sonia – a słowa o „pierwotnych i starożytnych kłátwach” odbijały się w jej głowie.

Bo magia nie była niezmienna.

Tak jak kultury, mity, nauka, ona też funkcjonowała trochę inaczej w różnych regionach świata i w różnych okresach historii. Rozwijała się wraz ze społeczeństwami, a ludzie żyjący w innych warunkach zawsze zwracali uwagę na odmienne aspekty. Często powiązana z ziemią, przyrodą i religią, magia miała różne oblicza – zwłaszcza w przeszłości, zanim Ziemia skurczyła się, a magowie zaczęli emigrować i dzielić się wiedzą także online.

Pod pewnymi względami ta magia ewoluowała. Pod innymi – osłabła. Część wiedzy utracono. Część talentów przepadła, bo z jakichś powodów magowie, niegdyś nimi władający, rzadziej przychodzili na świat. Większość historyków magii była dość zgodna: kiedyś magów było mniej, za to pośród nich częściej zdarzały się naprawdę potężne jednostki.

Stare kłátwy...

– Jagodo?

– Przepraszam. Zamyśliłam się – wymruczała Jagoda. – Sądzi więc pani, że Jacob Red miał współnika?

– Przez rok forsowałam tę teorię, weryfikowaliśmy ją i niczego nie znaleźliśmy – przyznała Jeanette niechętnie. – Sprawdzone chyba wszystkich jego współpracowników, znajomych, nielicznych krewnych. Zaangażowano jasnowidzów i badaczy teorii magii. Diagnoza: to musiałby być ktoś z potencjałem, przynajmniej w dziedzinie kłátw, porównywalnym do Jacoba Reda. Scotland Yard przez parę miesięcy sprawdzał każdą jego byłą partnerkę pod kątem dzieci...

– Mógł nie chwalić się związkami.

– O tak – westchnęła Brown. – Ale po pierwsze, sprawdzono to bardzo dokładnie. Po drugie, nie miał wielu kobiet. Zaledwie kilka, z którymi spotykał się dłużej niż parę tygodni. Przelotnych znajomości jeszcze mniej. Po trzecie, udało się nam dotrzeć do uzdrowiciela, u którego leczył się jakieś czterdzieści lat temu. Jak się okazało, był bezpłodny i kuracja wtedy niewiele dała. Nie mamy dowodów na to, że udało się mu później to wyleczyć. I wreszcie większość z jego partnerek zginęła lub zaginęła.

– Zabijał... nie, nie powinno mnie to dziwić – powiedziała Jagoda, kręcąc głową. Nie znalazła na ten temat wzmianki ani w biografii Reda, ani w analizie jego zbrodni, musiał więc się dobrze maskować... Chociaż nie. W jednej z książek powstałej jeszcze przed jego aresztowaniem była informacja o tragicznie zmarłej narzeczonej, po której długo nosił żałobę. – Nikogo to nie zaniepokoiło? Znikające ukochane?

– Był sprytny, a wszystko działo się w dużych odstępach czasu. Gdybym miała powiedzieć, kto mógłby kontynuować taką kłátwę... prawdopodobnie mój nauczyciel, ale on zmarł dwadzieścia lat temu. Przez jakiś czas podejrzewałam Caleba, jego specjalizacja leży jednak gdzieś indziej. Być może ja, lecz jeśli miałabym być szczerą, wcale nie jestem tego pewna. Oraz ty, oczywiście.

Jagoda na końcu języka miała pytanie, co dokładnie Jeanette ma na myśli. Czy też domyślała się tego, czego ona sama tak długo nie odgadła – że w przypadku kłátw potrafi nagiąć prawa magii? Tak jak robił to

Red – z tym, że on umiał tego dokonać chyba w każdej możliwej dziedzinie magicznych sztuk. Powstrzymała się jednak, bo jeżeli Brown nie miała o tym pojęcia, to Wilczek bardzo nie chciała zmieniać stanu jej wiedzy.

– Nawet nie było mnie w kraju.

– Nie bądź głupia. Nie oskarżam cię o to – stwierdziła Jeanette z irytacją, machając przy tym dłonią, jakby odganiała natrętną muchę. – Chodzi mi o to, że ktoś zdolny do takiej magii po prostu ujawniłby się prędzej czy później. Nie mamy odpowiednich kandydatów.

– Świetnie. W takim razie nie syn, nie wspólnik, ale też nie kłątwa sama w sobie. Ciało Jacoba spoczywa w trumnie, co starannie sprawdzono... Jaką więc masz teorię?

– Wszystkie moje godne uwagi teorie sprawdzono już dawno – odparła Brown sucho. – Ale moim zdaniem kluczowa jest sprawa Anne Thunderbird, bliźniaczki Michaela, która umarła zamiast niego.

– To równie dobrze mogłaby mi pani powiedzieć przez telefon. Po co mnie tutaj ściągnięto? Tak naprawdę?

Jeanette sięgnęła do torebki. Jagoda zerknęła na nią przelotnie: logo znanej marki sugerowało, że sama ta torebka była warta więcej niż wszystko, co Wilczek miała przy sobie. Włącznie z gotówką w portfelu i dość drogimi okularami.

To, co Brown wyjęła z torby, było prawdopodobnie jeszcze droższe.

Niewielka szklana kulka. Znajoma.

– Wiesz, co to jest?

Jagoda powoli skinęła głową. Jeden z wynalazków Jacoba Reda. Podobno z gatunku tych „nieszkodliwych”. Dokładnie taką samą jakieś dziesięć miesięcy temu podarował jej na urodziny Caleb. Wraz z własnym wspomnieniem, przelany tak dokładnie, że widziała je jego oczami. Do tego służyły: pozwalały ze wszystkimi szczegółami przechować jedno wspomnienie. Chociaż jego przelanie do kuli nie należało do łatwych, w wielu przypadkach pomagało przy śledztwach...

– Zostało ich tylko szesnaście, a przynajmniej o tylu wiemy. Dwie posiada Scotland Yard i Tommy jedną z nich mi wypożyczył. – Jeanette wyciągnęła kulę ku Jagodzie.

Szesnaście. Nie spodziewała się, że są aż tak rzadkie. Zakładała, że to jeden z popularniejszych wynalazków Czerwonego Rozpruwacza...

– Czyje wspomnienie jest w środku?

– Moje, oczywiście. Z dnia, kiedy znalazłam Elijaha – poinformowała Brown.

Jagoda wzięła kulę, gładką i chłodną w dotyku, lekko emanującą magią. Serce wiedźmy mocniej zabiło, bo to było coś, na co powinna wpaść wcześniej. A jeżeli nie ona, to Caleb.

Ślady tej kławy szybko się rozwiewały. Blythe i Brown w większości przypadków mieli do czynienia tylko z nikłymi śladami aury. Raz jednak funkcjonariusze, a tuż za nimi Brown, dotarli na miejsce względnie szybko: gdy Elijah sam powiadomił Thomasa i Michaela.

Jagoda wcale nie musiała czekać, aż ktoś zginie, by móc na własnej skórze przekonać się, jak wyglądała kława. Oglądając wszystko oczyma Jeanette, nie miała wprawdzie szans zobaczyć nic ponad to, co już wyłapała Brown, ale mogła poznać echo kławy i dzięki temu potem będzie jej znacznie łatwiej ją zrozumieć. Może odnaleźć jej załączki.

– Na co czekasz? – pogoniła ją Jeanette i Jagoda zacisnęła palce, aż przeniknęły przez gładką powierzchnię, a potem...

...przekroczyła próg mieszkania. Elijah leżał na podłodze w przedpokoju: kława musiała go dopaść, gdy chciał wybiec na zewnątrz, może wołać sąsiadów o pomoc. Nie zdążył. Dwóch mężczyzn, funkcjonariusz oraz, sądząc po kitlu, magomedyk, pochylało się nad jego ciałem. W dłoniach policjanta popiskiwało cicho urządzenie do zbierania odczytów.

W mieszkaniu pachniało dymem i mocną kawą. Ponad głowami mężczyzn mogła zobaczyć wejście do kuchni, czarną plamę na podłodze, odłamki potłuczonego kubka, błyszczące w sztucznym świetle. Za oknami panował mrok.

– Mam nadzieję, że nie używaliście magii? – spytała ostro.

– Spokojnie, Jeane – z sąsiedniego pokoju dobiegł głos Michaela Thunderbirda. Kolejni funkcjonariusze kręcili się za jego plecami, przeszukując pewnie mieszkanie, zupełnie jakby to była zwykła

zbrodnie i spodziewali się, że znajdą ślady zostawione przez mordercę. – Byłem tu pierwszy. Żadnej magii.

– Żył jeszcze?

Przez twarz Thunderbirda przebiegł grymas.

– Wyzionął ducha w momencie, gdy tu wpadłem.

– Thomas już wie?

– Przed chwilą z nim rozmawiałem. – Michael odwrócił wzrok. – Wie, że nie zdążyliśmy. Zaraz tu będzie. Dziękuję, że przyjechałaś.

– Jutro dostaniesz rachunek – odpowiedziała opryskliwie, przyklękając przy ciebie.

Magomedyk i funkcjonariusz zwiali, jakby sama jej bliskość mogła sprawić, że spadnie na nich jakaś klątwa. Nie zwracała na nich więcej uwagi, całkowicie skupiona na ciebie.

Zamknęła oczy, a gdy je otworzyła, widziała już nie tylko nieruchome oczy Elijaha, twarz białą jak kreda, przedziwnie wysuszoną, jakby od dawna niedojadał. Były także plamy ciemności, wijące się po trupie, blednące jednak z każdą chwilą. Aura klątwy zanikała w błyskawicznym tempie, choć przecież pozostałość po czarnej magii powinna utrzymywać się znacznie dłużej...

– Cholerny Jacob Red – mruknął ktoś nad jej głową i uciszyła go pełnym irytacji syknięciem, bo gdy się rozproszyła, obraz na moment zamazał się przed oczyma.

Milczała przez chwilę, skupiając się na badaniu pozostałości po przekleństwie.

– To na pewno klątwa. Czarnomagiczna. Znam takie, które mogłyby dać podobne rezultaty, ale sama w sobie ich nie przypomina.

– Czy rzucił ją Rozpruwacz?

Głos Michaela pozornie był spokojny, jednak gdy uniosła ku niemu wzrok, dostrzegła, że jego twarz stężała w napięciu.

– Nie mam pewności. Umiał doskonale się maskować, ale... jest duże podobieństwo do innej klątwy, którą on utkał.

Magia uwolniła umysł Jagody, palce nie zagłębiały się już we wnętrzu kuli, a spoczywały na gładkiej powierzchni. Przez chwilę jeszcze kawiarnia i twarz Jeanette były niewyraźne, zamazane, jak oglądane przez zaparowaną szybę. Wciąż czuła zapach dymu i kawy: tej ostatniej, której Elijah nigdy nie zdążył wypić.

– Elijah wyczuł, że coś jest nie tak. Zdążył zadzwonić do Michaela, a potem do Thomasa – zrelacjonowała Brown beznamiętnie. – Michael był blisko i natychmiast do niego ruszył. Za nim medyk ze Scotland Yardu. Tommy był na drugim końcu miasta, ale powiadomił mnie.

– Ile to potrwało? Od pierwszego telefonu do chwili, gdy znalazł go komendant?

– Nie więcej niż dwadzieścia minut.

Dwadzieścia minut od chwili odkrycia klątwy do śmierci. Kolejnych kilkanaście na ulotnienie aury. Szybko. Zbyt szybko. To, co widziała Jeanette, było już przecież zaledwie bladym cieniem potężnego przekleństwa, które wyssało życie z Elijaha. A chodziło o specjalistę, który powinien zorientować się szybko i w dodatku na pewno walczył z przekleństwem. W Scotland Yardzie, nawet jeżeli faktycznie mieli iście legendarnego pecha do specjalistów od klątw – może kiedyś o stanowisko starał się jakiś Voldemort? – nie

zatrudniliby osoby bez pewnej wiedzy i umiejętności. Jagoda zmarszczyła brwi, próbując dopasować do siebie wszystkie elementy układanki, ale nie mogła oprzeć się wrażeniu, że niektóre z nich pochodzą z innego zestawu puzzli.

– Wie pani, co robił przedtem?

– Tommy sprawdził to w przypadku każdej osoby. Nie pamiętam wszystkiego dokładnie, ale Elijah niemal cały dzień kontrolował aury osób zagrożonych i większość czasu spędził z Michaeliem. Podejrzewaliśmy... że ten może być następny po swojej siostrze. Był już wyczerpany, a do siedziby Scotland Yardu właśnie jechał Caleb, by zająć jego miejsce, więc Elijaha odwieziono do mieszkania. Kilka godzin później nie żył.

– Wiadomo, czy wychodził w tym czasie z domu?

– Na parę minut. Prawdopodobnie do sklepu – powiedziała Jeanette. Słowa wypowiadała powoli i przyglądała się Jagodzie jeszcze uważniej. – Wymyśliłaś coś.

– Być może – przyznała Wilczek. Z trudem powstrzymała się od nerwowego przygryzienia wargi. Żałowała, że gdy zagłębiła się we wspomnieniu, nie mogła dokładnie przyjrzeć się aurze: Jeanette postrzegала klątwy zupełnie inaczej niż ona. Drobne elementy i to, co tam zobaczyła, myśl o starożytnych klątwach, skierowały jednak rozważania Jagody na nowe tory. Słowa Caleba też dźwięczały jej w głowie. Może Jacob Red znalazł nowy sposób na rzucanie klątw? A może inaczej: zmodyfikował stary? Ten najstarszy? – Jabłko i wrzeciono.

Klątwy mogły być przygotowane z myślą o konkretnym człowieku. Mogły też być rzucone na przedmiot albo miejsce i razić każdego, kto znajdzie się w ich zasięgu.

Najpotężniejsze wymagały pewnych komponentów. Często określonych emocji i rzeczy należących do tego, komu chciałeś zrobić krzywdę. Najsilniejsze klątwy jednak rzucało się z miłości lub nienawiści: na konkretną osobę, dodatkowo wspierając się „jabłkiem lub wrzecionem”. Przekaznikiem dla klątwy. Oczywiście najlepiej było, jeśli za ich pomocą wprowadziło się do organizmu ofiary swoją moc, ale istniały też inne sposoby...

Jak w przypadku przeklętego posążka, z którym problemy mieli Doherty i jego ludzie. Obłożonego klątwą bez wątpienia starożytną, rzuconą w czasach i w świecie, w których królował inny rodzaj magii. Jacob Red, którego moc wciąż przesuwala granice tego, co zdawało się niemożliwe, mógłby utkać podobne zaklęcie.

– Przeklęty przedmiot? Myślałam o tym, ale niemożliwe, aby tyle osób miało styczność z jedną rzeczą, a my to przegapiliśmy. Cały jego majątek zresztą bardzo dokładnie sprawdzono.

– A gdyby jabłkiem była osoba? – podsunęła Jagoda z wahaniem. Teoria wydawała się szalona, ale czy wciąż nie słyszała, że „to przecież Jacob Red”? A tuż przed śmiercią Czerwony Rozpruwacz rzucił potężne zaklęcie na pojedynczego człowieka.

– To niemożliwe – odparła Jeanette automatycznie, ale na jej czole pojawiła się zmarszczka, gdy zaczęła rozważać hipotezę.

Jagoda rozzłościła się trochę sama na siebie, że nie spytała Caleba, czy ich wizyta w zamku była legalna. Nie chciała taić informacji przed Brown. Łączył je wspólny cel. Niestety, nie miała pojęcia, ile informacji przekazano Doherty'emu i czy nie wpadną w kłopoty, jeżeli ona zrelacjonuje teraz przebieg rozmowy z hobem.

– Klątwa z tego... wspomnienia wydaje się faktycznie częścią większej całości. Jak u Rollinsów. Odpryskiem. Skoro sama w sobie nie może wybierać ofiar, dlaczego nie miałby tego robić człowiek? Nosiciel?

– Wyczułabym na nim klątwę. – Tym razem w głosie Brown zabrzmiała ostrzegawcza nuta. Może uznała, że właśnie podważono jej kompetencje.

– Tak. Jeśli miałyby pani z nim styczność, a najlepiej sprawdziła aurę – potwierdziła Jagoda. – Ale przecież sprawdzaliście potencjalne ofiary, nie wszystkich, których znał Red. Pośród nich szukaliście kogoś dostatecznie silnego, aby taką klątwę utkać albo podtrzymać. Jeżeli jednak byłby jej przedmiotem...

– Naciągane. Klątwa powinna skrzywdzić i jego – oświadczyła Brown, ale w jej głosie zabrzmiała niepewność.

– Niekoniecznie. Istnieje precedens. Klątwa Midasa albo Malchanceux.

Przeklęty król, który wierzył, że klątwa była błogosławieństwem, dopóki nie zamienił w złoty posąg swojej ukochanej córki. Oczywiście, mit mógł być tylko mitem, ale istniały udokumentowane przekazy o podobnych przekleństwach. W jedenastym wieku pewien irlandzki czarodziej został obłożony potężną klątwą

sprawiającą, że usychały wszystkie rośliny, których dotknął, i nigdy nie udało się przełamać zaklęcia. Słynny Malchanceux był zaś francuskim czarodziejem przynoszącym pecha wszystkim, z którymi się zetknął. Historie o „Pechowcu z Lille” opowiadano małym magom jako bajki, ale istniał naprawdę i współcześni badacze zgadzali się, że został obłożony potężną klątwą nieznanego rodzaju. (Tej zresztą też nie zdjęto. Głównie dlatego, że wprawdzie nieszczęścia nie spadały bezpośrednio na głowę Pechowca, ale pewien czarodziej, odkrywszy, że to Malchanceux mógł być przyczyną jego niedoli, utopił go. Tylko po to, by godzinę później zginąć w pożarze).

Takie klątwy zdarzały się rzadko. Ich formuł nie było w żadnych podręcznikach. Jagoda nigdy nawet nie próbowała podobnej rzucić. Wiedziała więc, że Jeanette ma sporo racji: teoria była naciągana. Ale odrzucili już bodaj wszystkie bardziej prawdopodobne tezy. Pozostawało sięgnąć do tych, które wydawały się niemal niemożliwe... bo w końcu dla Jacoba Reda „niemożliwe” oznaczało coś zupełnie innego niż dla zwykłych ludzi.

To, co powiedział brownie i co zobaczyła we wspomnieniu Jeanette, sprawiało, że pomysł nie wydawał się jej aż tak szaleńczy.

– Czy wiesz o czymś, o czym mi nie mówisz, Jagodo? Wydajesz się bardzo pewna swego.

Przez moment czuła się odrobinę zakłopotana. Potem zakłopotanie przerodziło się w obawę. Czy naprawdę tak łatwo było ją rozszyfrować? Przez większość życia uczyła się trzymać emocje na wodzy i zachowywać niewzruszoną twarz, a jednak Brown bez problemu trafiła w sedno. A może Jeanette poza talentem do klątw i uzdrawiania ukrywała jeszcze inne umiejętności?

– Wcale nie jestem pewna swego. Po prostu na razie nie mam lepszych pomysłów.

– Sprawdźmy to – zdecydowała Jeanette. – Rozumiem, że Caleb czeka na ciebie na zewnątrz?

– Tak. To problem?

Brown przez chwilę milczała. Wydawała się zamyślona równie mocno jak wtedy, gdy Jagoda zasugerowała, że klątwa mogła zostać rzucona na człowieka, na podobieństwo tych starożytnych.

– Nie jestem pewna – mruknęła w końcu. – Ale jeśli chodzi o niego...

– Pani też chce mnie przed nim ostrzec? – spytała Jagoda ze zniecierpliwieniem. Słyszała te przestrogi już zbyt wiele razy. Od babki, Olchy, Doherty’ego, a nawet Soni.

– Skąd ci to przyszło do głowy? – zdziwiła się Jeanette. Spoglądała na młodszą wiedźmę ze szczerym zaskoczeniem. – Nie jestem Tommym. Jeśli miałabym kogoś ostrzegać, to chyba odwrotnie, dziewczyno. Jego przed tobą.

Oślupiała Jagoda nie znalazła na to dobrej odpowiedzi. Nie była nawet pewna, czy powinna poczuć się urażona, czy wręcz przeciwnie, zaszczycona, że oto ktoś chciał ją uznać za potencjalne zagrożenie dla samego Ucznia Czarnoksiężnika. Brown w tym czasie zgarnęła magiczną kulę do torebki, rzuciła banknot na stół i się podniosła.

– Chciałam tylko, żebyś mu przekazała, że powinni zakończyć z Tommym tę małą wendetę. Obaj są równie głupi i równie uparci, a to nikomu nie służy. Może ciebie posłucha chętniej niż mnie.

Wyszła z kawiarni, postukując obcasami. Jagoda nie podniosła się: siedziała przy stoliku i próbowała opanować zamęt w głowie. Zatrzymać wspomnienie tego, co zobaczyła i wyczuła, gdy przeżyła kilka minut z życia Jeanette Brown. Opuściła powieki, starając się skupić, dopasować klątwę Elijaha, obserwowaną cudzymi oczyma, do magii z zamku Jacoba Reda.

– Medytujesz?

Głos Caleba wyrwał ją z zamyślenia. Otworzyła oczy. Akurat stawał na blacie dwie filiżanki. Herbata mocno pachniała imbirem, malinami i pomarańczą, Jagoda więc mimowolnie zastanowiła się, czy po prostu swego czasu nie grzebał w jej szafkach. Zimą i wczesną wiosną to takie mieszanki piła najczęściej.

– Zamyśliłam się.

– Mam nadzieję, że faktycznie coś wymyśliłaś, bo kiedy minęło pięć minut po wyjściu Jeanette, zacząłem się zastanawiać, czy nie zostawiła tutaj twojego zimnego trupa – zagderał i opadł na miejsce niedawno zwolnione przez Brown. – Dowiedziałaś się czegoś?

– Braliście pod uwagę przypadek Midasa?

Caleb, który właśnie rozrywał saszetkę z cukrem, rozsypał jej zawartość na blat i swoje kolana. Nawet nie próbował posprzątać, zamyślony.

– Ostatni przypadek klątwy tego typu... odnotowano w dwunastym wieku?

– Trzynastym. Pechowiec z Lille – sprostowała. Właściwie знаła tylko trzy takie potwierdzone historycznie przypadki, lecz to nie oznaczało, że nie było ich więcej, zwłaszcza w obliczu mitów o Midasie. Po prostu pamięć o nich i o tym, jak takie klątwy rzucić, zaginęła w pomroce dziejów. – Jeanette dała mi dostęp do swojego wspomnienia. Ono i to, co powiedział brownie... podsunęły mi ten pomysł.

Blythe uśmiechnął się do niej i wysypał do herbaty resztkę cukru z saszetki.

– W takim wypadku będziemy musieli znowu odwiedzić zamek. Oby nie okazało się, że boggart czeka, żeby zawalić go nam na głowy.

Niemal odetchnęła z ulgą. Najwyraźniej nie uważał tej teorii za tak absurdalną, jak Jeanette.

– Nie powiedziałeś im tego, co przekazał nam brownie.

Caleb zamarł, z filiżanką w pół drogi do ust. Natychmiast zrozumiała, że Blythe faktycznie nie podzielił się informacjami. Być może nikt nawet nie wiedział, że odwiedzili zamek Reda.

– Przekazałaś im to?

– Nie. Chociaż powinnam.

– Rytuał odprawiony przez Eleanore nie jest czymś, o czym powinni się dowiedzieć – wymruczał Caleb. Zniżył głos tak, że ledwo go słyszała, chociaż mówił po polsku, co już samo w sobie utrudniało podsłuchiwanie.

– To przecież nie była czarna magia – stwierdziła zaskoczona.

Nie rozumiała do końca, co zrobiła Eleanore, ale na pewno zorientowałyby się, gdyby czarodziejka uwolniła mroczne moce.

– Ale wciąż niezbyt mile widziana.

– Świetnie. Mogłeś mnie o tym poinformować – odparła, sięgając po filiżankę.

Nawet nie chodziło o tajenie przed nią tego, że była świadkiem nie do końca legalnego rytuału. Sama złamała prawo tak wiele razy, że gdyby udowodniono jej wszystkie przewiny, spędziłaby w więzieniu co najmniej dziesięć lat. Rzecz w tym, że świadoma współpracy Blythe'a ze Scotland Yardem mogła powiedzieć zbyt wiele. Mogła usprawiedliwiać Caleba jedynie klauzulą poufności w dokumentach, które podpisała. Na tyle jednak nieprecyzyjną, że samo wspomnienie o brownie niekoniecznie by ją naruszało.

– Wiesz, jak wygląda sytuacja między nami. Założyłem, że się domyślisz.

– „Domyśl się” to naprawdę okropne zdanie, Caleb – westchnęła z rezygnacją. – Czy jest coś jeszcze, o czym absolutnie nie powinnam nikomu wspominać?

Spojrzał na nią z politowaniem.

– Mam przygotować listę? Wyjdą jakieś trzy strony A4. A na samej górze będzie napis „Spalić po przeczytaniu”.

– Poza tymi najmniej oczywistymi rzeczami – sprostowała.

W rodzaju wykopywania ciał, nekromanckich rytuałów oraz ukrywania przestępców, uzupełniła w myślach i chyba dopiero teraz w pełni dotarło do niej, jak dużo ryzykował, wciągając ją w to wszystko. Dokumenty, które podpisała, nie mogły być wiążące w przypadku przestępczego proceduru i zeznań przed organami ścigania. Przyhamowało to nieco jej irytację na wzmiankę o liście.

– W takim razie lepiej, żebyś nikomu nie mówiła na przykład o tym, co planujemy na jutro.

Była pewna, że chciał, żeby spytała, co takiego planują. W oślim uporze więc tego nie zrobiła: sam narzekał, że zadawała zbyt wiele pytań, a skoro zależało mu na udzieleniu odpowiedzi, i tak to robi. W milczeniu zaczęła popijać herbatę. Nie myliła się. Blythe wprawdzie też jakiś czas siedział cicho, w końcu jednak się złamał.

– Lane znalazł sposób, by sprawdzić... o jakim zaklęciu mówił brownie. Może to da nam kilka odpowiedzi.

– Czy to magia „zakazana”, „odradzana”, czy tylko „niezbyt mile widziana”?

– Raczej kategoria: „uważana za niedziałającą”.

Omam nie zakrztusiła się herbatą.

– Grobowe pieśni? – spytała zdumiona, a Caleb uśmiechnął się z satysfakcją, jakby zaskakując ją, odniósł małe zwycięstwo. Księga wypełniona starożytnymi czarami, z których według badaczy działał w najlepszym wypadku co dziesiąty, i to jeśli warunki sprzyjały jego rzuceniu. Reszta podobno „obumarła” albo nawet nigdy nie działała. – Która z nich?

– Pieśń tańczących widm. Poetycka nazwa, prawda?

– Daj spokój – prychnęła. Studiowała tę księgę wręcz obsesyjnie, wypróbowała kilka czarów: większość nie zadziałała, części bała się tkać, nie miała też możliwości rzucenia innych. Szybko skojarzyła, o którym rytuale mówił. – Próby rzucania tego zaklęcia to szaleństwo.

– To samo ci mówiłem kilka miesięcy temu. Wprawdzie omal nie umarłaś, ale to ty miałaś rację – odparł Blythe, wciąż z radosnym uśmiechem, który w oczach Jagody wyglądał niemal maniakalnie. – Poza tym jestem pewien, że przynajmniej kilka osób ma mnie za kompletnie szalonego.

– Tylko kilka? – spytała z niedowierzaniem.

– Dobrze, znalazłoby się kilkanaście. Zaliczysz do nich siebie, Belladona?

Pytanie rzucił lekkim tonem i prawdopodobnie nic nie znaczyło. Jagoda jednak poważnie zastanawiała się nad odpowiedzią, popijając herbatę. Potrwało to na tyle długo, że Caleb też jakby spoważniał, z jego ust spłynął uśmiech. W końcu wiedźma westchnęła.

Wiele mogła powiedzieć o Uczniu Czarnoksiężnika. Był nieprzewidywalny, niebezpieczny, czasem irytujący. Pod pewnymi względami bardzo trudny do zrozumienia. Wiedziała, że potrafił troszczyć się o innych, ale bywał też bezlitosny i dbał w pierwszej kolejności o swoje interesy. Nie mogła powiedzieć, że jest złym człowiekiem – ale nie był też człowiekiem dobrym. Nie oznaczało to jednak, że jest obłąkany. Wręcz przeciwnie.

– Nie. Myślę, że jesteś absolutnie zdrowy na umyśle.

– W takim razie zapraszam na kolejne łowy na duchy.

Odstawiła pustą już filiżankę. Przypatrywała się mu w milczeniu, zastanawiając się, czy przypadkiem jednak nie oceniła go źle. Może był szalony. Może tylko nie chciała tego dostrzec, bo musiałaby przyznać, że siedząc tu z nim i planując kolejną wycieczkę do zamku Jacoba Reda, sama też jest obłąkana.



ROZDZIAŁ SZÓSTY

CO PRZEMINĘŁO

Sięgnięcie po grobowe pieśni okazało się pomysłem Lane'a. Gdy wrócili do posiadłości, czekał już na nich w bibliotece, a wkrótce dołączyła też Eleanore. Jej obecność zupełnie Jagody nie dziwiła: do rzucenia zaklęcia potrzeba było trzech osób. (Jeden, trzy, siedem, dwanaście i trzynaście: te liczby powracały w księdze). Jeżeli coś ją zaskakiwało, to raczej to, że najwyraźniej miała się w tej trójce znaleźć. Spodziewała się, że Caleb wybierze Mayę albo Evana.

– Zaklęcie pozwala przywołać widmo wspomnienia danego miejsca. Mamy wymagane składniki, wiemy też, że tamten czar rzucono w podziemnym laboratorium – tłumaczył Lane.

Jagoda słuchała jednym uchem, bo akurat o tym czarze wyczytała całkiem sporo. Był zbliżony do pieśni, którą rzuciła sama: pozwalającej zanurkować we wspomnienie umarłego. W tantym przypadku mogła zrobić to w pojedynkę, sytuacja jednak była o wiele łatwiejsza. Znajdowała się w domu, w którym wszystko się rozegrało, wspomnienie należało do jej prababki, a żeby zobaczyć moment rzucenia klątwy, wykorzystwała jabłko, którego w tym celu użyto...

– Niestety, szanse powodzenia są nikłe – kontynuował Benett. – Aby przywołać wspomnienie, należy odtworzyć jego część, a mamy niewiele informacji.

– Czy grobowych pieśni... nie trzeba przypadkiem rzucić idealnie? – wtrąciła się Jagoda, niezdolna do powstrzymania sceptycyzmu. Większość z tych czarów uważano za niedziałające właśnie dlatego. Do każdego potrzeba było spełnienia licznych warunków i najdrobniejszy błąd oznaczał porażkę. Owszem, Jagodzie udało się dwa razy. Ale sprzyjały jej okoliczności. W domu prababki miała wszystkie potrzebne komponenty, najlepsze możliwe warunki i wspierała ją magia enklawy. Rok później, na placu budowy, powiodło się tylko dlatego, że nikt nie zdążył zbliżyć się do ciała, a jej udało się zgromadzić trzy osoby władające magią pokrewną do tej, której cień chciała przywołać... – Nie odtworzymy sytuacji idealnie. Nawet jeżeli zmusimy brownie do współpracy.

Nie umknęło jej, że Lane, nim odpowiedział, spojrzął na Blythe'a. Ten zawahał się, ale w końcu kiwnął głową.

– Same okoliczności są bardzo istotne, ale ważniejsze będą osoby, które tkają zaklęcie – wyjaśnił Benett. – *Księga grobowych pieśni* to zapis czarów i rytuałów z czasów, gdy te dopiero tworzone.

– A to znaczy...? – zachęciła go Eleanore, a Jagodzie ulżyło, że najwyraźniej nie tylko ona nie dostrzegła żadnego związku między jednym stwierdzeniem Lane'a a drugim.

– Oszczędzając wam naukowych dywagacji i mówiąc w skrócie: są przeznaczone przede wszystkim dla osób, które potrafią kształtować magię. Tworzyć nowe czary. Ta magia zwykle nie działa, bo taki czarodziej trafia się raz na setki tysięcy osób. I często nawet o tym nie wie, bo... w ogólnym rozrachunku niekoniecznie jest potężniejszy od innych magów. Może ich przerastać w wąskiej dziedzinie.

Odruchowo popatrzyła na Eleanore. Ich spojrzenia spotkały się, a potem obie, jak na komendę, odwróciły głowy. Wzrok Jagody powędrował do Caleba. Nie mogła powiedzieć, że się tego zupełnie nie spodziewała. Jego umiejętności zawsze zdawały się jej wykraczać poza to, co powinien umieć nawet najpotężniejszy czarodziej. To wyjaśniło też, dlaczego Jacob Red wziął na naukę chłopca znikąd. Potwierdzenie jednak sprawiło, że przeszedł ją zimny dreszcz. Jeszcze jedno podobieństwo z Czerwonym Rozpruwaczem. I jak daleko sięgające? Ona potrafiła kształtować magię tylko w jednej, wąskiej dziedzinie: klątwach. A on? Prawdopodobnie nie w każdej, bo wtedy nie potrzebowałby jej w podziemiach warszawskiej enklawy. W magii bojowej? Użytkowej?

Jeżeli coś dziwiło Jagodę, to raczej to, że Calebowi udało się znaleźć jeszcze kogoś obdarzonego podobną zdolnością. Czy talent Eleanore, ta „niezbyt dobrze widziana magia”, której użyła do schwywania brownie, również była podobnej natury?

– Skąd to wiesz? – spytała powoli Jagoda. – Nigdzie nie znalazłam takich informacji, a... interesowałam się tą księgą.

– Jestem naukowcem. Przez całe życie studiuję stare teksty oraz historię magii – odparł Lane. – Zapewniam, że przeprowadziłem gruntowne badania. Oczywiście nie mamy gwarancji powodzenia, bo żadne z was nie ma w tym zakresie naprawdę szerokich zdolności, ale szanse oceniam na sześćdziesiąt procent.

– Czy ludzie... bez takiej zdolności mogą użyć tej magii? – spytała, tknięta nagłą myślą o Soni.

Nie była pewna, czy cieszyłoby ją, czy martwiło, gdyby uczennica posiadała taką moc. Chyba jednak martwiło: główny problem z Sonią polegał na tym, że w swoim pędzie do wiedzy chciała rzucać klątwy, które ją przerastały. Jednak do tej pory Jagoda nigdy nie zaobserwowała żadnych znaków świadczących o tym, że

Sonia może kształtować magię...

– Tak. Jeżeli okoliczności są sprzyjające. Oczywiście wtedy istnieje większe ryzyko porażki – wyjaśnił Lane, rozwiewając jej wątpliwości.

– Ten rytuał, jeśli dobrze pamiętam, ma efekty uboczne.

Benett, do tej pory zachowujący niewzruszone oblicze, spojrział na Jagodę z odrobiną zainteresowania.

– Czyżbyś interesowała się grobowymi pieśniami?

– Trochę – mruknęła, wzruszając ramionami.

Nie zamierzała się przyznawać, że utkała pieśń bardzo podobną do tej, którą chcieli rzucić. I właśnie stąd wiedziała, że i ta mogła zaserwować im paskudne niespodzianki. Jagoda nie tylko obserwowała wspomnienie cudzymi oczyma, tak jak w przypadku magicznych kul Jacoba. Ona była swoją prababką. Każda jej emocja, każda myśl zdawała się emocją i myślą należącą do samej Jagody. Jeszcze długie godziny później nie potrafiła wyzwolić się z płataniny cudzych uczuć, postawić wyraźnej granicy między osobowością swoją a Joanny Wilczek.

Widma magii były zaklęciem jeszcze bardziej skomplikowanym.

– Jakie to dokładnie efekty uboczne? – spytała Eleanore podejrzliwie, spoglądając to na Blythe'a, to na Benetta. – Cale, w co ty chcesz mnie wrobić? Jeśli to ma być powtórka z Dublinu...

– Żadnej powtórki z Dublinu, przysięgam – zapewnił Caleb pospiesznie.

Aż nazbyt pospiesznie, co wzbudziło nieufność także w Jagodzie. Nie chciał, aby Eleanore zmieniła zdanie, czy może aby wspomniała coś więcej o Dublinie?

– Rzucenie tego rytuału przywołuje cienie wspomnień w danym miejscu – powiedział Benett. – Ale... pomijając bardzo prawdopodobne wyczerpanie ciała oraz umysłu, okrucy magii mogą też przywołać wspomnienia rzucających zaklęcie.

– A to działa jak...?

– Właściwie nie jestem pewien – przyznał Lane z niechęcią. – Obawiam się, że nie zachowały się żadne przekazy o udanym odprawieniu tego rytuału.

– A na ile znam grobowe pieśni, to może być wszystko – mruknęła Jagoda. – Od odtworzenia czegoś na naszych oczach aż po... ponowne przeżycie jakiegoś momentu z życia.

I to było głównym powodem, dla którego mogłaby zarzucić Calebowi szaleństwo. Zbyt wielu wspomnień nie chciała nawet pamiętać, a co dopiero mówić o ich ponownym przeżywaniu czy pokazaniu Blythe'owi i Eleanore. Zgodziła się jednak, bo Caleb z pewnością miał takich momentów jeszcze więcej, a mimo to był gotów spróbować. Mogła mieć tylko nadzieję, że magia nie zadziała w nieprzewidziany sposób i jej nieoczekiwane skutki nie sięgną jeszcze dalej.

To starożytna magia. Bezlitośnie drenująca ciało i duszę, powiedziała kiedyś jej babka. Jagoda musiała przyznać Joannie rację, ale w tej chwili sięgnięcie po te moce było najlepszą opcją, jaką dysponowali.

– Obawiam się, że będzie to raczej coś, czego żadne z nas nie zdoła przewidzieć. Chętnie zapiszę później wasze spostrzeżenia – powiedział Benett.

Coś w jego tonie sprawiło, że wiedźma zaczęła mieć wrażenie, iż Lane wręcz nie może się doczekać próby odprawienia rytuału. Jeżeli był badaczem grobowych pieśni, właśnie stawał przed niepowtarzalną okazją zweryfikowania swoich tez i przekazania dalej zapisków dotyczących przynajmniej jednej z nich.

Spochmurniała na tę myśl. Nawet nie dlatego, że nie chciała być królikiem doświadczalnym. Nie była pewna, czy ich świat jest gotowy na ponowne użycie takich zaklęć, jakie zamieszczono w tej księdze.

– Zgadza się? – spytał Caleb.

Eleanore spojrzała na niego spode łba, ale kiwnęła głową. Jagoda też się nie zastanawiała. Przecież zgodziła się już wcześniej.

– Tak.

– W takim razie jutro w nocy wybieramy się do zamku.

– W nocy? Dlaczego? – spytała Jagoda.

Do głowy przyszła jej myśl, że być może naprawdę odwiedzali zamek nielegalnie, a Doherty zaczął ich obserwować.

– Jacob Red do podziemi zazwyczaj schodził nocą – wyjaśnił jednak Caleb. – Jak na prawdziwego złoczyńcę przystało, za dnia był zbyt zajęty ważnymi spotkaniami i bankietami. Był zresztą tradycjonalistą i pewne czary szczególnie lubił rzucać o północy. Jeżeli mamy odtworzyć okoliczności, musimy się tam znaleźć

po zmroku.

*

Do zamku wyruszyli jakiś czas po zmierzchu, gdy zapadły ciemności, a jedynym źródłem światła był księżyc, co rusz znikający za chmurami. Lane nie szedł z nimi, co zapewne miało jakiś związek z ciężącą na nim kłątą. Poza Jagodą i Eleanore Blythe zabral też Evana i Marka – „by dopilnowali, że brownie nie pozabija nas w trakcie”, jak wyjaśnił. Wiedźma oczekiwała raczej Mayi, z którą Caleb rozmawiał, nim wyszli, ale ta, wyraźnie wzburzona, zamiast ruszyć z całą grupą, wbiegła na piętro.

Eleanore otworzyła drzwi tak jak poprzednio, znów dezaktywując ochronną magię. Jagoda podświadomie oczekiwała, że tuż za progiem zostaną zaatakowani, nic takiego jednak nie nastąpiło. Gdzieś w oddali trzasnęły drzwi, rozległ się huk, jakby coś zostało zrzucone na ziemię, ale brownie najpewniej nie zamienił się w boggarta, bo nie stanął z nimi do walki. Dawał jedynie znać o swojej irytacji i kiedy szli przez korytarze, towarzyszyły im skrzypienie drzwi, trzaski otwieranych i zamykanych okien oraz to zapalające się, to wygasające magiczne lampy.

Wejście na dolny poziom otworzył Caleb. Skorzystał najpierw z klucza, potem z magii. Na dół zeszli we troje, w blasku kuli światła, którą wyczarował Blythe. Jagoda, ponieważ doskonale знаła historie o tym, co znaleziono w podziemiach, spodziewała się... sama nie do końca wiedziała czego, ale na pewno nie tego, co zobaczyła. Nie sterylne czyste, niemal puste pomieszczenia, w których nie wyczuwała żadnego magicznego echa po wydarzeniach, do jakich tu dochodziło. Choć być może powinna się domyślić, że sprzęty stąd wyniesiono i użyto zaklęć, które miały usunąć ślady uprawianej tu magii.

Szybko jednak się okazało, że to nie wszystko. Caleb podszedł do litej ściany, a kiedy uderzył w kilka miejsc, ukazały się w niej kolejne drzwi. Choć nic nie mówił, napięcie ramion i zaciśnięte szczęki zdradzały jego nerwowość. Ta udzieliła się i Jagodzie, która mimowolnie zamknęła i rozprostowała palce. Schodzili do pracowni czarnoksiężnika. Mieli przeprowadzić rytuał, przywołując starożytną magię, i musieli spodziewać się niemiłych efektów ubocznych – ostatnim razem, gdy użyła grobowej pieśni, ta omal jej nie zabiła.

Ale było coś jeszcze. Caleb kiedyś tu mieszkał, nad tym laboratorium. Brał udział w akcji, w wyniku której wdarto się tam po raz pierwszy. Nieważne, ile wiedział wcześniej o tym, co tu się działo: to musiało wywrzeć na niego wpływ. Miała ochotę spytać, czy wszystko w porządku, ale się nie odezwała. Eleanore szła w końcu tuż za nią, a poza tym... czy odpowiedź nie była oczywista? Jak mogłoby być w porządku?

Zeszli schodami jeszcze niżej, a Blythe dezaktywował kolejne zaklęcia. Jagoda poczuła, że serce podchodzi jej do gardła, kiedy wreszcie dotarli na miejsce. Tu pozostały słabe ślady magii, ledwo wyczuwalne, ale sprawiające, że oddychanie stało się jakby odrobinę trudniejsze. I przede wszystkim pomieszczenia, które mijali, wyglądały jak cele.

Prawdopodobnie nimi były.

– Nienawidzę tego miejsca – mruknęła Eleanore, gdy przystanęli na progu kolejnej sali. Miała kształt okręgu, a na podłodze pozostały ślady po meblach i sprzętach, które stąd wyniesiono. Uwagę zwracały jednak przede wszystkim przeszklone wnęki w ścianach.

– Tu... eksperymentował? – spytała powoli Jagoda, przelękając ślinę.

Caleb obrócił się ku niej. Patrzył na nią tak, że nie była pewna, czy powinna odwrócić się i wycofać, czy złapać go za rękę i wyciągnąć z tych przeklętych podziemi, bo przecież nie muszą tego robić...

...problem polegał na tym, że owszem, musieli.

– Rzucił zaklęcia – odparł beznamiętnie. – Sala do eksperymentów na ludziach, jeśli o to pytasz, jest obok.

Skinęła tylko głową, mechanicznie. Nie odpowiedziała; żadne słowa nie wydawały jej się właściwe.

– A w tych trumnach trzymał część swoich obiektów. Dziewczęta, konkretnie – dodał Caleb, Jagoda zaś szerzej otworzyła oczy. Wskazał jedną z wnęk. – Tutaj na przykład było ciało jego pierwszej narzeczonej...

– Tak, tak, pieprzona komnata Sinobrodego – oświadczyła Eleanore, wyciągając z torby księgę. – Nie strasz jej, Cale. Nie musi tego wiedzieć.

– Może powinna – odpowiedział Blythe i odwrócił się do nich tyłem. Przykląkł i ze swojej torby zaczął wydobywać inne potrzebne rzeczy, w tym kosmyk własnych włosów, fotografię, pierścień, książkę, rzeczy, jakich użył do zaklęcia Red i które przynajmniej w teorii miały doprowadzić ich do odpowiedniego momentu.

– Kto wie, dokąd zabierze nas ta magia? Wprawdzie... najciekawsze rzeczy działy się w sąsiednich

pomieszczeniach, ale jestem prawie pewny, że ktoś umarł i tutaj. Nie wspominając o tym, że Jacob jakoś umieścił tu te urocze dekoracje.

Przestań, miała ochotę powiedzieć. Nie była pewna, czy faktycznie chce ją ostrzec, przygotować na to, co może ujrzeć, czy się znęca albo też odreagowuje to, jak na niego działało to miejsce. Nie wiedziała nawet, jak ma się z tym czuć. Było w niej trochę strachu i trochę gniewu, ale także cień współczucia, jeżeli nie dla dorosłego Caleba, to na pewno dla chłopca, którym był kiedyś.

Nie odezwała się. W milczeniu weszła do sali i obserwowała, jak rozstawia przedmioty. Eleanore syknęła cicho, ale nie skomentowała, zabrała się za to do szukania właściwych stron w księdze. Caleb jednak nie powiedział jeszcze wszystkiego, co chciał: a może tylko brak reakcji wiedźmy go sprowokował.

– Chciałabyś zobaczyć na własne oczy, co robił tutaj Jacob, Wilcza Jagoda? – Zadarł głowę, by na nią spojrzeć.

Chyba diabeł w nią wstąpił. Rozum podpowiadał przecież, że zaczepki Caleba najlepiej puszczać pomimo uszu, bo inaczej tylko go zachęci. Zwłaszcza teraz, kiedy źle wpływało na niego to miejsce. Ale mało kto potrafił ją tak wyprowadzić z równowagi, jak on, a ta Wilcza Jagoda była przecież z jego strony świadomą prowokacją. Wyraźnie o tym świadczył nawet wyzywający sposób, w jaki mówił. Do cholery, chciał, żeby zareagowała. To nie było proste ostrzeżenie: hej, możesz zobaczyć coś paskudnego, przygotuj się psychicznie. Nie miała pojęcia, w co Blythe grał, ale w coś na pewno.

– Jeśli masz ochotę mi o tym opowiedzieć, to chętnie posłucham, Uczniu Czarnoksiężnika – odparła, naśladując jego ton, pochylając się ku niemu, spoglądając z bliska w jego jasne oczy.

Eleanore odchrząknęła. Zapobiegła w ten sposób eskalacji starcia, bo Jagoda miała ochotę dorzucić jeszcze parę słów. Na szczęście mała czarodziejka przypomniała jej, że to nie czas ani miejsce.

– Przepraszam? Pamiętacie, że tu jestem? – Eleanore podniosła rękę. – Chciałabym się zabrać do pracy. Nie mam ochoty siedzieć tutaj dłużej niż to konieczne.

– Jasne – mruknęła Jagoda i się odsunęła. Przejęła księgę od Eleanore. Przypadł jej wątpliwy zaszczyt rozpoczęcia całej procedury. – Gotowi?

Eleanore skinęła tylko głową. Blythe wciąż klęczał na ziemi, otoczony przedmiotami, które miały imitować te użyte niegdyś przez Reda. Jemu dostała się chyba jeszcze bardziej niewdzięczna rola: miał odegrać swojego mistrza rzucającego zaklęcie.

Jagoda odczekała chwilę, nim zaczęła recytować. Słowa w języku, który był martwy już w czasach, kiedy jeszcze powszechnie używano łaciny, popłynęły z jej ust, a każde z nich zdawało się nasączone magią. Ta oplatała wiedźmę, wypełniała powoli pomieszczenie, sięgała Caleba, w którego dłoniach zapłonął kosmyk jego własnych włosów, a potem też zdjęcie – dla bezpieczeństwa przedstawiające krajobraz, nie człowieka. Otoczyła Eleanore, gdy ta przejęła księgę i zaczęła czytać. Powietrze drgało, a widok zamazywał się przed oczyma Jagody. Kiedy księga przeszła w ręce Blythe'a, przez chwilę nie widziała jego: nie był to jednak też Jacob Red. Wzdrygnęła się, bo mogłaby przysiąc, że patrzy na swojego ojca.

Wrażenie minęło jednak szybko i znów był tylko Caleb... nie, nie tylko. Obok niego kształtów nabierał cień, a samo pomieszczenie zmieniało się coraz bardziej i bardziej. Półprzezroczyste świece zapłonęły w kręgu błękitnym, widmowym ogniem, dym wznosił się z nich i zniknął niemal natychmiast, ale Jagoda i tak czuła jego zapach. Gdy spojrzała na ścianę, serce zaczęło się gwałtownie tłuc w jej piersi, bo zza szklanej tafli spoglądały na nią martwe, nieruchome oczy kobiety. Siedem szklanych trumien, sześć kobiet. Jedna wnęka wciąż pusta, czekająca na zapełnienie...

Syknienie Eleanore, która otrząsała się niby pies wychodzący z wody, przywróciło Jagodę do rzeczywistości. Zaciśnęła dłoń w pięść, wbijając sobie paznokcie w skórę, próbując zmusić się do skupienia. Na postaci, teraz już niemal równie prawdziwej jak oni. Jacob Red klęczał tuż koło miejsca, gdzie wcześniej znajdował się Blythe. Uczeń Czarnoksiężnika zdążył się odsunąć: wstał chwiejnie, cofał się, aż jego plecy napotkały ścianę.

Red nie wyglądał na potwora.

Dałaby mu może sześćdziesiąt parę lat, choć gdy rzucał ten czar, miał znacznie więcej. Niegdyś prawdopodobnie całkiem przystojny. Niezbyt wysoki. Niemal nie łysiał, choć jego włosy przybrały gołębią barwę, podobnie jak niedługa, zadbana broda.

A raczej: nie wyglądał na potwora na pierwszy rzut oka. Gdy wiedźma przyjrzała się mu uważniej, dostrzegła, że jego dłonie plamiła krew. Aby rzucić czar, który tkął, chwilę wcześniej kogoś zabił. Czarna

magia – a to z pewnością była czarna magia – wymagała ofiar, Jagoda nie powinna więc być zaskoczona. Była jednak, może dlatego, że brownie nic o tym nie wspomniał.

Zmusiła się, by podejść bliżej. Przykucnęła naprzeciwko Jacoba, obserwując najpierw ruchy rąk, a potem jego usta, próbując odczytać z nich słowa – choć niewiele zrozumiała, miała pewność, że nie recytował żadnej znanej jej inkantacji. Eleanore też się zbliżyła i stanęła za plecami Reda, a gdy Jagoda obrzuciła ją przelotnym spojrzeniem, zobaczyła, że na twarzy czarodziejki maluje się wściekłość.

Kosmyk ciemnych włosów zapłonął w rękach Jacoba. (Ciemny, mówił brownie: Jagoda starała się zapamiętać ich odcień, były niezbyt długie, proste, nie czarne, lecz wpadające w czerń...). Chwilę potem wyciągnął fiolkę, rozlewając jej zawartość – krew, tak dawno temu tu wylana, znikła, nim dotknęła posadzki. Wtedy też tak było czy tylko teraz, gdy przeszłość i terażniejszość nakładały się na siebie?

Coś zamigotało i przez moment wiedźma widziała cień misy wypełnionej ciemną substancją. Również krwią. Naczynie było tak duże, że nie wydawało się możliwe, aby ktoś, kto oddał tę krew, mógł ująć z życiem.

Jagoda syknęła, wściekła, bo rozproszyła się i gdy zdjęcie pojawiło się znikąd, spłonęło, nim zdążyła zobaczyć, kogo przedstawiało. Odczytała jednak tytuł książki, o dziwo po prostu powieści Wiktora Hugo – co to, do licha, oznaczało? – a potem przyjrzała się pierścieniowi. Sygnet, wykonany ze złota, z niewielkim czerwonym rubinem, lśnił w rękach Reda, gdy ten ogniskował wokół niego magię. Jagoda zrozumiała, że myliła się i miała rację jednocześnie.

Kłątwa została zapleciona wokół przedmiotu. A potem ktoś używał go, by roznosić klątwę. Ktoś, kto wcale nie musiał mieć odpowiedniego talentu ani wielkiej mocy, być może więc został przegapiony przez Scotland Yard...

Jacob Red rozmył się, a magia opadła tylko po to, by zaraz wznieść się z powrotem i otoczyć wiedźmę. Przez chwilę Jagoda nie była w podziemiach, a w innym miejscu, w innym czasie. Pochylała się nad trumną, w której spoczywało ciało jej ojca. Tamtego dnia, tuż przed pogrzebem. Zmarł banalnie, w głupim wypadku, którego nigdy by nie było, gdyby nie wszedł za kierownicę pod wpływem alkoholu, gdyby nie zapomniał naładować ochronnego amuletu...

Sebastian tak bardzo go przypomina, pomyślała i to wyrwało ją ze wspomnienia kilkunastoletniej dziewczyny, bo wtedy, w tamtym czasie, podobieństwo między Sebastianem a ojcem nie było jeszcze aż tak uderzające.

Kłęcząca na posadzce. Chłód ogarniał jej ciało, a nogi i ręce zdawały się sztywne, osłabłe. Pamiątka po pieśni, która udała się właściwie idealnie, pokazała im dokładnie to, co chcieli zobaczyć... Jagoda objęła się ramionami, z trudem łapiąc oddech. Wspomnienie śmierci, którą opłakała tak wiele lat temu, znów zdawało się świeże i rozdzierało serce na strzępy.

– Nie widziałam, kto był na tym przeklętym zdjęciu – wyszeptała Eleanore.

Trzymała się na nogach, ale była śmiertelnie blada i Jagoda miała niemal pewność, że i ona zobaczyła znacznie więcej niż tylko Jacoba Reda.

– Nie szkodzi – odparła Jagoda i przełknęła ślinę, nim znów się odezwała, z trudem, walcząc ze ściśniętym gardłem. – Ten czar zogniskowano prawdopodobnie wokół pierścienia... sygnetu. Zapamiętałam, jak wyglądał, chyba mogę go narysować...

Wstała powoli i wzrokiem odszukała Caleba. Blythe siedział pod ścianą, patrząc na czarodziejki z obojętnym wyrazem twarzy. Nie odzywał się, nie poruszał i Jagoda ruszyła ku niemu powoli, na miękkich nogach, niepewna, czy wciąż nie znajdował się w sidłach starożytnej magii.

– Caleb?

Dopiero gdy się odezwała, drgnął i uniósł lekko głowę.

– Nie nazwiesz mnie Uczniem Czarnoksiężnika? – spytał po polsku.

– A ty mnie Wilczą Jagodą?

Wyciągnęła ku niemu rękę, choć tak naprawdę wcale nie czuła się na siłach, by pomóc mu wstać. Ujął jej dłoń, mocno, tak, że prawie zabolęło, po czym dźwignął się powoli, drugą ręką opierając się o ścianę.

– Nie powiesz, że to przezwisko w pewien sposób ci nie pochlebia.

– Myślę, że dokładnie tak samo, jak tobie twoje – odparła, bo nie, nie mogła zaprzeczyć. Zwykle je ignorowała, bo wiedziała, że nie ma znaczenia, a jednak czasem jej trochę pochlebiało, a czasem, przynajmniej na pewnym poziomie, bolało, ponieważ symbolizowało rzeczy, o których nie chciała myśleć i których wolałaby nie pamiętać.

– Cholera, jak potrzebujecie trochę prywatności, to świetnie, zostawiam was, bo ja nie mam zamiaru siedzieć tu ani chwili dłużej – warknęła Eleanore, która z ich rozmowy pewnie nie zrozumiała ani słowa.

Niemal pędem ruszyła do wyjścia. Caleb poszedł w jej ślady i pociągnął za sobą Jagodę.

– Sygnet, ze złota, męski, niewielki rubin albo inny czerwony kamień. Widziałeś u kogoś coś takiego? – spytała, posłusznie idąc za nim.

– Nie. Albo nie miałem kontaktu z właścicielem, albo pilnował, żebym go nie zobaczył.

– Wcześniej nie należał do Reda?

– Jeśli tak, to nigdy go nie widziałem. Nie pamiętam, aby Jacob nosił biżuterię.

Wyszli na zewnątrz, gdy Eleanore już zniknęła w korytarzu wiodącym do wyjścia, a tuż za nią postępował Evan. Marek czekał jednak na nich. Otworzył usta, żeby o coś spytać, ale zamilkł. Jagoda gwałtownie wyrwała rękę z uścisku Caleba, gdy zdała sobie sprawę z tego, że czarownik patrzy na ich złączone dłonie. Na jego twarzy mignęło coś, co mogło być niechęcią, szybko jednak się opanował.

– Dowiedzieliście się czegoś?

– Tkał bardzo skomplikowany czar i prawdopodobnie zogniskował go wokół sygnetu z rubinem... oraz człowieka, którego twarzy nie zobaczyliśmy – poinformował Blythe.

– Nie wiemy, czy to na pewno klątwa, ale sporo na to wskazuje – dodała Jagoda.

Przyspieszyła kroku, kiedy przed nimi rozległ się okrzyk: „Ellie!”. Wypadli zza zakrętu, akurat by zobaczyć Evana, który właśnie wybiegał przez zamkowe wrota na zewnątrz. Gdy usłyszał ich za sobą, zatrzymał się i obrócił.

– Eleanore – powiedział zdezorientowany demonolog. – Wybiegła, jakby goniło ją stado demonów...

– Lepiej ją zostaw – powiedział Caleb. – Wiesz, jaka jest. Pewnie potrzebuje być teraz sama. Chodźmy stąd.

Na zewnątrz w ciemnościach panowało zimno tym dotkliwsze, że w kościach i mięśniach wciąż czaił się chłód wywołany dotknięciem grobowej magii. Blythe szedł szybko, jakby i on przed czymś uciekał, a choć Marek i Evan dotrzymywali mu kroku, Jagoda została w tyle. Byłaby może w końcu sama wędrowała przez las, gdyby Caleb nagle się nie zatrzymał. Nie ze względu na nią: zapatrzonej w coś między drzewami, najpierw tkwił w miejscu, niby zamieniony w posąg, ale potem zrobił krok do przodu i drugi...

...Jagoda zaś, która właśnie ich doganiała, w jednej chwili szła przez las, w drugiej zaś przez cmentarz, a jej dłoń, nie tak dawno zaciskająca się na palcach Caleba, tkwiła w ręku Antoniego. Ścisnął palce mocno, jakby była jego kotwicą albo ktoś miał ich zaraz rozdzielić.

Chcesz już iść?

Tak. Ale zostanę, jeśli ty chcesz zostać.

Obrócił głowę w stronę, z której przyszli. Pomyślała, że może to samolubne: prosić go, aby odeszli, zanim zdążył się pożegnać. Ale nie mogła, nie potrafiła stać tam dalej, ścisnąć kolejnych dłoni, przyjmować kondolencji od ludzi, których Wawrzyniec tak naprawdę nie obchodził. Z których wielu, jak wierzyła, cieszyło się nieszczęściem Wilczków. Którzy w innych okolicznościach omijaliby ją szerokim łukiem i pewnie nawet teraz wzdrali się przed podaniem ręki Wilczej Jagodzie, szalonej wiedźmie klątw, bo kto wie, może ten jeden dotyk wystarczy i wiedźma Jaga cię przeklnie. Nie była pewna, czy zdołałaby to przetrwać, nie mówiąc już o pójsciu na stypę.

Nie. Nie, nie chcę. Jaga...

Urwał i po prostu ją objął, przyciągając do siebie z całych sił. Oparła czoło o jego ramię, a on wtulił twarz w jej włosy i trwali tak w uścisku, aż przez moment chłód, jaki odczuwała, zdał się mniejszy, łatwiejszy do zniesienia.

– Jaga?

Zamrugęła. To nie był głos Antoniego wzywający ją z innego czasu. Nie była na cmentarzu, na którym właśnie pochowano jej brata. Klęczała na wilgotnej ziemi, w środku lasu, niedaleko domu sióstr Donelly, a Caleb kucnął przed nią, obejmując dłońmi jej twarz.

– Eleanore – wykrztusiła. – Nie możemy jej teraz zostawić. Ta magia jeszcze trwa.

Działanie skutków ubocznych, zapowiedzianych przez Lane'a, wcale nie skończyło się w tamtej sali.

– Co widziałeś? – spytał Caleb ostro. Próbowal ją podnieść, ale się nie ruszyła. Nie miała sił, aby wstać. Jeszcze nie. – W zamku i tutaj. To ważne.

– Pogrzeb ojca. Pogrzeb brata...

– Cholera – mruknął Blythe. – To zaklęcie przywołuje śmierć. Marek! Evan! Znajdźcie Ellie!
Evanowi nie musiał powtarzać, mężczyzna biegiem rzucił się w drogę powrotną. Marek, niezdecydowany, wciąż tkwił jednak w miejscu.

– Jesteśmy już pod domem. Nic nam nie będzie, a ona nie może być sama na wybrzeżu.

– Niech to szlag – skomentował Marek, po czym ruszył w ślad za Evanem.

– Wstawaj, Jaga. Stał już widać dom.

Jakby dotarcie na miejsce miało w czymkolwiek pomóc. Powtarzała sobie, że to nic. Że to tylko wspomnienie, że minęło, że nie powinno boleć, ale to niczego nie ułatwiało. Czuła się tak jak wtedy, jak tamtego dnia na cmentarzu. Jakby jej serce okrył szron. Wstała jednak i pozwoliła pociągnąć się dalej ścieżką, ku posiadłości. Nie odzywała się: bała się, że jeżeli znów otworzy usta, wybuchnie płaczem, chociaż nie płakała ani kiedy dowiedziała się o śmierci brata, ani wtedy, na cmentarzu, nawet gdy oczy wuja i babki nie zostały suche.

To zaklęcie przywołuje śmierć...

Nawet gdyby mogła mówić, chyba nie ośmieliłaby się spytać, co i kogo zobaczył Caleb.

Blythe zatoczył się, kiedy już niemal dotarli do bramy. Podtrzymała go i uderzyli o mur. Osunęli się po nim powoli, ponieważ nie zdołała utrzymać się na nogach.

– Caleb! – zawołała mu wprost do ucha, próbując wyrwać ze szponów kolejnego wspomnienia. – Cale!

– Jestem – mruknął. Kurczowo zacisnął palce na jej plecach. Oparł czoło o ramię Jagody i trwał tak przez moment w bezruchu. Drżał: może z zimna, może pod wpływem obrazów, które odzywały przed jego oczyma. – Przypomnij mi, żebym nigdy więcej nie używał grobowych pieśni.

– Masz to jak w banku. Mam ich dość na całe życie. – Z trudem wypowiadała kolejne słowa.

Wręcz czuła magię, która osiadła na jej skórze, wczepiła się w umysł i duszę. Strach przed tym, co jeszcze może zobaczyć, prawie ścinał krew. Caleb odsunął się wreszcie, chwycił ją za rękę i pociągnął przez bramę, a potem przez ogród ku wejściu. Lane nie spał, czekał na nich i wybiegł do przedpokoju, ledwo Blythe otworzył drzwi.

– Czy...

Potknęła się na progu i prawie upadła.

– Nie teraz!

Nie była pewna, czy Caleb mówi do niej, czy do Benetta. Nie miało to znaczenia, bo i tak nie mogła odpowiedzieć: jego głos oddalał się, czerń rozlewała się przed jej oczyma, a potem...

...prababka porusza ustami, chce chyba coś powiedzieć, ale nie może. Jest coś w ciemnych oczach Joanny Wilczek, czego mała Jagoda nie może rozpoznać, a co jej starsze „ja” nazwałoby desperacją.

Zabierz ją stąd.

Chciała z nią porozmawiać...

Widzisz, że nie może nawet nic powiedzieć! Poza tym...

Twarz prababki jest blada, wysuszona, dziwnie nieruchoma. A potem babka bierze Jagodę za rękę i wyprowadza z pokoju przepelnionego przedziwnym zapachem: obcą dziecku wonią choroby i śmierci.

Jagoda zamrugała. Jedna chwila. Ma kilka lat, obserwuje umierającą babkę. Druga chwila. Pokój w domu sióstr Donellych, Blythe, który pomaga jej usiąść na łóżku...

– Kurwa – wyrwało się czarodziejce.

– Chyba ty – odparł Caleb niemal wesoło i Wilczek się roześmiała. Nie, nie dlatego, że tak rozweseliła ją głupia odzywka, raczej trochę histerycznie, a trochę z powodu wspomnienia ich pierwszego czy raczej kolejnego spotkania.

Oparła się plecami o wezglowie. W głowie wciąż jej wirowało. Nie zdejmowała płaszcza: choć w pomieszczeniu pracował grzejnik, wciąż czuła zimno tkwiące głęboko pod skórą.

– Nie ma na to jakiegos sposobu?

– Zdaniem Lane’a nie. Musimy poczekać.

– Kiedy minie?

– Podobno mamy się lepiej poczuć o świcie... czyli za jakieś pięć godzin – wyjaśnił Blythe, siadając obok niej.

Zamrugał i potarł skronie. Już myślała, że znów pochłonęła go przeszłość, ale nie: przynajmniej jeszcze nie. Chociaż to nie był koniec, bo czuła, że magia wciąż ją otacza, czai się, by ponownie ugryźć. Pewnie on i

Eleanore byli w podobnej sytuacji.

– Znaleźli Eleanore?

– Znajdą. Erin i Maya też pobiegły. Lane został, żeby nas pilnować, gdybyśmy nagle postanowili pod wpływem magii siać śmierć i zagładę.

– A zdoła nas... ciebie powstrzymać? – spytała z powątpiewaniem.

– Ma swoje sposoby. Zresztą nie planuję siać śmierci i zagłady. Zasadniczo zastanawiam się raczej, czy jeśli odpowiednio mocno walnę głową o ścianę, to stracę przytomność i obudzę się dopiero rano.

Nie była pewna, czy to żart, czy szczere wyznanie, ale jeśli sądzić po tym, co jej samej podsuwała grobowa magia, mogło chodzić o to drugie.

– Lepiej nie. Możesz wtedy utknąć w wizjach.

Nie odpowiedział. Trąciła go lekko, ale nie reagował, uwięziony w kolejnym wspomnieniu. Ta magia przyciąga śmierć. Jeśli każdą, z jaką mieli do czynienia... Blythe'a czekało bardzo wiele wizji, a ją... może i mniej, ale nie była pewna, czy nie więcej, niż zdoła znieść.

– Caleb! – podniosła głos.

Gdy spojrzała mu w twarz, dostrzegła, że jego oczy wyglądają jak oczy starca, którego wzrok dawno utracił bystrość. Zaciśnęła palce na ramionach Blythe'a, by lekko nim potrząsnąć. Nie miała pojęcia, czy jest jakikolwiek sposób na wyrwanie z wizji. Czy wcześniej wróciła do rzeczywistości, bo ją wołał, czy też mijały samoistnie? Nie wiedziała, więc musiała przynajmniej spróbować.

– Caleb!

Zamrugał i spojrzał na nią przytomniej. Jego wargi wygięły się w uśmiechu. Była niemal pewna, że w udawanym. Cokolwiek zobaczył, musiało być gorsze niż wizja w lesie i potem, przy bramie.

– Zdaje się, że niedługo twoja kolej – wychrypiął.

Głos Blythe'a brzmiał nienaturalnie, jakby zmuszał się do wypowiedzenia kolejnych słów.

– Już się na to cieszę.

– Mogę tu zostać? – spytał z nietypową dla siebie niepewnością. – Żadne z nas nie powinno być teraz samo. Na wypadek, gdyby nagle postanowiło...

– ...siać śmierć i zagładę?

– Nie. Przestać oddychać, jak ty na tamtym placu budowy. Obiecuję być wzorcowym dżentelmenem.

Tym, że by nim nie był, akurat nie musiała się przejmować. Nie, kiedy co chwila któreś z nich traciło kontakt z rzeczywistością. Podejrzewała zresztą, że Caleb po użyciu grobowej pieśni jest równie zmęczony jak ona. Miał też na pewno rację w tym, że nie powinni być sami – choć prawdopodobnie najlepiej byłoby ściągnąć tu także Benetta. Na wypadek gdyby oboje utknęli w przeszłości jednocześnie. Tak czy inaczej, wzajemne towarzystwo było w tych okolicznościach lepsze niż żadne. A jednak wahała się długą chwilę, nim wreszcie skinęła głową.

Caleb przesunął się i również oparł o wezglowie. Jagoda ściągnęła kołdrę, narzuciła ją na nich oboje. Miała brudne spodnie, błoto ubrudziło więc pościel, ale tym mogła się zająć rano, gdy nienaturalny chłód nie będzie już przenikał ciała i umysłu. Blythe jakimś cudem zdołał wykrzesać z siebie dość sił, aby użyć magii: z jego palców spłynęła jasna kula, która poszybowała pod sufit. Jagoda nie zaprotestowała, kiedy drugą ręką sięgnął ku jej dłoni. Zaciśnęła palce na jego ręce, lodowato zimnej.

Czekali w ciszy na kolejne wspomnienia pełne śmierci i strachu.

*

Jagoda nie była pewna, kiedy zmęczenie ją pokonało. Chyba tuż przed świtem: gdy nie pojawiały się już żadne wizje, ale za oknem wciąż panowały ciemności. O dziwo, spała spokojnie, może dlatego, że wszystkie koszmary przyszły wcześniej. Oglądała znane sobie twarze prababki, ojca, brata, dziadka – ledwo go pamiętała, lecz magia nadała wspomnieniom nowej ostrości... – Adriana, Daniela Macclone'a. Martwego chłopca, którego widziała w szkole Sobieskiego. Leona Gruszyńskiego, który zginął w Gwiezdnym Zajeździe. Innych ofiar Potockiego: także tej, którą znalazła i której ciało zamieniła w pył, kiedy próbowała zdobyć odpowiedzi.

Człowieka, którego przed laty zabił Antoni w jej obronie, i tego, którego sama zabiła później, szukając zemsty za brata i samą siebie.

Te twarze nie nawiedziły jej w snach. Ledwie jednak nadeszło przebudzenie, znowu stanęły przed

oczami Jagody. Początkowo leżała w bezruchu, zwinięta w kłębek, marząc tylko o tym, by ponownie zasnąć. Nie myśleć, nie czuć, nie pamiętać.

– W skali od jednego do dziesięciu, jak złe jest twoje samopoczucie? – spytał Blythe.

Stał przy oknie, tyłem do pokoju, i póki się nie odezwał, nie zdawała sobie sprawy z jego obecności. Sądziła, że zdążył wyjść, ale najwyraźniej nigdzie się nie ruszył, bo kiedy wreszcie usiadła i spojrzała w jego kierunku, zauważyła, że wciąż ma na sobie to samo ubranie, co wcześniej.

– Jakies jedenaście – przyznała szczerze, podciągając kolana pod brodę i obejmując je ramionami. Nie rozmawiali w nocy zbyt wiele, z każdą kolejną wizją coraz bardziej pochmurni i zmęczeni. Wyrwali się z nich wzajemnie, bo jak się okazało, głos i dotyk pozwalały je przynajmniej trochę skrócić, ale ta noc była i tak zbyt długa, zbyt ponura, wypełniona zbyt wieloma koszmarami. – Co z Eleanore?

Uciekła wzrokiem gdzieś w bok. Podejrzewała, że czułaby się mniej niezręcznie, gdyby po prostu się ze sobą przespali. Wspólne stawienie czoła tej magii wcale nie zdawało się jej mniej intymne. W dodatku, idiotka, w roztrzęsieniu przyznała się mu, że widziała Adriana.

Śmierć ojca i brata dotknęła ją dużo bardziej niż los Adriana, a jej ponowne przeżycie rozdrapało dawno zabliznione rany. Ale to wspomnienie Potockiego i podziemi było najświeższe i ta rana nie zdążyła się jeszcze zagoić. W pewnym sensie przecież go zabiła.

Czasem miała wrażenie, że nici klątwy z podziemi nadal do niej przylegają. W pierwszych tygodniach po wydarzeniach pod ziemią wciąż i wciąż sprawdzała swoją aurę, pełna obaw, że ciąży na niej przekleństwo. Że to ono miesza w snach i myślach. W końcu musiała jednak przyznać, że to tylko jej własny umysł. Wyrzuty sumienia, żaloba i obawa, co będzie dalej. Wahanie się przy decyzji w sprawie starszego Potockiego. Obserwowanie polityki enklawy tak uważnie, jak nigdy wcześniej.

Dotąd nie wspominała o tym nikomu. Nie mogła przecież, prawda? Nikt nie powinien wiedzieć, jak zginął Adrian.

– Lane tu niedawno zaglądał. Eleanore też jest już w domu, Evan ją wczoraj przyniósł. Doszła do siebie. Na tyle, by wyrzucić z pokoju jego i Erin, więc nic jej nie będzie.

– To dobrze – odparła mechanicznie. – Masz zamiar powiedzieć Doherty’emu o pierścieniu?

Blythe milczał. Jagoda poruszyła się niespokojnie. Odrzuciła kołdrę i usiadła, stopy spuszczać na podłogę.

– Caleb?

– Jeśli ten, kto go nosi, dowie się o tym, stracimy szansę, by go złapać – mruknął, wciąż stojąc do niej tyłem.

Jagoda nagle nabrała wielkiej ochoty, by złapać lampkę z nocnego stolika i cisnąć mu w głowę. Za każdym razem, gdy dawała się przekonać, że oceniała go zbyt surowo, Caleb robił coś, co przypominało Jagodzie, że przydomek Ucznia Czarnoksiężnika nie przylgnał do niego wyłącznie z powodu mistrza.

Doskonale wiedziała, że Blythe nie był krystalicznym człowiekiem. Nie mogła go za to potępiać, bo sama zrobiła wiele złych rzeczy. W pewnym sensie jego elastyczne podejście do prawa i specyficzna moralność raczej ich łączyły, niż dzieliły. Ale Doherty, nawet jeżeli zbyt wiele między nimi stało, kiedyś był jego przyjacielem.

Spisanie go na straty, gdy zdecydowanie nie było to konieczne, a mogło jedynie wywołać więcej kłopotów, przekraczało zbyt wiele granic.

– Jeżeli nikomu nie powiesz, Thomas za dwa dni może być martwy. A na pewno ktoś inny. Nie upilnujesz wszystkich z listy, a my możemy nawet niczego nie zauważyć.

– Wiem – westchnął i wreszcie się ku niej obrócił. Wyglądał niemal równie źle, jak ona się czuła. Nie była pewna, ile spali, ale podejrzewała, że nie więcej niż dwie, trzy godziny. – Wyślę mu dziś wiadomość i pewnie się z nim spotkam.

Przygryzła wargę, przez moment niepewna, czy nie blefował. Ale dotąd nigdy nie okłamał jej wprost.

– Zabił kogoś, żeby rzucić... tę klątwę lub zaklęcie.

– To bardzo prawdopodobne – przyznał Caleb. – Gdy go ujęto, w podziemiach poza kilkoma żywymi osobami znaleziono trzy ciała. Myśleliśmy, że złożył tych ludzi w ofierze, by skuteczniej się bronić, ale mogli posłużyć jako ofiary do tej klątwy.

Wbiła wzrok w podłogę, myśląc o tym, jak to musiało wyglądać. Próba ujęcia Jacoba Reda. Szturmowanie zamku. Walka, w której kilka osób zginęło, a jeszcze więcej zostało rannych. Wejście do

laboratoriów...

A on tam był, w samym centrum tego wszystkiego. Miał mniej więcej tyle lat, co ona teraz.

– Jedno zaklęcie rzucało siedmiokrotnie – przypomniała słowa brownie. Miała wielką nadzieję, że się myli, ale jeżeli Jacob odprawił ten rytuał siedmiokrotnie, prawdopodobnie za każdym razem musiał też kogoś zabić. – Siedem razy. Po trzy ofiary?

Caleb milczał. Najwyraźniej to samo przyszło mu do głowy już wcześniej. Nie podzielił się tym po prostu dlatego, że oboje byli zbyt zajęci oglądaniem wszystkich umarłych, z jakimi mieli do czynienia w życiu, albo wolał, by się tego nie domyśliła.

– Dam radę naszkicować ten sygnet – powiedziała więc w końcu.

– Będę wdzięczny. Nie miałem okazji się mu przyjrzeć – odparł Blythe beznamiętnie.

Przypomniała sobie jego reakcję na pojawienie się widma Reda: nagłą ucieczkę, może reakcję na widok nauczyciela, a może osunięcie w przeszłość.

Grobowy śpiew przebudziła stare demony i choć magia przeminęła z nadejściem świtu, one nie odeszły.

– Czy... – zaczęła, gdy ruszył do drzwi, ale urwała, sama niepewna, o co chce zapytać. Czy wszystko w porządku? Przecież wiedziała, że nie było w porządku. Co zobaczył? Wątpiła, by chciał o tym mówić. Ona zdecydowanie nie miała ochoty opowiadać o własnych wizjach, o korowodzie martwych, który tej nocy przemknął przed jej oczyma. Na pewno jeszcze nie teraz. A jednocześnie czuła, że nie powinna pozwolić, by wyszedł bez słowa, kiedy magia musiała wpłynąć na niego co najmniej równie mocno, jak na nią. Może nawet mocniej. Starał się nic nie okazywać, ale pod tą udawaną obojętnością skrywał albo przygnębienie, albo złość. Gdy zaklęcie z niej opadło, na nim wciąż się utrzymywało: może dlatego, że był jego centrum. Może dlatego, że w jego życiu kryło się o wiele więcej śmierci. – W skali od jeden do dziesięciu, jak złe jest twoje samopoczucie?

– Nawet sobie nie wyobrażasz, jak trudne jest to pytanie – odparł, już stojąc w wejściu. Namysłał się przez chwilę, jakby naprawdę odpowiedź nastęrczała mu problemów. – W ostatecznym rozrachunku, jeśli wziąć pod uwagę różne rzeczy, chyba pięć na dziesięć. Możesz dziś odpocząć. Postaraj się tylko narysować ten sygnet.

Gdy wyszedł, opadła z powrotem na łóżko, twarzą w poduszkę. Jej telefon zasygnalizował nadejście wiadomości: pewnie znów od Liliany albo Soni, które regularnie sprawdzały, czy Jagoda jeszcze żyje. Nie poruszyła się jednak, by wysłać im kolejny meldunek, wariację na temat „radzę sobie”. Do tej pory nie było to kłamstwo, choć i nie do końca prawda.

Teraz miałyby wyrzuty sumienia, gdyby wystukała choćby i taką wiadomość. Bo miała wrażenie, że ani trochę sobie nie radziła.

*

Przez niemal cały kolejny dzień dom był opustoszały. Jagoda napotkała w nim jedynie Benetta i Erin. Reszta – jak przekazała ta druga – próbowała się dowiedzieć więcej o pierścieniu. Marek i Evan sprawdzali pracowników Madainn ũr, Caleb i Maya szukali wśród osób związanych ze Scotland Yardem, a Eleanore przeczesała zbiory w bibliotekach Donlonu.

Pozostawiona sama sobie, Jagoda zalogowała się z komórki najpierw do internetu, a potem do MAGnetu. Próbowała znaleźć coś o sygnetach z rubinami. Sonia zaczęła ją na czacie i fala jej pytań na temat klątw, prawdopodobnie związana z egzaminem, przynajmniej na chwilę pozwoliła Jagodzie zająć myśli czymś innym niż śmierć i Jacob Red. Wieczorem niemal pusty dom wciąż tonął w ciszy i ciemności, a ona długo nie mogła zasnąć, dręczona wspomnieniami, które teraz nabrały nowych barw i zdawały się znów świeże, jakby przeżyła je zaledwie wczoraj.

Ileokroć zamykała oczy, widziała twarze Wawrzyńca, ojca oraz Adriana. Gdy wreszcie zasnęła, wprawdzie nie pojawili się w jej koszmarach, za to ona znów znalazła się w komnacie Jacoba Reda, a martwe kobiety były pięściami w szklane tafle, próbując się wydostać. Zaraz po przebudzeniu jej pierwsza myśl brzmiała: jutro ktoś umrze.

Nie musiała pytać, czy zdołali odkryć, kto nosił sygnet. Już samo napięcie panujące przy śniadaniu, na którym wyjątkowo zebrali się wszyscy lokatorzy, stanowiło najlepszą odpowiedź. Nikt nie mówił za wiele. Erin początkowo próbowała rozluźnić atmosferę, ponieważ jednak i Evan, i Eleanore, których zaczęła, odpowiadali półsłówkami, również ona się poddała. Blythe znikł dość szybko, gdy zadzwonił jego telefon.

Maya grzebała w sałatce, nie podnosząc wzroku znad talerza. Lane jadł jedną ręką, drugą przerzucał kartki notatnika.

Po posiłku ponownie sprawdzała ich aury, jedną za drugą. Jeśli się nie mylili i klątwę skoncentrowano wokół pierścienia, nic im nie groziło. Przekleństw rzuconych na przedmioty nie dało się na nikogo przenieść bez bezpośredniego kontaktu. W tym wypadku nie można było jednak mówić o nadmiarze ostrożności.

Wieczorem nikt nie poszedł spać. Odliczanie zaczynało się o północy i choć teoretycznie nikt z nich nie mógł mieć kontaktu z pierścieniem... nie mieli przecież pewności. Od zmierzchu tkwili więc razem w salonie. Niby rozmawiali, jedli, a w pewnym momencie Marek i Erin zaczęli nawet grać w karty, jednak dało się wyczuć wiszące w powietrzu napięcie.

Jagoda siedziała skulona na kanapie. Dręczyła ją myśl, że powinna być gdzieś indziej. W Scotland Yardzie, gdzie dyżur od północy do dziesiątej pełniła Jeanette, a potem miała zostać zmieniona przez Caleba. Byli świetnymi specjalistami, to prawda, ale wiedźma czuła, że tutaj marnuje czas.

Gdyby była w Donlonie, to może nie wykryłaby, kto padnie ofiarą klątwy, lecz przynajmniej mogłaby zbadać szybko ciało. A tu? Tkwiła z boku, obserwując tych ludzi, wsłuchując się w rozmowy, i co rusz nerwowo zerkała na zegar, którego wskazówki przesuwają się irytująco wolno.

Po paru godzinach Erin wyszła z salonu i wróciła z tacą i kilkoma kubkami.

– Co to? – spytała Jagoda podejrzliwie, spoglądając na zawartość kubka. Ciecz w środku była zielonkawa i trochę zbyt gęsta jak na zieloną herbatę.

– Mieszanka pobudzająca – wyjaśniła Erin i podała drugie naczynie Eleanore. – Moja specjalność. Ułatwia funkcjonowanie bez snu.

– Jakież efekty uboczne?

– Tylko przy nadużywaniu.

Wiedźma wstrzymała oddech i upiła łyk. O dziwo, mikstura smakowała mniej paskudnie, niż Jagoda oczekiwała. Większość eliksirów dodających energii albo przywracających siły miała znacznie gorszy smak. Napój pozostawił po sobie lekkie uczucie palenia w przełyku i nie wywarł natychmiastowego efektu, ale jeżeli miał opóźnić nadejście uczucia senności, Jagoda nie zamierzała narzekać. Dochodziła szósta, a w ciągu najbliższej doby nie mogła liczyć na to, że pójdzie spać na dłużej niż dwie, trzy godziny. Nawet jeżeli Caleb nie chciał się zgodzić, by w krytycznym czasie siedziała w Scotland Yardzie, miała regularnie kontrolować aury domowników.

Ledwie parę sekund później okazało się jednak, że ten plan nie jest już aktualny.

– Marek, Jaga, zbierajcie się – oznajmił Blythe. Stanął na progu, naciągając ciemny płaszcz. – Mamy kolejną ofiarę.

Erin opadła na kanapę, wydając z siebie zdławiony odgłos. Na twarzach innych... w większości malowało się coś, co mogło być przedziwną mieszanką ulgi i napięcia. Ktoś umarł, nie był to jednak nikt z nich. Nawet Caleb mocno zaciskał szczęki, czekając, aż Marek i Jagoda wstaną. Niewzruszony wyraz twarzy zachował tylko Evan.

– Kto? – spytała Eleanore krótko.

– Ian Torwell. Zastępca Michaela.

Marek, który już rzucał się po płaszcz, zatrzymał się w pół kroku. Jagoda omal na niego nie wpadła.

– Co? – spytał z niezrozumieniem. – Nie brał udziału w akcji i na pewno był w Scotland Yardzie, a tam jest teraz Brown!

– Nie brał udziału w samej sprawie i akcji, ale nadzorował pewne rzeczy, gdy Jacoba aresztowano – powiedział Blythe ponurym tonem. – Wziął wprawdzie urlop zdrowotny, by się w to za bardzo nie mieszać, ale Jacob mógł nie wiedzieć, że nie należał do osób odpowiedzialnych za jego uwięzienie... a część papierów i zeznań przechodziła na początku przez ręce Iana.

– Brown nic nie odkryła? – wtrąciła się Jagoda. Jeżeli ona nie wyłapała klątwy, to czy ktokolwiek miał szansę...? A może głupio i naiwnie zaufała deklaracji Caleba, że podzieli się informacjami? Nie posłała Jeanette wiadomości... – Nikt nie zobaczył sygnetu?

– Nie braliśmy go pod uwagę jako jednego z listy. Nie zdążył dotrzeć do Scotland Yardu.

Pięć, sześć godzin od północy, a nie byli pewni godziny śmierci. Albo klątwa postępowała błyskawicznie, co w przypadku morderczych przekleństw było niespotykane, albo nie wiązała się z konkretnymi datami aż tak mocno, jak zakładali.

Gdy Jagoda i Marek pośpiesznie się ubierali, Maya dopadła Caleba. Rozmawiali przez chwilę w języku, którego Jagoda nie rozumiała. Zważywszy, że pod koniec czarodziejka podniosła głos, a jej twarz wykrzywiła się ze złości, z pewnością nie mówili o niczym miłym. Blythe pochylił się ku Mayi, wyszeptał coś, a po kolejnej wymianie zdań – kiedy pozostała dwójka już czekała w progu – ta znikła na moment, tylko po to, by błyskawicznie wrócić z kurtką narzuconą na plecy.

Wszyscy czworo wsiedli do auta, Maya na przednie siedzenie, Caleb za kierownicę, Marek i Jagoda z tyłu. Wiedźma początkowo się nie odzywała. Myślała głównie o tym, że będzie za późno. Już jest za późno. Nie tylko dlatego, że zmarł zastępca komendanta Scotland Yardu. Jeżeli wspomnienie Jeanette mogło być jakimś wyznacznikiem, to zanim dotrą do Londynu i przedrą się ku jednemu z przejść, aura zaniknie. Brown badała ciało zaledwie kilkadziesiąt minut po śmierci. Teraz na pewno upłynie więcej czasu.

– Wiadomo, kiedy zginął? – spytał Marek, gdy już wyjechali z Rainharbour.

W rękę trzymał telefon i szybko coś na nim wystukiwał. Jagoda otrząsnęła się z zamyślenia, czekając na odpowiedź.

– Nie ustalili jeszcze dokładnej godziny zgonu, ale prawdopodobnie przed piątą.

– Szlag – wyrwało się Jagodzie. Godzina, zanim wiadomość do nich dotarła. Zanim dojadą na miejsce, nawet jeżeli o tej porze trudno o korki, miną jeszcze ze dwie. – Pewnie nic nie wyczuję.

– Aura nie ulatnia się tak szybko – prychnęła Maya. – Po dwóch godzinach nawet ja wyczuję, że rzucono jakąś kłątwe.

– Jeanette Brown miała problem z chwyceniem śladu po niecałej godzinie – odparła Jagoda krótko.

Jeżeli Maya chciała coś odpowiedzieć, to nie zdążyła, bo rozbrzmiało kolejne pytanie Marka.

– Miejsce?

– Zasłabł za kierownicą w drodze do Scotland Yardu. Miał stawić się o północy, ale zadzwonił z informacją, że się spóźni.

– Wiadomo dlaczego? – drążył Marek, wciąż nie podnosząc głowy znad ekranu.

– Thunderbird może wiedzieć więcej. Nie miałem czasu pytać, a Tom wyjaśniać – odpowiedział Caleb, tym razem z odrobiną irytacji.

Telefon Jagody zaszyfrował SMS-a. Sięgnęła po niego pośpiesznie, bo o tej godzinie nikt nie powinien wysyłać jej wiadomości... ale okazało się, że nie był to nikt z domu. „Jedziesz? J.B.”.

„W drodze”, odpisała krótko.

Siedziała jak na szpilkach. Zła na siebie, że nie uparła się bardziej, by czuwać w Donlonie. Na Blythe’a, że nie pojechał tam wcześniej. Do tej pory, jak wynikało z papierów, większość ofiar zginęła pod sam koniec dnia, ale nie powinni byli zakładać beztriosko, że mają ten czas. Złościła się nawet na to, że nie ustawili wcześniej portalu: Caleb pewnie miał takie możliwości, a jeżeli nie on, to Scotland Yard.

Gdy pokonali już granicę i otoczyła ich mgła, przez którą niewiele dało się zobaczyć, Caleb dość szybko zatrzymał się pod jednym z budynków. Był najjaśniejszym punktem w zasięgu wzroku, skąpany w świetle magicznych lamp. Blythe szybko sprawdził coś na telefonie, a Marek wyskoczył z auta i pobiegł ku wejściu.

– Co...

– Londyńska siedziba firmy – wyjaśnił krótko Blythe, zanim Jagoda zdążyła dokończyć pytanie. – Marek spotka się tam z kilkoma pracownikami i wyda im dyspozycje.

– Po szóstej nad ranem?

– Parę osób pracuje na nocnej zmianie – mruknął.

Wyraźnie chciał uciąć temat, powstrzymała więc kolejne pytania. Przynajmniej na razie. Widok Marka, który gnał do budynku Madainn ũr, uświadomił jej, że ma wgląd w zaledwie ułamek toczących się działań. Wiedziała oczywiście, że Scotland Yard na pewno robi swoje, ale do tej pory zakładała (dość naiwnie, musiała przyznać), że orientuje się mniej więcej, nad czym pracują Blythe i jego ludzie.

– Jedziemy na miejsce wypadku? – spytała Maya, być może też wyczuwając, że Caleb nie chce ciągnąć tematu firmy.

– Przed chwilą dostałem wiadomość, że Iana właśnie przeniesiono... Cholera.

Zaklął, gdy zaparkowali pod siedzibą Scotland Yardu. W pierwszej chwili nie zrozumiała, o co mu chodzi. Potem jednak we mgle dostrzegła majaczącą sylwetkę Michaela Thunderbirda. Szef tutejszej policji stał przed wejściem do budynku. Wyraźnie na coś czekał. Albo na kogoś: najpewniej na nich.

– Sądzisz, że nie dopuści nas do ciała? – spytała.

Blythe nie odpowiedział, otworzył drzwi i wyskoczył z auta. Jagoda poszła w jego ślady. Thunderbird ruszył do nich niemal natychmiast.

– Pani Wilczek. Panna Abrams. Uczeń Czarnoksiężnika – przywitał ich Michael.

– Pan Thunderbird – odparł Caleb takim tonem, że jeśli po tym Uczniu Czarnoksiężnika Jagoda miała jakieś wątpliwości co do ich wzajemnej niechęci, to teraz się ich wyzbyła. Najwyraźniej nadszarpnięte zaufanie Doherty'ego oraz przywiązanie Michaela do procedur stanowiły zaledwie niewielką część problemów we współpracy między Blythe'em a Scotland Yardem. Tajemnicą pozostawało, jakim cudem w ogóle dopuszczono go do sprawy.

Uśmiech, który pojawił się na twarzy Michaela, był jednak uprzejmy i nie mogła dopatrzeć się w nim choćby śladu fałszu.

– Cieszę się, że dotarliście tak szybko. Pani Wilczek. Proszę ze mną.

– Chwileczkę... – zaczął Caleb, ale Thunderbird wszedł mu w słowo:

– Caleb, Thomas i Jeanette już na ciebie czekają. Chcą omówić okoliczności.

– Powiniennem zbadać ciało.

– Nie sądzę, że znajdziesz na nim coś więcej niż na trzech innych, które dotąd sprawdzałeś – wyjaśnił Thunderbird cierpliwie. Mimo nieprzyjemnego powitania teraz brzmiał raczej jak nauczyciel, który usiłuje wytłumaczyć uczniowi oczywisty fakt. – Jeanette zapewnia, że pani Wilczek ma szansę osiągnąć więcej, a jeśli się nie mylę, im więcej osób w pobliżu podczas takiej procedury, tym trudniej coś wyczuć.

Spojrzał przy tych ostatnich słowach na Jagodę, która odruchowo skinęła głową. Caleb zmierzył ją morderczym wzrokiem, jak gdyby właśnie śmiertelnie go obraziła. Michael za to wyciągnął rękę, oferując wiedźmie ramię. Gest dżentelmena, w tych okolicznościach ani trochę dżentelmeński, bo niewielki miała wybór. Mogła się zgodzić albo go obrazić, a to od jego dobrej woli zależało, czy zostanie dopuszczona do ciała.

Oparła na jego ramieniu same czubki palców. Tym razem przynajmniej nie poraził jej prąd.

– Mam nadzieję, że traficie do gabinetu? – powiedział tylko Thunderbird, ale nie czekał na odpowiedź.

Nie weszli do budynku. Zamiast tego poprowadził ją do jednego z sąsiednich gmachów. Najwyraźniej tutaj urządzono... nie była pewna. Laboratorium? Biuro koronera? Niewiele wiedziała o tym, jak dokładnie funkcjonuje Scotland Yard. Głównie tyle, ile wyszukała w ostatnich dniach, chociaż bardziej niż na samych strukturach skupiała się na pracownikach. W tym na Michaelu Thunderbirdzie. O nim też zresztą nie zdołała dużo wygrzebać. Mag bojowy, utalentowany także w zakresie magii ogólnej. Urodzony w rodzinie, którą można było uznać za magiczną klasę średnią. Rodzice zmarli kilkanaście lat temu, potem zginęła także jego siostra. Zasłynął z kilku akcji, najśłynniejszą zaś, która zapewniła mu awans z szefa wydziału specjalnego na zastępcę komendanta magicznej policji, było oczywiście ujęcie Reda.

Został wtedy ranny, plotkowano też o tym, że sprawa źle wpłynęła na jego psychikę, bo zginęło wówczas kilka bliskich mu osób. Niektórzy podejrzewali, że śmierć Jacoba Reda była starannie wykalkulowana – zresztą to, co powiedział jej Thomas, mogło na to wskazywać. Jeśli sądzić po zdjęciach, Michael mniej więcej w tym okresie osiwił. Po śmierci Reda zmagął się z falą oskarżeń. Przebywał kilka miesięcy na urlopie, w tym czasie wyjechał gdzieś za granicę i plotkowano, że nie wróci już do obowiązków, jednak zrobił to. Awansował na zastępcę dowódcy Scotland Yardu, a gdy pięć lat temu komendant padł ofiarą klątwy, zajął jego miejsce...

– Pani Wilczek. Czy możemy liczyć na to, że faktycznie coś zostanie dziś znalezione? – spytał, gdy dotarli na miejsce i zatrzymali się pod drzwiami, za którymi prawdopodobnie spoczywało ciało Iana.

Jego zastępcy, przypomniała sobie i zerknęła ukradkiem na twarz Michaela, ale jeżeli śmierć współpracownika nim wstrząsnęła, bardzo dobrze to maskował.

– Nie wiem – przyznała szczerze. – Gdybym dotarła tu szybciej... na pewno, ale w tej chwili...

– Rozumiem – westchnął. – Chyba nie powiniennem oczekiwać cudów. Jeanette nalegała.

– Zrobię, co w mojej mocy.

– O nic więcej nie ośmieliłbym się prosić. Proszę chwilę poczekać.

Wszedł do środka, by porozmawiać z osobami, które były w sali. Trzy minuty później pomieszczenie opustoszało.

Ciało mężczyzny, mniej więcej koło pięćdziesiątki, bladego, o dziwnie wysuszonej twarzy, co

prawdopodobnie było rezultatem klątwy, spoczywało na stole, podłączone do skanera. Jagoda nie musiała nawet sprawdzać, by wiedzieć, że na Ianie użyto już całkiem sporo magii. Normalne procedury, pomagające określić czas i przyczynę zgonu, wyszukać magiczny ślad i tak dalej, były niestety w tym przypadku mocno niewskazane. Ich zastosowanie wywołało w niej ukłucie irytacji. Wiedzieli przecież, że zabiła go klątwa. Mogliby łaskawie wstrzymać się chwilę z takimi badaniami, by nie utrudniać jej zadania.

– Mogę zostać sama? – spytała, gdy Thunderbird podsunął jej krzesło.

Wprawdzie w cudzej obecności też mogła działać, ale im mniej czynników rozprasających, tym mniejsze szanse na to, że coś jej umknie.

– Bardzo proszę.

Drzwi zamknęły się za nią z cichym trzaskiem. Jagoda odetchnęła i sięgnęła po dłoń zmarłego. Szukanie śladów klątwy na kimś, kto umarł, było zupełnie inne niż w przypadku żywych. (I, uderzyła ją nagła, w tych okolicznościach trochę absurdałna myśl, że nie ćwiczyła tego z Sonią. Chociaż takie zagadnienie zdecydowanie nie pojawi się na egzaminie...). Skupiła się na szukaniu nici przekleństw, próbując zignorować inne magiczne ślady, spowijające ciało oraz pomieszczenie. Były tu: już nieliczne, kiedyś pewnie ciemne, teraz zatracające barwy. Nie tylko tak starannie zamaskowane, że dostrzegła je dopiero po chwili, ale też błyskawicznie się ulatniające, na jej oczach. Potężna klątwa, rzucona przez prawdziwego mistrza, który bardzo wiele uwagi poświęcił temu, by ją ukryć. Naznaczona piętnem czarnej magii i śmierci.

Wzór magiczny faktycznie mógł należeć do Jacoba Reda. Nie miała stuprocentowej pewności: minęło zbyt wiele czasu, a ona wniosowała tylko na podstawie dawnego przekleństwa i tego, czego dowiedziała się w zamku. Zwłaszcza że ta klątwa zdawała się mieć lekkie naleciałości innej mocy, być może ze względu na to, że ostatecznie na cel nie zsyłał zaklęcia sam twórca. Zapleciono ją na pewno równie doskonale, jak tę w Ragnarfell: Jagoda chyba nie spotkała się dotąd z tak starannym splotem. Było dość jasne, że to przekleństwo stanowiło przyczynę śmierci – i że zostało w jakiś sposób zmodyfikowane. Nie znajdowało się na liście klątw, które Jagoda знаła, chociaż jedną z nich odrobinę przypominało.

Drażyła uparcie, próbowała chwycić kolejne nici, a nawet nasączyć je własną mocą – wtedy jednak natychmiast zniknęły, rozwiewając się bez śladu. Gdy była już niemal pewna, że nie zdoła odkryć nic ponad to, co powiedzieli Brown i Caleb... wyłapała coś jeszcze.

I nagle cała nieufność Blythe'a wobec Scotland Yardu stała się dla niej bardziej zrozumiała.

Cudza magia musnęła ją, wyrrywając z transu. Jagoda szarpnęła się odruchowo, ale czyjeś ręce zacisnęły się na jej ramionach. Może i dobrze, bo chociaż w pierwszej sekundzie wzbudziło to w niej panikę, to dzięki temu nie spadła z krzesła. Była odrętwiała, a świat zamazywał się jej przed oczyma. Zadarła głowę: Blythe, który stał za nią, pochylił się, by spojrzeć jej w oczy. Zamrugnęła, bo jego twarz zdawała się tylko jasną plamą.

– Dlaczego mi przerwałś? – spytała, opuszczając głowę, by znów spojrzeć na Iana.

Odruchowo uniosła dłoń ku gardłu, tak suchemu, że jej głos zabrzmiał ochryple.

– Bo siedzisz tutaj od prawie dwóch godzin. Wszystko w porządku?

Nie.

– Tak.

– Mogłabyś zdjąć tę klątwę?

– Z żywego? Tak – odparła bez wahania.

Była skomplikowana i podstępna, ale natykała się już na przekleństwa trudniejsze w przełamaniu. Prawdziwy problem z tym zaklęciem leżał gdzieś indziej.

– Na pewno? – Pytanie padło od drzwi. Jagoda spojrzała w tamtym kierunku i dopiero teraz się zorientowała, że do pomieszczenia wszedł też Thunderbird. – Zdaje się, Caleb, że ty nie mogłeś dać takiej gwarancji...

– Nie przepadam za klątwolaniem – odpowiedział Blythe krótko, wzruszając przy tym ramionami.

Zaskoczyło to Jagodę, bo chociaż wiedziała, że to jedyna dziedzina, w której go przerasta, pamiętała, jak łatwo odbił przekleństwo, które sama na niego rzuciła. Poza tym całe lata studiował pod okiem jej babki. A jednak za tym „nie przepadał”?

Zaraz dotarło do niej, że może właśnie to z powodu Joanny nie chciał zgłębiać tej dziedziny później.

– Na pewno – mruknęła, przecierając oczy.

Wciąż nie widziała normalnie, a ból głowy zaczynał dawać o sobie znać. Jak zwykle, kiedy używała

magii zbyt długo albo nazbyt intensywnie. Kontakt z klątwami czarnomagicznymi zawsze ten stan nasilał. W konsekwencji miała trudność z zebraniem myśli i zdecydowaniem, jak wiele mogła powiedzieć przy Michaelu. Ale chyba gdyby Caleb chciał ukrywać przed nim odpowiedź, nie zadawałby tego pytania?

– Wyczułaś coś jeszcze? – naciskał Blythe.

Dopiero teraz otrząsnęła się na tyle, by wychwycić napięcie w jego głosie. Z trudem powstrzymała odruch zerknięcia na Thunderbirda. Jak bardzo przypominał Mariusza Olchę...? Jak zareagowałyby, gdyby podała mu teraz wszystkie informacje...?

– Niewiele – wyznała. – Wzór magiczny bardzo przypomina ten Jacoba Reda, ale z jakimiś naleciałościami. Mogłabym ją zdjąć. I wyczuć, gdybym była w pobliżu kogoś, na kogo ją rzucono. Moim zdaniem... na pewno nie jest to coś, co po prostu unosi się w powietrzu i czeka na aktywację. Tę klątwę albo utkano w ostatnim czasie, albo była w czymś zakotwiczona.

– Na przykład pierścieniu, o którym wspominał Caleb? – spytał Michael.

Jagoda kiwnęła głową i natychmiast tego pożałowała, gdy ból odezwał się ze zdwojoną siłą.

– Przykro mi, że nie potrafię powiedzieć nic... bardziej przydatnego. Może udałoby się, gdybym znalazła się tu szybciej.

– Myślę, że to było bardzo przydatne – powiedział Thunderbird. Wiedźma powoli odzyskiwała ostrość widzenia i wreszcie mogła dostrzec twarz komendanta. Nie odrywał od niej spojrzenia, uważnego, taksującego. – Pani Wilczek. Czy zechce pani gościć w Scotland Yardzie za siedem dni?

Dłoń Caleba, ta, której nie mógł dostrzec Michael, zacisnęła się na jej ramieniu. Gdy Jagoda nie odpowiedziała od razu, nacisk się zwiększył, czarodziej wbił palce w skórę, mocno, aż do bólu.

– Przemyszę to i dam panu odpowiedź jutro – odparła.

Podniosła się i strąciła ręce Blythe'a. Było jasne, że chciał, by powiedziała nie. Może z niechęci wobec funkcjonariuszy, może dlatego, że chciał chronić przede wszystkim swoich ludzi i wołał, by to ich strzegła. Nie powstrzymałoby jej to: jego osąd miał niewielkie znaczenie, skoro wiedziała, że następnym razem musi dotrzeć do potencjalnej ofiary szybciej. W końcu obiecała mu nie posłuszeństwo, lecz zdjęcie klątwy.

Przyjęcie propozycji jednak niekoniecznie było ku temu najlepszą drogą.

– Powinam coś podpisać?

– Proszę za mną.

Sądziła, że Michael przekaże ich w ręce jednego ze swoich ludzi, jednak osobiście zaprowadził ich z powrotem do głównego budynku. Zawołał wprawdzie funkcjonariusza – jak się okazało, uzdrowiciela ze Scotland Yardu, który znał się trochę i na klątwach – towarzyszył im jednak podczas rozmowy i wypełniania formularzy. Obecność Thunderbirda sprawiała, że nerwowość, którą Jagoda odczuwała od wielu godzin, tylko narastała. Gdy wreszcie wyszli, pozostawiając za sobą Michaela, i przestała czuć na sobie jego baczne spojrzenie, odetchnęła z ulgą. Na zewnątrz mgła powoli opadała, a niebo bladło, co zwiastowało rychły świt. Maya czekała w aucie: na ich widok wysiadła, obdarzając oboje złym spojrzeniem.

– Dwie cholerne godziny. Poważnie? – spytała ostrym tonem.

Gdy mówiła, patrzyła na Jagodę, jakby ta specjalnie kazała na siebie czekać. Wiedźma przez chwilę miała ochotę coś odwarknąć, ale ból głowy dawał się we znaki, a kłótnia przed Scotland Yardem po ósmej rano była ostatnim, czego sobie życzyła. Jagoda nie była aż tak ślepa, by nie dostrzec, że czarodziejka nie cierpi jej dla samej zasady – i że prawdopodobnie ta niechęć ma coś wspólnego z Calebem.

– Mówiłem ci, że to może potrwać – odparł Blythe, jak na siebie łagodnie, otwierając drzwi od strony kierowcy.

Maya niemal natychmiast wskoczyła na miejsce pasażera.

– Dowiedziałaś się chociaż czegoś? – spytała, obracając się ku Jagodzie, która zatrzasnęła drzwi z tyłu.

Wiedźma nie odpowiedziała od razu, czekając, aż Blythe zapali silnik i odjadą spod budynku. Może to było głupie, ale w jednym z okien dostrzegła Michaela Thunderbirda i nie mogła oprzeć się wrażeniu, że ten w jakiś sposób pozna jej słowa. Odezwała się dopiero, kiedy skręcili, chociaż Maya prychnęła już ze zniecierpliwieniem.

– Ktoś majstrował przy zwłokach.

– Co? – warknął Caleb i przyhamował nieco zbyt gwałtownie.

– Ktoś. Majstrował. Przy. Zwłokach – powtórzyła Jagoda. – Klątwa wcale nie ulatnia się aż tak szybko. Ktoś znajdujący się na klątwach... albo naprawdę bardzo, bardzo dobry w magii ogólnej, wyczyścił część śladu.

– Na ile jesteś pewna?

– Ręczę głową.

Zapadła cisza. Blythe znów przyspieszył, gdy wjechał w boczną uliczkę. Przemknęli nią, wyjechali na kolejną, bez zatrzymywania się minęli siedzibę Madainn ũr. Przedłużające się milczenie stawało się ciężkie, trudne do zniesienia, przynajmniej dla Jagody. Maya musiała jednak czuć się podobnie, bo uniosła dłoń i oparła ją na ramieniu Caleba, pochylając się ku niemu na tyle, na ile pozwalał pas.

– Cale? – wyszeptała, a potem wypowiedziała parę słów, znów w obcym języku.

Blythe potrząsnął tylko głową, by po chwili odezwać się do Jagody.

– Sprawca?

– Nie. Prawdopodobnie ktoś ze Scotland Yardu – odparła. Głos miała spokojny, niemal beznamiętny.

– Ślad musiał zostać wyczyszczony, gdy klątwa już zadziałała. Czy to mógł być... Thunderbird?

Blythe parsknął krótkim, niewesołym śmiechem, który szybko ucichł.

– Jeżeli chodzi ci o to, jak się dziś zachowywał, to robi to, bo mnie nienawidzi – wyjaśnił, przechodząc na polski. Maya zerkała to na niego, to na Jagodę, marszcząc brwi z niezadowoleniem. Być może Caleb to dostrzegł, bo kolejne słowa powiedział już po angielsku. – Chciałbym powiedzieć „mylisz się”, ale to wyjaśnialoby, dlaczego tak niewiele wyciągnęliśmy, Brown i ja.

– Ale ktoś w Scotland Yard miałby... pomagać... mu? – wyszeptała Maya. Zdawała się poruszona samą sugestią. – Przecież wszystkich sprawdzano!

– Pod kątem powiązań z Jacobem, owszem. Jeżeli jednak ktoś nosi ten sygnet, mógł kogoś opłacić później – wymruczał Caleb. – A sprawdzaliśmy głównie osoby, które cokolwiek wiedzą o klątwach. Nie mistrzów magii ogólnej, aurowidzów, medyków... Poza tym...

– Ona może się mylić – przerwała mu Maya.

Jagoda nie mogła nawet winić jej za wątpliwości. Właśnie oskarżała jakiegoś funkcjonariusza elitarnych sił o kolaborację z mordercą. Nie wspominając o tym, że zarówno Scotland Yard, jak i Caleb grzebali w tej sprawie od kilku lat, a jeżeli miała rację, oznaczało to, że przegapili zdrajcę tuż pod swoim bokiem.

– „Ona” nie ma wątpliwości.

– Ale...

– Sprawdźmy to – uciął Blythe. – Liczba osób, które miały dostęp do ciała, jest ograniczona. W takim układzie nie ma jednak mowy o tym, żebyś przyjęła propozycję Michaela.

– To może być jedyna szansa, żeby dotrzeć do ofiary na czas. Jeżeli jej nie uratuję, to przynajmniej...

– Nie.

– Jeżeli będę siedzieć w Rainharbour, nigdy nie zdejmę tej klątwy – odparła, siłąc się na spokój.

Pulsujący ból głowy utrudniał jej skupienie, promieniował tak, że nawet mówienie stało się trudne. Zbyt wiele czasu spędziła w bliskim kontakcie z czarną magią, a ogólnie napięta sytuacja nie pomagała. Gdyby byli sami, pewnie spytałaby po prostu Caleba, skąd ten upór. Czy jednak podejrzewał Michaela? Spodziewał się, że w Scotland Yardzie więcej osób jest skorumpowanych? A może chodziło o osobistą wendetę, skoro Thunderbird go nienawidził? Kiedyś nie zadałaby pewnie tych pytań wprost, teraz jednak powstrzymywała ją jedynie obecność Mayi. Niechęć czarodziejki była tak silna, że Jagoda zaczęła ją odwzajemniać i nie chciała mówić za wiele przy Mayi, szczególnie że było jasne, iż stanie ona po stronie Caleba.

– Mamy nowy trop. Jeśli znajdziemy pierścień, być może sam ją zdejmę.

W Ragnarfell nie dałaś rady, pomyślała, zrezygnowała jednak z tego argumentu na rzecz innego.

– Jeśli zbadam klątwę od razu, może zdołam namierzyć pierścień.

– Powiedział „nie” – zauważyła Maya. Nie wydawała się już zdenerwowana. Teraz jej głos brzmiał po prostu chłodno. – Wiem, że trudno ci w to uwierzyć i prawda może cię rozżłościć, ale nie jesteś tutaj niezbędna.

Jagoda milczała przez chwilę, rozważając słowa Mayi. Nie, nie miała trudności z uwierzeniem: zorientowała się już wcześniej, że Blythe niekoniecznie liczył, iż zdejmie klątwę. Była planem zapasowym dla rytuału uwięzienia ducha. Jeszcze jedną kartą w rękawie, mającą zagwarantować, że jego ludziom nie będzie groziło niebezpieczeństwo. Widziała też, że miał znacznie szersze możliwości, niż wcześniej podejrzewała, i nieustannie działał na wielu frontach. Jeżeli coś jej w tym przeszkadzało, to chyba tylko obawa, że w swojej paranoi Caleb poświęci zbyt wiele żyć, bo uzna to za najbezpieczniejsze i uzasadnione. Może takie podejście było konieczne w sytuacjach ekstremalnych, Jagoda jednak nadal miała problem z jego zaakceptowaniem.

Ale jednak ściągnął ją tu. Nie zamierzała więc siedzieć i czekać, nie robiąc niczego.

Nie wspominając już o tym, że o ile „prawda” Mayi jej nie złościła, o tyle milczenie Blythe’a już tak. Jeżeli nie chciał, żeby się mieszała, mógł po prostu odwieźć ją na lotnisko. Przecież by nie protestowała.

– Skoro jestem wam zbędna, tym bardziej powinienam pomóc Scotland Yardowi, gdy o to proszą.

– Mamy umowę – przypomniał Caleb chłodno. – Nie tylko potwierdzoną magią, lecz także twoim podpisem. Zatrudniam cię. Jeżeli życzysz sobie renegocjować warunki kontaktu, omówimy to w Rainharbour. Bez mojej zgody nie możesz jednak podejmować tu innych zleceń, które kolidują z moim.

Zacisnęła szczęki. Tylko na moment, bo w rezultacie ból się nasilił. Tutaj ją miał. Można by się sprzeczać, czy współpraca ze Scotland Yardem faktycznie kolidowałaby z jego interesami, był to jednak ten przypadek, w którym swoją słuszność udowodniłby bardziej utalentowany prawnik. A Jagoda podejrzewała, że Madainn ùr miało dużo bardziej utalentowanych prawników niż ona. Z kolei...

Mimo całej sytuacji nie mogła powstrzymać uśmiechu, który na krótką chwilę przemknął przez jej usta, nim zgasł, przyćmiony przez ból i wspomnienie martwej twarzy Iana.

– Co cię tak bawi? – spytał Blythe ku jej zaskoczeniu. Najwyraźniej gdy milczała, zerknął na nią w lusterku.

– Wyobraziłam sobie prawników Madainn ùr i prawników mojej babki z WilCom, dyskutujących nad naszym kontraktem.

– Czasem naprawdę nie wiem, co z tobą zrobić, Belladona – westchnął Caleb po krótkiej chwili, po polsku, choć już w kolejnym zdaniu przeszedł na angielski. – Takiego starcia nasz świat mógłby nie przetrwać, więc nie otwierajmy tej puszkę Pandory. Sami omówimy nasz kontrakt.

*

Może sprawiła to adrenalina, może mikstura, którą wcześniej zaserwowała jej Erin, ale gdy dotarli do Rainharbour, zmęczenie ustąpiło. Tylko głowa wciąż pulsowała bólem, choć tabletkę wygrzebana z torebki trochę złagodziła objawy. Jagoda spodziewała się, że tuż za drzwiami zostaną opadnięci przez pozostałych lokatorów, pojawił się jednak tylko Lane z rękoma pełnymi papierów. Błąd i zmęczony po nieprzespanej nocy, rozmawiał przez chwilę z Blythe’em, który zrelacjonował mu sytuację, nim Lane z ociąganiem ruszył na górę.

– Poczekaj w bibliotece – rzucił Caleb do Jagody.

W innej sytuacji może dałaby pokaz uporów i zamiast posłuchać, powędrowała do swojego pokoju lub rozsiadła się w salonie, uznała jednak, że to nie jest dobry moment na starcie charakterów. Pozostawiła Blythe’a z Mayą, żeby omówili, co tylko chcieli.

Początkowo usiadła na kanapie, ale gdy oczekiwanie się przedłużało, a głowa przestała jej wreszcie dolegać, wstała i podeszła do regału. Zdażyła przejrzeć jego zawartość, przeczytać kilkanaście stron z losowo wybranych książek i wreszcie zacząć się niecierpliwie, gdy Caleb w końcu stanął na progu.

– Ciekawa lektura?

– Niezbyt – mruknęła, odkładając na półkę spisany po łacinie tekst o klasyfikacji zaklęć i rytuałów. – To twoje zbiory? A może sióstr Donelly?

– W przeważającej mierze Lane’a. Erin i Eleanore ulubione książki trzymają w pokojach – odparł Caleb, podchodząc bliżej.

Zatrzymał się tuż obok i zaczął przypatrywać tomom. Być może Jagoda nadinterpretowała, ale miała wrażenie, że próbował sprawdzić, które z nich były przestawiane.

– To wydaje się całkiem intrygujące. – Dotknęła grzbietu cieniutkiego woluminu, który trzymał się w całości chyba tylko dzięki zaklęciu rzuconemu na okładkę. – *Kształtowanie magii*. Garść ciekawych teorii. Lane się tym interesuje?

– Tak. I owszem, ja również, bo chyba to jest pytanie, które chciałaś zadać?

– Pytanie, które chcę zadać, brzmi: dlaczego nie chcesz, żebym za siedem dni czekała w Scotland Yardzie? Tak naprawdę? – spytała i przeniosła spojrzenie z książek na Caleba. On na nią nie patrzył, wzrok wciąż miał utkwiony w *Kształtowaniu magii*. – Mam tu zostać, świetnie. Podaj mi powód.

Nie wierzyła, że był nim tylko Daniel. Mógł poróżnić Thomasa i Caleba, ale tu chodziło o coś więcej.

– Nasza umowa nie wystarczy?

– Życzysz sobie, żebym trzymała się jej co do joty i cytowała ci odpowiednie punkty za każdym razem,

kiedy coś ustalamy?

– Nie – westchnął i wreszcie na nią spojrzął. – Po pierwsze, Michael mnie nie cierpi. Thomas przekonał go do... pewnej współpracy, ale Michael uważa mnie za spadkobiercę Jacoba Reda. Mniej więcej w takim sensie, w jakim Tom Riddle był dziedzicem Slytherina.

– Czekaj, aż otworzysz Komnatę Tajemnic? – mruknęła. – Rozumiem. Ale jest chyba gotów współpracować dalej.

– Jest gotów dopuścić ciebie – sprostował Blythe. – To właśnie mnie niepokoi, bo Michael Thunderbird, którego znam, bardzo wystrzega się moich ludzi. Ze mną współpracował za namową Toma, a tu w ostatnich miesiącach sytuacja stała się... napięta. Nie wspominając o tym, że jak na standardy, jakie stosuje wobec współpracowników, jesteś za młoda i za mało brytyjska. Zdecydowanie też jesteś za bardzo kobietą.

– Śmierć Iana mogła nim wstrząsnąć.

– Wcześniej umarła jego siostra. To bardzo nim wstrząsnęło, ale nie przestał być ostrożny.

W jej uszach brzmiało to raczej, jakby to nie Thunderbird, lecz Caleb miał paranoję. Albo uraz do Michaela tak wielki, że mimo zagrożenia to on nie chciał zbytnio zacieśniać współpracy. Nie był to może argument zbyt racjonalny, dla Jagody jednak wciąż pozostawał argumentem. Brak zaufania był dla niej całkiem niezłym powodem, by ograniczać wspólne działania.

Tyle że „niezły” nie oznaczał „przesadzający”.

– Dobrze. A po drugie?

– Jeżeli ktoś w Scotland Yardzie stara się ukryć ślady, będzie wiedział, że jesteś na miejscu i możesz odkryć coś więcej, poinformuje o tym... właściciela pierścienia. Tak jak już prawdopodobnie wie, że musi go ukrywać, o ile nie robił tego wcześniej. Dostosują się do tej sytuacji, jak robili to wiele razy.

Oparła się o półkę plecami. Niechętnie musiała przyznać, że w tym przypadku Caleb trafił w sedno. Podejmowali różne próby złapania winnego albo zabezpieczenia potencjalnych ofiar, lecz „klątwa” zawsze znajdowała sposób, by je obejść. Być może umrze ktoś, kogo znajdą dopiero po wielu godzinach. Albo ślady usunie kto inny, przecież niekoniecznie zaangażowana musiała być tylko jedna osoba.

– Masz rację – ustąpiła.

W tym przypadku oboje ją mieli, on i Maya. Mogła być użyteczna tylko, gdyby dotarła na czas do kogoś przekłętogo lub ofiary klątwy. A zorganizowanie tego okazywało się problematyczne.

– Mogłabyś powtórzyć? Albo poczekaj, włączę nagrywanie na telefonie...

– Przestań, bo cię trzepnę.

– Jeśli to ma ci poprawić humor? Jakoś to zniosę – mruknął i pochylił się ku niej.

Zwalczyła chęć odsunięcia się, bo to byłaby forma ucieczki.

– Nie zmieniaj tematu – powiedziała. – Czego ode mnie oczekujesz?

– Dokładnie tego, co obiecałaś, Jaga. Chcę, żebyś zdjęła klątwę Jacoba Reda.

Jeszcze niedawno mówił, że być może zdoła złamać ją sam. Pomyślała, że to chyba można nazwać sprzecznymi sygnałami.

– Nie musisz tkwić w Scotland Yardzie, żeby być w Donlonie – podjął Caleb. – Pojedziemy tam wszyscy, do siedziby albo do jednego z lokali Madainn ũr. Ja postaram się być na komendzie, a moi pracownicy w terenie. W Donlonie i niemagicznej części miasta. Oczywiście, wcześniej nikomu nic nie powiemy, a do Scotland Yardu też planuję wprosić się z zaskoczenia. Jednocześnie mam zamiar szukać tego sygnetu. Nie wierzę zbytnio w powodzenie, ale być może ktoś go zobaczy albo kiedyś widział. Czy teraz wreszcie uwierzysz, że nie jestem kompletnym idiotą i naprawdę próbuję znaleźć sposób na wyjście z tej sytuacji?

Mogła powiedzieć o Uczniu Czarnoksiężnika bardzo wiele, ale idiotą nie był na pewno. Może nawet Jagodzie zrobiłoby się głupio, że tak pomyślał, gdyby nie to, że pewne jej reakcje, które doprowadziły go do takiego wniosku, wynikały z jej nieumiejętności odnalezienia się w grze Caleba. Ustalał reguły i rozstawiał na planszy pionki, a ona nie wiedziała, ani według jakich zasad ma się poruszać, ani co robią pozostałe figury. Nie wspominając już o zrozumieniu tego, do czego dążył sam Blythe. Miała wrażenie, że rozgrywał kilka partii naraz, a one wpływały na siebie nawzajem, ta związana z klątwą Jacoba Reda była zaś tylko jedną z nich.

Nie podejrzewała go o złe intencje. Nie chciała tego przyznawać, nie tylko przed nim, lecz i przed samą sobą, ale obce otoczenie, nieznani ludzie, układ skomplikowanych relacji i wreszcie wiszące nad tym wszystkim widmo Czerwonego Rozpruwacza zaczynały ją przerastać. Miotła się przez to i tylko pogarszała sytuację.

– Nigdy nie uważałam cię za idiotę. Nie potrafię tylko rozgryźć twoich posunięć i zachowań – odparła szczerze. – To dobry plan.

– Więc nie pobeigniesz jutro dzwonić do Michaela Thunderbirda, że chętnie odwiedzisz Scotland Yard?

– Nie.

– Chociaż zrobiłabyś to, gdybym nie powiedział ci, co planuję.

– Nie wiem. – Jagoda wzruszyła ramionami. Nie rozważała tego pomysłu, ale nie mogła twierdzić, że nie zaczęłaby o tym myśleć później. Nie, nie uważała Caleba za idiotę i gdzieś po drodze, przynajmniej w tej sprawie, zaczęła mu ufać. Po prostu nie potrafiła postępować tak, jak jego pracownicy: wykonywać rozkazów i nie zadawać pytań. (Z drugiej strony, gdy patrzyła na Lane'a, Mayę i Eleanore, wcale nie była pewna, czy oni poddawali się posłusznemu woli szefa, nie oczekując szczegółowych wyjaśnień). – Ale gdybym tak postanowiła, powiedziałabym ci o tym. Chyba nie liczyłeś, że będę cicho wypełniać rozkazy? Jeżeli tego chciałeś, powinienes zatrudnić kogoś innego.

– Gdybym na to liczył, byłbym naprawdę głupi. Nie, miałem nadzieję, że zdołasz zrobić coś z tą kłątwą – podsumował Caleb, a na jego usta powoli wypełził uśmiech. Zdał się wiedźmie raczej przebiegły niż wesoły i to wzbudziło w niej czujność. – Poza tym kogo innego, Jaga? Chciałem ciebie. Jesteś jedyna na całym świecie.

Znała go na tyle, by domyślić się, że dwuznaczny dobór słów był absolutnie celowy. Podobnie jak to, że cały czas stał blisko, trochę za mocno pochylony ku niej. Mogła się tylko cieszyć, że w miejscu, gdzie stali, panował półmrok, bo na policzki z pewnością wystąpiła jej zdradliwa czerwień. Z trudem powstrzymała się, żeby nie uciec spojrzeniem.

Nie chodziło o nieśmiałość. Miała mnóstwo wad, ale nie zaliczyłyby do nich nieśmiałości. Problem polegał raczej na tym, że nigdy nie była pewna, co stało za zachowaniami Caleba wobec niej. Ani gdy pierwszy raz próbował z nią flirtować, ani kiedy ją pocałował, ani teraz. I przez to nie wiedziała, jak zareagować.

– Jedna z co najmniej trójki, zdaje się.

– W przypadku Eleanore to magia ziemi i to moc... można powiedzieć, że do niedawna dziedziczna w jej linii krwi. Jeżeli chodzi o mnie, sprawa jest bardziej skomplikowana, ale kłątwy... To potrafisz tylko ty. Poza tym jesteś też absolutnie niezrównana, jeżeli chodzi o wyprowadzanie mnie z równowagi.

– Wzajemnie.

Miał do tego niewątpliwy talent. Bił na głowę nawet babkę, a sądziła, że to niemożliwe. Uśmiechnął się tylko jeszcze szerzej, jakby usłyszał komplement.

– To przez moją ujmującą osobowość czy oszałamiającą urodę?

– Przez to, że nigdy nie wiem, czego ty właściwie chcesz, Caleb – przyznała w przypiływie nagłej szczerości.

Blythe nie poruszył się i nie odezwał od razu. Uśmiech znikł z jego ust. Przyglądał się jej długą chwilę z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Zakładałem, że to oczywiste – powiedział w końcu. – Nie dawałem dość jednoznacznych znaków? Chyba raz nawet spytałem wprost? Czy żeby uczynić sprawę całkiem jasną, powinienem przyprzeć cię do tego regału i zerwać z ciebie ubranie? Nie powiem, że nie miałbym ochoty, ale wypada poczekać na zgodę.

– Nie o to chodzi – stwierdziła, czując nagłą suchość w gardle. Serce tłukło się jej szaleńczo w piersi i czuła się prawie jak wtedy, kiedy miała szesnaście lat i zastanawiała się, czy Antoni naprawdę planuje ją pocałować, czy to tylko jej wyobraźnia. – Zdejmę tę cholerną kłątwę. Obiecałam ci to. Jeżeli chodzi o nią albo jakąś dziwną zemstę na mojej prababce...

– Na wszystkie sihe! – warknął Blythe z nagłą złością. Oparł się o półkę i choć nie dotknął Jagody, pochylił się ku niej tak, że ich twarze dzieliły teraz centymetry. – Coś ty sobie uroiła, dziewczyno? Tak, od początku miałem zamiar prosić cię o zdjęcie tego przekleństwa i pasowało mi to, że byłaś mi coś winna. Kiedy nie mogłem użyć przysługi, planowałem poczekać na wyjaśnienie sprawy Daniela i zaproponować ci bardzo dużo pieniędzy za przyjęcie zlecenia. To, że nabrałem chęci, żeby zaciągnąć cię do łóżka, tylko sprawę skomplikowało. I, do cholery, Joanna jest naprawdę ostatnią osobą, o której chciałbym myśleć w takich momentach. Skąd ci to przyszło do głowy?

Babka. Przyszło jej to do głowy przez babkę, ale brzmiało to zbyt głupio, aby wypowiedzieć te słowa na głos. A raczej przez babkę i jego odpowiedzi, których udzielił jej pewnego deszczowego dnia. Może jeszcze trochę dlatego, że zwykle ludzie raczej od niej stronili i nieufnie przyjmowała jakiegokolwiek zainteresowanie.

Musiała jednak przyznać, że to słowa Joanny Wilczek pozwoliły wykiełkować ziarnu wątpliwości i skłoniły ją do zadania Uczniowi Czarnoksiężnika kilku trudnych pytań. Ale...

Jeżeli była jedną z niewielu osób, które potrafiły kształtować magię jak nauczyciel Caleba – choć robiła to tylko w kłątach, podczas gdy dla Jacoba nie istniały żadne granice – jak mogła uwierzyć, że to nie obchodziło Blythe'a? Nie wypierał się nawet, gdy kilka miesięcy temu o to zapytała. Jedna osoba na setki tysięcy magów, powiedział Benett. Jeżeli miał rację, na całym świecie mogło być ich maksymalnie kilkanaścioro. Pewnie mniej.

– To, że interesuje cię moja magia, jest dość jasne.

– Na litość bogów... Przyznaję, tak jest! Interesuje mnie, nawet bardzo. Tyle że mam tu parę osób z całkiem interesującą magią i współpracy ze wszystkimi na pewno nie rozpoczynałem od uwodzenia. Chyba przeceniasz mój urok osobisty... a jeśli chodzi o Ellie, to również determinację. Będę wdzięczny za jasną informację, czy zachowujesz się tak, bo życzysz sobie, żebym trzymał się z dala, czy może podejrzewasz, że mam zamiar się z tobą przespać, bo chcę potem przywołać ducha twojej prababki, żeby doprowadzić ją do szewskiej pasji albo...

Pocałowała Caleba na tyle szybko, że zdołała go zaskoczyć – ostatnie słowa zamieniły się w niezrozumiały pomruk. Uderzyła ramieniem o półkę, gdy przyparł ją do regału, jedna z jego dłoni zaplątała się w jej włosy, druga wsunęła pod koszulę, przesuując po plecach wzdłuż kręgosłupa.

Przerwał pocałunek i przeniósł usta w okolice ucha Jagody.

– Mam nadzieję, że to znaczy „tak” – mruknął, a jego oddech połaskotał ją w szyję. – Bo jeżeli nie zamierzasz pozwolić, żebym wziął cię do łóżka, powinnaś natychmiast mnie puścić.

Powoli cofnęła ręce – nie wiedzieć kiedy oplótła je wokół jego karku. Caleb na moment zeszywniał, ale po chwili bez słowa zaczął się odsuwać. Wiedźma sięgnęła ku guzikom jego koszuli, zatrzymując go w miejscu.

– Łóżko? Ta kanapa wystarczy.

*

Przespanie się z Calebem Blythe'em na pewno nie należało do najrozsądniejszych rzeczy w jej życiu. Komplikowało tak dużo spraw, że Jagoda nie chciała nawet się nad nimi zastanawiać, gdy sięgała po porzuconą na podłodze koszulę. Nie mogła jednak zaprzeczyć, że było cholernie satysfakcjonujące, nawet jeżeli po wszystkim miała drobny problem ze spojrzeniem mu w twarz.

– Masz zamiar teraz uciekać?

Palce Caleba wplotły się w jej włosy. Pociągnął, na tyle lekko, że nie sprawił jej bólu, ale nie mogła wstać, by poszukać reszty garderoby, ponieważ się gdzieś między książkami strąconymi z kanapy na podłogę.

Gdyby istniało miejsce, do którego mogłaby uciec choćby na chwilę, wszystko byłoby łatwiejsze. Jagoda przez całe lata mieszkała sama. Nawet gdy w jej życiu pojawiła się uczennica, mogła zamknąć się w pokoju, a Sonia szybko nauczyła się wychwytywać oznaki świadczące o tym, że nauczycielka chce spokoju. Przywykła do tego, że w razie potrzeby mogła odciąć się od świata, by pozbierać myśli, uspokoić nerwy, rozważyć sytuację. Teraz mieszkała pod jednym dachem nie tylko z Calebem, ale i z bandą niemal obcych ludzi, a to nie sprzyjało złapaniu dystansu.

– Nie. Ubrać się – sprostowała, dopinając guziki koszuli i tłumiąc przekleństwo, gdy zorientowała się, że jeden z nich został urwany i prawdopodobnie na zawsze zaginął gdzieś w odmętach zagraconej biblioteki. Na rękę odkryła też siniaka, może od uderzenia o półkę, a może od czegoś innego. Niedługo pewnie zacznie naprawdę boleć. – Jest trzynasta, a my nie zamknęliśmy drzwi.

– Aż tak cię przeraża myśl, że ktoś nas nakryje? – spytał Caleb i puścił jej włosy. Usiadł. – Jesteśmy dorośli i w tym domu nie ma nikogo, kogo moglibyśmy zgorszyć.

– Caleb. Jeżeli Maya stanie w tych drzwiach, to mnie zabije – westchnęła Jagoda i wreszcie na niego spojrzała. Był rozczochrany bardziej niż zwykle. Powinien się ogolić: świeży zarost, była pewna, podrapał ją na tyle, że pozostawił na twarzy ślady, za które Maya też prawdopodobnie mogłaby ją zabić. Wciąż nie miał na sobie koszuli, widać więc było wszystkie mięśnie i blizny, kilka powstałych rok temu, w walce z Danielem, i parę znacznie starszych, z niewyleczonych porządnie ran. – Ewentualnie ciebie albo nas oboje. Nie mów, że tego nie zauważyłeś. Chyba powinnam była wcześniej zapytać, czy miałyby do tego prawo...

Znów chciała wstać i ponownie została powstrzymana: tym razem sięgnął do jej ramienia i pociągnął lekko, obracając ku sobie.

– Nic mnie nie łączy z Mayą.

Musiała przyznać, że jej ulżyło. Nie podejrzewała go o to tak naprawdę, byłoby wybitnym draństwem zostawić swoją dziewczynę w jednym pokoju, żeby przespać się z inną w drugim. Przy okazji przyprawiliby ją o potężnego kaca moralnego. Jeżeli uważałaby go za aż takiego drania, na pewno nie skończyłby na tej kanapie. Jednak dopóki nie zaprzeczył, miała ziarno wątpliwości, czy na pewno nic ich z Mayą nie łączyło wcześniej...

– Ale jest zainteresowana. Czy dopatruję się czegoś, czego nie ma?

– Ja nie pytam cię o Antoniego.

– Na litość boską! – zirytowała się i pchnęła go dłonią w klatkę piersiową. Włożyła w to sporo siły, ale ani się nie odsunął, ani nie puścił jej ramienia. Zaczęła podejrzewać, że Blythe ma na punkcie Antoniego jakąś obsesję, bo nie pierwszy raz o nim wspomniał. Mogłaby pomyśleć, że chodzi o zazdrość, tyle że ona i Bielecki nie byli parą od lat, a Caleb nie wydawał się skłonny do zawiści. – Zerwaliśmy wieki temu, a nawet gdybym rozstała się z nim wczoraj, to on nie wpadnie przez te drzwi, żeby rzucić na ciebie jakieś mordercze zaklęcie.

– Maya też tego nie robi – zapewnił Blythe, ale wreszcie rozluźnił uścisk. Nie odrywał spojrzenia od jej twarzy. – Masz rację. Jest o ciebie zazdrosna. Nie, nigdy się z nią nie spotykałem, nigdy z nią nie spałem. Lubię ją, ale ona sądzi, że mnie kocha. Oczekiwałaby tego samego, a potem jeszcze małżeństwa, domku z białym płotem, dwójki dzieci, chodzenia na ich mecze i szkolne przedstawienia. Tylko złamałbym jej serce.

Z jednej strony to znaczyło, że nie miała kompletnej paranoi. Z drugiej coś i tak ścisnęło Jagodę w żołądku. To był problem, gdy mieszkały pod jednym dachem. Poza tym trochę chyba z Mayą sympatyzowała. Może też była odrobinę – tylko odrobinę, ale jednak – o nią zazdrosna.

– Ja nie oczekuję i nie jestem zakochana – wyrzuciła z siebie.

Mogło to brzmieć brutalnie, ale nie, nie kochała Caleba i była pewna, że on nie kochał jej. Że takie wyznanie raczej może go ucieszyć niż zmartwić.

Lubiła go. Zależało jej na nim. Czasem miała wrażenie, że jeżeli ktokolwiek na świecie mógł ją zrozumieć, to tylko on. Fascynował ją. Pociągał. Był to pociąg, jaki czuje ćma lecąca do ognia, i mógł okazać się zgubny. A może jeszcze inaczej: bo Caleb ciągnął ją raczej w mrok niż ku światłu i szła tam za nim z własnej woli. Ale to nie była miłość. Jeszcze nie.

Choć, jednocześnie, doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że znajduje się niebezpiecznie blisko zakochania: że mogłaby go pokochać, gdyby tylko sobie na to pozwoliła. Że ulegnięcie mu już ją do tego przybliżyło, bo nie sypiała z przypadkowymi osobami. Niezależnie od tego, jak będzie ostrożna, mogła skończyć ze złamanym sercem.

Jeżeli nie chciała na to pozwolić, w przyszłości powinna być mądrzejsza.

– Wiem – mruknął Caleb, jednocześnie przyciągając ją do siebie, aż jej nos znalazł się mniej więcej na wysokości jego obojczyka.

Nie odepchnęła go, ale i nie objęła, gdy jego dłonie przesunęły się po jej plecach. Tkwiła gdzieś pomiędzy „Nie zachowuj się jak kompletna suka”, „Bądź mądrzejsza. Pamiętaj, że każdy może teraz wejść do biblioteki” a „Do diabła z tym wszystkim, przecież jesteście dorośli”. Milczała, siedząc nieruchomo, wdychając jego zapach: pachniał cytrynami, deszczem i morskim mchem.

– Dziewczyna z laboratorium Jacoba.

– Co? – Zaskoczona spróbowała się odsunąć, ale nie pozwolił na to.

– Znam cię. Czytałaś tę historię. Jestem pewny, że prześledziłaś każdy szczegół – powiedział wprost do ucha wiedźmy. – Dziewczyna, która uciekła z jego laboratorium. Którą wydostałem z zamku. Której zeznania były podstawą do zorganizowania akcji ujęcia Jacoba. I której tożsamość utajniono, dla jej ochrony. To była Maya.

Główne alibi Caleba, najważniejszy dowód jego niewinności. Wyciągnął jedną z ofiar, pomógł jej dotrzeć do Scotland Yardu. Gdy składała zeznania, podkreślała, że Blythe pomógł jej przetrwać, przez co wiele osób przestało mieć wątpliwości co do szczerych intencji młodego człowieka, którego nazwano Uczniem Czarnoksiężnika...

– Jasny szlag – wyrwało się Jagodzie.

Dlatego nie zabierał Mayi do zamku. Dlatego dla niego pracowała. Może po części dlatego „sądziła,

że jest zakochana” (a raczej na pewno była). Niewykluczone, że to dlatego zdawał się jej w pewnych sprawach ustępować i dlatego nie chciał ryzykować złamania jej serca. Dziewczynie, która przeszła piekło. Dziewczynie, którą uratował. Dziewczynie, która – być może – uratowała jego, a przynajmniej sprawiła, że cieszył się trochę lepszą opinią...

– Nie będzie dla ciebie miła, ale ma za sobą naprawdę paskudne przeżycia. I zapewniam, że nie spróbuje cię zamordować.

Jakby sam fakt, że Maya nie spróbuje Jagody zabić, rozwiązywał wszystkie problemy. Wciąż mogła utrudnić jej życie. Nie wspominając o tym, że Maya na pewno miała w tym domu przyjaciół. Nawet Marek, który bardzo uważnie przypatrywał się splecionym rękóm Caleba i Jagody, mógł to robić ze względu na tę azjatycką czarodziejkę...

– Prawdopodobnie lepiej się przed nią nie chwalić – wydusiła w końcu z siebie.

– Odmawiam wypowiedzi w tej sprawie – oświadczył stanowczo Blythe. – Jeżeli powiem: „nie mówmy o tym”, wyjdę na palanta, który ukrywa wstydlivy sekret. Jeżeli powiem coś przeciwnego, wyjdę na palanta, który chce się pochwalić.

– W takim razie ja wyjdę na palanta i powiem, że po pierwsze, nie wywieszam takich informacji na tablicach ogłoszeń, po drugie, nie chcę, by wszyscy tutaj z Mayą na czele usiłovali mnie zabić, jeśli nie magią, to przynajmniej wzrokiem – stwierdziła Jagoda, gdy próbowała wyplątać się z jego uścisku. – Czy nie miałeś przypadkiem zadzwonić do Marka? – przypomniała, kiedy pozwolił się jej wprowadzić cofnąć na odległość ramienia, ale nie wstać. Pomijając już dręczącą ją obawę, że zaraz ktoś wparuje do biblioteki i nastąpi niezręczna sytuacja, po której do jej herbaty zostanie dosypana trucizna, wciąż mieli na głowie kłótwę.

– W tej chwili działają beze mnie. Dopóki nie dostanę paru informacji, niewiele mogę zrobić – powiedział, po czym przesunął powoli dłoń na jej szyję, by potem samym kciukiem muskać linię żuchwy i w końcu zatrzymać się przy kąciuku ust. Chociaż puls wiedzmy natychmiast przyspieszył, Blythe miał na tyle poważne spojrzenie, że teraz Jagoda miała ochotę uciekać. – Życzysz sobie udawać, że nic się nie wydarzyło, Jaga?

Caleb w wielu sprawach uciekał się do niedopowiedzeń. W innych jednak wielokrotnie wyjaśniał coś wprost, a czasem wręcz popychał ją do zadawania pytań albo odpowiadał na te, które nie padły. Najwyraźniej to był ten przypadek, gdy chciał postawić sprawę jasno, i choć na pewno miał w tym rację, byłoby jej znacznie łatwiej, gdyby nie postanowił omawiać tego natychmiast.

– Nie – odparła w końcu. – Jak sam powiedziałeś, jesteśmy dorośli.

Uśmiech wypełził mu na usta.

– W takim razie może dasz się namówić, żeby po prostu zamknąć te cholerne drzwi?



ROZDZIAŁ SIÓDMY

PO DRUGIEJ STRONIE

Donlon jednocześnie Jagodę przyciągał i odpychał. Fascynował i niepokoił swoją odmiennością od każdego miejsca, jakie znała, a zarazem wszystkimi podobieństwami do miasta „po drugiej stronie”. Wiedźma miała chęć poznać tę londyńską enklawę lepiej: przekonać się, jak bardzo dwa Londyny stanowią swoje odbicia i jak tu wszystko funkcjonuje. Jednocześnie, ilekroć otaczała ją donlońska mgła, Jagodę ogarniała nerwowość i nic nie mogła poradzić na powracającą czasem myśl, że może nigdy stąd nie wyjdzie.

Nie potrafiła zrozumieć magii Donlonu. Czula ją tylko: jak osiada na skórze, wywołuje mrowienie palców, zdaje się czaić w ciemnych zaułkach, we mgle. Jakby obserwowała, mruczała do ucha, tak że czasem stawała się nieomal namacalna i Jagoda miała wrażenie, że jeszcze trochę i zdoła zacisnąć na niej dłoń. W warszawskiej enklawie, chociaż wokół pełno było zaklęć, większość magii miała konkretne źródło: w osłonach, zaklętych przedmiotach, czarach ochronnych i tych rzucanych codziennie przez mieszkańców. Tutaj było coś więcej. Nasuwało to ulotne skojarzenia z enklawą babki i Bromierzykiem. Zwłaszcza gdy niebo nad jej głową pozostawało pogodne, chociaż tuż za granicą Donlonu padał deszcz.

Od śmierci Iana upłynęły dwa dni. Niewątpliwie i Scotland Yard, i ludzie Caleba w tym czasie nie próżnowali, ustalając, co dokładnie mężczyzna robił w godzinach poprzedzających śmierć, gdzie był i z kim się spotykał. Blythe starał się też skompletować listę wszystkich, którzy mieli styczność z ciałami, i ich również sprawdzić. Jeżeli zdołał coś osiągnąć, to na razie nie podzielił się z Jagodą tą wiedzą.

A Jeanette Brown zadzwoniła do niej, żeby umówić się na rozmowę. Na miejsce spotkania początkowo wyznaczyła Scotland Yard, potem – gdy Caleb przypomniał Jagodzie, że tam jest prawie na pewno ktoś, kto współpracował z Redem, a ona uznała, że neutralny grunt faktycznie będzie lepszy – jedną z pobliskich restauracji. Zaadaptowano na nią całą kamienicę: na parterze znajdowała się jedna duża sala, na pierwszym piętrze kilka mniejszych, a na drugim małe pokoiki dla VIP-ów. Kiedy mocno spóźniona z powodu korków w niemagicznej części miasta przekroczyła próg, z bardzo ponurym Markiem za plecami, nie dostrzegła nigdzie walijskiej wiedźmy. Za to jeden z kelnerów, w stroju stylizowanym na lata sześćdziesiąte, zbliżył się do niej i szepnął, że pani Brown czeka na drugim piętrze. Sądząc po jego nieszczęśliwej minie, Jeanette dała się im we znaki. Może dlatego, że Jagoda dotarła na miejsce po wyznaczonej godzinie, ale w końcu to sama Brown dała jej zbyt mało czasu na dojazd...

Gdy jednak weszła do sali na piętrze, w środku nie zastała Jeanette. W pomieszczeniu, przy niewielkim stoliku, w fotelu siedział Michael Thunderbird. Jagoda rozejrzała się, tak dla pewności. W pokoju jednak – kiedyś chyba czymś gabinetem, ze staroświeckim kominkiem, zabytkowym biurkiem i regałami wypełnionymi książkami – nie było nikogo innego.

Jagoda pomyślała o Jeanette coś bardzo mało pochlebnego i w ostatniej chwili sama siebie upomniała, że nie może zacząć Brown przeklinać. Za łatwo wola i życzenie, nawet niewypowiedziane na głos, mogły zamienić się w czar. Nie zmieniało to jednak faktu, że miała ochotę udusić walijską wiedźmę. Nie były blisko, owszem, spotkały się ledwo parę razy i gdzieś po drodze wymieniły kilka maili oraz telefonów, Jagoda jednak nie spodziewała się, że Brown ją wystawi.

Widać jej opinia była zasłużona. Mogła, do cholery, wyjaśnić od razu, o co chodzi.

– Pani Wilczek. Nie wejdzie pani? – spytał Michael, podnosząc się na jej widok.

– Chyba nie, panie Thunderbird. Zdaje się, że pomyliłam pokoje – powiedziała chłodno. – Byłam umówiona z kimś innym.

– Mam nadzieję, że wybaczy pani ten mały podstęp mój i Jeanette. Dwukrotnie prosiłem Caleba, aby zabrał panią do Scotland Yardu i...

– Trzeba było poprosić mnie – przerwała mu Jagoda bezceremonialnie.

Nie ruszyła się od drzwi. Tak, Michael Thunderbird zapewne miał swoje powody. Owszem, jeżeli były jakieś pytania, które chciał jej zadać, powinna na nie odpowiedzieć. Nie żywiła do niego urazy jak Blythe i uważała, że ich interesy się łączą. Nie zamierzała jednak bez protestu zaakceptować tego, że właśnie została oszukana.

– Odmówiła pani, gdy poprosiła o to Jeanette – przypomniał. Wciąż nie siadał, przypatrywał się Jagodzie. Jego głos, wyraz twarzy, nawet sposób mówienia były inne niż wtedy, kiedy przy jej boku stał Blythe. Łagodniejsze. Uprzejmiejsze. – A ani ja, ani Thomas nie byliśmy pewni, czy decyzję podjęła pani, czy Caleb.

– Kiedy ostatni raz sprawdzałam, byłam pełnoletnia, a on na pewno nie był moim prawnym opiekunem. Swoje decyzje podejmuję sama – odparła, wciąż stojąc w progu.

Jej irytacji ani trochę nie umniejszało to, że owszem, Uczeń Czarnoksiężnika miał wpływ na to, że nie zgodziła się przyjechać do Scotland Yardu. Ale tylko dlatego, że uznała jego argumenty. Gdyby próbował jej tego zabraniać, znalazłaby sposób, aby dostać się do siedziby policji, choćby była to ostatnia rzecz, jaką miałyby zrobić. I Caleb prawdopodobnie zdawał sobie z tego sprawę.

– W takim razie moje szczere przeprosiny. – Michael złożył jej lekki ukłon. – Zależało mi na spotkaniu na osobności, aby pewne informacje nie dotarły do...

– ...Caleba Blythe'a? – podchwyciła. Wiedziała, że jest niegrzeczna, i ani trochę o to nie dbała. – W takim przypadku niech pan nic nie mówi. Przyjęłam od niego zlecenie, nie mogę więc działać wbrew jego interesom.

– Miałem na myśli jego ludzi, pani Wilczek – sprostował Thunderbird, wciąż tym samym, łagodnym tonem. – Nie wydaje się pani dziwne, że przy tak wielu... działaniach, podjętych przez Caleba i Madainn ùr, wciąż nie ma rezultatów? Mam mocne podstawy podejrzewać, że nie wszyscy pracownicy Caleba Blythe'a są tak lojalni jak pani.

Słowa Michaela padły na podatny grunt. Pamiętała aż za dobrze zdrajców w szeregach WMM. Oraz to, że Caleb prawdopodobnie miał kogoś i tam, i w samym Scotland Yardzie. Nie wspominając już o tym, że babka od wczesnego dzieciństwa powtarzała wnukom niczym refren, że ufać mogą tylko rodzinie: że każdy „z zewnątrz” ma swoją cenę, choć nie zawsze wyrażoną w pieniądzech.

Była niemal pewna, że zdrajca znajduje się w Scotland Yardzie. Ale dlaczego ktoś taki nie miałby pracować także u Caleba?

– Czy nie dotyczy to też magicznej londyńskiej policji? – odpowiedziała jednak. Nie zamierzała dać po sobie poznać, że jego słowa wydały się jej przekonujące. – Być może tutaj starania również są przez kogoś blokowane.

– Rozumiem, że chodzi o kogoś, kto mógłby w jakiś sposób manipulować dowodami? – podchwycił Michael, a Jagoda z najwyższym trudem zdołała zapanować nad mięśniami twarzy. Thunderbird wiedział, co podejrzewali i kogo szukali. – Jak wspomniałem, nie wszyscy pracownicy są w pełni lojalni. Właściwie spora część pracowników nie jest lojalna, bo zwykle, co całkiem normalne, oferują swoje usługi za konkretną cenę. Dotyczy to, przykro mi mówić, zarówno firmy Madainn ùr, jak i Scotland Yardu.

Przez moment się wahała, rozważając, czy powinna udawać, że nie ma pojęcia, o kim Michael mówił. Jeżeli jednak naprawdę ktoś z Madainn ùr, ba, ktoś mieszkający pod tym samym dachem, co ona, mu donosił, nie miało to żadnego sensu.

– Właściwie czego pan ode mnie oczekuje?

– Chwili cywilizowanej rozmowy. Wymiany informacji. Z tego, co mi wiadomo, ostatnie... działania Madainn ùr są związane z panią. Czy to dziwne, że potencjalny zdrajca w szeregach bardzo mnie interesuje? – spytał Thunderbird.

Ociągała się jeszcze przez chwilę, nim wreszcie weszła do pomieszczenia i usiadła. Odruchowo na samym skraju siedziska, bez przysuwania fotela bliżej stolika. Tak, by w każdej chwili móc się błyskawicznie podnieść.

Jeżeli Michael był zadowolony z tego, że ustąpiła, to po mistrzowsku to zamaskował. Sam zajął miejsce naprzeciwko niej. Na dzielącym ich stole stały różne ciasta i Thunderbird zachęcił ją, by się częstowała, ale Jagoda tylko pokręciła głową. Wciąż czuła irytację na myśl o sposobie, w jaki wmanipulował ją w to spotkanie. I nie mogła się oprzeć myśli, że właściwie to w sztuce manipulacji był równie biegły jak Caleb.

– Dopuszcza pan możliwość, że ktoś... zrobił coś z ciałem? – spytała podejrzliwie.

Do tej pory brała Michaela Thunderbirda za drugiego Mariusza Olchę. A on, była pewna, szedłby w zaparte, że żaden-z-jego-ludzi-nie-zrobiłby-nic-takiego.

– Mam już swoje lata, pani Wilczek. Wiem, że zdarzają się różne rzeczy – odparł. – Ze wstydem i żalem przyznaję, że minęło parę lat, zanim zdołaliśmy usunąć osoby, które mogły sprzyjać panu Redowi. Często wysyłając je na emeryturę albo przenosząc. Nie sądziłem, że ktoś umknął mojej uwadze, ale kto wie?

To zaskoczyło ją jeszcze mocniej niż jego gotowość do rozważenia, że ktoś na komendzie działa wbrew jego interesom – i to tylko dlatego, że tak sugerowała obca osoba, której zdolności nie mógł być stuprocentowo pewny. O ile jeszcze mogła zrozumieć, że ludzie chętnie współpracowali z Jacobem, nawet naginając zasady, gdy ten był sławny, bogaty i doceniany, o tyle zupełnie nie pojmowała, co miałyby ich do tego skłaniać później. Jedna, dwie osoby owszem, ale tak wiele, że ich usunięcie potrwało lata?

- Dlaczego... – zaczęła i przerwała.
- Proszę – zachęcił ją Michael. – O co chce pani zapytać?
- Dlaczego mi pan wierzy? Tak po prostu? I dlaczego tyle osób miało by... wspierać Reda?

Thunderbird rozsiadł się wygodniej na krześle. Łokcie oparł na podłokietnikach, palce zetknął opuszkami. Nie odpowiedział od razu, namyślał się.

– Zacznę od ostatniego pytania, bo łączy się z pierwszym – stwierdził wreszcie. – Jest pani młoda i pochodzi z innego kraju, nie może więc pani w pełni zrozumieć, kim Jacob Red był dla Wysp, a zwłaszcza Donlonu.

– Wynalazca, filantrop, przedsiębiorca – wyrecytowała Jagoda natychmiast. Te określenia powracały w publikacjach na temat Reda niby refren.

Thunderbird skinął głową.

– Owszem, ale trudno to zrozumieć w pełni, jeżeli nie mieszkało się w Donlonie. Zwłaszcza że o wielu rzeczach nie wypadało przypominać po aresztowaniu. Ba, Merlinian Publishing wycofało swoje książki, w których wspomniano o dokonaniach Jacoba Reda. A tych jest wiele. Jacob Red pół wieku temu oświecił cały Donlon. Zwykłe lampy niewiele dawały we mgle i wciąż przestawały działać z powodu tutejszej magii, a odnawianie zaklęć było czasochłonne, co sprzyjało wypadkom i przestępczości. Od dnia, w którym przejął swoją schedę, co roku finansował edukację jednemu czy dwóm utalentowanym magom z biednych rodzin i potem dawał im pracę, a zapewniam, że sześćdziesiąt lat temu nie mieli oni zbyt dużych możliwości. Wynalazł lekarstwo na mglicę, która zbierała w Donlonie swoje żniwo...

– ...a potem okazało się, że w tym celu przeprowadzał eksperymenty na przynajmniej dwóch chorych – przypomniała Jagoda.

Michael obdarzył ją chłodnym uśmiechem i w tej chwili przypominał jej już nie Mariusza Olchę, lecz Caleba Blythe'a.

– Oczywiście. Nie musi mi pani przypominać jego przewin, znam je doskonale – odparł, nieco ostrzejszym tonem niż wcześniej. – Próbuję wyjaśnić, jak wyglądało to dla wielu osób. Owszem, dwóch chorych na mglicę zmarło w jego laboratorium, ale wcześniej na tę chorobę umierało na Wyspach średnio kilkanaście osób rocznie. Chorzy i ich rodziny byli i wciąż są mu wdzięczni. Tak, dwóch jego stypendystów zaginęło i choć nigdy tego nie udowodniono, prawdopodobnie ich zabił. Czterdziestu kolejnych zrobiło jednak wielkie kariery tylko dzięki niemu. Niejeden naukowiec, alchemik i wynalazca mógł prowadzić badania wyłącznie dzięki jego dotacjom. Bardzo wielu czarodziejów długo nie wierzyło w winę Jacoba Reda. A nawet gdy udowodniono ją ponad wszelką wątpliwość, niektórzy zakładali, że dowody sfabrykowano ze względu na zbyt szerokie wpływy... lub niewiele ich to obchodziło. Jeszcze inni chcieli wierzyć, że działał dla dobra ogółu. Dodajmy, że spora część z jego ofiar to były osoby niemagiczne, głównie nielegalni imigranci, żebracy, przestępcy. Dla niektórych magów, zwłaszcza tych starej daty, ich śmierć nie jest czymś, czym należałoby sobie zawracać głowę. Są ludzie, którzy w głębi ducha nie potępiają Reda, i nawet tacy, którzy choćby dziś stanęliby po jego stronie. Wydaje się to pani oburzające?

– Trochę – powiedziała powoli.

Zaczynała jednak, na bogów, rozumieć. Wiedziała, że jej rodzina mieszała się w różne podejrzane interesy, potępiała to, ale byli rodziną. Niemal w każdym przypadku stanęłaby po ich stronie. Dopiero śmierć Wawrzyńca zwróciła ją przeciwko wujowi.

Być może tu, do pewnego stopnia przynajmniej, było podobnie. Same określenia „filantrop, wynalazca, przedsiębiorca” nie wystarczały, aby Jagoda wcześniej w pełni wyobraziła sobie sytuację. Jacoba oskarżono o porwanie dwudziestu siedmiu osób w ciągu mniej więcej sześćdziesięciu lat, a choć mogło być ich więcej, niczego nie dało się udowodnić. Tych, które coś mu zawdzięczały, były jednak setki. Może tysiące.

– Najbardziej znani politycy w niemagicznym świecie nie mają problemu z zasiadaniem przy stole z politykami z krajów, w których skazuje się na więzienia albo śmierć za byle przewiny – skwitował Michael. Wyprostował się i wzruszył ramionami. – Nie jest to aż tak dalekie od tego przypadku. Odpowiadając więc na pani pytanie. Skoro moim kononerem była kobieta, której ukochaną córkę Jacob Red osobiście wyleczył z mglicy, a najlepszym alchemikiem człowiek, którego edukację sfinansował, nie zaskoczyło mnie zbytnio, że po cichu mu sprzyjają.

Być może właśnie z tego wynikała ta cała „paranoja” Michaela Thunderbirda, który nie zgadzał się na przeniesienie Reda z celi o zaostrzonym rygorze. I do diabła, miał rację. Ktoś w jego własnej jednostce mógł

zaryzykować, aby pomóc swemu dobroczyńcy. Zrozumiała też wreszcie, dlaczego później robiono mu problemy z tego powodu, oskarżając o śmierć Reda i nieludzkie traktowanie więźnia.

– Dlaczego pani wierzę? Właściwie: nie, nie wierzę. Wyraźnie jednak robi to Caleb Blythe, skoro nagle ponownie inwigiluje moich pracowników o określonych specjalizacjach. To w połączeniu z powyższym sprawia, że... biorę pod uwagę... że może mieć pani rację i kogoś przegapiłem. Czy to wystarczy, by zaspokoić pani ciekawość?

Skinęła głową. Nie mogła niczego zarzucić logice Michaela Thunderbirda. A to, co tu zaprezentował, sugerowało, że był właściwym człowiekiem na właściwym miejscu.

Pozostawało jednak jeszcze jedno pytanie...

– Czego w takim razie pan ode mnie oczekuje? Zgodziłam się przecież... sprawdzić...

– Kolejną ofiarę – dokończył, gdy zawiesiła się, szukając właściwego określenia. – Jak wspomniałem, nie wiem, na ile pani wierzyć. Jeanette uznaje pani umiejętności za wysokie, a to doskonała rekomendacja, zdjęła pani też kłatwę z Nicholasa, ale wolałbym przekonać się osobiście.

– Chce pan, żebym rzuciła na pana kłatwę? – Z trudem powstrzymała się przed podniesieniem głosu. O nie. Za żadne skarby. Pamiętała, co powiedział Caleb. Mieli szerokie uprawnienia. Jeśli uznają, że zrobiła coś nie tak albo zagraża dobru śledztwa, trafi do aresztu i szybko z niego wyjdzie. – Nie ma mowy.

– Chcę tylko zbadać pani aurę – uspokoił ją. – Jestem w tym całkiem dobry.

Zmarszczyła brwi, gdy rozważała prośbę. Jeżeli faktycznie był w tym dobry, prawdopodobnie mógł powiedzieć co nieco o jej umiejętnościach, już tylko przebywając w jednym pomieszczeniu. Do pełnej diagnozy potrzebował jednak także dotyku, trochę czasu, a najlepiej i pewności, że Jagoda nie spróbuje niczego maskować. Robiła to wielokrotnie, choć głównie pod kątem kłatw.

Pytanie brzmiało, czy chciała pozwolić na to Thunderbirdowi. Szanse były wprawdzie niewielkie, mógł jednak wykorzystać okazję, by rzucić na nią jakieś zaklęcie. Bardzo trudne do wykrycia.

– Widzę, że nie podoba się pani ten pomysł.

– Niezbyt – przyznała.

– Ujmijmy więc sprawę w ten sposób. Po pierwsze, chciałbym wiedzieć, na ile poważnie brać pani słowa w przyszłości i czy faktycznie obecnie powinienem poświęcić czas i zasoby na ponowne sprawdzenie moich pracowników. Jeżeli jest pani pewna swego, znalezienie osoby, która w jakiś sposób wpłynęła na odczyty, jest chyba w interesie Caleba? Po drugie, jeżeli ten mały test potwierdzi opinię Jeanette, zagwarantuję, że gdy zginie ktoś jeszcze, będzie pani jedną z pierwszych osób dopuszczonych do ciała.

Ostatnio wezwano ich dobrą godzinę po wypadku. Nawet jeśli wziąć pod uwagę plan Blythe'a, by monitorować sytuację bezpośrednio z Donlonu, to była kusząca oferta.

Thunderbird jednak jeszcze nie skończył.

– Po trzecie wreszcie, podzielę się z panią kilkoma informacjami o ludziach, z którymi w tej chwili pani mieszka, a których prawdopodobnie pani nie przekazano. Między innymi o tym, komu dokładnie Caleb Blythe ufa niesłusznie. Czy byłem dość przekonujący?

Tym razem zastanawiała się tylko przez chwilę.

– Myślę, że zdołałby pan przekonać niejednego człowieka, że jest osłem, nie mówiąc już o nakłonieniu do czegoś.

Po raz pierwszy podczas tej rozmowy szczerze się uśmiechnął.

– W przypadku niektórych ludzi nie byłoby to dalekie od prawdy, pani Wilczek. Mogę prosić?

Położył na stole dłoń, wnętrzem do góry. Jagoda wyciągnęła rękę, by ułożyć ją na jego palcach. Twarz Michaela przybrała nieobecny wyraz, oczy zamglily się lekko, kiedy skupiał się na sprawdzaniu aury. Wiedźma czekała cierpliwie, aż skończy, bez ruchu i bez słowa. Wszystko potrwało jakiś kwadrans. Potem wypuścił jej rękę i się wyprostował.

– Dziękuję.

– Zdałam?

– To nie był egzamin – odparł. – Czy zamierza pani pracować dla Caleba Blythe'a także po tej sprawie?

– Nie.

– On o tym wie? – wypytywał dalej Michael.

– Tak.

– Na pani miejscu zachowałbym ostrożność. Może nie przyjmować tego do wiadomości. Caleb Blythe

pod wieloma względami przypomina Jacoba Reda, a to jeden z nich. Jest kolekcjonerem.

Chociaż Thunderbird twierdził, że nie był to egzamin, miała wrażenie, że jednak poddał ją testowi. I wciąż nie miała pewności, czy zdała. Natomiast słowa o kolekcjonerze przywołały wspomnienie szklanych trumien.

Kolejny eksponat do kolekcji.

– Myślę, że posuwa się pan trochę za daleko w tym porównaniu – stwierdziła sucho.

– Obiecałem podzielić się z panią kilkoma informacjami...

– ...te na temat Caleba naprawdę mnie nie interesują – przerwała mu niezbyt grzecznie.

Nie, Blythe nie był dobrym charakterem w tej historii. Doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Michael Thunderbird nie mógł jednak powiedzieć jej nic ponad to, co już sprawdziła, kiedy badała sprawę. Znała wszystkie argumenty zarówno przeciwników, jak i obrońców Caleba.

– Czyżby bała się pani, że i tu ją przekonam? W sprawie dziedzica Jacoba Reda? – spytał przebiegle.

– Nie jest jego dziedzicem.

– Jest, zarówno w dosłownym, jak i przenośnym sensie – sprostował Michael. – Odziedziczył jego firmę i parę nieruchomości. Sporo wiedzy i umiejętności. Zakłęcia, które poznali wyłącznie oni dwaj, mistrz i uczeń. Dodajmy do tego, że Jacob traktował go jak syna. Oraz fakt, że Caleb, podobnie jak jego nauczyciel, ma dość luźne podejście do prawa i moralności. Zakłada, że można je naginać w imię wyższego dobra. Jak dobrze go pani zna?

Być może ten argument, bardzo słuszny przecież, przekonałby Jagodę... gdyby sama do pewnego stopnia tego podejścia nie podzielała.

Ona też nigdy nie była dobrym charakterem w bajce.

– Wystarczająco, żeby wiedzieć, że nie trzyma nikogo uwięzionego w piwnicy.

– Nigdy go o to nie oskarżałem – przyznał Michael. – Ale Jacob Red nie zaczął eksperymentować od razu i jego pierwszymi ofiarami nie byli niewinni ludzie. Caleb, podobnie jak on, przyznaje sobie prawo do decydowania, kto może umrzeć i kto za jakie zbrodnie powinien zostać ukarany.

Daniel.

Nawiązywał do sprawy Daniela, była niemal pewna. I chociaż w duchu w tym przypadku musiała przyznać mu sporo racji, ani myślała zrobić to na głos.

– Chyba już pani o tym wie? – stwierdził Michael uprzejmie, kiedy się nie odezwała. – Zdaje się, że jesteście... całkiem blisko.

Jego wzrok skupił się tym razem nie na jej twarzy, a w okolicach szyi. Z trudem powstrzymała odruch potarcia tego miejsca. Jasny szlag. Najwyraźniej został tam jakiś ślad, a jeżeli on go zauważył, to prawdopodobnie Marek też.

– Panie Thunderbird, pańskie informacje są dla mnie bezużyteczne – odpowiedziała najzimniejszym tonem, na jaki potrafiła się zdobyć.

Zarówno głosem, jak i mimiką starała się naśladować teraz babkę i choć nie wątpiła, że daleko jej do tej mistrzyni, która zdawała się w takich momentach zionąć arktycznym chłodem, liczyła, że Michael pojmie przesłanie.

– Lane Benett był jednym ze stypendystów Jacoba Reda – powiedział Michael, kompletnie ignorując jej słowa. – Istnieją bardzo mocne przesłanki, by sądzić, że wiedział o jego eksperymentach. Mieli podobne poglądy na wiele spraw.

Nie odezwała się, ale i ta informacja nie zrobiła na niej wrażenia. Gdyby Lane Benett chciał zaszkodzić Calebowi albo nie dopuścić do spełnienia klątwy, wystarczyłoby, aby przekazał komuś ze Scotland Yardu, że używają nekromanckiej magii.

– Pan Benett interesuje się i zawsze interesował wyłącznie teorią magii – podjął Thunderbird, gdy stało się jasne, że żaden komentarz nie padnie. – Nie wątpię, że nie pracuje bezpośrednio z osobami, które mogłyby przyłożyć rękę do klątwy Jacoba Reda. Nie odniósłby z tego żadnych korzyści. Ale wynosi pewne informacje dla osób, z którymi współpracuje na polu akademickim. Jak pani sądzi, skąd wiem, że podejrzewacie kogoś z moich pracowników?

Znów się do niej uśmiechnął i tym zdołał wzbudzić w Jagodzie wątpliwości. Być może była naiwna, gdy zakładała, że Caleb nie dzieliłby się pewnymi informacjami z osobami, których nie jest stuprocentowo pewny.

Dopuścił wszak do nich ją, a jej lojalność wcale nie była niezachwiana. Blythe wiedział, że ryzykuje.

– Panny Donnelly... w ich żyłach płynie krew wymarłego ludu. Ich praprababka była jedną z ostatnich aes sidhe i zapewniam, że przynajmniej jedna z siostr nie kieruje się logiką właściwą ludziom.

Tym razem Jagoda nie miała pewności, czy zdołała zamaskować zaskoczenie. Być może nie uwierzyłaby Michaelowi, bo aes sidhe uznawano za wymarłe od niemal czterystu lat, ale to... wiele wyjaśniało. To, w jaki sposób Eleanore uwięziła brownie. Dlaczego kontaktowała się z prababką i z jakich powodów Caleb uważał ją za gorszą od Joanny Wilczek: jeżeli ta była półfae, należało ją omijać szerokim łukiem. I wreszcie to, skąd u Eleanore zdolność do kształtowania magii.

– Niezależnie od tej logiki, obie zdają się bardzo nie lubić Jacoba Reda.

– Rzeczywiście. Chyba był bardzo zainteresowany panną Erin, którą poznał zresztą dzięki swojemu uczniowi. Zatrudnił ją w firmie, zapraszał do domu. Niewykluczone, że gdyby został ujęty później, pewnego dnia by zaginęła, aby mógł sprawdzić, ile z krwi aes sidhe przetrwało po kilku pokoleniach – przyznał Michael i nagle stało się jasne coś jeszcze: dlaczego Erin nie chciała zbliżyć się do zamku oraz z jakich powodów Eleanore, tak wtedy młoda, brała udział w akcji ujęcia Reda.

– Czyli podsumowując, pańskim zdaniem powinnam uważać na Caleba, siostry Donnelly, pana Benetta... ani słowa o pozostałej trójce?

– Evan nie jest zbyt przyjemnym człowiekiem, ale pozostaje oddany Calebowi. Jeżeli chodzi o Mayę Abrams, na pewno sama pani już odgadła, że nie ma co liczyć na jej sympatię. Tak czy inaczej, radzę jednak uważać przede wszystkim na Ucznia Czarnoksiężnika. Gdy postawi sobie jakiś cel, nie cofnie się przed niczym, by go osiągnąć. Nawet... niezbyt uczciwymi albo moralnymi sposobami. Proszę o wybaczenie, jeśli zabrzmiało to niegrzecznie.

– Dziękuję za ostrzeżenie – odparła z całym spokojem, na jaki było ją stać, choć zaczynała powoli przyznawać w duchu, że Michael Thunderbird naprawdę wiedział zbyt wiele. A pewnych rzeczy mógł dowiedzieć się tylko od kogoś spostrzegawczego, kto faktycznie mieszkał w tym samym domu, co ona. O ile nie nadinterpretowała, wiedziona postępującą paranoją... ale wzmianka o Mayi i ostatnie zdanie... – Życzy sobie pan ode mnie czegoś jeszcze?

– Na razie tylko jednego, jeżeli to możliwe. Odpowiedzi na pytanie, co naprawdę wyczuła pani na tych ciałach.

– Ktoś częściowo usunął ślad klątwy – wyjaśniła krótko, przekrzywiając lekko głowę, zaintrygowana.

– Czyżby tego panu nie przekazano, panie Thunderbird?

– Pozwolę sobie nie odpowiadać na to pytanie, panno Wilczek.

Mierzyli się przez moment wzrokiem. W końcu, gdy stało się jasne, że żadne z nich nie powie nic więcej, Jagoda wstała i ruszyła do drzwi.

Marek czekał na nią na dole, przy jednym ze stolików w rogu sali. Z niewidocznych głośników płynęła muzyka, utwór o donlońskich nocach i krukach. Jagoda skierowała się wprost do wyjścia na ulicę Donlonu.

Stanęła jak wryta, gdy we mgle dostrzegła kobiecą postać, ubraną w suknię z kruczych piór. Po chwili jednak zawiął wiatr, mgła się poruszyła i sylwetka znikła, jakby nigdy jej nie było, a Marek z impetem wpadł na Jagodę i prawie ją przewrócił.

– Co...?

– Nic... – zaczęła, ale zaraz dotarło do niej, że stwierdzenie „to tylko przywidzenie” nie będzie najmądrzejsze. Była w Donlonie, obcej sobie enklawie, w której działała dzika magia. Może regularnie pojawiały się tu demony. Albo po ulicach grasowała zabójczyni o ekscentrycznym guście i Jagodę zapomniano o tym uprzedzić. – Widziałam dziwną kobietę, która miała suknię z piór. I chyba szpony.

– Ach, Kruczarka – odparł Marek lekceważąco.

Przyjęła to z ulgą, bo sądząc po tonie, nie był to nikt niebezpieczny, a jej towarzysz nie uznał Jagody za wariatkę.

– Mieszka w Tower, ale czasem po zmroku wychodzi na ulice. Czy Brown powiedziała ci coś przydatnego?

Przez ułamek sekundy rozważała, czy powinna powiedzieć mu prawdę. Tajenie przed Calebem, z kim faktycznie się spotkała, nie tylko nie było dobrym pomysłem, ale też naruszałoby kontrakt, a Blythe na pewno przekaze informacje również Markowi.

Inna sprawa, że niekoniecznie zamierzała się dzielić z nimi wszystkim, co usłyszała od komendanta.

- Nie miała okazji nic powiedzieć, bo na górze czekał Michael Thunderbird. Chciała ruszyć przez mgłę w stronę auta, Marek jednak złapał ją za ramię.
- Thunderbird? Do cholery, mówiłaś, że masz się spotkać z Jeanette Brown.
- Bo tak myślałam. Thunderbird poprosił ją o zaaranżowanie spotkania. Mógłbyś mnie puścić?
- Co. Mu. Powiedziałaś? – warknął Marek, mocniej zaciskając palce.

Jagoda gwałtownym gestem odepchnęła jego dłoń. Specjalista od zabezpieczeń był drobnym mężczyzną, mniej więcej jej wzrostu, poradziła więc sobie bez większego problemu.

– Nic mu nie powiedziałam – odparła chłodno. – A raczej niewiele. Dostał odpowiedź na pytanie, co takiego wyczułam na ciałach, że ludzie Madainn ùr nagle zaczęli sprawdzać pracowników, którzy mieli z nimi kontakt. Ktoś od was mu donosi.

Marek zmienił się na twarzy. Podświadomie oczekiwała, że zacznie zaprzeczać, może nawet zarzucać jej kłamstwo. Wątpliwości były czymś, z czym spotykała się często, a tutaj przecież miała do czynienia z obcym człowiekiem. O dziwo jednak nie odezwał się, zamiast tego wydobyl telefon i gdzieś zadzwonił. Brwi Jagody powędrowały w górę, gdy słuchała, jak kazał natychmiast zebrać pracowników.

Wytrąciło ją to z równowagi. Po pierwsze, uświadomiła sobie, że Mark Franc, dyrektor Madainn ùr, to najwyraźniej Marek. Po drugie, znała chyba tylko trzy osoby, które uwierzyłyby jej na słowo w takiej sytuacji. Babkę, Sonię i być może Caleba.

– Nie zamierzasz sprawdzić, czy mówię prawdę? – spytała, gdy skończył rozmowę.

– Właśnie to robię – poinformował krótko. – Jeżeli nie masz racji, stracę trochę czasu. Jeżeli się nie mylisz, to nie mogę tego zignorować. O czym jeszcze rozmawialiście?

– Próbował mnie przekonać, że Caleb Blythe to chodzące zło. To wszystko – oświadczyła.

Wprawdzie była to półprawda, bo poruszyli też kilka innych tematów, ale Jagoda nie wiedziała nawet jeszcze, ile z tej rozmowy przekaze Blythe'owi. Na pewno nie zamierzała chwalić się Markowi tym, co usłyszała o Mayi, Benecie oraz siostrach Donelly.

– Jeżeli zrobisz coś przeciwko Calebowi, zo... – warknął Marek, ale przerwał swoją groźbę w pół słowa. – Idziemy.

– Skąd w ogóle wniosek, że coś mu zrobię? – odparła zirytowana, ruszyła jednak za nim przez donłońską mgłę. Gdzieś ponad ich głowami nawoływały się kruki, a kiedy spojrzała w górę, zdołała nawet dostrzec zamazaną sylwetkę jednego z ptaków. – Bo jestem złą wiedźmą klątw? Caleb doskonale radzi sobie z klątwami.

– Bo jesteś spadkobierczynią Joanny Wilczek.

Na moment zabrakło jej słów. Słyszała już takie oskarżenia wielokrotnie. pod adresem obu Joann, bo ani prababka, ani babka Jagody nie były dobrymi osobami. Nie spodziewała się jednak, że takie słowa padną w Londynie. Dopiero teraz przypomniała sobie, że Marek pochodził z Polski. I być może wiedział o jej rodzinie dużo więcej, niż sądziła. Ba. Mógł nawet kiedyś ucierpieć z ręki któregoś z Wilczków...

Milczała przez całą drogę do samochodu. Odezwała się dopiero, kiedy otwierali drzwi auta.

– A w związku z tym, że jestem „spadkobierczynią Joanny Wilczek”, czego się po mnie spodziewasz? Marek obrzucił ją ponurym spojrzeniem.

– Dokładnie tego, czego po niej. Wszystkiego, co najgorsze.

*

Gdy wrócili do Rainharbour, Caleba nie było. Znikł z Evanem jeszcze przed wyjściem Jagody, by „sprawdzić kilka tropów”, i nikt nie wiedział, kiedy wróci. Nie pojawił się do północy, gdy Jagoda poszła spać. Za to kiedy zeszła rankiem na dół, Erin poinformowała ją od razu, że Blythe chciał ją widzieć.

Poszła do jego pokoju na parterze, na końcu korytarza, który gdy przyjechała, pozostawał zamknięty. Nie sprawiał wrażenia zbyt przytulnego i nie wyglądał na starannie zaaranżowaną, prywatną przestrzeń, chociaż nie był też aż tak bezosobowy jak przydzielona jej sypialnia. Mimo sporych rozmiarów, niewiele było tu sprzętów: łóżko, biurko, fotel komputerowy i szafa. W oczy zaś rzuciła się przede wszystkim ściana w całości zajęta przez informacje o Jacobie Redzie i ofiarach jego klątwy. Przyczepiono do niej niezliczoną liczbę karteczek i zdjęć, między którymi z kolei znaczyły się kolorowe linie powiązań. Na biurku piętrzyły się teczki i papiery, a chociaż Jagoda nie miała okazji się im przyjrzeć, była niemal pewna, że dotyczą tego samego, co schemat na ścianie.

– Marek ci powiedział? – spytała, zamykając za sobą drzwi.

Caleb, który siedział przy biurku przed laptopem, obrócił się ku niej. Jeśli sędzić po chmurnym spojrzeniu, to faktycznie Marek mu powiedział i to Blythe'a ani trochę nie ucieszyło, albo jeszcze coś nie szło po jego myśli.

– O twojej pogawędce z Thunderbirdem? Tak. Coś napomknął. O czym mu nie powiedziałaś?

– Skąd wniosek, że coś takiego było?

– Siedziałaś tam podobno prawie pół godziny. Trochę zbyt długo jak na rozmowę wyłącznie o jego pracownikach i wykład pod tytułem „Caleb Blythe to plaga, trzymaj się od niego z daleka”.

Jej usta wygięły się w mimowolnym uśmiechu.

– Jesteś pewny? Tak często słyszę, że trzeba na ciebie uważać, że mogłabym już z tego skomponować nawet godzinne wystąpienie.

– Od Michaela, twojej babki, która swego czasu i mnie miała do powiedzenia parę rzeczy w rodzaju obietnicy okrutnej śmierci, jeśli cię w coś wciągnę, i...?

Ach. Czyli to dlatego Joanna groziła mu śmiercią. To całkiem pasowało do babki.

– Od Maria, mojego brata, Antoniego, ostatnio nawet od Soni. Ale jeżeli cię to pocieszy, przynajmniej dwie osoby kazały mi się trzymać od ciebie z daleka dlatego, że to ja jestem zła i niebezpieczna.

– Dopadła cię Maya? – jęknął Caleb.

Jagoda podeszła bliżej i oparła się o biurko, starając się przy tym nie zwalić na podłogę piramidki teczek.

– Nie. Marek i Jeanette. Maya prawdopodobnie też tak uważa, ale na razie tylko zabija mnie wzrokiem.

– Jeanette? – spytał zaskoczony. – Mówimy o tej samej kobiecie? Rude włosy, koło pięćdziesiątki, aura Diaboliny z bajki Disneya, tak że prawie widzisz otaczające ją cienie?

– Najwyraźniej cię lubi. Może to ta twoja mroczna natura?

Caleb pokręcił głową, jakby zrezygnowany.

– Doskonale. Chyba bardzo słabo cię znają. Jeszcze dwie, trzy osoby z takim ostrzeżeniem i może uda mi się zatrudnić cię na stałe – stwierdził. Nie wątpiła, że miał to być żart, ale słowa Michaela odbiły się echem w jej głowie. Caleb to kolekcjoner. Może nie przyjmować odmowy do wiadomości. – O czym tak naprawdę rozmawialiście?

O Jacobie Redzie. Jego zwolennikach. Twoich ludziach. Tobie.

– Jak mówiłam Markowi, chciał wiedzieć, co skłoniło was do prześwietlania jego pracowników. I sprawdzić moją aurę.

– Pozwoliłaś mu na to?!

– Tak. Zaoferował układ, a ja nie mam nic do ukrycia.

– Szlag – warknął Blythe. Gwałtownym gestem chwycił ją za nadgarstek i pociągnął ku sobie. Fotel komputerowy zatrzeszczał w proteście z powodu podwójnego ciężaru. – Nie ruszaj się.

W pierwszej chwili nie była pewna, o co mu chodzi. Gdy splótł ich palce, pojęła, że Caleb starał się zrobić dokładnie to samo, co Michael. Sprawdzał jej aurę. Sama poprzedniego wieczora spędziła dobre dwie godziny na upewnianiu się, czy Thunderbird nie rzucił na nią żadnych zaklęć, a chociaż nic nie znalazła, na wszelki wypadek przez kolejną godzinę kreśliła krąg oczyszczający z magicznych efektów.

– Już to sprawdzałam.

– Mogłaś coś przegapić. Thunderbird to potężny mag i zna się nie tylko na magii bojowej. Bardzo proszę, bądź przez chwilę cicho.

Zrezygnowana zamilkła i pozwoliła mu zbadać aurę. Caleb najwyraźniej podszedł do sprawy poważnie, bo w pewnym momencie jego ręka zwiotczała, a głowa bezwładnie osunęła się na jej ramię: skupił się na tyle, że stracił panowanie nad ciałem. Jagoda pomyślała, że i tym razem nie zamknęła drzwi, i oby Maya albo Marek nie postanowili wchodzić bez pukania, by zastać ją na kolanach półprzytomnego Blythe'a.

– Nic nie ma – mruknął Caleb po dobrych dwudziestu minutach. Podniósł głowę, ale wzrok wciąż miał mętny. Rozmasował sobie kark, wyraźnie odrętwiały od zbyt długiego siedzenia w jednej pozycji.

– Mówiłam.

– Ale mogło być. Czego w „Uważaj na ludzi ze Scotland Yardu” nie zrozumiałaś?

– Tego fragmentu, w którym ktoś z twoich pracowników donosi Thunderbirdowi – odparła. – Michael twierdzi, że to Benett.

- Bzdura.
- Ufasz mu całkowicie? – naciskała.
- Blythe, o dziwo, uśmiechnął się do niej blade.
- Gdyby to był Lane, już byłbym aresztowany. A on zmagalby się z paskudnymi skutkami ubocznymi.

Widziałas jego klątwę?

– Tak. Nie chciał, żebym ją zdjęła.

– Lane współpracował z Jacobem. Blisko. Zdradził go ostatecznie, ale nie, wcale nie byłem całkowicie pewny jego lojalności. Pozwolił więc dobrowolnie nałożyć na siebie klątwę. Jeżeli naruszy warunki swojego kontraktu, ta się uaktywni.

Przypatrywała się mu oszołomiona. Sama nakładała klątwy na niektóre umowy: było to standardowe postępowanie przy kontraktach wysokiego ryzyka. Prawo jednak precyzyjnie regulowało zarówno to, czego umowa może dotyczyć, jak i to, jaki rodzaj klątwy wolno przygotować.

Klątwa ciężąca na Benecie była dużo silniejsza i na pewno nie tak nieszkodliwa.

– To nielegalna klątwa, prawda?

– Powiedzmy, że funkcjonuje na samej granicy prawa. Przeszkadza ci to?

– Nie wiem – przyznała szczerze, próbując się podnieść.

Caleb otoczył ją ramieniem i nie pozwolił wstać.

– Thomas Doherty akurat o tym wie, a wszystko było wyborem Lane’a – powiedział. – Chciał dalej prowadzić badania dla Madainn ur i pracować ze mną, a ja wtedy nie ufałem mu dostatecznie, aby na to pozwolić. Gdyby teraz poprosił o usunięcie tej klątwy, zrobiłbym to. Nie prosi, bo nie chce żadnych wątpliwości. Ponowię pytanie. Przeszkadza ci to?

– Nie – westchnęła.

Kiedy tak przedstawiał sprawę, nie, to jej nie przeszkadzało. Męczyła ją za to inna myśl. Jak wiele rzeczy nauczy się tolerować, jeżeli spędzi odpowiednio dużo czasu w jego towarzystwie albo po prostu sama wpakuje się w wystarczająco wiele niebezpiecznych sytuacji? W ostatnich latach wciąż przekraczała kolejne granice, przymykała oka na kolejne sprawy i robiła rzeczy, o które nie podejrzewałaby siebie jeszcze nie tak dawno. Przebywanie z Calebem tylko ten proces przyspieszało.

Być może na końcu tej drogi spojrzy pewnego dnia w swoje odbicie i naprawdę zobaczy Joannę Wilczek.

– Ale? Czuję je w powietrzu – mruknął.

Chwytał ją za podbródek i zwrócił jej twarz w swoją stronę.

– Ale sądzę, że powinno mi to przeszkadzać – powiedziała, lekko odpychając jego rękę i wreszcie wstając.

– Czyżby właśnie przyszło ci do głowy, że babka, Michael i cała reszta mają rację? Przeciagam niewinną czarownicę na ciemną stronę mocy?

– Nie. Właściwie to nie. Nie przeciągnąłbyś na ciemną stronę mocy kogoś, kto nie miał do niej ciągot – stwierdziła i przesiadła się na łóżko.

Porównanie mogło wydawać się zabawne, ale uznała je za całkiem trafne. Tak, unikała czarnej magii, i tak, starała się działać w granicach prawa. Przekonała się już jednak, że zmuszona okolicznościami te drugie przekracza z własnej woli, czarnomagiczną klątwę zmusiła do posłuszeństwa, a przekleństwo, którego absolutnie nie powinna rzucać, utkała, bo tego pragnęła.

O żadną z tych rzeczy nie mogła obwiniać Caleba. Tak, przyznawał się jej do wielu nie do końca legalnych poczynań, ale gdyby sama nie pytała i nie nalegała, w większość z nich nie zostałaby wciągnięta. Właściwie to on ryzykował, gdy mówił jej o rzeczach, które mogłyby zaprowadzić go za kratki.

– Naprawdę? W podziemiach nie dałem ci wyboru.

Przypatrywała się mu w milczeniu. Myślała o Adrianie, jego ręce zaciskającej się na jej dłoni, znieruchomiałych oczach, wymizerowanej twarzy. Wspomnienie, znów świeże, odkąd przywołała je grobowa magia, podsycalo dawny gniew. Caleb cierpliwie czekał na odpowiedź, nawet gdy ta długo nie padała: jakby miała mieć duże znaczenie.

– Zesłałam z tobą sama. Wyboru nie dał mi Zbigniew Potocki – powiedziała beznamietnie. – Jakim cudem o tym rozmawiamy? Nie powinniśmy dyskutować o Michaelu Thunderbirdzie? Sądzisz, że kłamał mi w żywe oczy?

To nie tak, że byłaby tym szczególnie zaskoczona. Ludzie stale kłamali. Sama czasem kłamała, kierowana różnymi pobudkami. Nie była jednak pewna, jaki interes miał w tym Michael. Poróżnienie jej z Benettem nic by mu nie dało. Poza tym musiał przecież brać pod uwagę, że Jagoda niekoniecznie uwierzy mu na słowo i skonfrontuje informację z Calebem lub Benettem.

– Nie. Lane zna jednego z emerytowanych współpracowników magicznej policji. Naukowca. Miał go ostrożnie podpytać. Najwyraźniej powiedział o zdanie za dużo, ten, jak na geniusza przystało, wysnuł wnioski i pobiegł z nimi do Michaela. Co jest całkiem przydatną informacją, bo oznacza, że Lane nie powinien więcej z tym człowiekiem rozmawiać.

Thunderbird więc nie kłamał, a podzielił się częścią prawdy albo tym, w co sam wierzył. Jagoda jednak, z podejrzliwością typową dla kogoś wychowanego w rodzinie Wilczków, natychmiast zaczęła się zastanawiać, dlaczego Michael był skłonny spalić źródło informacji.

– Dziwne, że tak po prostu mi to powiedział.

– To nie było „tak po prostu”, Belladona. Pozwoliłaś mu dokładnie sprawdzić swoją aurę. Co, nawiasem mówiąc, uważam za bardzo złe posunięcie.

– Z jego powodu obiecał mi możliwość sprawdzenia... kolejnej ofiary, jeżeli taka się pojawi. Ma poinformować nas natychmiast. Nie po godzinie czy dwóch. Sądysz, że dotrzyma słowa?

– Prawdopodobnie tak – przyznał Blythe, choć skrzywił się przy tym, jakby przyznanie tego nie było mu w smak. – Musi mocno czuć na karku oddech Jacoba Reda.

Jagoda miała nieodparte wrażenie, że wszyscy czuli go mocniej niż wcześniej. Caleb wyczerpał już wszystkie możliwości, a plany, jakie snuł przez ostatnie lata, spaliły na panewce, gdy nie zdołał związać ducha dawnego mistrza. Być może w Scotland Yardzie także zrozumieli, że co roku giną kolejne osoby, a oni nie tylko nie są ani trochę bliżej rozwiązania sprawy, lecz utknęli w ślepym zaułku.

Informacja o sygnecie i o kimś, kto częściowo usuwał ślady magii, mogła być przełomem, ale na razie nie udało się jej wykorzystać.

– Znaleźliście coś?

– Kilka luźnych tropów, ale nic naprawdę godnego uwagi.

– Powinieneś o nich powiedzieć Thomasowi – mruknęła, podnosząc się. – Zależy mu na zdjęciu tej kłątwy.

Czasem miała wrażenie, że bardziej niż Calebowi i Michaelowi. Owszem, Thomas chciał poznać wszystkie szczegóły sprawy Daniela i prawdopodobnie ukarać Blythe'a za ukrywanie przestępcy. Ale kłątwe traktował jak bezwzględny priorytet.

– Mógłbym się go pozbyć.

– Thomasa?! – Jagoda, która już zrobiła krok ku drzwiom, obejrzała się na Caleba.

Nie zdołała zapanować nad twarzą. Blythe patrzył na nią i było to spojrzenie Ucznia Czarnoksiężnika: chłodne, niewiele wyrażające.

– Nie. Zbigniewa Potockiego – sprostował, a Jagoda nie była pewna, czy czuje teraz ulgę, czy wręcz przeciwnie. Serce gwałtownie jej przyspieszyło, dłonie schowała do kieszeni, by nie pozwolić im się zamknąć w pięści. – Wiesz, że on nie zostawi cię w spokoju, prawda? Rozwazałem sprawę już kilka miesięcy temu, ale wtedy... było za wcześnie. Uznano by to za zbyt podejrzane.

Caleb Blythe właśnie oferował, że popełni dla niej morderstwo. Nie wątpiła, że mówi poważnie. Chyba zawsze w głębi ducha wiedziała, że Blythe jest do tego zdolny. Ale nigdy nie sądziła, że po prostu pewnego dnia wyjdzie z taką ofertą.

– Dlaczego mi to mówisz?

– Bo gdybym zwyczajnie go usunął, mogłabyś się wściec – wyjaśnił tym samym konwersacyjnym tonem co wcześniej. Jakby rozprawiał o pogodzie. – Szokuje cię, że pomyślałem o pozbyciu się go?

– Nie. Ale nie musisz tego robić.

– Obserwowałem poczynania Potockiego w ostatnich miesiącach. Bardzo stara się zaszkodzić WilCom, kancelarii twojej siostry oraz wyraźnie szuka sposobu na ciebie. Ten człowiek oddał demonowi własnego wnuka. Pewnego dnia cię dopadnie, Jaga.

Obróciła się do niego tyłem, dłoń położyła na klamce. Gdy zacisnęła na moment powieki, widziała oczy Adriana, trzy różne obrazy. Ciepłe, nieśmiałe spojrzenie chłopaka, który pracował w WMM. Białka i tęczyówki tak ciemne, że nieodróżnialne od źrenic.

Oczy nieruchome, martwe, zapatrzone w pustkę.

– Nie musisz, Caleb – powiedziała powoli, z trudem wypowiadając kolejne słowa.

Były różne klątwy. Niektóre wymagały naprawdę dużej mocy, specjalnych warunków, określonych składników. A ona miała to wszystko.

Dość, by utkać klątwę. Może nie taką, jakiej chciała babka, ale wcale nie mniej paskudną. Wypowiedziała słowa pewnego zimowego dnia, gdy dowiedziała się, że Zbigniew Potocki wykupił biuro, w którym znajdowała się kancelaria prawnicza jej siostry. A te słowa, wola i moc zamieniły się w magię i oplotły czarodzieja niewidzialną nicią. W Warszawie zaś nie było nikogo, kto mógłby zrozumieć, co dolega Zbigniewowi Potockiemu. Może przyjdzie dzień, gdy będzie potrafiła to Sonia, potrzebowała jednak jeszcze paru lat praktyki.

– Na Potockim ciąży klątwa, która wyżera jego magię – uzupełniła.

Krzesło zaskrzypiało, gdy wstawał, ale choć do niej podszedł, nie obróciła się, by na niego spojrzeć.

Była w tej klątwie hipokryzja, do której Jagoda musiała przyznać się sama przed sobą. Nie rzuciła morderczego przekleństwa, a jedynie – a może aż, bo przecież jego utkanie było trudniejsze – takie, które miało odciąć go od magii.

Jednak przy wyborze przekleństwa wiedźmą wcale nie kierowała litość. Potocki miał bowiem ponad dziewięćdziesiąt lat i jego zdrowie, zarówno umysłowe, jak i fizyczne, w dużej mierze zależało od magii.

Może nie zrobiłaby tego, gdyby Caleb Blythe nie poprowadził jej tamtego wieczora do podziemi, gdyby Adrian nie umarł rażony jej zaklęciem, gdyby nie obserwowała, jak światło gaśnie w jego oczach. Ale w ostatecznym rozrachunku decyzja zawsze należała do niej.

– Mówiłam. Wcale nie musisz przeciągać mnie na ciemną stronę mocy. Jestem tam już od jakiegoś czasu.



ROZDZIAŁ ÓSMY

BŁYSK CZERWIENI

W Rainharbour został jedynie Benett.

Cała reszta dzień przed datą kolejnej śmierci przeniosła się do Donlonu. Jagoda nie była pewna, czy to paranoja, czy uzasadnione środki ostrożności, ale opuścili dom w dwóch grupach, skrytych pod osłoną czarów. Jedna przesiadła się w auto już poza granicami enklawy, druga zaś skorzystała z portalu ustawionego wspólnie przez Eleanore, Caleba i Evana. Przenieśli się na skraj Donlonu, a stamtąd ruszyli piechotą przez park, który prawdopodobnie – Jagoda nie była pewna – stanowił odbicie parku Świętego Jakuba. Albo było to odbicie niedokładne i bardziej mroczne, albo wiedźmę ponosiła wyobraźnia, bo w ciemnościach drzewa zdawały się przybierać fantastyczne kształty i ruszać gałęziami mimo braku wiatru. Na jednej z ławek majaczyła ledwo widoczna sylwetka otoczona przez kruki i na jej widok Caleb pociągnął ich w sąsiednią alejkę. Jagoda mogłaby przysiąc, że posąg którejś z brytyjskich królowych poruszył się, gdy przechodzili obok, i za nimi patrzył. Opuścili park, przecięli plac, na którym szumiały fontanny, bez wątpienia magiczne, a gdzieś we mgle Jagodzie mignęło coś, co wyglądało jej na wielkiego, czarnego lwa przechadzającego się pomiędzy budynkami.

Cuda i strachy Donlonu, które sprawiały, że serce co rusz podchodziło wiedźmie do gardła.

Odetchnęła z ulgą, gdy dotarli do celu. Jak się okazało, mieli spędzić tę noc i co najmniej kolejny dzień w mieszkaniu na poddaszu, od dawna nieużywanym. Pełnym kurzu i pozbawionym prądu, więc Eleanore, Maya i Caleb wyczarowali magiczne światła, by nie siedzieli w mroku. Były tu tylko trzy pokoje, za mało jak na tak liczną grupę, ale tej nocy i tak nikt nie zamierzał odpoczywać. Pracownicy Blythe'a kręcili się w pobliżu Scotland Yardu i potencjalnych ofiar, wypatrując sygnetu lub oznak działania klątwy, by jak najszybciej ich zaalarmować. Oni mieli pozostać tutaj, wszyscy razem: najwyraźniej Blythe nie chciał ryzykować, że ktoś z jego wewnętrznego kręgu padnie ofiarą klątwy.

A raczej: wszyscy poza samym Calebem. Gdy Eleanore, Erin i Maya usadowiły się w największym pomieszczeniu na starej kanapie, Jagoda na jeszcze starszym fotelu, a mężczyźni na podłodze, okazało się, że Blythe'a z nimi nie ma. Wymknął się, kiedy reszta rozglądała się po mieszkaniu. Wiedźma nie zdążyła spytać, gdzie się podział: wyręczyła ją Maya.

– Chciał coś sprawdzić – wymamrotał Marek.

Uszy i policzki mu się zaczerwieniły. Wzrok wbił w podłogę, bo natychmiast skupiły się na nim wszystkie spojrzenia.

– Sam? – spytała Eleanore, a w jej głosie pobrzmiwała chęć mordy. – Czy przypadkiem nie on właśnie wygłosił mi wykład pod tytułem „żadnej samowolki, nikt nie działa sam, życie prawdopodobnie tylko dlatego, że dotąd nie było okazji was dopaść, nie możemy pozwolić, aby powtórzyła się sytuacja z Camem”?

Jagoda mogła się domyślać, kim był Cam. Camille Durand znajdował się na liście ofiar z trzeciego roku. Chociaż w dokumentach nie wspomniano o jego powiązaniu z tymi ludźmi, najwyraźniej również z jego powodu Caleb ją tu ściągnął. Z jego przyczyny Blythe nalegał na to, aby wszyscy jego pracownicy, którzy mogli dopaść Jacobowi, trzymali się blisko jedynej osoby zdolnej wykryć i zdjąć klątwę.

– Dlaczego w ogóle mu na to pozwoliłeś?! – zawtórowała jej Maya i poderwała się z kanapy. – Gdzie on jest?!

– Spokojnie. Cale wie, jak pozostać niezauważonym, i na pewno wykryłby klątwę... – zaczął Evan.

Umilkł, kiedy Eleanore cisnęła w niego ozdobną poduszką. Odruchowo zrobił unik, dzięki czemu miękki, ale zakurzony pocisk nie trafił go w głowę.

– Obaj wiedzieliście? – spytała Erin, zwodniczo łagodnym tonem.

Evan, choć przerastał Erin o dobre trzydzieści centymetrów, nagle jakby zapadł się w sobie.

– Ja do teraz nie miałem pojęcia – zapewnił szybko.

– Marek? Gdzie. Jest. Caleb – warknęła Eleanore.

Skupiła wzrok na Marku. Spojrzenie jej jasnych oczu było tak intensywne, że Jagodę nawiedziło mimowolne skojarzenie z babką.

– Nie jestem pewien – jęknął zapytany. – Zejdźcie ze mnie. Jak niby miałem go powstrzymać? Prawdopodobnie albo obserwuje Scotland Yard, albo kręci się w pobliżu kogoś, kogo typuje na kolejną ofiarę i...

– Musimy go znaleźć – przerwała mu Maya. – Eleanore, rzucisz zaklęcie lokalizujące?

– Mogę spróbować, ale ten drań na pewno się maskuje – mruknęła Donnelly.

– W takim razie powinniśmy go poszukać – zarządziła Maya.

Erin poruszyła się jednak niespokojnie na kanapie.

– Czy przypadkiem wtedy się pięknie nie wystawimy? – spytała z nietypową dla siebie nieśmiałością.
– Nie patrz tak na mnie, May. Jeżeli Caleb nie chce, żebyśmy go znaleźli, to musielibyśmy się rozdzielić i to nam zajmie pół nocy. Nie wiemy, kto i w jaki sposób rzuca tę klątwę, więc...

– ...więc pójde sama, skoro ty się boisz.

– Nigdzie nie pójdziesz – powiedział Evan, a choć przed chwilą unikał ciskanych poduszek i sprawiał wrażenie karconego psiaka, teraz mówił stanowczym tonem. – Jeżeli trzeba będzie, to cię tu unieruchomię, ale nie wyjdiesz przez te drzwi.

Mierzyli się przez chwilę spojrzeniami i Jagoda, która przysłuchiwała się im w milczeniu, była prawie pewna, że za moment w powietrzu zabłysną czary. Maya jednak ustąpiła. Z wściekłą miną opadła z powrotem na kanapę.

– Spróbuję z tym zaklęciem – wymamrotała Eleanore i się podniosła. Przykłękała przy swojej torbie i grzebała w niej przez chwilę, by w końcu wyciągnąć mapę oraz kryształ. – Lepiej, żebyśmy wiedzieli, gdzie on jest... Tak na wszelki wypadek.

*

Czy maskowanie Caleba okazało się silniejsze niż czar Eleanore, czy zawinił brak odpowiednich komponentów – żadne z kilku zaklęć lokalizujących nie pokazało dokładnego położenia Blythe'a. Kryształ wskazywał ogólny obszar. Eleanore przy każdej próbie, powtarzanej co kilkadziesiąt minut, mruzczała coś pod nosem, a zdenerwowana Maya krążyła po pomieszczeniu lub zerknęła na telefon. Marek i Evan dla odmiany zdawali się spokojni: albo dobrze maskowali emocje, albo niezachwianie wierzyli, że Calebowi nic nie będzie.

Ewentualnie, co Jagoda też brała pod uwagę, niezbyt ich to obchodziło. Przypuszczała, że się przyjaźnią, ale tak naprawdę niewiele wiedziała o relacjach w tej grupie.

Sama nie sądziła, że Caleb padnie ofiarą klątwy. Nie bez powodu nie usunięto go wcześniej: nie była jeszcze całkiem pewna, jaki to powód, lecz podejrzewała, że pozostawał w mocy. Mimo to nie mogła oprzeć się uczuciu niepokoju. Nie tyle z powodu przekleństwa Jacoba Reda, ile tego, że Blythe znikł, najwyraźniej uprzedziwszy o tym tylko Marka.

A w takim razie jej zdaniem Uczeń Czarnoksiężnika planował coś, przed czym próbowaliby go powstrzymać.

Godziny zdawały się wlec nieznośnie powoli. Nikt za wiele nie mówił, Erin w pewnym momencie zasnęła na kanapie. Nie było żadnych wezwań: ani od Caleba, ani ze Scotland Yardu. Trzykrotnie do Marka przyszły wiadomości i za każdym razem Maya podrywała głowę na dźwięk SMS-a, ale to tylko pracownicy Madainn ur meldowali brak postępów. Ranek przyniósł ze sobą deszcz – krople uderzały o dachowe okna, małe i brudne, przepuszczające niewiele światła – i absolutny brak wieści. A Jagoda zaczynała mieć wrażenie, że jeszcze trochę i oszaleje. Napięcie wisiało w powietrzu, narastało, aż w końcu koło południa Maya i Eleanore wyszły do sąsiedniego pomieszczenia. Marek i Evan wymienili między sobą spojrzenia i przez moment rozmawiali przyciszonymi głosami: Jagoda nie dosłyszała wiele z ich dialogu, lecz najwyraźniej podejrzewali, że kobiety coś knują.

Prawie miała nadzieję, że tak jest. Albo że telefon się rozdzwoni i zostanie wezwana na miejsce zbrodni. Cokolwiek, co przerwie beczynne wyczekiwanie, które doprowadzało ją powoli do szaleństwa. Było w tym coś strasznego – wyczekiwała na informację o czyjejs śmierci... Ale wiedziała, że ktoś i tak umrze przed północą, i wolała, by stało się to szybciej niż później. Chciała odpowiedzi oraz wyrwania się z tego ponurego, zakurzonego strychu i z towarzystwa, od którego oddzielała ją niewidzialna bariera.

W końcu Eleanore i Maya wróciły i ponownie rozłożyły na podłodze mapę. Marek i Evan znów spojrzeli po sobie, jakby jeden drugiego milcząco nakłaniał do reakcji. Obaj musieli przewidywać to samo, co Jagoda: tym razem kobiety zamierzały wyjść i sprawdzić obszar wskazywany przez kryształ. W końcu Marek wstał niechętnie i do nich podszedł. Nim jednak zdążył się odezwać i prawdopodobnie rozpętać piekielną awanturę, jego telefon zasygnalizował przyjście SMS-a.

– To od Caleba – poinformował z ulgą. – Píše, że...

Maya poderwała się i wyrwała mu smartfona z ręki. Mężczyzna przypatrywał się jej z dziwną miną, nim w końcu westchnął i podjął dalej:

– ...że na razie nic się nie dzieje, a Thomas Doherty zadzwonił do niego z prośbą, by przyjechał do głównej kwatery Scotland Yardu. Mamy na niego czekać. Wróci wieczorem.

– W sam raz na swój pogrzeb – oświadczyła Eleanore, składając mapę. Minę miała zaciętą.

Maya za to opadła z powrotem na podłogę, jakby ulga odebrała jej wszystkie siły.

– Lepiej, żeby miał dobrą wymówkę, dlaczego nic nie powiedział – mruknęła Erin, zwinięta w kłębek w rogu kanapy. – Bo faktycznie pozwolę Ellie wyprawić mu pogrzeb. Nawet przygotuję kwiatki do wieńca. Takiego ładnego, ze wstęgą z napisem „Umarłem, bo byłem kretynek”.

– Na pewno ma swoje powody... – zaczął Evan i natychmiast umilkł, zmierzony trzema morderczymi spojrzzeniami swoich koleżanek.

Jagoda milczała. Za słabo ich znała, by wtrącać się w dyskusje, jakie między sobą toczyli. Poza tym, podczas gdy ich wiadomość od Caleba uspokoiła, na nią podziałała dokładnie odwrotnie.

Blythe nie chciał przecież, aby Scotland Yard wiedział, że jest w Donlonie. Dlaczego go wezwano? Dlaczego zgodził się tam pojechać? Nie pozwolił jej czekać w siedzibie Scotland Yardu i sprawdzać zgromadzonych tam osób, które uważano za najbardziej prawdopodobne ofiary. I czy będąc tak blisko kogoś, kto albo sam uaktywniał kłótnię, albo przynajmniej maskował jej ślady, nie narażał się na zbyt duże niebezpieczeństwo? Tak, skoro Elijah zorientował się, że go przeklęto, Caleb też powinien wyczuć kłótnię...

...ale co, jeżeli już nie zdoła jej zdjąć? Jeżeli wykryje czar zbyt późno?

Odpaliła w końcu MAGnet i zaczęła przeglądać artykuły o śmierci Iana oraz spekulacje, kto będzie następny. Angielskie periodyki prześcigały się w hipotezach i większość wskazywała na połączenie z tajemniczymi seriami zgonów przed lat – a kilka z Jacobem Redem. Najwyraźniej po kolejnej śmierci nie było już mowy o zachowaniu sprawy w tajemnicy. Następne godziny upłynęły jej na przeglądaniu stron, przerwanych dwukrotnym sprawdzeniem aury zgromadzonych – tak na wszelki wypadek. Wreszcie, gdy niebo już pociemniało, a w mieszkaniu znów rozbłysły magiczne światła, zmogło ją zmęczenie.

Sniła o tym, że próbuje kogoś lub coś znaleźć, ale sama zgubiła się w mgłach Donlonu.

Obudziły ją głosy. Wyprostowała się gwałtownie, odruchowo zerkając na zegarek: dochodziła już dwudziesta druga. Ktoś zginął, pomyślała z paniką i poderwała się z miejsca. Wszyscy tłoczyli się przy wejściu wokół Caleba Blythe'a i zarzucali go pytaniami.

– ...żadnych śladów kłótni – dobiegło do jej uszu, gdy się zbliżyła. – Nie, nic nie znalazłem.

– Gdzieś ty w ogóle był? – syknęła Eleanore.

– I dlaczego nic mi nie powiedziałeś? – zawtórowała jej Maya.

Blythe zacisnął na moment szczękę, wyraźnie hamując złość. Jego mina sprawiła, że Jagoda nie zadała swoich pytań. Zwłaszcza że, najwyraźniej, wciąż nikt nie zginął. Być może ktoś usypiał ich czujność, siedem dni temu mordując niemal od razu, a teraz czekając do ostatniej chwili...

– Używałem pewnych zaklęć, które niestety nic nie dały i przy których rzucaniu powinienem być sam.

– Przy Tower? Big Benie? Pałacu Buckingham? – dopytywała Eleanore. Evan i Maya spojrzeli na nią ze zdziwieniem, a czarodziejka wruszyła ramionami. – Kryształ nie pokazywał dokładnego miejsca, ale pod koniec zauważyłam wzór. Centrum zawsze był jakiś ważny budynek.

– I ty też nic nie powiedziałaś!!! – wściekła się Maya.

– Coś ty tam robił? – spytał Evan, choć Maya już otwierała usta. – W dodatku sam? Tower w Donlonie? Na Nimue, Cale, to miejsce jest nawiedzone.

– I mieszka tam Kruczarka, która jest kompletnie szalona – dorzuciła Erin z irytacją. – Ale co tam Tower! Big Ben! Tam szalona jest sama magia!

Jagoda przysłuchiwała się temu, lecz gdy wymiana zdań zamieniła się w kłótnię, z której w dodatku niewiele rozumiała, na powrót wycofała się na fotel. Wyciągnęła komórkę i szybko wyszukała w MAGnecie informacje o Donlonie, a konkretnie o Tower, Big Benie i Buckingham.

Ten pierwszy faktycznie okazał się „nawiedzony” przez „echa”, ludzi, którzy oczekiwali tam na egzekucję w Londynie, a także „cienie” czarodziei zmarłych tam w Donlonie – najwyraźniej kiedyś i tutaj Tower służyło za więzienie... Ten drugi stanowił „serce Donlonu”, centrum tutejszej magii, jeden z punktów, wokół którego prawdopodobnie stworzono enklawę. (I, sądząc po tym, co Jagoda usłyszała do tej pory, mogło dziać się tak po części dlatego, że Big Ben dla ludzi na całym świecie stanowił symbol miasta...). O ile zbliżanie się do Tower było „niezalecane” i „mogło negatywnie odbić się na psychice”, o tyle podchodzenie do Big Bena pozostawało „całkowicie zakazane i śmiertelnie niebezpieczne”, a zegar otaczały zaklęcia, które miały bronić terenu przed osobami postronnymi.

Pałac Buckingham wreszcie stanowił siedzibę Izby Magii i księcia Yorku – w magicznej Wielkiej

Brytanii władzę centralną dzieliła między siebie Izba oraz rodzina książęca, a poszczególne regiony kraju dysponowały pewną autonomią.

Jagoda nie była już zaskoczona, że Caleb nikomu nic nie powiedział. Rzucanie jakichkolwiek zaklęć w tych miejscach gwarantowało katastrofę. Zwłaszcza że, jak wynikało z dyskusji, wybierał punkty, w których koncentrowała się magia Donlonu, w nadziei na to, że gdy ku niej sięgnie, zdoła namierzyć aurę klątwy. Nic dziwnego, że nic nie osiągnął: należało się raczej dziwić, że wyszedł z tego żywy.

Blythe czasem przeceniał swoje siły.

– Co teraz? – spytał w końcu Marek, gdy ucichły kłótnia i wszelkie wyjaśnienia.

Maya, obrażona, powędrowała do sąsiedniego pomieszczenia i z trzaskiem zamknęła za sobą drzwi. Eleanore darowała sobie takie gesty, choć wyraźnie wydawała się niezadowolona. Evan, do tej pory trzymający stronę Caleba, chyba tym razem się z nią zgadzał, bo usiadł obok, jakby w milczącym pokazie solidarności. Tylko Erin ulżyło na tyle, by po wygłoszeniu paru inwektyw pod adresem Caleba machnąć ręką na dalsze dąsy. Z przenośnej lodówki, którą przetransportowała tu nocą, wyciągnęła szynkę, ser i pomidory, z torby chleb i zabrała się do szykowania kolacji. Jak gdyby nigdy nic.

Może słusznie. Dopiero zapach jedzenia przypomniał Jagodzie, że właściwie zjadła tylko batonika kilka godzin temu.

– Nic – mruknął Caleb. Stał przez chwilę niezdecydowany, gdzie usiąść, ale po chwili podszedł do fotela zajętego przez Jagodę, opadł na ziemię i oparł się plecami o jego bok. Cokolwiek robił, musiało go zmęczyć, bo twarz miał bladą, a oczy podkrążone. Patrzyła na niego w milczeniu, ale nie odważyła się wykonać żadnego gestu: nie, gdy czuła na sobie baczne spojrzenie Marka. – Już nic więcej nie możemy zrobić. Czekamy.

*

Przysypiali na zmiany, a po przebudzeniu brali od Erin eliksir, który natychmiast odganiał senność i zmęczenie. Minęła dziesiąta, jedenasta, a wreszcie zegarki wskazały północ. I nie działało się nic: żadnej informacji o kolejnej ofierze, ani ze Scotland Yardu, ani od pracowników Madainn ũr. Upływały kolejne godziny, w końcu niebo nad Donlonem zabarwiło się błękitem i Jagoda zaczęła podejrzewać, że Michael Thunderbird ją oszukał i celowo ukrywał kolejną śmierć.

Bała się pozwolić sobie na nadzieję, że może tym razem podjęte środki wystarczą. I że jeżeli choć raz porządek wpisany w klątwę został zachwiany, ta straci swoją moc.

– Nie ma sensu dalej tu siedzieć – powiedział Caleb koło ósmej rano. Wyraz twarzy miał ponury. Jeden rzut oka na jego minę wystarczył, aby Jagoda się domyśliła, że Blythe myślał podobnie jak ona. Nie było szans na to, by nikt nie zginął. Po prostu tym razem albo Michael ich nie powiadomił, albo nikt jeszcze nie natknął się na ciało. – Po tylu godzinach nie znajdziemy więcej niż dotychczas. Zbieramy się.

Znów podzielili się na dwie grupy, choć tym razem obie jechały samochodami: drugie auto ktoś podstawił nocą. Marek, Maya, Caleb i Jagoda wsiedli do jednego wozu i niecałe dwie godziny później dotarli do Rainharbour. Przez większość drogi wszyscy milczeli.

Rozeszli się tuż za progiem domu sióstr Donnelly. Marek znikł w kuchni, Caleb cofnął się na taras, gdy zadzwonił jego telefon, Maya skręciła w korytarz na parterze. Jagoda zamierzała iść na górę, do przydzielonego jej pokoju, ale zdążyła pokonać tylko połowę schodów. Krzyk Mayi sprawił, że zawróciła i pędem pognęła w stronę biblioteki. Marek deptał jej po piętach.

Było już jasno, ale w bibliotece wciąż płonęło światło. A choć Maya, pochylająca się nad biurkiem, zasłaniała widok, Jagoda wiedziała, co zobaczy. Aura znajomej klątwy, chociaż niezbyt silna, była wyczuwalna już na progu.

– Nie oddycha!!! Nie oddycha!!! – krzyczała Maya.

Lane Bennett prawdopodobnie wcześniej opadł twarzą na biurko, bo kubek był przewrócony, a kawa zalała i blat, i jego policzek. Czarodziejka odchyliła go jednak z powrotem na krzesło i lekko nim potrząsała. Marek dopadł Lane'a, odpychając Jagodę, by sprawdzić mu puls. Maya zaczęła szeptać jakieś zaklęcie: za późno, o wiele za późno...

– Nie czaruj! – wrzasnęła Jagoda.

Rzuciła się ku Mayi. Pociągnęła ją w tył, a chociaż w pierwszej chwili Wilczek zaskoczyła czarodziejkę, ta zaraz zaczęła wyrwać się z krzykiem, który przemienił się w wycie. Caleb stanął w wejściu akurat w chwili, gdy obie kobiety padły na podłogę. Jagoda puściła wreszcie Mayę, gdy Blythe w dwóch

susach dopadł Benetta.

– Grobowa pieśń! – krzyknęła do Caleba, w ostatniej chwili osłaniając się przed ciosem Mayi, która najwyraźniej ani myślała darować jej tej napaści. – Możemy wyciągnąć moment rzucenia klątwy!!!

Może nie była to stosowna pierwsza myśl w momencie, w którym znajdowali ciało kogoś bliskiego tym ludziom. Jednocześnie jednak mieli tylko tę jedną szansę, bo do Jagody nagle w pełni dotarło, że inaczej nigdy nie złamią przekleństwa. Albo Jacob Red naprawdę przekroczył wszelkie granice magii, albo ktoś z jego pomagierów skądś wiedział, że tego dnia dom będzie pusty, i na dodatek przełamał wszelkie zabezpieczenia tak, że nawet nie odkryli tego po powrocie...

Każde dotknięcie ciała, każde rzucone przy nim zaklęcie zmniejszało szanse powodzenia.

– Marek, wychodzimy! – zawołał Caleb.

Natychmiast zrozumiał, o czym myślała Jagoda. Gwałtownie odskoczył od biurka i dopadł Mayi. Podniósł ją i nie zważając na jej krzyki i szamotanie, wyniósł z biblioteki. Jagoda wstała, tylko po to, by potknąć się o stosik książek na podłodze, i w rezultacie niemal wypaść na korytarz. W ostatniej chwili złapała się futryny. Blythe odstawił Mayę na podłogę. Najpierw biła go po ramionach i klatce piersiowej, ale po chwili po prostu się rozplakała i pozwoliła, by ją objął.

– Powiedz reszcie – powiedział Blythe cicho, spoglądając ponad głową czarodziejki na Marka, bo z zewnątrz dobiegł odgłos silnika. Marek, blady, jakby cała krew odpłynęła mu z twarzy, odwrócił się i odszedł bez słowa.

– Spróbuję sprawdzić aurę – mruknęła Jagoda.

Wróciła do biblioteki. Zamierzała działać ostrożnie, by zostawić tu jak najmniej śladów własnej mocy, która mogłaby zakłócić odczyt. Minęło wiele godzin, ale tego ciała prawdopodobnie nikt nie wyczyścił: mogła wychwycić coś więcej.

A nawet jeżeli nie, miała dziwne wrażenie, że powinna odgrodzić się teraz od reszty grubymi drzwiami. To ich żałoba i w tej chwili wiedźma była intruzem.

Usiadła na podłodze, pośród hałd książek. Lepsze rezultaty osiągnęłaby, gdyby wzięła Lane'a za rękę, ale bała się, że wtedy na ciele osiadzie jej magia. Poza tym... nie mogła się zmusić, by podejść bliżej. Może nie przyjaźniła się z Benettem, ale mieszkali pod jednym dachem i jeszcze wczoraj z nim rozmawiała.

Teraz był martwy.

Za siedem dni jego los mogła podzielić kolejna z osób, które tu poznała.

Aura Benetta znikła. Pozostały po niej tylko ślady. Echa magii, zaklęć, jakich niedawno używał i jakie na niego rzucono. Resztki klątwy, która jednak w ostatnich godzinach albo uleciała, albo została wyczyszczona... ale nie, to drugie nie było możliwe. Zabójca musiałby wejść tu, rzucić klątwę, czekać, aż zadziała, a potem ją wymazać...

Jagoda odpuściła po kilkunastu minutach. Nie znalazła nic ponad to, co zobaczyła ostatnim razem. Miała zamiar przekraść się na górę i dać reszcie jeszcze parę chwil – gdy jednak otworzyła drzwi, zobaczyła Caleba. Blythe opierał się o ścianę po drugiej stronie korytarza. Twarz miał bez wyrazu.

– Potrzebujemy trzeciej osoby znającej magię klątw – powiedział bez wstępów.

Jej pomysł oznaczał duże ryzyko, lecz najwyraźniej Blythe był dostatecznie zdeterminowany, aby je podjąć.

– Masz kogoś takiego?

– Dwóch pracowników Madainn ũr. Żadnemu nie ufam całkowicie, żaden nie jest... światowej klasy specjalistą, ale ich milczenie można kupić.

– Brown? – spytała z wahaniem, bo wcale nie była przekonana do tej kandydatury.

Jeanette niemal na pewno przekaze wszystko Doherty'emu. Pytanie brzmiało, czy zrobi to, zanim rzuca zaklęcie, czy już po wszystkim.

A chociaż grobowe pieśni same w sobie nie były nielegalne, to zamienienie ciała ofiary w proch i owszem. Być może przeciętny klątwofil, którego milczenie dało się kupić, stanowił lepszy wybór.

– Zadzwoń do niej. Jadą tutaj z Thomasem.

Jagoda pomyślała, że chyba nigdy nie pojmie relacji, jaka łączyła go z Dohertym i Brown. Zdawało się jej, że to stosunki między nią a Olchą są skomplikowaną mieszanką skrajnie różnych odczuć, takich jak sympatia, wrogość, brak zaufania w jednych sprawach, zaufanie w innych i pewna pokątna forma lojalności. Ta trójka biła ich jednak na głowę.

- W porządku.
- Żadnych uwag na ten temat?
- Znasz ich lepiej, Caleb. Ty decydujesz. W najgorszym razie nas aresztują.

Wzruszyła ramionami, jakby ta opcja była jej obojętna, choć w istocie nie miała najmniejszej ochoty trafić za kratki. A chociaż chętnie zadałaby parę pytań o Thomasa i Jeanette, zaczęła podejrzewać, że Blythe sam nie potrafiłby na nie odpowiedzieć. Może nawet on nie był pewny, co łączyło go z tą dwójką.

– W najgorszym razie uciekniemy przed aresztowaniem – sprostował. Posłał jej przy tym uśmiech, pozbawiony jednak prawdziwej wesołości. I wiedziała już, że nie żartował. Nie była pewna, jak się z tym czuć: najwyraźniej istniała całkiem spora szansa, że za kilka godzin będzie ukrywającą się przestępczynią, poszukiwaną przez angielską magiczną policję. – Pytam... bo swojego czasu wspominałaś coś o niepakowaniu się w wielką, czarnoksięską aferę, nieużywaniu czarnej magii i unikaniu aresztowania z mojego powodu.

– Już wpakowałam się w wielką, czarnoksięską aferę. I tym razem nie było żadnych warunków, pamiętasz? „Wszystko, co w mojej mocy”.

Caleb nie odpowiadał. Przypatrywał się jej tylko uważnie, a cokolwiek chodziło mu po głowie, twarz w żaden sposób nie zdradzała ani jego myśli, ani emocji. Czuła się na tyle nieswojo pod tym wzrokiem, że miała ochotę uciec spojrzeniem.

– Blythe?

– Zrobiłaś wystarczająco wiele – powiedział w końcu suchym tonem. – Zwalniam cię z obietnicy.

Magiczny impuls przebiegł w powietrzu, a potem łącząca ich niewidzialna nić, której Jagoda do tej pory nawet nie wyczuwała – bo ani razu nie zbliżyła się do naruszenia warunków kontraktu – pękła.

– Dlaczego? – spytała wiedźma skonfundowana. – Nie chcesz rzucić grobowej pieśni?

Na litość Twardowskiego, Caleb ściągnął nawet Jeanette Brown, żeby się udało!

Pokręcił głową, raczej w irytacji niż zaprzeczeniu, a wcześniejsza obojętna mina, ustąpiła wyrazowi twarzy pełnemu zniecierpliwienia.

– Chcę. Ale nawet ja nie przewidziałem, że wszystko posunie się tak daleko. W końcu dasz się głupio zabić albo aresztować z powodu tej obietnicy. Błąd nowicjusza, Belladona. Nigdy nie wchodzi w taki układ bez postawienia warunków.

Miał cholerną rację. Stawiała je za pierwszym razem. Za drugim nie myślała jasno, zbyt zmęczona, przestraszona i przygnębiona, aby się targować. Sama nie była pewna, jak daleko sięgała ta przysięga: do czego mogłaby zmusić ją magia, gdyby Jagoda zapragnęła się wycofać.

Być może Caleb też nie był tego pewny. I dlatego po raz drugi już zwalniał ją z danego słowa, gdy wszystko stawało się zbyt niebezpieczne.

– Dziękuję – powiedziała krótko. – Wiesz, że i tak się nie wycofam, prawda?

Zrobiłaby to wcześniej. Gdyby od początku chodziło tylko o zlecenie, a nie o obietnicę potwierdzoną magią, bo wszystko naprawdę posunęło się o wiele za daleko. To już nie było tylko trudne zadanie. Jego wykonanie wymagało sięgania po magię grożącą śmiercią i coraz częściej kolidowało z prawem. W tej chwili wplątała się jednak w sprawę za mocno, aby powiedzieć, że pasuje.

Jak to kiedyś określiła Liliana?

Jagoda czasem po prostu nie potrafiła się powstrzymać przed zrobieniem czegoś głupiego.

– Wiem. Przy Jeanette nie wspominaj jednak, że ciało zamieni się w proch ani że może mnie to zabić, dobrze?

Owszem, zawsze istniało pewne ryzyko. Zwłaszcza że tym razem ofiarę zabiła magia. Jagoda uważała jednak, że trochę przesadzał. Wspomnienie magii nie sięgało przecież ciała, doświadczał jej tylko umysł. Była właściwie pewna, że przestała oddychać na skutek użycia zbyt dużej ilości magicznej energii w krótkim czasie, nie zaś z powodu samej grobowej pieśni.

– To zaklęcie nikogo nie zabije, ale dobrze, będę cicho – obiecała, jednak zaraz na jej czole pojawiła się zmarszczka. – Ciebie? Caleb, czar powinniśmy skoncentrować na mnie.

Jedyną dziedziną, w której przerastała Blythe'a, były klątwy. Jeżeli ktoś miał szansę za pomocą tego zaklęcia poznać dokładnie wzór przekleństwa i znaleźć sposób na jego złamanie, to właśnie ona. Nie wspominając już o tym, że wiedziała, czego się spodziewać i co zrobić, aby osiągnąć sukces.

– Nie tym razem.

– Ale...

– Ostatnio ty rozdawałaś karty – przerwał jej Caleb. – Dziś gramy moją talią. Jeżeli ktoś ma zobaczyć, co się tutaj stało... to będę ja.

*

– Czyli chcecie, żeby pomogła wam rzucić nielegalne zaklęcie...

– Nie jest zakazane – wtrąciła Jagoda.

– Tylko dlatego, że nikt nie wierzy, że mogłoby się udać – odparła Jeanette i uśmiechnęła się zimno. – Ale to kolejna rzecz. Zaklęcie, które właściwie na pewno nie zadziała...

– Siedemdziesiąt procent szans. – Tym razem przerwał jej Caleb. – Rzuciliśmy je już w przeszłości.

Brwi Brown powędrowały w górę. Najwyraźniej zdołali ją zaskoczyć. Gdy jednak znów się odezwała, ton jej głosu się nie zmienił.

– I które, dodajmy, być może zniszczy dowody zbrodni.

Na pewno zniszczy dowody zbrodni, pomyślała Jagoda, ale wzruszyła tylko ramionami. Nie miała zamiaru powiedzieć niczego, co zniechęciłoby Jeanette do udziału w przedsięwzięciu.

– Do tej pory mieliśmy trzynaście ciał i ani magiczne analizy, ani sekcje, ani pomiary, nic nam nie dały – przypomniał Caleb. – Grobowe pieśni dają szansę powodzenia. Na pewno uda się zbadać klątwę w momencie działania. A być może też zobaczyć tego, kto ją rzucił.

– Dajcie mi chwilę. Muszę pomyśleć.

Siedzieli we troje w pokoju Blythe'a. Jeanette i Thomas pojawili się szybko: niespełna godzinę po rozmowie Jagody i Caleba. W tym czasie siostry Donnelly sprawdziły zabezpieczenia posiadłości i były pewne jednego: Lane sam wpuścił swojego zabójcę.

Blythe twierdził, że przekonać muszą Brown, nie Doherty'ego. Wiedźma jednak była niemal pewna, że Doherty natychmiast wezwie innych pracowników Scotland Yardu. O dziwo, nie zrobił tego. Zażądał dostępu do biblioteki, a potem możliwości przeczytania opisu rytuału, który zamierzali zastosować. Blythe wręczył mu księgę z kamienną twarzą. Informacji o tym, że ciało zamieni się w proch, nie zamieszczono tam wprost, a jeśli sądzić po tym, że Thomas zaklął na widok łacińskich zdań, zapewne i tak nie znał dobrze tego języka.

Sama Jeanette, która przejęła księgę później, gdy Doherty rozglądał się w bibliotece, najwyraźniej zrozumiała więcej.

– Zdołasz poznać nowe szczegóły? – spytała Brown po długiej chwili milczenia, którą wykorzystała na ponowne przeczytanie opisu rytuału.

Pytanie skierowała do Jagody, odpowiedzi udzielił jednak Caleb.

– Jestem prawie pewny, że tak.

– Ty? – Jeanette uniosła wzrok znad kart, a między jej brwiami pojawiła się zmarszczka. – Jeżeli dobrze rozumiem, to powinien być specjalista od magii, którą chce się przywołać. W tym przypadku klątw.

– Jestem całkiem niezłym klątwolamaczem – zapewnił Blythe.

– Czasem jesteś też równie zadufany w sobie jak twój mistrz – oświadczyła Brown bezlitośnie, a Caleb zmienił się na tę uwagę na twarzy. Kobieta zignorowała to i wskazała Jagodę jednym z wypielęgowanych paznokci. – Ona.

– Nie.

– Tak – powiedziała Jeanette tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Jeżeli mam wziąć w tym udział, robi to Jagoda. Po pierwsze, to jej specjalizacja. Po drugie, z niej prędzej wyciągnę wszystko, co zobaczy. Po trzecie, jeśli tak się upierasz, to prawdopodobnie niebezpieczne. A ciebie potrzebujemy bardziej, mój chłopcze.

– To nie jest aż tak niebezpieczne – wtrąciła Jagoda, nim Blythe zdążył się odezwać. Jeśli sądzić po jego minie, cokolwiek planował powiedzieć, nie miało to być nic miłego. – Ale zgadzam się, że...

– Już to ustaliliśmy – przerwał jej Caleb ostro.

– Zmieńcie ustalenia – stwierdziła Brown, zatraskując księgę. – Albo robimy to po mojemu, albo Thomas wzywa tu ekipę Scotland Yardu. To jak będzie?

*

...klątwa była podstępna. Równie podstępna jak jej twórca. Niewyczuwalna właściwie, gdy zagnieżdżała się w ciele, powoli wypijała siły.

To nic.

Tylko ból głowy.

Tylko trochę wyższe ciśnienie.

Tylko trochę szybsze bicie serca.

Tylko śmierć.

Klątwa naznaczona śmiercią.

Klątwa splątana z czymś innym. Z potężnym, czarnomagicznym zaklęciem...

– Przykro mi, że tak to się kończy, przyjacielu.

Jagoda – jest Jagodą i jest Lane'em jednocześnie, Lane'em, który osuwa się powoli na biurko, przewraca filiżankę, jest ofiarą klątwy, nie, inaczej, ofiara dla klątwy, bo ta klątwa wcale nie ma zabić, zabicie to tylko efekt uboczny... – zna ten głos. Na moment prawie zapomina o magii, którą stara się pochwycić, poznać, zrozumieć, bo to, co w niej wyczuwa, jest niemożliwością. Próbuje przypomnieć sobie...

Głowa uderza o blat. Wilgoć na policzku. Chłód powoli pochłaniający ciało. Nie czuje rąk. Nie czuje nóg. Obraz zamazuje się powoli...

...ale kątem oka widzi jeszcze ruch, błysk czerwieni sygnetu zawieszzonego na szyi i...

Ocknęła się na podłodze biblioteki. Caleb klęczał u jej boku, Jeanette zaś stała tuż obok i Jagoda pierwszy raz dostrzegła na twarzy Brown inne emocje niż irytacja albo zniecierpliwienie. Napięcie. Niepokój. Może nawet zmartwienie.

– W porządku? – upewnił się Blythe.

– Zobaczyłaś coś przydatnego? – spytała Jeanette w tej samej chwili.

Wzrok Brown co rusz uciekał ku biurku, gdzie po ciele pozostał tylko popiół. Nie wydawała się jednak zdziwiona. Albo spodziewała się takiego rezultatu, albo Jagoda była nieprzytomna na tyle długo, że Blythe zdążył wyjaśnić, co się stało.

Jagoda nie odpowiedziała od razu. Usiadła powoli, usiłując zebrać myśli. Znajomy chłód, który zawsze towarzyszył grobowym pieśniom, wypełniał jej ciało, a związane z nim zmęczenie przytępiło zmysły. Głowę miała dziwnie ciężką i nie myślała do końca jasno. Nawet emocje zdawały się słabsze, jakby były tylko swoim własnym cieniem.

– Jaga? – spytał Caleb, dotykając jej ramienia.

Zerknął na Jeanette, a potem posłał Jagodzie pytające spojrzenie, jakby chciał sprawdzić, czy to z powodu obecności Brown nic nie mówi. Pokręciła głową, chociaż tak naprawdę nie o to chodziło.

Milczała, bo była pewna, że żadne z nich jej nie uwierzy.

Sama sobie nie wierzyła.

Ale grobowe pieśni nie kłamały. Starożytna magia, jeżeli zadziałała, zawsze przynosiła tylko prawdę.

– W moich rzeczach... w moich rzeczach jest kula. Ta Reda – powiedziała w końcu. Wynalazek Jacoba był genialny w swojej prostocie, a jego prawdziwa wartość polegała na tym, że przelane do środka wspomnienie pozostawało absolutnie dokładne. Niemożliwe do zmodyfikowania i często zawierające szczegóły, które, wydawałoby się, uciekły już z pamięci posiadacza. – W bocznej kieszeni walizki. Łatwiej będzie wam pokazać, niż... wyjaśnić.

Caleb zawahał się, ale zaraz wstał i ruszył do drzwi. Jagoda pozbierała się powoli z podłogi i pod baczny spojrzeniem Brown przeniosła na kanapę. Nie czuła się tak fatalnie, jak wtedy, kiedy ostatni raz użyła tego zaklęcia, daleko jej jednak było do dobrego samopoczucia. Wspomnienie umierania wciąż pozostawało

zbyt wyraźne w jej pamięci.

– Rozumiem, że znalazłaś coś... przydatnego? – spytała Jeanette.

Wiedźma machinalnie skinęła głową. Przydatnego. Niemożliwego. Przeróżającego. Objęła się ramionami, bo chłód nie odpuszczał, wgrzył się głęboko w kości, ale emocje powoli wracały i myśl o tym, co zobaczyła, co teraz się stanie, co będzie dalej... stawała się nazbyt przytłaczająca.

– Skąd masz kulę Reda?

– Od Caleba.

– Dał ci ją? – zdziwiła się Brown. – Zdajesz sobie sprawę z tego, ile one są warte?

– Nie zbiednieje od tego – skwitowała krótko.

Wprawdzie nie zdawała sobie z tego sprawy wtedy, kiedy dostała ten prezent, ale jako właściciel Madainn ūr musiał mieć pieniądze. Nawet jeżeli firma nie była w połowie tak dochodowa jak za czasów Jacoba.

– Rozczarowujesz mnie, Jagodo.

Nie chciała wnikać w przyczynę. Bo przyjęła drogi podarunek i nie zamierzała się przejmować tym, ile był wart? Bo wzięła coś od Caleba?

– Jeanette?

– Tak?

– Zamknij się, proszę – rzuciła Jagoda brutalnie.

Zaskoczony Brown odebrało mowę. Zanim zdążyła wyjść z szoku, drzwi znów się otworzyły, a na progu stanęli Caleb i Thomas. Ten drugi podszedł do Jeanette, pochylił się ku niej i oboje zaczęli coś między sobą szeptać.

– Jesteś pewna, że dasz radę ją teraz napełnić? – spytał Blythe, podając Jagodzie szklaną kulkę.

Proces wymagał sporej ilości magii i skupienia. W normalnych okolicznościach nie porwałaby się na to natychmiast po użyciu grobowej pieśni.

Rzecz w tym, że to nie były normalne okoliczności.

Ujęła kulę w obie dłonie i zamknęła oczy. Skoncentrowała się na niedawnym wspomnieniu, a potem wraz z resztkami magii, które ostały się jeszcze w jej ciele, przelała do środka widziane obrazy i usłyszane słowa. Wraz z nimi Jagodę opuściły siły, a umysł zasnęła mgła. Kule Reda były cudownym wynalazkiem, umieszczenie w nich wspomnienia jednak zawsze osłabiało i utrudniało jasne myślenie. Nawet uniesienie ręki, by przekazać kulkę Jeanette, przyszło wiedźmie z trudem.

Brown zacisnęła palce i zanurkowała we wspomnienie. Zaledwie dwie minuty później wróciła do rzeczywistości: teraz patrzyła na swoją dłoń tak, jakby leżała na niej żmija. Nie odezwała się, gdy przekazywała przedmiot Thomasowi.

Być może nie zrozumiała wszystkiego. Ale dostatecznie wiele.

Oczy Doherty'ego zamglily się, kiedy patrzył w przeszłość. Gdy jego wzrok odzyskał ostrość, na twarzy pojawiło się niedowierzanie. Nie podał kuli Calebowi. Zrobił nawet taki ruch, jakby chciał ją ukryć, ale zniecierpliwiony Blythe gwałtownym gestem wyrwał mu przedmiot z ręki.

– Co dalej? – spytała Jeanette, kiedy Caleb również przyjrzał się wspomnieniu.

Uczeń Czarnoksiężnika milczał, wciąż wpatrywał się w kulę, jakby mógł zobaczyć w niej coś jeszcze. Potem położył ją na biurku i bez słowa wyszedł z pomieszczenia. Thomas mówił coś do Brown przyciszonym głosem, ale Jagoda nie zwróciła na to większej uwagi. Złe przecucia, które ją ogarnęły, nie miały tym razem nic wspólnego z autorem klątwy. Wiedźmę przeraziło spojrzenie i zachowanie Caleba.

Chociaż marzyła tylko o tym, by zwinąć się w kłębek na kanapie i zasnąć, wstała i ruszyła w ślad za czarownikiem. Po drodze musiała oprzeć się na moment o futrynę, bo zaszumiało jej w uszach, przed oczyma zrobiło się ciemno. Kiedy dotarła wreszcie do salonu, nie zobaczyła w nim już Blythe'a. Erin stała na środku. Spojrzała na Jagodę pytająco, a potem przesunęła wzrok ku otwartym drzwiom wejściowym, w których stała jej siostra.

– Gdzie Caleb? – spytała Jagoda, podchodząc do Eleanore. W ogrodzie nie dojrzała jednak czarownika.

– Ten wariat otworzył portal – poinformowała czarodziejka z niedowierzaniem. – Pobiegł do bramy i postawił go tuż za nią. Sam!

Jagoda powoli osunęła się na podłogę, gdy nogi odmówiły jej posłuszeństwa. W głowie wiedźmy huczało: nie była pewna, czy na skutek grobowej pieśni i przelania wspomnienia do kuli, czy z napięcia.

– Teleportował się do Donlonu – wykrztusiła. Zauważyła, że Jeanette i Thomas wyszli za nią z biblioteki. – Spróbuje zabić Michaela Thunderbirda.



ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

GAŁĄZKA OLIWNA

Erin i Eleanore początkowo nie uwierzyły Jagodzie. Wiedziały, że Caleb starannie planuje i może czasem robi na pozór szalone rzeczy, ale rzadko bez choćby chwili namysłu. Dopiero kiedy Eleanore również sięgnęła po kulę Reda i przyjrzała się wspomnieniu, zrozumiała, że w tym przypadku wiedźma może mieć rację.

Człowiekiem, który rzucił klątwę na Lane'a Benetta, był Michael Thunderbird.

Lane Benett przed śmiercią doświadczył nie tylko magii związanej z klątwą. Otaczało go także zaklęcie splecione z przekleństwem. Czarnomagiczne, wymagające ofiary z ludzi: czerpiące siłę właśnie z morderczej klątwy. Skoncentrowane wokół pierścienia i wokół Michaela Thunderbirda. Zapewne ciężące na wszystkich innych ofiarach, ale jego ślady zostały usunięte przez samego sprawcę, który miał przecież swobodny dostęp do wszystkich ciał.

Zaklęcie ze śladami odmienionej magii Jacoba Reda.

W domu zapanował chaos. Jeanette i Thomas już wcześniej wybiegli do swojego samochodu, oboje z telefonami w rękach. Cała reszta, ściągnięta przez Eleanore do salonu, zaczęła się kłócić, co należy robić dalej, i każdy zdawał się mieć inny pomysł. Jagoda, zbyt otępieła i zmęczona na uczestniczenie w sprzeczce, usiadła w kącie i próbowała się dodzwonić do Caleba. Nie odbierał. Był gdzieś tam w Donlonie, niesiony wściekłością, i mogła się tylko modlić do dowolnego bóstwa, jakie zechciałoby słuchać, by się opamiętał lub nie znalazł Thunderbirda. Po tym, jak rzucili grobowe pieśni i sam otworzył portal, nie miał większych szans w walce. Nie wspominając już o tym, że niezależnie od rezultatu, ruszy za nim cały Scotland Yard. Nie mieli żadnych dowodów poza jej zeznaniami i wspomnieniem zamkniętym w kuli, a Jagoda była więcej niż pewna, że dałoby się je łatwo podważyć.

Poza tym nikt może nie zechcieć słuchać wyjaśnień.

Reszta zapewne też doszła do takich wniosków, bo w końcu przestali na siebie wrzeszczeć i zabrali do przygotowywania własnego portalu. Albo nie mieli aż tyle sił, ile Blythe, albo nie chcieli zbytnio ich nadwerężyć, bo do jego stworzenia podeszli rozsądniej niż Caleb. Eleanore nakreśliła tuż za murami posiadłości runy, Maya przyniosła jakieś amulety i kryształy wzmacniające, a potem wszyscy utworzyli portal. Przeszli przez niego Eleanore, Maya i Evan. Początkowo Jagoda – która obserwowała to przez okno, bo i tak nie miała sił, by pomóc – sądziła, że nie wystarczyło mocy, aby posłać w ślad za Calebem wszystkich. Ledwo jednak Erin i Marek wpadli z powrotem do domu, zrozumiała, że chodziło o coś więcej.

Marek przez telefon wykrzykiwał do kogoś polecenia, a potem – nie przerywając rozmowy – uaktywnił lustro komunikacyjne w salonie. Z szybko rzucanych informacji Jagoda wywnioskowała, że nie tylko posyłał ludzi na poszukiwanie szefa, lecz także kazał przygotowywać firmę na ewentualne kłopoty. Erin wbiegła po schodach na piętro, tylko po to, by zaraz z niego zbiec z torbą i skierować się do biblioteki. Dziesięć minut później wyładowana książkami, przedmiotami i dokumentami torba stała koło drzwi, a Erin napaliła w kominku i wrzucała w płomień papiery. Dopiero na ten widok Jagoda zrozumiała, że szykowali się na najgorsze.

Jeżeli Caleb dopadnie Michaela i zostanie aresztowany albo nawet ucieknie, funkcjonariusze się tu pojawią. Przeszukają dom od piwnicy aż po strych. I to, co znajdą, trafi nie tylko w ręce Scotland Yardu, lecz także Michaela. Ba, być może nawet aresztują domowników za współudział. Musieli stąd zniknąć i zabrać ze sobą wszystko, co mogło działać na ich niekorzyść.

Jagoda dźwignęła się wreszcie na nogi i mimo zmęczenia też ruszyła na górę, by do plecaka wrzucić najpotrzebniejsze rzeczy i tę książkę, której nikt nie powinien znaleźć. Kulę Reda umieściła w kieszeni. Na korytarzu wpadła na Erin, tym razem z plecakiem w jednej ręce i kilkoma fiolkami w drugiej. Jedną z nich wetknęła Jagodzie. Wiedźma bez protestów wypila porcję eliksiru wzmacniającego. Z któregoś pokoju dobiegał podniesiony głos Marka: najwyraźniej próbował jednocześnie spakować albo zniszczyć jakieś rzeczy i wydawać dalsze instrukcje pracownikom.

– Pomóc w czymś? – spytała, podążając za Erin, najpierw na parter, a potem do korytarza, który prowadził do biblioteki i pokoju Caleba.

– Już kończymy – odparła Erin. Oparła dłonie o drzwi pomieszczenia, które zajmował Blythe, a te zwały się ze ścianą. Czarownica spojrzała na Jagodę i na jej twarzy pojawił się blady, wymuszony uśmiech. – Okna też tak zamknęłam. Jest szansa, że tego nie znajdą tak od razu.

– Musimy się zbierać! – dobiegł z góry krzyk Marka, a chwilę później on sam zbiegł po schodach. Przykucnął przy torbie naszykowanej przez Erin i wyszeptał nad nią parę słów, prawdopodobnie, żeby

zmniejszyć jej wagę, a potem wepchnął ją w ramiona przyjaciółki. Sam dźwigał wypchany plecak. – Dzwonił Evan. Ten idiota parę minut temu napadł Michaela Thunderbirda w jego mieszkaniu.

Cholera jasna, pomyślała Jagoda i poczuła falę mdłości. Nie zdążyła zapytać, co spotkało Blythe'a: Erin odezwała się pierwsza.

– Co z Ellie?!

– Wszyscy są razem. Cale też. Uciekli. Ale znikamy stąd, szybko.

– Cholera jasna! – warknęła Erin, nieświadomie powtarzając myśl Jagody. Wypadła z domu jako pierwsza i uklękła, palce zanurzając w trawie. Przez ziemię przebiegło drżenie. – Idźcie, dogonię was! Zatrę ślady i zamaskuję kryjówkę pod altaną...

– Dokąd w ogóle idziemy? – spytała Jagoda.

Serce tłukło się jej szaleńczo w piersi. W ustach wciąż czuła smak mikstury Erin i chyba tylko dzięki niej trzymała się jeszcze na nogach. Wciąż nie mogła pozbierać myśli: efekt grobowej pieśni i użycia kuli Reda, który teraz być może był błogosławieństwem, bo sytuacja z każdą kolejną chwilą stawała się coraz bardziej przytłaczająca. Zbyt przytłaczająca. Gdyby wiedźma miała więcej czasu, aby zastanowić się nad tym, co się dzieje i jakie mogą być konsekwencje, mogłaby się załamać. Być może otępienie wywołane przez magię ją przed tym chroniło.

Marek nie odpowiedział. Złapał ją za nadgarstek i pociągnął ku bramie. Najwyraźniej dokądkolwiek się wybierali, nie mieli tam jechać samochodem.

Biegiem okrążyli mur i skierowali się do pobliskiego lasu. Marek wyraźnie nie przywykł do wysiłku fizycznego, bo chociaż Jagoda czuła, że jej płuca i nogi protestują, to on pierwszy zaczął gubić oddech i zwolnił, aż w końcu zatrzymał się i oparł o drzewo.

– Dokąd idziemy? – powtórzyła Jagoda, oglądając się.

Chociaż Scotland Yard nie powinien – nie mógł – przysłać tutaj ludzi tak szybko, odetchnęła z ulgą, gdy dostrzegła biegnącą ku nim Erin.

– Skąły nad morzem, jakieś trzysta metrów na wschód od zamku Reda. Jest tam jaskinia z portalem. Na samej granicy enklawy – wykrztusił Marek. – Trzy krople krwi na czerwony kamień w środku go otworzą. Tylko naszej. Wiedzie do...

– Już tu są!!! – krzyknęła Erin, ledwo znalazła się na tyle blisko, że mogli ją usłyszeć. Rośliny za nią poruszały się same, krzewy rozrastały, niskie drzewka splatały gałęzie, jakby zamykały drogę tym, którzy mogli za nią podążać. I chyba dopiero teraz Jagoda uwierzyła, że siostry Donnelly mają w sobie krew aes sidhe. – Przynajmniej trzy osoby! Ruszyli za mną! Musimy się spieszyć!!!

Trzy osoby.

Najwyraźniej oni także otworzyli portal. W normalnych okolicznościach może mieliby szansę sobie poradzić z trzema funkcjonariuszami. Ale teraz wszyscy byli wyczerpali. Erin i Marek zbyt wiele mocy włożyli w utworzenie bramy do Donlonu.

– Jasny... – wycedził Marek. Ściągnął plecak i podał go Erin. – Rozdzielamy się.

– Ale...

– Prawdopodobnie pójda za mną. Ja biegnę górą, wy dołem. Już!

Nie czekał na odpowiedź: biegiem ruszył przed siebie. Erin przerzuciła plecak przez wolne ramię i skręciła w prawo, nie oglądając się na Jagodę. Ta odruchowo pognęła za nią. Pajęczyna wplątała się jej we włosy, jakaś gałąź chlasnęła w twarz, raz prawie się przewróciła, gdy jej stopa wpadła w dziurę w ziemi. Dopiero po dłuższej chwili zrozumiała, że bieg i tak idzie im zadziwiająco łatwo jak na to, że nie trzymały się ścieżki: chociaż nie wyczuwała żadnej magii, gałązki kolczastych krzaków i korzenie zdawały się usuwać Erin z drogi.

Może dziewczyna nie była słabą czarodziejką, za jaką Jagoda początkowo ją brała.

Magia Erin jednak szybko okazała się niewystarczająca. Gdy Jagoda potknęła się i chwyciła pnia, by zachować równowagę, spod jej ręki błysnęły iskry. Takie same uniosły się z mchu, na którym stanęła. Lekka, magiczna aura zdradzała zakłęcie i tym razem to nie któraś z nich go użyła.

Ktoś ze ścigających je namierzał.

Marek się mylił. Nie ruszyli za nim. Albo też się rozdzielili.

– Nie uciekniemy. Las mówi, że ktoś jest blisko – jęknęła Erin i stanęła nagle.

Z trudem łapała oddech. Obróciła się ku Jagodzie, oczy miała wielkie, pełne przerażenia. Poblądła. W

teorii nie zrobiły przecież nic złego... a przynajmniej nic złego, co można im było udowodnić... i Scotland Yard nie powinien aresztować ich za zbrodnię Caleba... ale znały już prawdziwą twarz Michaela i nie mogły liczyć na to, że po zatrzymaniu będą bezpieczne.

Czarownica uniosła rękę, a korzenie pobliskiego drzewa się uniosły. Najwyraźniej chciała przynajmniej ukryć rzeczy, które zabrali. Strach, wcześniej przytłumiony przez adrenalinę, uderzył Jagodę ze zdwojoną siłą, ale nie pozwoliła, aby przejął nad nią kontrolę. Złapała dłoń Erin, nim ta zdążyła wrzucić torbę do dziury. Wygrzebała z kieszeni kulę Reda i wcisnęła ją w rękę dziewczyny.

– Rozdzielamy się.

– Co?

– To Thunderbird. Tropi mnie. Doskonale zna moją aurę – warknęła. Aurę i coś więcej. Rozmowa, jaką odbyli w gabinecie. Była niemal pewna, że tym razem to ona jest celem, i chociaż nie miała czasu zastanawiać się nad przyczynami, mogła coś podejrzewać. Las wspierał Erin, ta nie była też aż tak zmęczona... i Jagoda mogła ją tylko spowalniać. – To jedyny dowód przeciwko jemu.

Kula.

I to, co tkwiło w głowie Jagody.

Erin zacisnęła usta. Miała dość rozsądku, by nie protestować ani nie tracić czasu na odpowiedź. Wsunęła kulę do kieszeni kurtki i ruszyła biegiem między drzewa. Jagoda odbiła w bok. Być może miała niewielkie szanse zgubić pościg i jeszcze znaleźć jaskinię, ale na pewno zamierzała spróbować. Gnając przez las, wyrzucała z siebie inkantację zaklęcia, które powinno ukryć jej obecność przed czarami śledzącymi... chociaż jeśli sądzić po tym, że wciąż co jakiś czas jej nogi wzniewały iskry, nie zdołała go rzucić w pełni poprawnie: albo w pośpiechu pomyliła słowa, albo nie miała dość magicznej energii.

Dotarła do granicy lasu. Zamek Jacoba Reda był doskonale widoczny na horyzoncie, a od skał i plaży dzieliło ją jakieś pół kilometra. Miała już zadyszkę, nogi protestowały, w ustach czuła posmak żelaza, a w uszach szum. Gdyby była w pełni sił, być może by zdążyła. Biegała regularnie od dziecka, bo taki wysiłek stanowił jedną z metod na poradzenie sobie z własną magią. Tego wieczora jednak okazała się zbyt zmęczona. Za wolna. Nie dość zręczna. Kiedy mijała ostatnie drzewa, coś owinęło się wokół jej kostki i upadła. Bolesnie uderzyła o ziemię, dłońmi zdążyła osłonić twarz.

Klątwę utkała raczej odruchowo niż wiedzioną świadomą myślą. Cisnęła ją za siebie i usiadła, walcząc z magicznym sznurem, który pętał jej nogę. Zdołała znaleźć w sobie dość mocy, by go przerwać, ale organizm docierał już do granic możliwości. Ani mikstura wzmacniająca, ani adrenalina nie mogły dać Jagodzie szans w tej potyczce.

Michael Thunderbird wyłonił się spomiędzy drzew. Był sam. Żle – najgorzej. Na oczach innych funkcjonariuszy być może by jej nie zabił.

Nawet nie zwolnił, kiedy rzuciła kolejne przekleństwo, już ostatnie, jakie zdołała utkać. Choć strach ścisnął Jagodzie gardło, a w głowie wirowało, powoli dźwignęła się z ziemi, bo, do cholery, jeżeli miała tu umrzeć, to na pewno nie na kolanach. Nie zdołała odbić jego czaru: niewidzialna siła rzuciła ją w bok, aż uderzyła o pień i zamarła tak, skrępowana zaklęciem. W normalnym stanie być może by sobie z tym poradziła, ale teraz...

– Panna Wilczek.

– Pan Thunderbird – odparła, z trudem wypowiadając słowa.

Zatrzymał się zaledwie metr od niej. Ubranie miał pomięte, brudne, tu i ówdzie nadpalone. Być może to ślady niedawnego starcia z Calebem. Mówił uprzejmie, a wyraz twarzy miał niemal łagodny.

– Zechce mi pani wyjaśnić, jak pewne sprawy wyszły na jaw? – spytał.

Nie odpowiedziała. Zacisnęła usta, kiedy zaklęcie zaczęło napierać mocniej, wciskając czarownicę w pień, a gdzieś w głowie Jagody tłukła się na wpół świadoma myśl, że Thunderbird prędzej czy później ją złamie. Istniała ograniczona ilość bólu, jaki mógł wytrzymać człowiek, a Michael na pewno nie miał skrupułów. Mimo to wiedźma milczała uparcie, póki narastająca moc czaru nie wycisnęła krzyku z jej ust.

Ku jej zaskoczeniu w tej samej chwili czar się rozwiął. Jagoda osunęła się na mech, wciąż częściowo oparta o drzewo. Z trudem chwytiała oddech, a ramię i noga promieniowały bólem, na pewno całe posiniaczone. Tym razem nie znalazła w sobie dość siły, aby od razu wstać.

– Panna Donnelly zapewne umknęła? Rozdzielenie było sprytne – powiedział, a w jego głosie zabrzmiało coś na kształt żalu. Jagoda nie potrafiła ucieszyć się nawet tym, że Erin uciekła, że była bezpieczna.

Nie, kiedy Michael był tak blisko. Nie, kiedy cichy głosik szeptał wprost do jej ucha, że to koniec. – Muszę przyznać, że mnie zaskoczyliście, panno Wilczek. Gdzie popełniłem błąd?

Dwoma krokami pokonał dzielącą ich odległość i przykląkł tuż obok Jagody. Wciąż siedziała na ziemi, ale spróbowała się odsunąć, odruch bezwarunkowy, chociaż przecież wiedziała, że już nie ma szans na ucieczkę.

– Żadnych „nie ujdzie ci to na sucho”? – dopytywał dalej, przekrzywiając lekko głowę. – „Nic ci nie powiem, złoczyńco”? „Caleb zadba, żebyś za to zapłacił”?

Znów odpowiedziało mu milczenie. Wargi Michaela Thunderbirda wygięły się w uśmiechu.

– Nie powinna pani chociaż próbować grać na czas, pani Wilczek? W nadziei, że ratunek nadejdzie, gdy będę zdradzał mój mroczny plan?

– A ma go pan zamiar zdradzić, panie Thunderbird?

– Nie – przyznał. – Ale dlaczego pani mnie tak nazywa? Caleb rzucił mi w twarz inne imię. Niewątpliwie pani też je zna?

Jacob Red.

To jego magia otaczała Michaela Thunderbirda we wspomnieniu.

Klątwa, która zabiła Lane’a, nie była aktywowana, stara, lecz świeża, dopiero utkana, spleciona ze znacznie starszym zaklęciem. Czarnomagicznym.

Reszty Jagoda mogła się tylko domyślać na podstawie strzępków informacji i tego, że człowiek, który zabił Benetta, bez wątpienia dysponował przynajmniej częścią magii Jacoba. To nie klątwę Red przygotował w swoim zamku, lecz zaklęcie. Nadał mu moc, składając przynajmniej siedem ofiar... a potem poświęcając własne życie i z ostatnim tchnieniem przeniósł duszę w ciało człowieka, wokół którego utkał czar.

Zabijał kolejne osoby za pomocą klątwy tkanej dopiero teraz. By podtrzymać niestabilne zaklęcie. Utrzymać duszę w ciele, która przez ostatnie siedem lat się do niego adaptowała. Zapewne musiał dopełnić rytuału, złożyć określoną liczbę kolejnych ofiar... trzy po siedmiokroć... by pozostać po tej stronie.

Ślad cudzej mocy należał do Michaela. Dwa rodzaje magii mieszały się w ciele Thunderbirda. Specjaliści od klątw umierali, aby któryś nie odkrył zbyt wiele, po cichu usuwani przez samego komendanta. Nawet jego dwoiste zachowanie, inne przy Calebie, inne pod jego nieobecność, było grą, która miała sprawić, że Blythe, doskonale znający nauczyciela, niczego nie odkryje...

To zdjęcie Thunderbirda spalił. Jego sygnet, włosy i książkę jakoś zdobył.

– Nie jesteś kobietą wielu słów – westchnął Michael, kiedy uparcie zachowywała milczenie. Bo mógł się tylko domyślać, że oni też coś wiedzieli, i lepiej, aby nie dostał potwierdzenia. Wyciągnął rękę i chwycił Jagodę ją za podbródek. Próbowała odtrącić jego dłoń, ale palce wolnej ręki zacisnął na jej nadgarstku, mocno, wkładając w to tyle siły, że znowu prawie krzyknęła. – Przekażesz coś ode mnie Calebowi.

Jagoda szerzej otworzyła oczy. W najlepszym razie spodziewała się aresztowania. W najgorszym śmierci w tym lesie... Chociaż nie, oszukiwała samą siebie. Mogło być gorzej. Myśl o szklanych trumnach towarzyszyła jej, kiedy biegła między drzewami, i to ona popychała ją do kolejnych działań, chociaż ciało słabło, doprowadzone do granic możliwości.

– Daję mu ostatnią szansę. Może wrócić, a wszystko jakoś rozwiążę. Na dowód dobrej woli to mój prezent i gałązka oliwna. W końcu był pierwszy.

To podstęp, pomyślała. Chciał sprawdzić, dokąd pobiegnie. Rzucił na nią jakieś zaklęcie. Próbował w ten sposób dopaść Erin.

Albo się nią bawił.

Michael puścił ją i podniósł się, spoglądając na Jagodę z góry.

– Dlaczego? – wykrztusiła, kiedy się cofnął.

Wciąż spodziewała się, że za chwilę jakiś czar poleci w jej stronę. Nic takiego jednak nie nastąpiło.

– Czy o tym nie wspominałem? Caleb Blythe jest dla mnie jak syn. Wychowywałem go, odkąd miał szesnaście lat. To mój dziedzic. Ojcowie potrafią bardzo wiele wybaczyć dzieciom. Nawet zdradę.

Normalni ojcowie. Normalni, do cholery, a Jacob Red takim nie był. Jagoda nie potrafiła uwierzyć, że w ogóle miał coś takiego, jak uczucia. Że nawet gdyby spłodził syna, nie zabiłby go w tym samym momencie, w którym ten by się przeciwko niemu zbuntował...

...a jednak przez tyle lat pozwalał Calebowi żyć.

– Oczywiście, wobec panny Donnelly nie byłbym tak łaskawy – dodał jeszcze, nim się obrócił.

Pokazywał jej plecy, jakby nie uważał Jagody za zagrożenie... i teraz się nie mylił. Zrobił krok, drugi, trzeci, aż w końcu zniknął wiedzmię z oczu. Jeszcze przez chwilę tkwiła na ziemi, nie rozumiejąc, co się tutaj stało.

Jacob Red był szalony. Kompletnie szalony.

W końcu się podniosła. Dłonie i kolana miała poranione po upadku. Każdy ruch prawą ręką sprawiał ból, a prawe biodro protestowało przy każdym kroku. Na nadgarstku już zaczął formować się siniak. Jagoda próbowała sprawdzić swoją aurę, ale jeżeli czarnoksiężnik rzucił na nią jakieś zaklęcie, była za słaba, aby je wykryć. Uzyskała tylko tyle, że z nosa pociekła jej krew, a ból głowy i szum w uszach się nasiliły. Wiedziała, że jeśli użyje choć odrobiny magii, straci przytomność. Ba, i tak w każdej chwili mogła stracić przytomność: podtrzymywały ją tylko upór i strach przed tym, że Red zmieni zdanie i wróci. Stała niezdecydowana: czy próbować powrotu do Rainharbour? Szukać jaskini, ryzykując, że ściągnie pogoń za sobą? A nawet jeżeli tam dotrze, to czy portal zareaguje na jej krew?

Ostatecznie ruszyła w stronę plaży. Oglądała się raz po raz, nikogo jednak nie dostrzegła. Sądziła, że nie zdoła znaleźć miejsca, gdzie mieli się spotkać, ale ledwie z trudem zeszła ze skał i przewróciła się na piasek, nadbiegła Erin. Nie miała już ze sobą bagażu.

– Na litość Merlina, co ci się stało?! – krzyknęła i pomogła Jagodzie wstać.

– Skąd wiedziałaś...

– Nasłuchiwałam w jaskini kroków. Twoich, Marka... albo cudzych – wyjaśniła Erin.

Kolejne zaklęcie magii ziemi? Jagoda nie pytała już o to, tylko wspierając się na Erin, poszła między skałami a morzem ku wejściu skrytemu wśród kamieni. Zarówno natura, jak i bardzo subtelne zaklęcie pomogły doskonale je zamaskować: Jagoda nigdy nie wypatrzyłaby go sama. Musiały wejść na skałę, a potem wsunąć się do środka na czworakach. Jej oczy nie nawykły do półmroku, w środku niewiele więc widziała, ale gdy się rozejrzała, dostrzegła, że jeden z kamieni w ścianie ma rdzawą barwę.

– Marek?

– Nie wiem. Myślę... myślę, że przeszedł wcześniej.

– Nie możemy czekać. Michael Thunderbird tu jest.

– Jasny... Czekaj, wezmę torbę. Daj rękę.

– Nie skorzystają z tego portalu?

– Jest nastawiony na nas, a potem... potem go zniszczymy z drugiej strony – powiedziała Erin, a jej głos się załamał. Jagoda zrozumiała, że czarownica tak naprawdę nie wierzy w to, że Marek już przeszedł na drugą stronę. – Chodź. Idziemy. Trzymaj się mocno. Szarpnie.



ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

PODAREK JACOBA REDA

Rzeczywiście szarpnęło. Portal wyrzucił je również w jaskini, choć większej i jaśniejszej niż ta, w której rozpoczęły podróż. Obie potoczyły się po kamiennym podłożu, nabijając sobie kolejne siniaki. Erin po wylądowaniu wygrzebała z torby jakiś eliksir i dopiero gdy go wypła, zabrała się do dezaktywowania portalu. Chwilę później zmusiła wykończoną Jagodę, by wstała i wyszła na zewnątrz, po czym dla pewności zawałiła grootę.

Ona też musiała być już u kresu wytrzymałości, bo po wszystkim padła na ziemię obok Wilczek. Leżały na skalistej plaży, ale wszystko tu wyglądało zupełnie inaczej niż w Rainharbour. Jagoda nie pytała, gdzie się znajdują ani czy są bezpieczne. Nawet mówienie wydawało się jej teraz za dużym wysiłkiem. Usłyszała jeszcze, jak Erin przeklina na telefon, który najwyraźniej odmówił współpracy. W końcu jednak zdołała dodzwonić się do Eleanore lub Evana, ale zażądała tylko, by ktoś po nie przyjechał, po czym się rozłączyła.

Później obie leżały w milczeniu. Jagoda zwinęła się w kłębek na piasku i w końcu pozwoliła, aby ogarnął ją sen.

Gdy otworzyła oczy, leżała na łóżku otoczona przez ciemność. W pierwszej chwili, niepewna, gdzie się znajduje, spanikowała. Zamglony umysł podsuwał tylko odłamki wspomnień i przez moment Jagoda była pewna, że to cela. Gdy jednak usiadła, dostrzegła obok jeszcze jedno łóżko: nawet w półmroku widziała jasne włosy Eleanore, a tuż obok niej leżała Erin. To, co początkowo wzięła za niski sufit, okazało się górnym poziomem piętrowego łóżka. Kiedy się wychyliła, zobaczyła czyjś łokieć: prawdopodobnie Mayi.

Dotarli do innej kryjówki.

Przez moment Jagoda poczuła ulgę. Nie na długo, bo zaraz pojawiła się świadomość konsekwencji. Jacob Red żył. Ścigał ich – a przynajmniej Caleba – Scotland Yard. Nie byli bezpieczni i prawdopodobnie wystawiono za nimi listy gończe. Wiadomości wkrótce dotrą do jej rodziny...

Zsunęła się z łóżka. Wciąż miała na sobie to samo ubranie, co wieczorem, a na nosie okulary, znikły jednak kurtka i buty. Noga i ramię nadal bolały, chyba jeszcze mocniej niż wcześniej. Była poobijana i nie odzyskała pełnych zasobów energii magicznej, chociaż teraz przynajmniej zdołałaby rzucić kilka zaklęć. Gdy wstała, zakręciło się jej w głowie i musiała jeszcze na moment usiąść. Dalej czuła senność, jednak już nie tak wszechogarniającą.

Cicho ruszyła do drzwi i ostrożnie je uchyliła. Prowadziły do pomieszczenia słabo oświetlonego nocną lampką. Ściany i podłoga były drewniane, a sprzęty wyglądały na stare i trochę zaniedbane. Pokój najwyraźniej pełnił funkcję zarówno salonu, jak i kuchni, bo poza kanapą i fotelem znajdowały się tu też stół, a we wnęce dostrzegła lodówkę, zlew i kuchenkę. Na kanapie leżał Evan, pogrążony we śnie. Jego ramię, wystające spod koca, spowijały bandaże. Najwyraźniej wydostanie się z Donlonu nie przyszło im łatwo.

Caleb przysnął w fotelu, ale obudziło go skrzypienie podłogi. Gdy dostrzegł Jagodę, uniósł palec do ust na znak, żeby była cicho. Przypatrywała się mu, szukając obrażeń, ale dostrzegła tylko lekkie zaczerwienienie na jego policzku. Wstał i pokazał na schody. Jak się okazało, wiodły na facjatkę, niemal pustą: w niewielkim pomieszczeniu stały tylko łóżko i stara, drewniana skrzynia, było tu też chłodniej niż na parterze.

– Gdzie jesteśmy? – Usiadła na skrzyni, ostrożnie, by nie urazić nogi.

– W Ragnarfell.

Szerzej otworzyła oczy. Magiczna enklawa, podobna do Rainharbour, ale położona w Irlandii. Najwyraźniej portal wyrzucił ich w innym kraju.

– Nie znajdą nas tutaj?

– Nie powinni, przynajmniej na razie – powiedział Caleb i usiał na łóżku. – Kupiłem ten dom niedawno, nikt nie wie, że należy do mnie, poza tym jest zabezpieczony przed czarami poszukującymi.

– Marek...

– Nie dotarł – odparł krótko, a jego dłonie na moment zacisnęły się w pięści.

– Ja... przykro mi – szepnęła, spuszczać wzrok.

Marek miał rację: pognali za nim. A przynajmniej zrobili to ci, którzy towarzyszyli Michaelowi. I teraz ten człowiek, któremu Caleb ufał dostatecznie, aby postawić go na czele Madainn ũr, albo nie żył, albo w najlepszym razie został aresztowany.

– Niepotrzebnie – uciał suchym tonem. – To przecież moja wina.

Zmusiła się, by spojrzeć mu w oczy. Jego wina. Nie potwierdziła. Nie miała zamiaru go obwiniać, bo rozumiała, co nim kierowało. Ale nie mogła też z czystym sumieniem zaprzeczyć. Rzucił się do ataku bez chwili namysłu i przez to wszyscy teraz znaleźli się w beznadziejnej sytuacji.

Chciałaby zapytać, co dalej, przeczuwała jednak, że Caleb sam jeszcze nie jest pewny odpowiedzi. Ledwo uciekli zarówno przed Jacobem Redem, jak i magiczną policją. Większość z nich była tak poobijana i wykończona, że nikt, włącznie z Blythe'em, raczej nie miał siły na ułożenie planu.

– Jesteś cały?

– Nic wielkiego – mruknął, ale jego dłoń odruchowo powędrowała do zaczerwienionego policzka. – Eleanore, na szczęście, zna się trochę na leczeniu, a Erin zabrała zapas eliksirów. Postawiły mnie na nogi, a Evan do jutra dojdzie do siebie.

– Co się stało w Donlonie?

Skrzywił się, jakby pytanie było mu nie w smak, odpowiedział jednak:

– Poszedłem do Scotland Yardu, ale Michaela tam nie było. Znalazłem go w jego mieszkaniu. Okazuje się, że w nowym ciele Jacob nie dysponuje... przynajmniej na razie... wszystkimi swoimi dawnymi umiejętnościami, niestety ja... trochę się pospieszyłem. Eleanore, Maya i Evan pojawili się w samą porę, żeby nam przerwać. Zwaliśmy prosto przed nosa nadciągającego patrolu Scotland Yardu.

– Trochę? – Nie wytrzymała Jagoda. – Chciałeś walczyć z nim po rzuceniu grobowej pieśni i otwarciu portalu w pojedynkę.

– Tak. To chyba nie było zbyt mądre z mojej strony – przyznał, uśmiechając się nieszczerze, z przymusem. – Mogłem zacząć się za jakimś rogiem i po prostu zabić go cegłą.

– Jasne. Bo to by podziałało lepiej – mruknęła. Ani myślała uznać jego słów za zabawne. – Puścił mnie.

– Słucham?

– Thunderbird. Red. Dopadł mnie w lesie. I pozwolił odejść.

Fałszywy uśmiech zgasł jak zmazany gąbką, spojrzenie Caleba stało się uważniejsze. Wyciągnął do niej rękę.

– Chodź tutaj – polecił ostro.

Nie protestowała, bo wcale nie była pewna, czy Jacob nie rzucił na nią żadnego zaklęcia. Nie spodziewała się, że zaśnie czy raczej straci przytomność na aż tak długo, by zdążyli je odnaleźć i przewieźć do nowej kryjówki, inaczej od razu ostrzegłaby Erin. Pozwoliła, by Caleb przyciągnął ją do siebie i zaczął sprawdzać aurę. Po dwudziestu minutach obawa Jagody zaczęła zmieniać się w zdenerwowanie, podszyte niepewnością, czy wszystko trwało tak długo, bo Blythe coś znalazł i próbował się z tym uporać, czy też wręcz przeciwnie: niczego nie znalazł, ale nie wierzył w rezultaty i powtarzał całą procedurę.

– Nic – powiedział po kolejnym kwadransie. Odsunął się, ale nie puścił jej ręki. Zamiast tego pociągnął dłoń Jagody w górę, tak, by móc przyjrzeć się nadgarstkowi. W miejscu, gdzie palce zacisnął Red, pozostały sine ślady. – To on?

– Mhm.

Podciągnął jej rękaw i syknął, gdy dostrzegł wyżej kolejne sińce.

– Co zrobił?

– Walnął mną o drzewo. Caleb...

– Pokaż – zażądał, przerywając jej w pół słowa.

Stłumiła westchnienie, ale ściągnęła bluzę. Przy okazji odkryła, że jeżeli nie chciała posykiwać z bólu, powinna unikać podnoszenia ręki. Sama skóra wyglądała gorzej, niż Jagoda się spodziewała. Całe przedramię zamieniło się w jeden wielki, fioletowo-czerwony siniak wylewający się na ramię i część barku. Drobniejsze sine ślady ciągnęły się aż do nadgarstka. Blythe na moment zacisnął szczęki, ale zaraz się odezwał:

– Zaczekaj.

Wstał i ruszył do drzwi. Wrócił minutę później ze słoiczkiem zielonej, gęstej maści.

– Co to?

– Jeden z magicznych specyfików Erin. Dlaczego nie powiedziałaś od razu, że jesteś tak poturbowana?

– Bo byłam nieprzytomna? – przypomniała, kiedy zaczął nakładać substancję na jej bark. Była dziwnie chłodna i Jagoda syknęła, jakby Blythe przykładął jej do skóry lód. Zaraz jednak nadeszło uczucie ulgi. Produkt Erin był dużo skuteczniejszy niż specyfiki znane Jagodzie z Batorego. Chociaż ręka zdawała się teraz bardzo zimna, ból zelżał niemal natychmiast. – Chciał, żebym ci coś przekazała.

Dłoń Caleba zamarała na moment, ale po chwili ostrożnie nałożył kolejną porcję maści na ramię więdźmy. W miejscach, gdzie znajdowały się najpaskudniejsze krwiaki, czerwień jakby przybladła.

– Co takiego?

– Daje ci ostatnią szansę. Jeżeli wrócisz... wszystko jakoś rozwiąże.

Parsknął krótkim, niewesołym śmiechem.

– Sądysz, że to zrobię?

– Gdybym sądziła tak chociaż przez chwilę, nie przekazałabym ci tego – odparła cicho.

Może to było głupie. Bo Jacob Red znał Caleba znacznie dłużej od niej i najwyraźniej wierzył, że istnieje na to szansa.

Sam jednak powiedział, że traktował Blythe'a jak syna. Rodzice czasem bywali ślepi wobec swoich dzieci. A ona widziała, jak Caleb zareagował na widmo nauczyciela w zamku. Jak rzucił się do walki z Thunderbirdem w najgorszym możliwym momencie.

I przede wszystkim: nie chciała uwierzyć, że Caleb sprzymierzyłby się z Redem. Nie chodziło o to, że kiedyś już obrócił się przeciwko niemu. Jacob zabił przynajmniej dwójkę jego ludzi i dopuścił się czynów, których Caleb Blythe, jakiego znała, by nie poparł, mimo swojej... elastycznej moralności.

Wiedźma wolała się nie zastanawiać nad tym, czy Caleb przypadkiem nie pokazał jej jedynie tego, co chciał, by zobaczyła.

– To miło, że już nie uważasz mnie za psychopatycznego masowego mordercę – stwierdził.

Prawą ręką skończył rozsmarowywać maść, ale lewa objęła jej talię. Może mimo siniaków Jagoda skorzystałaby z tego milczącego zaproszenia, by na chwilę zapomnieć o tym, jak bardzo wszystko się posypało, czego najwyraźniej bardzo potrzebował też sam Caleb... ale była jeszcze dalsza część wiadomości.

– Powiedział coś jeszcze. Na dowód dobrej woli ofiarowuje prezent i gałązkę oliwną. I cholera, nie pytaj, co miał na myśli, bo nie wiem. Nic mi nie dał.

Jeżeli sam Blythe wiedział, o co chodziło jego dawnemu mistrzowi, to najwyraźniej nie zamierzał tego wyjaśniać. Czarownik na moment skrył twarz w jej włosach. Potem obrócił Jagodę ku sobie.

– Spróbuję znaleźć sposób, żeby odesłać cię do Warszawy – powiedział. – Nie otworzymy sami portalu aż tak daleko, a loty stąd na pewno będą obserwować, ale powinno się udać przejść przez jeden ze stałych portali do Plymouth, stamtąd przenieść do Francji i wsiąść do pociągu.

W pomieszczeniu panował chłód, potęgowany przez maść, zimno, jakie poczuła, niewiele miało jednak wspólnego z kiepskim ogrzewaniem. Nie poruszyła się, najpierw zbierając myśli, a potem zastanawiając się nad odpowiedzią. W pierwszym odruchu chciała zaprotestować. Ale... to nie tak, że nie rozumiała jego decyzji.

Nie było żadnej starej klątwy do przełamania. Jacob tkął jej kolejne elementy na bieżąco, wykorzystując jako podstawę dawne zaklęcie i pierścień. To jego musieli powstrzymać, nie przekleństwo, ona zaś niekoniecznie mogła się przy tym przydać. Ba, mogła wręcz zawadzać. Nie zrobiła nic złego, na co Scotland Yard miałby dowody, a chroniona przez szwadron prawników Wilczków na pewno nie zostałaby wydana, nawet gdyby Brytyjczycy zdecydowali się na oskarżenia. To było logiczne, najlepsze dla nich obojga.

A jednak i tak musiała się postarać, aby zdławić złość i urazę.

– W porządku. Daj mi znać, jeżeli będziecie potrzebowali moich zeznań – odpowiedziała w końcu, wyswobodzając się z jego uścisku.

Sięgnęła po bluzę i ostrożnie przeciągnęła ją przez głowę. Chciała wstać, ale nim przesunęła się po łóżku, Blythe odezwał się znowu.

– Kiedy tam wrócisz, najlepiej zrobisz, jeżeli nikogo o tym nie poinformujesz, i dopóki nie rozwiążemy tu sytuacji, nie opuścisz domu Joanny. Myślę, że nawet Jacob Red tam nie wejdzie. Czarodziejka, która kilkaset lat temu stworzyła enklawę, była co najmniej równie potężna jak on.

– Co? – spytała, patrząc na niego z niedowierzaniem. – Żeby ścigać mnie w Warszawie, musieliby mieć dowody co najmniej na to, że dopuściłam się tu paru morderstw.

– Nie doceniasz go, Belladona. Sfabrykuje je albo pojawi się osobiście – powiedział Caleb chłodno.

Odwrociła wzrok i prychnęła ze złości, bo mogła zrozumieć, że ją odsyłał, ale już na pewno nie zamierzała wrócić i... ukrywać się!

– Po co Jacob miałby to robić? Na litość Twardowskiego, Blythe, on będzie chyba za bardzo zajęty w Anglii, aby ścigać przez pół Europy jedną czarodziejkę. Nic z tego.

– Naprawdę to do ciebie nie dociera? – warknął Blythe z nagłą złością. Zrobił taki ruch, jakby chciał złapać ją za ramię, ale przypomniał sobie chyba o siniakach, bo zamiast tego ujął jej podbródek, zmuszając, by na niego spojrzała. – Jacob Red jest... cholernym kolekcjonerem. Gdyby znalazł cię te kilkanaście lat temu, pewnie trafiłabyś do jednej z jego trumien.

Caleb Blythe pod wieloma względami przypomina Jacoba Reda, a to jeden z nich. Jest kolekcjonerem.

– Teraz tak jakby musi się pilnować, poza tym sam mnie puścił – przypomniała, chociaż słowa Blythe’a ją zmroziły. Obraz martwych kobiet, zamkniętych za szklanymi taflami, znów stanął jej przed oczyma.

– Jako ostrzeżenie – wycedził Caleb. Kolejne słowo niemal z siebie wypluł, z odrazą. – Ofertę. Podarek. Ten prezent to twoje życie. Na razie przynajmniej, bo to też informacja, że jeżeli nie przyjmę oferty, będą konsekwencje... A doskonale wie, że jej nie przyjmę! Drań wie, albo przynajmniej się domyśla, że coś nas łączy.

Wzdrygnęła się mimowolnie.

Podarunek dla ulubionego ucznia. Nie była żadnym cholernym darem. A jednocześnie najwyraźniej tylko dlatego, że Jacob Red zbył wielu rzeczy się domyślił, czy to dzięki informacjom od Lane’a, czy dzięki ich rozmowie w Donlonie, uszła z Rainharbour cało.

– Wierzy, że przyjmiesz ofertę pojednania – powiedziała powoli.

– Więc najwyraźniej przy przejmowaniu ciała Thunderbirda zgubił po drodze resztki rozumu – warknął Blythe.

Teraz to on chciał się poderwać, ale Jagoda wyciągnęła ręce, zatrzymała go, przyciągnęła do siebie. Musiała wreszcie zrozumieć to wszystko... albo chociaż część. Stosunki Caleba i Jacoba zdawały się wykraczać daleko poza wzajemną nienawiść. Nie dało się ich też sprowadzić do prostej zdrady, zmiany stron.

– Gdy rozmawiał ze mną jako Michael, mówił o tobie jako o dziedzicu Reda – przypomniała. – W Rainharbour nazwał cię synem. Pozwalał, by Scotland Yard przemykał oko na niektóre sprawy. Nigdy nie próbował cię zabić. Nie mógł mieć własnych dzieci, a skoro próbował się leczyć, najwyraźniej tego chciał...

– Jakie to ma znaczenie, Jaga? – spytał, a tym razem w jego głosie pobrzmiwało zmęczenie. – Czy chwilę temu nie powiedziałaś, że wierzysz, że nie mam zamiaru wrócić do niego jako syn marnotrawny?

– Bo wierzę – zapewniła, kładąc nacisk na drugie słowo. Przez moment miała ochotę nawrzeszczyć na Caleba za jego cholerne niezdecydowanie. Czasem sprawiał takie wrażenie, jakby koniecznie chciał jej udowodnić, że jest mrocznym czarnoksiężnikiem, a chwilę później zdawał się urażony tym, że go za takiego uważa... i był tym urażony. Zamiast więc krzyknąć na Blythe’a, zacisnęła palce na jego dłoni. – Ale to nie jest bez znaczenia.

– Chcesz wiedzieć, czy był dla mnie jak ojciec? – warknął, również zamykając palce, nie na tyle mocno, aby ją skrzywdzić, ale niemal na granicy bólu. – Owszem, był. Jedyńm, jakiego znałem. Szukałem tego... biologicznego, a znalazłem Jacoba. Kochałem go jak ojca. Uczył mnie i wychowywał przez całe lata, a przy okazji prał mózg i był w tym lepszy, bo bardziej... subtelny niż twoja prababka. Wprowadzał mnie w swoje działania powoli i nawet gdy się zorientowałem, że posuwa się w nich zbyt daleko, zdawało mi się, że to słuszna droga. Że robi to dla dobra innych. A potem pewnego dnia pod jego nieobecność odkryłem... to drugie laboratorium i znalazłem kobiety w szklanych trumnach. Mniej więcej wtedy dowiedziałem się, co zrobił Danielowi. Skontaktowałem się z Thomasem, bo wiedziałem, że kręci się w pobliżu... Niedługo potem z podziemi uciekła Maya. Resztę już znasz. W każdym razie cokolwiek ci powiedział, jego zawsze interesowała moja moc, nie ja. Nie chciał, żeby jego odkrycia, jego plany umarły wraz z nim. Może dalej nie chce. Nawet... zmieniając ciała, nie zdoła żyć wiecznie.

Umilkł. Przypatrywał się jej twarzy z bliska, czekał na odpowiedź, a Jagoda nie potrafiła jej znaleźć. Wiedziała aż za dobrze, jak to jest wychowywać się w rodzinie, w której łamanie prawa, nierzadko w poważnych sprawach, a czasem i cudzą krzywdę, uznaje się za normalne. W której przekazuje się dziecku, że niektóre rzeczy są ważniejsze od innych i że pewne czyny trzeba ukrywać przed światem, lecz są dopuszczalne. Caleb miał szesnaście lat, gdy trafił pod skrzydła Reda. Miał za sobą lata nauki pod okiem kobiety, która go dręczyła i trzymała z daleka od innych ludzi – może w dobrej wierze, ale to nigdy nie była właściwa droga. Jagoda mogła wyobrazić sobie tego chłopaka, który ledwo umknął Joannie Wilczek. Który przyjechał do Anglii bez pieniędzy i znajomości, by znaleźć ojca. Który zapewne został przez tego ojca odrzucony... i którego magia przyciągnęła uwagę Reda.

Dziedziec Jacoba Reda...

Twierdził kiedyś, że nie pomagał w eksperymentach.

Najwyraźniej jednak wiedział przynajmniej o części z nich.

Caleb wypuścił jej dłoń. Chciał się odsunąć, ale oparła czoło o jego ramię. Myślała o tym, jak pewnego dnia zszedł do laboratorium. O tym, co tam zobaczył. O tym, czego najwyraźniej nie wiedział: może Jacob

Red odgadł, że uczeń tego nie zaakceptuje.

– Dlaczego go tak nienawidzisz? Boisz się? – spytała cicho, nie unosząc głowy. Red był potworem. Zasługiwał na śmierć. Na wszystko, co najgorsze. Mogła uwierzyć, że Caleb obrócił się przeciwko niemu, kiedy zrozumiał, że w podziemiach jedna śmiertelnie chora osoba nie umierała, by wyleczyć sto innych. Że ludzie byli tam torturowani i ginęli, aby zaspokoić ciekawość i pragnienie wiedzy, mocy. Mogła pojąć nawet, że zaczął się wtedy nauczyciela bać, że wściekł się z powodu zdradzonego zaufania i że zabiło to tę nieomal synowską miłość... Nie sądziła jednak, by chodziło tylko o to. Strach Caleba, gdy zobaczył widmo nauczyciela, był zbyt mocny. Nienawiść, która mimo tego strachu pchnęła go do pościgu za żywym, nazbyt gorąca. – Bo był mordercą?

Blythe westchnął w jej włosy, otoczył Jagodę ramieniem.

– Powiedziałem, że był subtelny. Ale to nie wyklucza... pewnej bezwzględności, Jaga. Manipulacji, słowami, postępowaniem, lecz także magią. Dużo później zrozumiałem, co dokładnie robił, i wcale mi się nie podoba, że mnie tak potraktował... ani że wtedy na to pozwalałem. A kiedy Maya uciekła, domyślił się, kto jej pomógł, i zapewniam cię, że nie był z tego powodu ucieszony. Nie miał pojęcia, że poszedłem do Scotland Yardu, bo Thomas trzymał to w ścisłej tajemnicy, ale odpowiedziałem za jej ucieczkę. Miałem spore szanse zostać kolejnym obiektem eksperymentalnym.

Omów nie parsknęła mu w kołnierz, gdy wspomniał o manipulacji. Zdołała się powstrzymać, ale nie mogła pozbyć się myśli, że przynajmniej w tym przypominał swojego nauczyciela. Z manipulacją radził sobie naprawdę doskonale.

– Nigdzie nie jadę, Caleb.

– Nie możesz tu zostać.

– Wywalisz mnie za próg, żebym została aresztowana i wyjawiała wszystkie wasze tajemnice? – spytała retorycznie. To znaczy, oczywiście, te, których nie zdołali wyciągnąć z Marka... – Twierdzisz, że będzie chciał mnie dopaść? Albo jako obiekt doświadczalny, albo dlatego, że macie tę waszą skomplikowaną relację miłości i nienawiści? Jeżeli faktycznie będzie tak zdeteminowany, a ja zniknę, dopadnie moją rodzinę. Nie wspominając o tym, że jeśli tu zawiedziecie, musiałabym ukrywać się do końca życia. A i że cokolwiek będzie robić Red, to na pewno nic miłego. Może teraz skupia się na czymś innym, ale prędzej czy później spróbuje czegoś w rodzaju przejęcia władzy nad światem.

– Nie przydasz się tutaj – oświadczył brutalnym tonem, odsuwając ją od siebie. – Po co mi wiedźma kłątów?

Uśmiechnęła się do niego. W bezpośredniej, zwłaszcza nieprzewidzianej wcześniej walce faktycznie nie była najbardziej przydatną czarownicą na świecie. Ale cokolwiek planowali, w tej chwili mieli tak ograniczone zasoby, że jedno wiedziała na pewno: nie chciał jej odsyłać dlatego, że była kompletnie nieprzydatna.

– Sam wiesz, że niektóre klątwy są bardzo potężne. A was jest zaledwie kilkoro. Nigdzie. Się. Stąd. Nie. Ruszam. Jasne?

Tym razem to on dość długo milczał, namyślając się nad odpowiedzią. W końcu pokręcił głową zrezygnowany.

– Mówił ci już ktoś, że miewasz samobójcze skłonności?

– Raz czy dwa.

– Porozmawiamy o tym rano – powiedział wreszcie. – Jest druga w nocy. Powinniśmy odpocząć, dopóki jeszcze możemy.

– Rano nic się nie zmieni – stwierdziła, ale się zawahała. – Sądzisz, że będę mogła dać znać... rodzinie? Cholera wie, co do nich dotrze.

– Pomyślimy o tym. Rano – odparł Blythe. – Chodź tutaj.

– Mówiłeś o odpoczywaniu – przypomniała.

Caleb zaśmiał się cicho i pociągnął ją lekko, tak, że oboje padli na łóżko.

– Ciągłe mówię – mruknął jej do ucha i sięgnął po koc. – Jeżeli zejdziesz na dół, możesz obudzić Evana albo dziewczyny. Po prostu śpij. Obiecuję być grzeczny.

*

Dom Caleba na obrzeżach Ragnarfell był niewielki i pilnie domagał się remontu. Chroniły go jednak

liczne czary, leżał też daleko od innych zabudowań: póki nie palili po zmroku wszystkich świateł i starali się nie wychodzić na zewnątrz, istniało znikome prawdopodobieństwo, że ktoś zauważy ich obecność. Przez następne dni z budynku wyszli tylko Caleb i Eleanore, oboje wprawni w zakłęciach maskujących.

Wieści, jakie przynieśli, nie były pokrzepiające. Udało się im wprawdzie skontaktować najpierw z Aidenem, a potem z Thomasem Dohertym – Red wciąż nie miał pojęcia, że ten zna prawdę – ale na tym kończyły się pozytywne informacje. Caleb Blythe był oficjalnie poszukiwany pod zarzutem zabójstwa Iana Torwella i ataku na Michaela Thunderbirda. Eleanore, Maya, Evan i Lane – podejrzani o współudział. Uwzględnienia Benetta Jagoda początkowo nie rozumiała, ale dotarło do niej, że i to był staranny zabieg Thunderbirda. Wprawdzie nie przedstawiano śmierci Iana jako elementu wieloletniej serii, lecz w Scotland Yardzie pracownicy je łączyli. Ukrywając, że Bennett, którego ciało znikło, zginął, Michael tworzył wrażenie, że to on miał być kolejną ofiarą – i po raz drugi umknął przeznaczeniu.

Za pierwszym razem, tego Jagoda była już pewna, sam pozbył się Anne Thunderbird, która zapewne zaczęła zbyt wiele podejrzewać. W końcu musiała doskonale znać swojego prawdziwego brata. Przy okazji po mistrzowsku odsunął od siebie podejrzania.

Za to fakt, że ona nie znalazła się na tej liście, paradoksalnie zamiast cieszyć, raczej ją niepokoił. To nie mógł być przypadek. W przypadku Jacoba Reda nic nie było przypadkiem.

Marek żył, przynajmniej do niedawna, ale nawet Thomas nie wiedział, co się z nim dzieje – lub nie chciał się tą wiedzą podzielić. W Madainn ūr trwały przesłuchania i przeszukania, w każdej chwili spodziewano się też wniosku o konfiskatę firmy.

Jeżeli chcieli kiedykolwiek wrócić do normalnego życia, musieli udowodnić, że Michael Thunderbird był zamieszany w sprawę. Raczej nikt nie dałby wiary wspomnieniu Jagody. Do tego nie mieli pola manewru. I obserwując Caleba, Jagoda coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że nie taką drogę chciał obrać. Planował raczej ponowić, tym razem ostrożniej, raz już podjętą próbę usunięcia swojego nauczyciela z tego świata, chociaż było to ryzykowne i mogło zakończyć się na jeden z trzech sposobów: śmiercią, aresztowaniem albo ucieczką i wiecznym ukrywaniem. Może nie dla nich wszystkich, jeżeli zrealizuje ten plan sam, a sądząc po tym, jak zbywał Mayę i Evana, mógł mieć właśnie taki zamiar, na pewno jednak dla niego.

Uczeń Czarnoksiężnika w oczach świata stanie się wreszcie nie tylko domniemanym, lecz i faktycznym dziedzicem swego mistrza.

Sytuacja była zła, a ciasnota w domu tylko podsyciała napiętą atmosferę. Evan, który dochodził do siebie powoli pod opieką Eleanore, nie mógł pogodzić się z nakazem leżenia, marudził i prowokował kłótnie. Erin wciąż wściekała się na Caleba i nie próbowała się z tym kryć. Obie siostry źle zniosły też śmierć Benetta i w rezultacie krążyły chmurnie po domu, a jeżeli już się odzywały, to rzadko uprzejmie.

W najgorszym stanie była Maya. Powrót Reda, śmierć Lane'a, ukrywanie się, to wszystko wyraźnie ją przerastało. Pochmurna i jeszcze cichsza niż panny Donnelly, większość czasu spędzała skulona na swoim łóżku. Jeżeli wychodziła, mierzyła Jagodę spojrzeniem, w którym kryła się już nie tylko niechęć, lecz wręcz nienawiść. Może szukała winy w wiedźmie. A może chodziło o to, że pierwszego ranka w Ragnarfell, gdy Jagoda i Caleb zeszli z piętra, niedługo przed świtem, Maya już kręciła się na dole.

Nie chodziło o to, że Jagodzie było wstyd. Ani że nie mogła znieść wrogości Mayi. Bała się raczej, dokąd to uczucie zaprowadzi. W połączeniu z tym, co spotkało czarodziejkę w ostatnich dniach, mogło sprawić, że ta zrobi coś... bardzo głupiego. Jej przyjaciele sami zmagali się teraz ze zbyt wieloma problemami, by mogli pomóc Mayi. Gdy Jagoda obserwowała ich z boku, miała wrażenie, że wszyscy są poturbowani, że każde z nich potrzebuje wsparcia. A ona nie mogła go zaoferować. Na przeszkodzie stało nie tylko to, że ledwo ich znała, ale też jej charakter. Nawet wyciągnięcie ręki do Caleba przyszło Jagodzie z trudem. Jak miałyby się przedrzeć przez zniecierpliwienie Evana, kolczasty charakter Eleanore czy ściany złości otaczające Erin?

Milczała więc. Przez siedem dni, gdy Caleb i Eleanore znikali, Maya zamykała się w pokoju, a ponury Evan odpoczywał na kanapie, Jagoda szła na poddasze. Tam pochylała się nad wiekową księgą wyniesioną z domu prababki i całymi godzinami tkła nici kłatw. Zaplatała je wokół przedmiotów – przekleństwa, jakich nie odważyłaby się przygotować w Warszawie. Nie wiedziała, czy się przydadzą, i nie miała szans przygotować ich zbyt wiele – bo taka praca była czasochłonna i męcząca – ale w końcu sama zdecydowała się tu zostać. Mimo że Caleb chciał ją odesłać. Chociaż Sonia, której przedstawiła sytuację bardzo ogólnikowo i którą ostrzegła, by była ostrożna, chciała, by Jagoda wróciła. Musiała więc coś zrobić, by udowodnić nie innym, lecz samej sobie, że może pomóc. Poza tym pozwalało to zająć czas. Odsunąć myśli od tego, co było, co jest i

co nadejdzie, gdy skomplikowana kłątwa wymagała całej jej uwagi. Wreszcie te eksperymenty na swój sposób Jagodę cieszyły. Zawsze unikała tkania tych naprawdę niebezpiecznych przekleństw, by nie mieć kłopotów... i by sięgając po nie, z czasem nie zapragnąć więcej.

Oscyłowała na granicach swoich możliwości. Może nawet spróbowałaby je przesunąć, gdyby miała więcej składników i... więcej przestrzeni. Gdy jednak Caleb pierwszy raz podniósł ją z podłogi swojego pokoju, gdzie zasnęła zaraz po utkaniu kławy, zasugerował, by nie przesadzała. Za drugim razem był mniej subtelny i chyba poprosił Erin, by ta jej pilnowała. Szóstego dnia ich bytności w Ragnarfell panna Donnelly zapędziła Jagodę do pomocy w przygotowywaniu eliksirów ze składników zdobytych przez Eleanore. Evan wreszcie doszedł do siebie i też próbował pomagać, chociaż właściwie bardziej przeszkadzał. Oboje zachowywali się jednak niemal normalnie: trochę już przyzwyczajeni do sytuacji, trochę – być może – wiążąc nadzieję ze spotkaniem Blythe'a z Aidenem. I to sprawiło, że Jagoda prawie mogła pozwolić sobie na ulgę.

Przedwcześnie.

Gdy Caleb wrócił nad ranem, nie tylko przyprowadził ze sobą Aiden, lecz także przyniósł wiadomość o śmierci przewodniczącego Izby Magicznej. Oficjalnie doszło do wypadku. Nieoficjalnie już szerzyły się plotki, że odpowiadał za to Uczeń Czarnoksiężnika. W rzeczywistości zapewne przewodniczący stał się trzecią tegoroczną ofiarą Jacoba. Red wciąż musiał dokończyć czar i zapewne powtarzać go jeszcze przynajmniej przez kolejne dwa lata. Może dotąd siedział cicho właśnie w oczekiwaniu na ten moment, a teraz zmusili go do przyspieszenia planów.

Najbardziej prawdopodobnym kandydatem na kolejnego przewodniczącego był Michael Thunderbird.

*

Niebo przybrało najpiękniejszy odcień błękitu, niezakłócony przez choćby najmniejszą chmurę, a słońce po raz pierwszy od dawna przygrzewało tak, że nie potrzeba było płaszczy. Erin otworzyła okno, wpuszczając powietrze pachnące już wiosną. W ogrodzie śpiewały ptaki, a wiatr poruszał gałęziami jabłoni w ogrodzie: pojawiały się na niej pierwsze zielone pąki.

Nikt w pokoju nie poddawał się wiosennej atmosferze. Eleanore przysiadła na kuchennym blacie. Machała nogami niby mała dziewczynka, ale minę miała zaciętą. Erin usadowiła się obok Evana: z jego postawy emanowało napięcie. Maya, skulona na fotelu, chociaż ostatnie godziny spędziła, śpiąc lub udając, że śpi, wyglądała na przemęczoną. Pod jej oczyma widniały ciemne sińce, skóra była blada i Jagoda, która przyjrzała się jej dokładnie pierwszy raz od paru dni, zdumiała się, jak bardzo dziewczyna schudła. Nie odzywała się, odkąd wyszła z pokoju.

– ...sam Michael Thunderbird nie żyje, a to oznacza, że można przywołać jego ducha – wyjaśniał Aiden. Białowłosy chłopak stał nad stolikiem, na którym rozpostarto plan Donlonu. – Caleb zdołał zdobyć kilka należących do niego rzeczy...

– ...oraz tę krew, która została na moim ubraniu – mruknął Blythe.

Opierał się o parapet, spoglądając nie na nich, lecz na widok za oknem.

– Ponieważ jednak, po pierwsze, nie możemy zbliżyć się do ciała, po drugie, samo ciało od lat ma innego... lokatora, czyni to całą procedurę...

– ...trudną? – podsunęła Erin, gdy Aiden zawahał się, jakby szukał odpowiedniego słowa.

Chłopak uśmiechnął się do niej z zakłopotaniem.

– Przywołanie ducha zawsze jest trudne. W tym przypadku... właściwie niemożliwe.

– W takim razie o czym w ogóle rozmawiamy? – spytał Evan z irytacją. – Nie powinniśmy raczej planować, w jaki sposób usunąć tego drania?

– I przy okazji na wieczność utknąć na liście poszukiwanych przestępców? – spytała Eleanore zgrzytliwym tonem.

Mężczyzna nie odpowiedział, ale obrzucił ją niechętnym spojrzeniem.

– Rozmawiamy o tym, bo można uczynić tę procedurę... trochę mniej nieprawdopodobną – powiedział Aiden pospiesznie, jakby przeczuwał wiszącą w powietrzu kłótnię. – Nad tym pracowałem w ostatnich dniach. Nad znalezieniem sposobu na wzmocnienie rytuału.

– Te można zwykle wzmocnić przez odprawienie ich w odpowiednim miejscu, odpowiednim czasie albo gdy się ma dostęp do dodatkowych pokładów magii i do osób władających silną magią – mruknęła Eleanore, najwyraźniej przynajmniej już częściowo wtajemniczona w plany. – Nie mamy odpowiedniej daty,

niestety, chyba że postanowimy czekać do Beltaine. Ale mamy odpowiednie miejsce, potencjalne pokłady magii i paru względnie silnych magów.

– Mamy? – zdziwiła się Erin.

Aiden pochylił się, wskazując na oznaczony na planie pałac Buckingham.

– Za trzy dni odbędzie się nadzwyczajne posiedzenie Izby Magii, na którym ma przemawiać Michael Thunderbird – wyjaśnił. – W Buckingham, jednym z rdzeni Donlonu.

– Nie. Nie ma mowy. Nie mówisz o... – zaczęła Erin.

Tym razem przerwał jej Caleb.

– Big Benie, Wieży Tower i Świątyni Westminsterkiej... odpowiedniku opactwa. Odprawienie rytuału w tych miejscach teoretycznie sprawi, że jedna osoba, przebywająca w pałacu Buckingham, będzie mogła go dokończyć. Bez konieczności zwracających uwagę przygotowywać.

Jagoda nerwowo przygryzła wargę. Zdążyła przeczytać dość informacji o Donlonie, aby w pełni rozumieć, dlaczego to był szaleńczy plan. I nie chodziło tylko o to, że rytuał mógł się nie powieść. Odprawienie jakiegokolwiek rytuału w Świątyni było trudne, w Wieży niebezpieczne, a w Big Benie niemal samobójcze.

– Poproszę plan B – zażądała Erin.

– Spróbuję zabić Jacoba sam – odparł Caleb takim tonem, jakby mówił o pogodzie. Wreszcie obrócił się ku nim. – Właściwie do tego też się przygotowuję. Tak na wszelki wypadek. Jest to kuszące wyjście, niestety, Jacob na pewno właśnie tego się spodziewa. A chociaż to on stworzył teorię, wedle której magia Donlonu oscyluje wokół tych miejsc i można ich użyć do wzmocnienia magii... Wątpię, aby się spodziewał, że dam radę skorzystać z ich mocy. Nie zdążył przetestować tego w praktyce, a sam pomysł poznałem jedynie ja.

– Mógł się mylić, oczywiście – wymruczała Eleanore, piętą uderzając o drzwiczki szafki. – Ale, co niechętnie przyznaję, Red rzadko się mylił w swoich teoriach. W dodatku Cale już tego w pewnym sensie próbował, gdy szukał śladów klątwy w Donlonie.

– Co się stanie, jeżeli nam się uda? – spytał Evan, wpatrując się w plan.

– Jeśli będziemy mieli szczęście, Michael Thunderbird odzyska swoje ciało. Oczywiście umrze dość szybko, ale Jacob Red odejdzie na dobre. Jeżeli będziemy mieć mniej szczęścia, dojdzie do kolizji dusz i zostanie przywołany na oczach wszystkich zgromadzonych w Izbie, a może nawet przez moment niektórzy bardziej utalentowani przekonają się, że z ciałem Thunderbirda jest coś nie tak – wyjaśnił Aiden.

– A jeśli nie będziemy mieć szczęścia wcale? – spytała Erin cicho.

– Nic nie osiągniemy.

– Albo pochłonie nas magia Big Bena.

– Do Big Bena pójdę ja – wtrącił Caleb spokojnie. – Już tam bywałem. Wyszedłem żywy raz, drugi, wyjdę i trzeci.

– No tak, zapomniałam, szalona magia, szalony ty, idealne połączenie – burknęła Erin. – Możesz tam zginać! Albo coś gorszego!

– Dam sobie radę – zapewnił. Wydawał się bardzo pewny swego. Może zbyt pewny, wnioskując po tym, że nawet Eleanore spojrzała przy jego słowach na sufit, a jej mina wyrażała powątpiewanie. – Ty i Eleanore dostaniecie Świątynię Westminsterską, jeżeli to cię uspokoi.

– Ani trochę – oświadczyła Erin, odruchowo zerkając z niepokojem najpierw na Evana, a potem na Mayę. – Czyli do Tower...

– Pójdą Evan, Maya i Jagoda, owszem. Aiden, jako nasze medium i przy okazji jedyna poza Jagą nieposzukiwana oficjalnie osoba w tym towarzystwie, odprawi główną część rytuału w pałacu. Thomas zgodził się pomóc go wprowadzić.

Maya i Evan: akurat ta dwójka, która prawdopodobnie nie lubiła jej najbardziej. Jagoda jednak nie zamierzała protestować. Za takim podziałem zapewne coś stało. Być może Blythe kierował się tym, kto ma największe szanse poradzić sobie w danym miejscu. Albo nieprzypadkowo w każdej z grup znajdował się ktoś, kto potrafił kształtować magię.

– Idę z tobą – oświadczyła Maya, po raz pierwszy zabierając głos. Twarz miała zaciętą. – Nie możesz sam odprawiać rytuału w Big Benie.

– May...

– Tak albo wcale – wycedziła dziewczyna. – Przy takich rytuałach rzucający jest właściwie bezbronny.

Ktoś musi cię pilnować. Evan poradzi sobie w Tower. Jej demoniczność mu nie straszna.

Evan sprawiał wrażenie, jakby chciał zaprotestować, ale ostatecznie tylko mruknął coś pod nosem. Caleb w pierwszej chwili zmarszczył brwi, kiedy jednak spojrzał na Mayę, wyraz jego twarzy jakby złagodniał. Też musiał dostrzegać, że dziewczyna źle wygląda.

– Porozmawiamy, kiedy tu skończymy – obiecał, po czym powiódł spojrzeniem po zebranych. – Jeżeli ktoś ma jeszcze jakieś wątpliwości, to jest moment na ich wyrażenie. Jeśli ktoś chce się wycofać, niech to powie teraz, a znajdziemy zastępcę. Są dwie osoby, które mogą w tym celu ściągnąć do Anglii, ale nie chcę ryzykować, póki to nie jest konieczne.

Wszyscy milczeli. Erin westchnęła, głębiej zapadając się w kanapę, ale też nie zaprotestowała. Szaleństwo, pomyślała Jagoda i przymknęła oczy. Szaleństwo, na które każdy z nich był skłonny pójść. Może dlatego, że w tym pomieszczeniu zgromadzono te osoby, które albo najbardziej na świecie nienawidziły Jacoba Reda, albo całkowicie ufały Calebowi Blythe'owi.

Uniosła powieki, tknięta tą myślą, bo przecież tak naprawdę nie zaliczała się do żadnej z tych kategorii. Nigdy nie uważała się też za bohaterkę, która będzie narażać skórę w imię wyższego dobra.

A jednak, kiedy już wszystko się zaczęło, znów nie umiała się powstrzymać. Gdyby wycofała się teraz, a oni dali radę, wyrzuty sumienia i sny o kobietach w szklanych trumnach dręczyłyby ją do końca życia.

Trochę chodziło o to.

Trochę, bo poza tym może nie ufała Calebowi całkowicie, lecz tego zaufania miała sporo przynajmniej w pewnych sprawach, i była gotowa to dla niego zrobić.

I to naprawdę ją przerażało. Bardziej niż wizja wyprawy do donlońskiej Tower.

– Skoro tak, możemy przejść do szczegółów – powiedział Aiden. Zwinął plan, po czym zaczął rozkładać na stole kartki. – Przygotowałem szczegółowy opis samego rytuału przywołania, a Caleb i Eleanore pracują nad zmodyfikowaniem zaklęcia wzmacniającego. Mamy trzy dni na nauczenie was procedury...



ROZDZIAŁ JEDENASTY

TAK BYWA W DONLONIE

Padało w Londynie i padało w Donlonie. Donłoński deszcz był jednak inny – kształty budynków zdawały się w nim zamazywać, zmieniać, a kałuże pozostawały zaskakująco przejrzyste, odbijało się w nich jednak coś innego niż pobliskie budowle.

Tak bywa w Donlonie, wyjaśnił krótko Evan, kiedy Jagoda zatrzymała się na chwilę, by spojrzeć w kałużę: na obraz ludzi spieszących się dokądś, choć stali tu sami, na reklamy, pokrywające fasadę podobnego, ale nie identycznego sklepu obok. Może był to prawdziwy Londyn, a może jeszcze jakieś inne miejsce przywołane magią przedziwnej enklawy. Magią, którą zamierzali wykorzystać.

Jej własna twarz, dziwnie obca, mignęła na moment w odbiciu, nim się rozmyła, zastąpiona innym widokiem. Na ulicach Donlonu mogli wpaść na kogoś ze Scotland Yardu, wygląd Jagody został więc zmieniony tak bardzo, jak tylko się dało bez magii, którą ktoś wprawny mógłby wyczuć. Skrócili jej włosy o połowę i przefarbowali, a Erin, przeklinając i używając specjalnej mieszanki, zdołała je dodatkowo wyprostować. Gruba warstwa podkładu i pudru maskowała piegi. W niezbyt dobrze dobranych soczewkach widziała gorzej niż w okularach – schowanych w kieszeni płaszcza – ale ich brak w połączeniu z nową fryzurą i makijażem sprawił, że sama siebie nie poznawała. Evana, ku jego niezadowoleniu, również przefarbowano, a drobne zakłęcie lekko zmodyfikowało mu rysy twarzy.

Minęły trzy dni, podczas których musieli nie tylko opanować rytuał, lecz także nauczyć się dokładnego rozkładu budynków, do których zmierzali, i zadbać o to, aby nikt ich nie rozpoznał ani nie namierzył zakłęciami śledzącymi. Tower i Big Ben w enklawie były opuszczone, pełne dzięki magii, w ich przypadku należało więc tylko dotrzeć na miejsce... i potem w Big Benie przeżyć, a w Tower nie dać się zwieść. Świątynia Westminsterka z jednej strony stanowiła lokalizację bezpieczniejszą, z drugiej – zamieszkaną, trzeba więc było zachować ostrożność przy wchodzeniu. Między innymi dlatego Eleanore i Erin dostały kilka przedmiotów przeklętych przez Jagodę.

Jagoda i Evan wędrowali w deszczu najpierw między budynkami, później wzdłuż tutejszego odpowiednika Tamizy. Na drugim jej brzegu kłębiła się mgła. Rzeki nie dało się przekroczyć i stanowiła granicę Donlonu. Enklawa ciągnęła się nieregularnie, od południa ograniczona rzeką, od północy sięgając jakieś pół mili od Królewskiej Opery, a od wschodu... zamknięta tuż za Tower właśnie.

Evan zszedł na brzeg i zanurzył dłoń w wodzie, szepcząc zakłęcie. Jagoda przez chwilę sądziła, że coś poszło nie tak, jednak po chwili gdzieś z mgły wyłoniła się łódka. Chociaż wiedźma wiedziała, że ktoś miał ją wczoraj wypuścić na rzekę, i tak mimowolnie się wzdrygnęła. Może naczytała się za wielu legend o Arturze, ale skojarzenie łódki bez wiosel z umierającym królem odpływającym na mityczną wyspę ani trochę się jej nie podobało.

Evan wsiadł i wyciągnął rękę do Jagody, by pomóc jej wejść na pokład. Gdy usiedli, łódka sama odbiła od brzegu, kierując się na otwartą wodę, ku samej granicy mgły, aż nawet oni widzieli już tylko białe opary przelewające się z prawej i ponad nimi oraz zasłonę deszczu z lewej. Wiedźma powtarzała sobie, że to dobrze: nikt nie zobaczy, jak płyną Tamizą ku Tower. Serce biło jej jednak szybko, a lęk przed tym, że zabłądzą gdzieś we mgle, wcale nie wydawał się aż tak irracjonalny. Kiedy po podróży – która zdawała się ciągnąć w nieskończoność – ujrzeli wreszcie mury Tower, wcale nie poczuła ulgi. Żołądek ścisnął się jej z nerwów.

Dotarli.

Londyńskie Tower zasłynęło jako więzienie i miejsce kaźni. Tu trzymano Henryka IV i Annę Boleyn. Tu zamknięto i zapewne zabito młodych książąt Yorku. W swej burzliwej historii było jednak także pałacem, fortecą i schronieniem. Tu mieszkały koronowe głowy, tu umykały królowe, kiedy ich mężowie prowadzili wewnętrzne wojny. Mówiło się też, że jeżeli kruki kiedyś opuszczą Tower, Anglia upadnie.

Tutaj, w Donlonie, Tower było budowlą z daleka emanującą magią, ponurą, wyposażoną tylko w jedno wejście. Gdzieś na początkach istnienia enklawy wykorzystywano je jako więzienie, z którego nie ma ucieczki. Z czasem okazało się, że budynek aż nazbyt zasługuje na taką sławę, a cienie przesuwane się po murach i szepty rozbrzmiewające w ciemnościach nie są nieszkodliwe. W tajemniczych okolicznościach znikali nie tylko więźniowie, lecz także ich strażnicy, a z każdym rokiem magia Tower stawała się coraz silniejsza, coraz bardziej nieprzewidywalna, aż przed dwustu laty porzucono to miejsce zupełnie.

Teraz mieszkały tu tylko kruki i widma.

Czasem badacze odwiedzali Tower, by zrozumieć sekrety tutejszej magii. Bywało, że magiczna młodzież starała się dostać do środka z ciekawości albo głupoty – najczęściej jednego i drugiego. Zwykle nawet wracali żywi. Z opowieściami o duchach, krukach i kruczarce, która sprawowała opiekę nad tymi

ptakami. O głosach, rozbrzmiewających w opustoszałych salach. O koszmarach, wpędzających w szaleństwo każdego maga na tyle nieostrożnego, aby tutaj zasnąć. O echach dawno przebrzmiałych rozmów. O widmach strażników mijających przybyszy obojętnie, jakby ich nie dostrzegali.

Zawsze wracali bez odpowiedzi, po które przyszli.

I czasem – na tyle często, by nie mógł to być przypadek, ale na tyle rzadko, by nie odstraszyć wszystkich ciekawskich – ktoś zniknął. Mówiono, że poddał się magii Tower. Że uległ duchom i postanowił zostać tu wraz z nimi.

Jagoda była wściekle pewna, że żaden duch nie zdołałby jej przekonać do zamieszkania w tym miejscu. Obawiała się jednak, że mogą uciekać się do bardziej bezpośrednich środków przekonywania niż słowa czy nawet omamy. Kiedy wychodzili z łódki na brzeg, a magia Tower ją musnęła, z oddali zaś dobiegły nawoływania kruków, gorzko pożałowała swojego uporu.

– Przestraszona? – spytał Evan, wyrывая Jagodę z rozmyślań nad własną głupotą.

On nie wyglądał na przerażonego, a dotąd nie dał się poznać jako ktoś, kto szczególnie dobrze maskuje swoje uczucia. Pomyślała, że może bywał już w bardziej upiornych miejscach i to stąd ciemne plamy w jego aurze.

– Nie powinnam się bać?

– Powinnaś – przyznał. – Może dzięki temu nie zrobisz nic głupiego. Trzymaj się blisko i rób, co mówię, a wszystko pójdzie dobrze.

Ruszył do wejścia. Chociaż Caleb twierdził, że będzie ono otwarte – to wyjście miało być problematyczne, nie dostanie się do środka... – Jagoda podświadomie spodziewała się bramy zatrzęsniętej na głucho i opuszczonej kraty. Blythe miał jednak rację. Bez przeszkód pokonali zarówno pierwszy, jak i drugi mur, i tylko coś zaiskrzyło pod ich stopami, jakby aktywowali zakłęcie. Poza iskrami nie było żadnego innego efektu. I chociaż wiedźma czuła, że magia wypełnia to miejsce, a w deszczu opustoszały dziedziniec, w przeciwieństwie do swojego londyńskiego odpowiednika martwy, pozbawiony choćby żdźbła trawy, robił ponure wrażenie, nie dostrzegła żadnych duchów, cieni ani widm strażników w czerwono-granatowych mundurach.

Były tylko kruki. Dziesiątki, setki przemoczonych kruków spoglądających na nich z murów i z dachu Białej Wieży. Jagoda była pewna, że nie mogą to być zwykłe ptaki.

Nie ruszajcie kruków, zapisano w notatkach, jakie dostała, nim tu przyszli. To zdanie podkreślono i zakończono trzema wykrzyknikami. Legenda o krukach z Tower w przypadku Donlonu mogła być aż nazbyt prawdziwa... Jagoda oderwała spojrzenie od ptaków i ruszyła za Evanem. Przyspieszyła, gdy do jej uszu dobiegł śmiech dzieci, chłopców. Jeśli usłyszycie coś dziwnego, zignorujcie to, stało w zapiskach, Jagoda więc nie obejrzała się, chociaż kark ją mrowił, jakby ktoś ich obserwował.

Ktoś.

A może coś?

Czasem podobnie czuła się w Bromierzyku, zwłaszcza o zmierzchu i nocą. Tu wrażenie było jednak stokroć silniejsze. Jakby wokół krążyła jakaś niewidzialna siła.

Istnieje prawdopodobieństwo, że nic się nie stanie. Nic nie zobaczycie, nic nie usłyszycie. Żadnych duchów, żadnych widm. Najczęściej ludzie widzą je, jeżeli spędzą w Tower trochę więcej czasu, a wy przy odrobinie szczęścia znikniecie po godzinie. Będzie tylko magia. I kruki, oczywiście.

– Tędy – mruknął Evan, gdy dotarli do budynku.

Szarpał się przez chwilę z klamką, aż wreszcie ustąpiła i wpuściła ich do tonącego w półmroku wnętrza. Atmosfera tego miejsca zaczęła chyba działać też na niego, bo chociaż mieli jeszcze spory zapas czasu, przyspieszył tak, że Jagoda musiała niemal biec, aby dotrzymać mu kroku. Prowadził do miejsca, gdzie w zwykłej Tower znajdowałyby się kaplica Świętego Jana. Otworzył drzwi i Jagoda przeszła przez próg pierwsza. Kamiennie, pozbawione ozdób filary podtrzymywały łukowate sklepienie. W centralnej części kaplicy sufit znajdował się dużo wyżej. Przez wąskie, zaokrąglone u góry okna do środka wpadało niewiele światła. Zamiast ołtarza stał tu pusty, kamienny tron; nic więcej. Żadnych sprzętów. W Donlonie nie odprawiano mszy i nigdy nie gromadzili się tutaj wierni.

Istnieje jednak szansa, że ta magia będzie płatać figle. Nie dajcie się jej omamić. To najważniejsze.

Drzwi z hukiem zatrzęsnęły się za Jagodą. Obróciła się ku nim i spróbowała je otworzyć, nic to jednak nie dało. Usłyszała najpierw walenie, a potem przekleństwo Evana. Oparła dłonie o drzwi, próbując wyczuć,

jaka moc uniemożliwiła ich otwarcie, wokół jednak było o wiele za dużo magii, aby Jagoda potrafiła odróżnić pojedyncze nici, niebędące klątwą.

Nie używajcie niepotrzebnie zaklęć, doradzał Caleb. Jak miała otworzyć te cholerne drzwi bez zaklęć?
– Witaj – odezwał się gdzieś za nią ochryply głos.

Odwrociła się gwałtownie, odruchowo przywierając plecami do drzwi, a między palcami zaplatając przekleństwo. Zza jednego z kamiennych filarów wyszła postać w ciemnej sukni z piór.

Jedyną... istotą, która ma ciało i mieszka w Tower, jest Kruczarka. Opiekuje się krukami. Spróbujcie się do niej nie zbliżać. Rzadko zaczepia ludzi. Jeżeli to robi, nie prowokujcie jej. To nie tak, że jest zła. Ale ma pomieszane zmysły i jest cholernie silna.

Podobno kiedyś była zwykłą czarodziejką, ale z niewiadomych powodów zamieszkała w Tower i chociaż nie umarła, odmieniła ją magia Donlonu.

Zwykle jest nieszkodliwa, jeżeli się jej nie sprowokuje.

Spróbujcie się do niej nie zbliżać, powtórzyła w myślach Jagoda. Świetna, kurwa, rada. Ze wszystkich miejsc we wcale niemałym kompleksie Kruczarka musiała znaleźć się akurat w tym, w którym powinni odprawić rytuał.

– Dawno nie mieliśmy gości. Od roku? A może od trzech lat? Albo od tygodnia? – zastanawiała się Kruczarka, podchodząc bliżej.

Dopiero gdy znalazła się jakieś dwa metry od Jagody, czarodziejka zauważyła, że ramion i dłoni kobiety wcale nie zakrywały rękawy sukni. Wprost z jej skóry wyrastały pióra.

Coś trzasnęło w drzwi, ale te pozostały zamknięte. Jagoda odsunęła się od nich wreszcie, starając utrzymać odległość od kobiety.

Jeżeli się pojawia, zwykle milczy. Obserwuje z daleka.

– Nie odezwiesz się? To niegrzeczne, ignorować gospodynię.

Gospodyni miała ignorować mnie, pomyślała Jagoda, gorączkowo zastanawiając się, co, do cholery, zrobić. Instruowano ich, że jeżeli ją zobaczą, najlepiej zrobią albo szukając innego przejścia, albo czekając, aż istota odejdzie.

Nikt jednak się nie spodziewał, że będzie w kaplicy.

– Dzień dobry – wykrztusiła wiedźma.

Usta Kruczarki, blade i popękane, rozciągnęły się w uśmiechu. Jagoda zwinęła palce, formując drugie przekleństwo, bo tknęła ją myśl, że właściwie ci, którzy tu znikli, nie mieli okazji nikomu powiedzieć, co ich spotkało. Może nie chodziło o żadne duchy, które przekonywały do zostania w Tower.

Może Kruczarka wcale nie była taka nieszkodliwa, jak się wydawało.

– Faktycznie dobry?

Na pewno nie dla mnie, miała ochotę odpowiedzieć Jagoda.

– To chyba zależy od punktu widzenia – mruknęła zamiast tego.

Wciąż się cofała, powoli minęła wreszcie pierwszy z filarów, a kruczka czarodziejka wędrowała w ślad za nią.

– Czego szukacie w moim domu?

Jagoda milczała. Nie miała dobrej odpowiedzi. Kazano jej nie prowokować Kruczarki, a czuła, że zarówno prawda, jak i kłamstwo mogłyby się taką prowokacją stać. Kobieta przechyliła gwałtownie głowę na bok, tak że jej ucho niemal dotknęło ramienia, w pozycji, która powinna być niewygodna dla człowieka.

– Przygody? Szybszego bicia serca, opowieści o cieniach, o głosach w murach? Wiedzy? O tym, co było kiedyś, co jest w magii śpiewającej w ziemi i niebie miasta, co będzie poza końcem drogi? Mocy? Och. Nie. Nie odpowiadaj. Widzę. Moc. Pragniesz mocy, czarownico? W Tower możesz znaleźć ją i jeszcze więcej.

Kruczarka przyspieszyła, wyciągnęła dłoń – zakończoną szponami, nie paznokciami – a Jagoda obróciła się szybko, umykając dalej, tym razem w stronę okna. Zaklinała w myślach Evana, by pospieszył się z forsowaniem drzwi. Bo wyglądało na to, że jednak będą musieli stawić czoła Kruczarce, jeżeli chcieli odprawić rytuał.

I na jej pokonanie mieli jakieś cholerne piętnaście minut.

– Nie szukam tu żadnej mocy! – krzyknęła, gdy dopadła filara po drugiej stronie. Spojrzała ku oknu i zastanowiła się, czy z rozbiegu zdoła wskoczyć na parapet. Tyle że ucieczka stąd niczego nie rozwiąże.

Zaraz jednak przekonała się, że i tak by się jej nie udało. Za oknem mignęły krucze skrzydła. Nie tylko

za tym jednym, dostrzegła je też za kolejnym.

– Czego więc? – spytała Kruczarka, zatrzymując się dokładnie w momencie, w którym Jagoda już-już miała wypalić w nią klątwę. Nieprovokowanie nieprovokowaniem, ale nie zamierzała dać się rozedrzeć na strzępy.

– Sposobu na pozbycie się pewnego bardzo paskudnego czarnoksiężnika, który dziś prawdopodobnie dosłownie przejmie władzę nad Donlonem – odpowiedziała szczerze.

Oparła się jedną ręką o filar, gdy palce drugiej wciąż tańczyły, tkając magię. Nie spuszczała wzroku z kruczej czarodziejki. Miała obawy, że „powstrzymanie paskudnego czarnoksiężnika” nie wyda się jej ważną sprawą. Nie, skoro sama mieszkała w nawiedzonym pałacu.

– Widziałam cię z nim.

– Mamy na myśli tego samego paskudnego czarnoksiężnika? – spytała Jagoda zbita z tropu.

Widziała Kruczarkę, gdy wychodziła na ulicę z Evanem. Ta mogła też zobaczyć ją gdzieś z Calebem, ale... Michael czekał na nich przed Scotland Yardem...

– Powinien być tutaj. Jego duch. Jego cień. Od dawna. Nie chce przyjść – powiedziała Kruczarka. Podeszła bliżej i wychyliła się zza kolumny, a choć nie wyciągała już ku wiedźmie szponów, ta znów cofnęła się o krok. – Psuje pieśni Donlonu. Falszywe dźwięki w pieśni Tower. Słyszysz? Da du di, zgubiony rytm. Zabił kiedyś mojego kruka.

– Jacob Red?

– Miał przyjść do Tower, gdy umrze. Chciał magii Tower. Myślał, że nie wiem, że zabił kruka. Że nie pamiętam... ale ja pamiętam wszystko.

Skoczyła ku Jagodzie tak szybko, tak nagle, że wiedźma ledwo umknęła. Wpadła na ścianę, a Kruczarka już była obok, opierając się o mur i wbijając w Jagodę spojrzenie ciemnych oczu. Szpony zacisnęły się na ramieniu wiedźmy, dość mocno, by przebić płaszcz, nie dość, by sięgnąć skóry.

– Wypuściłam go. Jeżeli wróci. Zapłaci za kruka. Nie wrócił. Chce więcej magii. Magii Donlonu. Myślał, że zapomnę? Odesłesz mi go tutaj, wiedźmo?

– N... nie wiem – odparła, nie odważywszy się drgnąć. – Chcemy go... zabić? Odesłać? Nie wiem, czy do Tower. Nie wiem nawet, czy mówimy o tej samej osobie.

Miała cholerną nadzieję, że tak. Że istota nie ma na myśli Caleba. Zabił kruka. Chciał magii Tower. Miał tu przyjść, gdy umrze.

– Psuje pieśni – powtórzyła Kruczarka. – Tworzy własną. Chce pieśni Donlonu, całej dla siebie.

Początkowe obawy Jagody opadły, zastąpione przez irytację. Wiedziała, że nie może lekceważyć istoty, ale ta z każdą kolejną chwilą jawiła się jej jako mniej straszna, za to bardziej szalona.

– Ja chcę jedynie odprawić tu rytuał, który wypchnie go ze skradzionego ciała – powiedziała Jagoda. A potem sięgnęła ręką po dłoń Kruczarki i odciągnęła od własnego ramienia. O dziwo, okazało się to łatwe: kobieta była szybka, ale jej ręka była delikatna, krucha, jakby kości mogły pęknąć przy najlżejszym uderzeniu. Może Jaga postępowała głupio, czas jednak uciekał, a ptasia czarodziejka wyraźnie nie zamierzała jej po prostu zignorować. Wiedźma zerknęła na zegarek. – I mam na to jeszcze... całe dziesięć minut.

– Zabije kruki.

– Nie mam zamiaru zabijać żadnych kruków – odparła z całym spokojem, na jaki było ją stać. – Pozwól nam przeprowadzić rytuał i stąd znikamy.

– Zabierzesz mu ciało. Wróci do Tower. Wróci do cienia.

– Na pewno spróbujemy.

– Obiecuj. Pomogę. Kruki pomogą.

– O nie. Żadnych więcej obietnic – stwierdziła Jagoda stanowczo. – A już na pewno nie potwierdzonych magią.

– Zwykła obietnica – powiedziała Kruczarka. – Kruki cię znajdą, jeżeli ją złamiesz.

– Może poproś Evana? – zasugerowała. – Jest o tam, za drzwiami. Odciełś go ode mnie. Bardzo mu zależy, żeby pozbyć się tego człowieka.

– Mężczyzna – parsknęła Kruczarka. – Miałam kiedyś mężczyznę. Zranił mnie. Nie dotrzymał obietnicy. Rozdziobały go kruki. Miałś kiedyś takiego mężczyznę, wiedźmo?

– Jestem orędowniczką bezkrwawych rozstań – powiedziała Jagoda, walcząc z wizją ptaków, które rozdziobują człowieka. Chyba jednak faktycznie powinna bardzo, bardzo uważać na to, by nie zdenerwować

mieszkanki Tower.

– Obiecay.

Znów zerknęła na zegarek. Wskazówki przesuwają się nieubłaganie.

Siedem minut.

– Mogę obiecać, że spróbuję pozbyć się Jacoba Reda. Tego martwego, którego duch tkwi w żywym ciele.

Bezkrwiste wargi Kruczarki znów rozciągnęły się w uśmiechu.

– Próbuj. Ze wszystkich sił – powiedziała, przysuwając się do Jagody, jej ochrypły głos był niewiele głośniejszy od szeptu. – Nie ufaj duchom.

– Co?

– Przyjdą tu. Do magii. Nie ufaj duchom. Czasem są kłamstwem. Pomogłam. Pomogę. Ręka.

Gdy wiedźma nie zareagowała, Kruczarka chwyciła ją za dłoń jedną ręką. W drugiej zmaterializowało się ciemne, krucze pióro. Jego ostrym czubkiem gwałtownym gestem ukuła wnętrze dłoni Jagody, aż ta syknęła, odruchowo się wyrwijając.

– Użyj. Tylko gdy będzie baaaardzo źle – oświadczyła czarodziejka i wręczyła jej pióro.

Wiedźma cofnęła się i nagle nie było już kobiety, tylko całe stado kruków. Rozleciały się na wszystkie strony, przysiadając na parapetach, na tronie, nad filarami. Jagoda patrzyła na nie przez chwilę, nim znów rzuciła się do drzwi. Zanim zdążyła do nich dobiec, szyba w jednym z okien wyleciała, a do środka wpadł Evan.

– Co tu się dzieje, do cholery? – warknął.

Drgała wokół niego magia. Po jego twarzy i rękach spływała krew. Rozejrzał się, jakby szukał jakichś wrogów.

– Zajęło ci to trochę.

– Najpierw zatrzymały mnie duchy, potem kruki. A tu?

– Kruczarka w swej łaskawości pozwoliła na odprawienie rytuału – mruknęła Jagoda, zadzierając głowę, by znów spojrzeć na ptaki. Tkwiły w dziwnym bezruchu, obserwowały ich. – O ile pozbędziemy się Jacoba Reda.

– Co? – Evan, który już zaczął wyciągać rzeczy z torby, zamarł, spoglądając na wiedźmę. – Co Kruczarkę obchodzi Jacob Red?

– Zabił kiedyś jej kruka. Ewentualnie coś jej obiecał, kiedy tu był, i nie dotrzymał słowa. Albo chodzi o to, że psuje pieśni Donlonu. Skąd mam wiedzieć?

Wolała nie dodawać, że nie bardzo rozumie ptasią czarodziejkę, bo ta jest – tak jakby – kompletnie szalona. Nie, kiedy Kruczarka wciąż się im przypatrywała pod postacią kruka.

– Nieważne – zdecydował.

Wyszedł na środek sali i przykląkł. Kartkę z rysunkiem kręgu położył na podłodze, a potem zabrał się do kreślenia znaków, co jakiś czas sprawdzając, czy niczego nie pomylił. Rysował je kredą, a potem korzystając z tego, że już i tak został pokaleczony, dotykał linii okrwawionym palcem i napełniał krąg mocą.

Jagoda pozwoliła, by utkane klątwy się rozwiąły. Potem w milczeniu zaczęła przygotowywać drugi krąg. Ten wewnętrzny miał pomóc odprawić rytuał. Ten zewnętrzny był podstawową barierą ochronną. Wilczek nie była dość wprawna w takiej magii, aby nadać zakłęciu prawdziwie dużą moc, ale w razie potrzeby powinna ochronić ich chociaż przez chwilę.

– Zaczynaj – polecił Evan.

Wycofał się poza pierwszą linię. Podał Wilczek kartkę z inkantacją. Poza nią dysponowali jeszcze fiolką krwi Aideny, a także szalikiem, ponoć zabranym przez Doherty'ego z gabinetu Michaela. Krew Jagoda rozlała, by nakreślić w niej runę. Szalik podpaliła zapalniczką, przeklinając cicho, gdy materiał nie zapłonął przy pierwszej próbie.

Aiden zapewniał, że to on wykona główną część rytuału. Oni mieli tylko osadzić go w rdzeniach Donlonu. W teorii nie potrzeba było więc do tego żadnej wiedzy o nekromancji czy zdolności medium, a jedynie sporych pokładów magii. Jagoda miała nadzieję, że ta teoria w tym przypadku okaże się i praktyką, bo jej umiejętności i w jednej, i w drugiej dziedzinie oscyływały w okolicach zera.

Evan miał zadbać o to, by nic jej nie zaatakowało, gdy zabierze się do rzucania zaklęcia.

Zerknęła ostatni raz na zegarek, a gdy upewniła się, że nadeszła odpowiednia pora, odczytała pierwsze

słowa. Powoli, uważnie, bo chociaż ćwiczyła ich wypowiedzianie już w Ragnarfell, obawiała się, że ze zdenerwowania coś przeinaczy, a to zniszczyłoby wszystkie ich starania. Znaki w pierwszym kręgu rozbłysły magią. Gdzieś z zewnątrz dobiegło krakanie, wydobywające się z wielu kruczych dziobów, choć ptaki w środku wciąż siedziały cicho.

A potem w pomieszczeniu, już i tak tonącym w półmroku, zrobiło się jakby ciemniej. W kątach zaroilo się od cieni. Jagoda, skupiona na zaklęciu, początkowo tego nie zauważyła. Dopiero kiedy runy, które sama nakreśliła, także zabłysły, uniosła głowę i zdała sobie sprawę z tego, że ktoś zbliżał się do ochronnego kręgu.

Widmowe, półprzezroczyste sylwetki krążyły wokół. Głównie mężczyźni, ale też kilka kobiet, a nawet dzieci. Niektórzy odziani w łachmany, inni w eleganckie szaty, nikt we współczesne ubrania. Duchy z Tower. Tego z tej czy tamtej strony?

– Zignoruj je – syknął Evan i zabrał się do tkania jakiegoś czaru.

Jagoda odetchnęła i znów opuściła wzrok na litery. Gardło miała suche, ściśnięte, ale zaczęła recytować kolejny ustęp. Starła się ignorować szepty rozbrzmiewające wokół. Moc ulatywała z niej szerokim strumieniem, wnikała w runy i płynęła... gdzieś dalej.

Caleb uprzedzał, by nie rzucali zaklęć, póki nie złączą rytuału, bo to zwiększy szanse na pojawienie się widm. Kruczarka też ostrzegwała, że duchy ściągają do magii. Jagoda uważała to ostrzeżenie za raczej marną pomoc. Najwyraźniej krucza czarodziejka albo nad nimi nie panowała, albo jej panowanie miało swoje granice, skoro nie zdołała ich powstrzymać.

A może po prostu nie chciała?

– Pamiętaj, że nie mają ciała. Nic nam nie zrobią – przypomniał Evan, kiedy znaki zaczęły znikać, a Jagoda znów przerwała.

Odepchnęła od siebie myśl „czy aby na pewno?” i wróciła do recytacji. Magia Tower zdawała się na nią napierać, coraz bardziej i bardziej. Dłoń, oparta o posadzkę, jakby przyrosła do kamienia, podobnie jak kolana. Jej własna moc przenikała się z mocą tego miejsca, zaplatała i gdzieś ulatywała. Jagoda nie zwróciła nawet uwagi na to, że drugi krąg przestał istnieć, a Evan rzuca jakies zaklęcia. Widmowa dłoń przesunęła się po jej policzku, inna położyła się na ramieniu, aż przeniknął je chłód.

Runa wyrysowana we krwi Aideny rozbłysła, a Jagoda opadła na ziemię bez siły. Przez moment...

...słyszała kruki i krzyki, i słowa, i płacz, błagania, śmiech, kroki...

...widziała...

...deszcz i słońce, i mgłę...

...radość, strach, smutek, samotność, poczucie beznadziei...

Ciemność. Nieprzenikniony mrok i wieczny chłód.

...nie czuła własnego ciała i nie była już sobą, lecz częścią magii Tower: ale potem moc się rozwiązała. Jagoda zacisnęła powieki, głęboko wciągnęła powietrze. Pachniało kurzem, wilgocią, pleśnią i jeszcze czymś, trudnym do uchwycenia.

– Chyba się udało. O ile mogę to ocenić – powiedziała, otwierając powieki.

Nad sobą nie zobaczyła jednak Evana, a półprzezroczystą twarz o kanciastej szczęce, sporym nosie, wyrazistych brwiach. Ciemne oczy i ciemne włosy.

Wawrzyniec.

– Wawrzyn? – szepnęła, mimo wielkiej guli w gardle.

A on uśmiechnął się i wyciągnął rękę, jakby chciał pomóc jej wstać.

– Siostrzyczko.

Omam nie ujęła jego ręki, kierowana zarówno odruchem, jak i pragnieniem, by to faktycznie był jej brat, żywy, martwy, obojętnie. Nim jednak ich palce się zetknęły, zacisnęła dłoń w pięść i usiadła sama, bo to była twarz Wawrzyńca i jego głos, ale nie jego uśmiech. Bo jej brat umarł bardzo, bardzo daleko stąd i nie było żadnego powodu, aby znalazł się w Tower.

Bo Kruczarka mówiła, że niektóre duchy są kłamstwem.

Może jednak pomogła.

– Precz – warknęła Jagoda, kłątwa pofrunęła ku duchowi, nim wiedźma zdążyła się zastanowić, czy taką magią w ogóle może zranić umarłego. A chociaż przekleństwo chyba nie sięgnęło celu, fałszywa twarz rozmyła się, ujawniając inne obliczenie.

Ręce, tym razem jak najbardziej materialne, chwyciły Jagodę pod pachami i postawiły na nogi.

Zachwiała się, bo po rytuale nawet jedna, podstawowa klątwa wystarczyła, by zakreśliło się jej w głowie, Evan jednak ją podtrzymał.

– Musimy stąd iść. Już.

– O niczym innym nie marzę – odparła słabym głosem i pozwoliła, by czarownik pociągnął ją do wyjścia.

Duchy rozstępowały się przed nimi, ale nie znikwały, a temperatura w ich pobliżu była tak niska, że oboje, już i tak przemoczeni, szybko zaczęli trząść się z zimna. Podążały ich śladem, najpierw przez budynek, potem przez dziedziniec. Tym razem były tu też inne widma – rozmyte, ledwo widoczne, cienie strażników. Nie zwróciły jednak uwagi na Evana i Jagodę. Duchy, które dotąd wędrowały za nimi, teraz ich otoczyły.

Krata była opuszczona. Caleb ostrzegał, że tak może się stać. W teorii byli przygotowani do jej sforsowania, ale Jagoda słańiała się na nogach, widmowe ręce zaś, chwytające za ich płaszcze, włosy, ramiona, stawały się coraz bardziej natarczywe, a ich dotyk z każdą chwilą trudniej było zignorować, stawał się... coraz prawdziwszy.

Jeszcze chwila i zdołają ich zatrzymać.

Krążące nad ich głowami kruki obniżyły lot, wpadły pomiędzy duchy, kłębiące się między ludźmi a bramą, i je rozgoniły. Przy bramie Jagoda dostrzegła Kruczkę, która dygnęła niby dama, a krata sama się uniosła.

Przebiegli najpierw przez jedną, potem przez drugą bramę tak szybko, jak tylko mogli, i dopadli łódki. Evan prawie wrzucił do niej Jagodę, a potem sam wskoczył na pokład. Czarownica odetchnęła z ulgą, gdy chwilę później łódź odplynęła od brzegu.

Ulgą była jednak przedwczesna. Zdążyli przepłynąć parę metrów, gdy Jagoda zdała sobie sprawę z tego, że wciąż czuje magię. Nie tak silną jak w Tower, ale nadal... wyraźną. Tak jakby moc, już wcześniej obecna w Donlonie, stała się nagle bardziej wyczuwalna. Kiedy zadarła głowę, odkryła, że chmury przesuwają się po niebie zbyt szybko, a gdy spojrzała w dół, na wodę, zauważyła, że ta raz po raz zmienia kolor, przybierając różne odcienie szarości i niebieskiego.

– Co tu się dzieje? – spytała Evana.

Mężczyzna miał ponurą minę.

– Prawdopodobnie się nam udało – powiedział, a w jego głosie wyraźnie dało się wyczuć zaniepokojenie. – I niech bogowie mają nas w swojej opiece, bo użyliśmy magii samego Donlonu.

– Co to znaczy?

– Że powinniśmy jak najszybciej wynosić się z miasta i mieć nadzieję, że Thomas Doherty zadba o resztę.

The page features a decorative border with rounded corners and small circular accents at the corners. A horizontal line with circular end caps passes through the center of the text. The background contains faint, light gray geometric shapes, including a circle and a vertical line with a horizontal base, which appear to be part of a larger design or watermark.

ROZDZIAŁ DWUNASTY
**STRASZNIEJSZA
NIŻ JACOB RED**

Dopóki nie dotarli do jednego z przejść, Jagoda żywiła podświadomą obawę, że ono albo się przed nimi nie otworzy, albo okaże się pilnowane przez funkcjonariuszy. Nie stało się nic takiego. Opuścili Donlon, teraz jeszcze pełniejszy magii niż wcześniej, i kompletnie przemoczeni ruszyli do najbliższej stacji metra. Kierowali się do podrzędnego londyńskiego hotelu, gdzie już wcześniej Caleb wynajął dla nich pokój. Wszyscy mieli się tam zebrać. Niezależnie od rezultatów, miejsce spotkania Izby Magii było zbyt dobrze chronione, a oni po odprawieniu rytuałów nie mieliby dość sił na starcie z funkcjonariuszami czy Jacobem Redem. Evan podczas podróży zachowywał się nerwowo, a kiedy szli ulicą, co rusz poganiał Jagodę. Nie winiła go za to: nie wiedzieli, jak poszło reszcie. Większości telefonów pozbyli się dla bezpieczeństwa jakiś czas temu i nie mogli się z nikim skontaktować.

Gdy dotarli na miejsce, w obskurnym pokoju zastali siostry Donelly i Mayę. Nie było Blythe'a i Jagoda pomyślała, że Caleb wbrew pierwotnym planom prosto z Big Bena udał się do pałacu Buckingham. Big Ben leżał najbliżej jednego z przejść, Blythe powinien więc być dotrzeć tutaj pierwszy. Obawa o niego mieszała się ze złością, bo chociaż to ją oskarżał o samobójcze skłonności, sam trochę za bardzo lubił ryzyko.

Dopiero po kilku sekundach uświadomiła sobie, że Maya, zwinięta na łóżku, jest nienaturalnie biała, a Eleanore i Erin bezskutecznie próbują ją obudzić. Chwilę później dotarło do niej, że wyczuwa od Azjatki aurę klątwy.

– Wreszcie jesteś – odetchnęła Eleanore i podniosła się. – Moim zdaniem klątwa snu. Nie mogę jej zdjąć.

– Była już tutaj, kiedy przyszyliśmy parę minut temu. – Erin obejrzała się na Jagodę.

Wiedźma podeszła bliżej i przyklękała przy łóżku, ujmując chłodną dłoń uspiętej. Nie potrzebowała zbyt wiele wysilać, ani by rozpoznać naturę klątwy, ani by zidentyfikować jej autora, szczególnie że ten nie starał się maskować.

– Możesz to złamać? – spytał Evan.

Rzucił torbę na podłogę. Podeszedł bliżej, spoglądając na pogrążoną we śnie Mayę.

– Mogę, ale nie wiem, czy powinnam – odparła Jagoda i puściła rękę Mayi. Klątwa nie należała do najpotężniejszych, więc mimo wyczerpania potrafiłaby sobie z nią poradzić. Tyle że... – Utkał ją Caleb. Jakies trzy godziny temu.

– Dlaczego Cale rzucił na nią klątwę? – spytała Erin zdezorientowana.

Jagoda wzruszyła ramionami, chociaż też zadawała sobie to pytanie, a wszystkie możliwe odpowiedzi wydawały się jej niepokojące.

Mógł na przykład kombinować coś, co nie spodobałoby się Mayi.

– Jeżeli to złamiesz, może się dowiemy – zauważyła Eleanore.

Jagoda się zawahała, ale znów wyciągnęła rękę ku śpiącej czarodziejce. Nim jednak zdążyła się zabrać do likwidowania przekleństwa, drzwi pokoju ponownie się otworzyły. Na progu stanął ociekający wodą Caleb.

– Jakies wieści od Aideny? – zadał pytanie Evan, nim jeszcze Blythe zdążył zrobić krok w ich stronę.

– Czemu ją przekłęś? – spytała Erin dokładnie w tej samej chwili.

– Bo, jak sama wspominałaś, zabieranie jej w takim stanie do Big Bena to szaleństwo – wyjaśnił Caleb. Ściągnął przemoczony płaszcz. Jego oczy błyszczały, prawdopodobnie od gorączki, policzki były zaczerwienione, a w spojrzeniu czaiło się coś dzikiego. – A nie zostałyby po dobroci.

Jagoda, która wciąż klęczała przy łóżku, przez moment przypatrywała się mu w milczeniu, nim odwróciła wzrok i spojrzała na bladą twarz Mayi.

Nie tylko ona zauważyła, że z dziewczyną dzieją się niedobre rzeczy. Być może magia Big Bena faktycznie by ją pochłonęła i jeśli patrzeć na to z tej strony, Blythe miał rację.

Z drugiej, wiedźmie natychmiast na myśl przyszedł Mario Olcha, który zamknął ją w jej własnym pokoju, by nie mieszała się w walkę. Do cholery, gdyby Caleb zrobił coś takiego jej, pewnie by mu nie wybaczyła. Maya prawdopodobnie też tego nie robi. Na pewno nieprędko.

– Świetne posunięcie – syknęła Eleanore. Przysiadła na brzegu łóżku, przy nogach Mayi. – No? Co wiesz?

– Widziałem się z Aidenem – poinformował Caleb sucho. Usiadł na podłodze i oparł się o ścianę. – Przywołał ducha Michaela Thunderbirda. Przez moment Jacob... wyglądało na to, że zostanie wyrwany z ciała. Ale nie został.

– I? – ponaglił go Evan.

– W sali wybuchła panika. Nikt nie wiedział, co się dzieje. Red może zdołałby ich przekonać, że to podstęp, ale wtedy wkroczył Tom. Oświadczył, że prawdziwy Thunderbird nie żyje, a w jego ciele mieszka Red.

– Uwierzyli mu? – spytała Erin, z przejęcia przygryzając palec.

Blythe uśmiechnął się bardzo brzydkim uśmiechem, w którym nie kryła się nawet odrobina wesołości. Gdy się odezwał, jego głos był beznamiętny, niemal pozbawiony intonacji.

– Może niektórzy. Większość pewnie nie, bo musieliby przyznać, że dali z siebie zrobić idiotów, a teraz mają wielki problem. Tyle że Jacob, zapewne wytracony z równowagi przez magię, która go trafiła, nie wytrzymał. Zabił Thomasa na ich oczach.

Z ust Erin wyrwał się zdławiony okrzyk. Jagoda mimowolnie zacisnęła palce na pościeli. Coś ukłuło ją w okolicy serca, a w głowie rozbrzmiał głos Doherty'ego.

Ja chciałbym przeżyć w zdrowiu przynajmniej kolejne czterdzieści pięć lat.

Żółć podeszła czarownicy do gardła, gdy myślała o uśmiechu Thomasa, obręczce na jego palcu, udawanym przestachu, kiedy wspominał o żonie. Kolejna bezsensowna ofiara złożona na ołtarzu wielkiego planu Jacoba Reda. Człowiek, który zginął, bo postanowił pomóc Calebowi. Następny po Benecie i tym chłopaku, którego nigdy nie poznała, a o którym tylko wspominali.

– A Red? – spytała Eleanore.

Głos miała idealnie spokojny, spojrzenie skupione. Irytacja i zmartwienie znikły z jej twarzy jak starte gąbką.

– Nie wiem – odparł Caleb. – Uciekł. Po drodze zabijając jeszcze parę osób. Ścigają go. Gdybym wiedział cokolwiek więcej, już deptałbym mu po piętach.

– A czy my jesteśmy ścigani?

– Oficjalnie niczego jeszcze nie odwołano, ale wątpię, by ktoś zawracał sobie nami głowę. Możecie przestać podtrzymywać zaklęcia ukrywające.

Eleanore odetchnęła i prawdopodobnie rozproszyła magię, którą kontrowała czary mające wysledzić ją i jej siostrę. Evan mruknął coś pod nosem i Jagoda poczuła, że i z niej spadła magiczna osłona. Odkąd opuścili dom w Ragnarfell, wszyscy się pod nimi kryli, choć na dłuższą metę na pewno by zawiodły.

Długą chwilę panowało milczenie. Przerwała je Eleanore.

– Pójdę spytać, czy mają jeszcze jakiś pokój, a najlepiej dwa. Nie wiem, jak wy, ale ja z takim poziomem magii nic na razie nie zrobię. A ty, Caleb, chyba powinieneś wypić piwo, którego nawarzyłeś – powiedziała oschłym tonem. Przy ostatnich słowach wskazała na Mayę, wciąż śniącą w objęciach kłątwy. – Nie zamierzam być obok, kiedy będziesz jej tłumaczyć, co i dlaczego zrobiłeś.

*

Za pomocą hotelowej suszarki Jagoda wysuszyła włosy i przynajmniej częściowo spodnie. Wypiła kolejną paskudnie smakującą miksturę Erin i przysiadła na jednym z trzech łóżek w pokoiku, który Eleanore zdołała wynająć. Zmyła makijaż, założyła okulary, jej włosy – choć teraz krótsze i wciąż czarne – pod wpływem wilgoci znów zwinęły się w loki i wreszcie przypominała samą siebie.

Eleanore jakimś cudem zdołała zasnąć. Albo była obdarzona wręcz żołnierską umiejętnością zasypiania na życzenie, albo w Donlonie straciła więcej sił niż Jagoda. Wiedźma zazdrościła jej tego snu, bo sama przesiedziała kolejną godzinę na posłaniu, z nerwów obgryzając paznokcie i co rusz zerkając w stronę drzwi. Evan, mimo niemrawych protestów sióstr Donnelly, postanowił udać się do – jeżeli dobrze zrozumiała – zastępcy Marka w Madainn ùr z nadzieją, że ten pomoże im się rozeznac w sytuacji. Caleb zamknął się w pokoju z Mayą i Jagoda z trudem powstrzymała chęć warowania pod drzwiami. Nie, nie dlatego, że była tak zainteresowana samą rozmową. Miała jednak przeczucie graniczące z pewnością, że Blythe zrobi po niej natychmiast to samo, co Evan: rzuci się do działania.

Tylko on niekoniecznie poinformuje ich, dokąd i po co idzie.

Erin też siedziała jak na szpilkach, bo kiedy po godzinie ktoś zapukał, poderwała się z łóżka i rzuciła ku drzwiom, nim Jagoda zdążyła choćby drgnąć. Ze swojego posłania nie widziała wejścia, skrytego w niewielkim przedpokoju, z którego wchodziło się też do łazienki.

– Pomyłka – poinformowała kogoś Erin.

– Jestem pewien, że nie. Chcę się widzieć z Jagodą Wilczek – odpowiedział znajomy głos.

Jagoda mogłaby przysiąc, że serce podskoczyło jej do gardła i wywinęło tam salto, nim wróciło na swoje miejsce. Nie. Cholera jasna, nie! Miała omamy słuchowe! Zerwała się na równe nogi i jednym susem znalazła się w przedpokoju.

Omamy najwyraźniej obejmowały też wzrok. Bo na progu stał wysoki, ciemnowłosy mężczyzna o śniadej karnacji.

Sebastian Wilczek, jej młodszy brat, stanowczym gestem odsunął Erin na bok, nie zważając na pełen oburzenia okrzyk czarodziejki, a potem podszedł do Jagody.

– Naprawdę trudno cię znaleźć – stwierdził po polsku.

Głos miał zwodniczo spokojny. Zwodniczo: bo Jagoda doskonale знаła ten ton. Sebastian mówił w ten sposób i przybierał dokładnie taką minę, gdy był bliski wybuchu, który starał się powstrzymać.

– Co ty tu robisz? – spytała, obserwując go szeroko otwartymi oczyma.

Żaden omam. Żaden podstęp. Wszystko się zgadzało, włącznie z intonacją głosu, ulubionym płaszczem od włoskiego projektanta i zapachem drogiej wody kolońskiej.

– Szukam mojej siostry, oczywiście. Która zostawiła nam niepokojącą wiadomość, potem przestała dawać znaki życia i jak się okazało, nie poinformowała nas, że ma kontakty z poszukiwanymi przez wszystkie angielskie służby. A wreszcie albo nie była widoczna dla zaklęć lokalizujących, albo te pokazywały bardzo ogólną lokalizację... aż do dziś, oczywiście. Coś ty sobie myślała, Jagoda?

Jasny szlag.

Najwyraźniej niedawne zdjęcie osłon sprawiło, że metody Wilczków wystarczyły, by ją namierzyć. Nigdy by się nie zgodziła na usunięcie zaklęć, gdyby choć podejrzewała, że jest poszukiwana przez rodzinę!

Od odpowiedzi wybawiła ją Eleanore. Czarodziejkę obudziły odgłosy rozmowy i teraz siedziała na łóżku, przypatrując się im, a pomiędzy jej palcami igrały płomyki, nieomylny znak, że jest gotowa rzucić zaklęcie.

– Kto to jest i co tu się dzieje? – warknęła.

– To...

– Moje przeprosiny. – Sebastian przerwał Jagodzie, przechodząc na angielski, i skłonił się kurtuazyjnie.

– Sebastian Wilczek. Przyjechałem po moją siostrę.

Rzucił Jagodzie takie spojrzenie, że gdyby go nie знаła, może by ją przestraszyło. Nie poczuła jednak strachu. Zamiast tego uderzyło ją, jak bardzo Sebastian przypomina ojca. Dotąd zawsze porównywała go do Wawrzyńca, ale to nie był wzrok ich łagodnego starszego brata.

– Jagoda? – spytała cicho Erin, która wciąż stała pomiędzy Wilczkiem a drzwiami.

Sebastian wyciągnął rękę i zacisnął palce na łokciu Jagody, w ten milczący sposób dając jasny przekaz: nie wywiniesz się, moja panno.

– Przepraszam. Muszę z nim porozmawiać. Wyjdziemy na zewnątrz.

– Tak. Zdecydowanie musimy porozmawiać – zgodził się Sebastian. Przesunął dłoń, ujął siostrę pod rękę i spróbował pociągnąć do drzwi. – Panie wybaczą.

– Mogę chociaż włożyć buty? – spytała Jagoda.

Puścił ją, i poczekał, aż założy adidas, po czym sięgnął w stronę wieszaka po jej kurtkę. Wzbudziło w to Jagodzie pewne podejrzenia, że Sebastian planuje porwanie. W jego przypadku ta myśl wcale nie była tak absurdalna, jak mogłoby się wydawać.

Być może coś podobnego przyszło do głowy Erin, bo zanim wyszli, oparła na chwilę rękę na jej ramieniu.

– Jeżeli nie wrócisz za dziesięć minut, pójdziemy cię szukać – poinformowała, patrząc przy tym nie na nią, lecz na Wilczka.

Sebastian wyciągnął z kieszeni komórkę i wystukiwał coś na niej jedną ręką. Na słowa Erin nawet nie podniósł głowy.

– Nie wróci. Zabieram ją ze sobą. Możecie teraz się pożegnać...

– Nie. Wracam. Do. Polski – warknęła Jagoda, gwałtownym gestem wrywając mu swoją kurtkę.

Musiała niechętnie przyznać, że Sebastian miał powody do wściekłości. Sama byłaby wściekła na jego miejscu. Gdy ochłonęła z pierwszego szoku, nawet to, że przyjechał do Londynu i ją znalazł, nie wydawało się już takie dziwne. Przecież na jego miejscu zrobiłaby dokładnie to samo. Gdyby młody Wilczek zadzwonił z Anglii z prośbą, by miała się na baczności, bo przy zleceniu narobił sobie wrogów, potem na wiadomości

odpisywał lakonicznie i wreszcie poinformował, że odezwie się za parę dni, prawdopodobnie też wsiadłaby w pierwszy samolot do Londynu.

Nie mogła jednak wyjechać. Jeszcze nie. Nie, gdy nie wiedziała, co się dzieje. Nie, gdy złożyła obietnicę Kruczarce. Miała dziwne przeczucie, że jej kruki znalazłyby ją nawet na drugim krańcu Europy.

Wilczek spojrzał na nią. Tym razem nawet nie próbował maskować irytacji.

– Dobrze – ustąpił jednak, być może dlatego, że bardzo dobrze znał swoją siostrę. – Jednak pojedziesz teraz ze mną do mojego hotelu, gdzie czeka twoja uczennica, i wyjaśnisz nam, co dokładnie się tutaj dzieje.

– Sonia? Zabrałaś tutaj Sonię?!

Do Londynu, w którym grasował Jacob Red.

Znając szczęście tej dziewczyny, natknę się na niego podczas pierwszego spaceru po mieście!

– Sonia sama się zabrała. Jest dużą dziewczynką. Postanowiłem być uprzejmy i sfinansować jej bilet, ale jestem pewny, że kupiłaby go i z własnych środków – odpowiedział zimno. – Panie wybaczą. Jagoda skontaktuje się z wami wieczorem...

– Żadna z nas nie ma telefonu!

– Na litość Twardowskiego! – zirytował się Sebastian, po czym wydobyl portfel, wyciągnął z niego wizytówkę i plik banknotów. Rzucił je na półkę przy wejściu. – Bardzo proszę! Mój numer i pieniądze na telefon! Zadzwońcie wieczorem!

– Ty bezczelny... – zaczęła Eleanore, która zdążyła wstać z łóżka i podejść bliżej.

Jagoda, czując wiszącą w powietrzu katastrofę, otworzyła drzwi i pociągnęła za nie brata. Miał rację. Była im winna wyjaśnienia.

– Niedługo wrócę. Zadzwońcie z hotelu, jeżeli czegokolwiek się dowiecie – rzuciła jeszcze i wypadła na korytarz wraz z Sebastianem.

Wilczek zaraz za progiem złapał ją za rękę, jakby obawiał się, że jeżeli okaże odrobinę nieuwagi, siostra gdzieś pierzchnie.

– Na dole czeka taksówka. Czy teraz mi wyjaśnisz, co ty sobie myślała? – powtórzył, gdy ciągnął ją po schodach na parter.

– Nie mogłam się z wami kontaktować, bo mogliby nas znaleźć.

– Dobrze, więc co sobie myślałaś, zadając się z poszukiwanymi przestępcami?

– Że kultywuję najlepsze tradycje rodzinne?

Zatrzymał się gwałtownie i obrócił ku niej z taką miną, jakby nie był pewny, czy zacząć się śmiać, czy na nią krzyknąć.

– Poszukiwanymi, Jaga – powiedział w końcu po cichu. – Nas przynajmniej nigdy nie poszukiwano. Byliśmy dość sprytni, żeby nie dać się przyłapać. W coś ty się wplątała? I dlaczego?

– Ja... – Zawahała się. Jak miała to wszystko wyjaśnić? Nie wspominając o tym, że zaraz będzie musiała powtarzać całą historię drugi raz. – Chyba straciłam kontrolę nad wydarzeniami – wyznała w końcu bezradnie. – Miałam zdjąć klątwę, a okazało się, że Jacob Red jednak żyje i chce nas dopaść. To on zabił tych ludzi, a nie Caleb Blythe.

Sebastian otworzył i zamknął usta, jakby odjęło mu mowę.

– Jesteś tego pewna? – spytał po chwili z podejrzliwością.

– Spotkałam go.

– Cudownie – westchnął Sebastian i podjął przerwany marsz. Wciąż trzymał ją za rękę. – Spuścić cię z oka na pięć minut, pięć cholernych minut, a kończysz ścigana przez wilkołaki, walcząc z demonami albo wpadasz na największego czarnoksiężnika naszej ery, bo inny czarnoksiężnik namieszał ci w głowie...

– Nikt nie namieszał mi w głowie.

– Oczywiście, że namieszał. Dlaczego moja rozsądna, spokojna siostra zachowywałaby się w ten sposób? Jak...

– ...jak jakieś dziesięć lat temu? – podsunęła.

Sebastian syknął coś pod nosem i wskazał jej taksówkę.

– Wsiadaj. Lepiej, żebyś sobie teraz w głowie ułożyła bardzo dobre wyjaśnienia – oświadczył. Poczekał, aż Jagoda wsunie się na tylne siedzenie, po czym wsiadł za nią. – Niech pan zablokuje drzwi.

– Nie zamierzam wyskoczyć z auta.

– Możesz zmienić zdanie – powiedział Sebastian ponuro, a wiedzmę natychmiast nawiedziło bardzo,

bardzo złe przeczucie. – Powiniennem cię rzucić bez słowa na pożarcie smokowi za te wszystkie nerwy, ale jesteś moją siostrą, więc cię uprzedzam.

– Nie...

– Tak – stwierdził. – Widzisz, kiedy Sonia postanowiła jechać, Jeremiasz uparł się, że nie puści jej samej. Wtedy młody Wiśniewski stwierdził, że jedzie z nimi. A kiedy dotarliśmy na lotnisko, okazało się, że czeka tam ktoś jeszcze.

Jagoda jęknęła i opadła na siedzenie, twarz zasłaniając rękoma. Mroczna Tower, Kruczarka, nawet Jacob Red zdawali się teraz jakoś mniej straszni niż wcześniej.

– Zasłużyłaś sobie na to – powiedział Wilczek z odrobiną satysfakcji w głosie. – Pora zapłacić za grzechy, siostrzyczko.

*

Jagoda podejrzewała, że gdyby nie towarzystwo Sebastiana, mogłaby w ogóle nie zostać wpuszczona do eleganckiego hotelu, w którym zatrzymali się jej bliscy. Poszarpane jeansy, wciąż wilgotna bluza i sterczące we wszystkie strony włosy zupełnie nie pasowały do luksusowych i komfortowych wnętrz, przywodzących wiedźmie na myśl raczej pokoje pałacowe niż hotelowe.

Problem polegał na tym, że w jednym z apartamentów na drugim piętrze zamiast księżniczki zastanie prawdziwego smoka.

Sebastian otworzył przed nią drzwi do pokoju. Jagoda zdążyła dostrzec staroświeckie, eleganckie meble, kremowe ściany, jasne zasłony i telewizor – jedyny nowoczesny element wyposażenia – nim z jednej z kwiecistych kanap poderwała się Sonia i rzuciła w jej kierunku. Złociste włosy na moment przysłoniły wiedźmie widok.

– Nie nauczyli cię odbierania telefonu?! Zabiłabyś mnie, gdybym zrobiła coś takiego!!!

– Uprzedzałam, że odezwę się za trzy dni – odparła Jagoda słabo.

Uczennica odsunęła się i spiorunowała ją wściekłym wzrokiem.

– To trochę słaba wymówka – zauważył Jeremiasz, który rozsiadł się w fotelu przy oknie. O ile Sonia była ubrana w zieloną, twarzową sukienkę, o tyle on, w swoich workowatych spodniach i przydużej bluzie, nie pasował do wnętrza tak samo, jak Jagoda. Uśmiechnął się do niej typowym dla siebie, nieśmiałym uśmiechem. – Zwłaszcza że w ciągu tych trzech dni odkryliśmy, że osoby, z którymi prawdopodobnie przebywasz, są poszukiwane. Martwiła się o ciebie.

– On też się martwił – dorzucił Krystian Wiśniewski.

Mag bojowy, młody funkcjonariusz WMM, od jakiegoś czasu najlepszy przyjaciel Soni i Jeremiasza, wyciągnął się na drugiej kanapie, chociaż ledwo padło na niego wymowne spojrzenie Sebastiana, natychmiast usiadł, prostując się przy tym jak struna.

– Wszyscy się martwili.

W drzwiach sypialni stanęła babka. Ona do tego wspaniałego hotelu pasowała idealnie: ba, zdawał się wręcz stworzony właśnie dla takich gości jak Joanna Wilczek. Prezentowała się tak, że równie dobrze mogłaby się wybierać na herbatkę u królowej. Siwe włosy miała zaplecione w koronę wokół głowy, delikatny makijaż podkreślał wielkie, ciemne oczy i krył piegi oraz sprawiał, że zmarszczki były mniej widoczne. Kolczyki i bransoletka z drobnymi rubinami idealnie pasowały do bordowej garsonki. Zbliżała się do dziewięćdziesiątki, ale ktoś, kto nie znał Joanny, nigdy by jej tyle nie dał.

Sonia, jakby chciała uciec z pola rażenia, czym prędzej umknęła z powrotem na kanapę. Krystian, choć wydawało się to niemożliwe, wyprostował się jeszcze bardziej. Jeremiasz, dla odmiany, mocniej się zgarbił, jakby chciał zajmować jak najmniej miejsca – co nie było łatwe, bo chłopak miał na oko metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Tylko Sebastian obserwował sytuację z wyraźnym zaintrygowaniem.

– Co masz na swoje usprawiedliwienie, młoda damo? – spytała Joanna surowym tonem, patrząc na wnuczkę z drugiego końca pokoju.

Przez głowę Jagody przebiegły wszystkie możliwe usprawiedliwienia. Od „chciałam was chronić”, przez „nie miałam innego wyjścia”, aż po „bałam się, że się w to wmieszacie”.

– Nic – odparła w końcu.

– Nic? – powtórzyła Joanna, marszcząc brwi.

– Nic. Zrobiłam, co uznałam za słuszne. Jeżeli jesteście z tego powodu zły, to przyznaję, macie do tego

prawo. Sama też byłabym na waszym miejscu wściekła. Ale drugi raz postąpiłabym dokładnie tak samo.

– Masz tupet, moja droga – odparła Joanna, głosem pozornie spokojnym, ale zwiastującym burzę. – Wyjeżdżasz za granicę. Mieszasz się w tę paskudną sprawę kłętwy Reda. Jesteś w centrum tutejszego zamieszania. Wreszcie zrywasz kontakt. Zadajesz się z mordercą...

– To nie Caleb zabił tych ludzi.

– ...znikasz z powierzchni ziemi, a teraz jeszcze mówisz, że postąpiłaś słusznie?! Masz pojęcie, jak wszyscy się o ciebie martwiliśmy? Nawet twoja matka dobijała się do mnie, twierdząc, że na pewno w coś cię wciągnęłam!

Jagoda się wzdrygnęła. W porządku, sprawa naprawdę eskalowała, skoro zareagowała jej matka. Od rozwodu utrzymywała dość luźny kontakt z dziećmi, a z byłą teściową nie rozmawiała wcale. Od paru miesięcy zresztą mieszkała w Niemczech ze swoim nowym partnerem.

– Dałaś się omotać – wycodziła Joanna. – Ostrzegałam cię przed tym chłopakiem. Co skłania cię do myślenia, że to nie on?

– Sprawdzaliście ostatnio brytyjski MAGnet? – spytała Jagoda.

Sonia i Krystian jednocześnie sięgnęli po telefony, uruchomili wi-fi, a potem włączyli odrobinę magii w aparaty i pospiesznie zalogowali się do internetu magicznych.

– Ostatni raz dziś rano – mruknął Sebastian.

– Ożeż kurde szlag! – wydyszała Sonia, zanim Wilczek zdołał dodać coś jeszcze.

Joanna podeszła do młodej Zawickiej i wyciągnęła rękę. Dziewczyna dość niechętnie wręczyła jej swój telefon, a potem błyskawicznie przesiadła się na drugą kanapę i zaczęła czytać Wiśniewskiemu przez ramię.

Najwyraźniej Jagoda się nie myliła i brytyjskie strony informacyjne zalała fala wiadomości o tym, co stało się na zebraniu Izby Magicznej.

Joanna usiadła na miejscu zwolnionym przez Sonię. Przejrzała artykuł, a potem podniosła wzrok na wnuczkę i wskazała jeden z foteli.

– Siadaj – zażądała. – Opowiadaj wszystko. Po kolei.

Jagoda przysunęła fotel bliżej i chcąc nie chcąc, zaczęła opowiadać. Może nie wszystko, bo pominęła niektóre szczegóły, takie jak zakazany, nekromancki rytuał związania dusz i to, że sypiała z podejrzanym o parę morderstw, ale wyjawiała wystarczająco wiele informacji, aby nakreślić obraz sytuacji. O domniemanej kłętwie – o której babka zresztą już ewidentnie skądś wiedziała – o tym, że ktoś „grzebał” przy śladach magicznych, o niepowodzeniach przy próbach kontaktu z duchem, przesłuchaniu brownie i o przywołaniu wspomnienia Reda. O odkryciu, że Czerwony Rozpruwacz wcale nie jest tak martwy, jak mogłoby się wydawać, o szale Caleba i wreszcie o utkaniu zaklęcia, które miało sprowadzić ducha Michaela Thunderbirda.

Sonia nerwowo kręciła się na kanapie. Jeremiasz wciąż siedział przy oknie w nienaturalnym bezruchu. Krystian spochmurniał, a Sebastian w pewnym momencie zaczął krążyć po salonie. Tylko Joanna Wilczek zachowała niewzruszony spokój.

– Ani razu nie pomyślałaś, że mogłabyś zwrócić się o pomoc do rodziny? – spytała wreszcie.

Jagoda milczała. To milczenie stanowiło jasną odpowiedź. Nie przyszło jej to do głowy. Z wielu powodów. Nie tylko dlatego, że nie chciała ich narażać, choć było to ważne. Za żadne skarby nie chciała, aby jej rodzina weszła w konflikt się z Redem. Ale też po prostu nie sądziła, aby cokolwiek mogli zrobić – nie w obcym kraju, nie w takiej sytuacji.

Wreszcie... zwrócenie się do nich nie było dla niej czymś naturalnym. Kochała siostrę i brata. W pewnym sensie kochała babkę. Szła jednak do nich po pomoc dopiero, kiedy zmuszała ją do tego sytuacja.

– Zastanawiam się, czy źle cię wychowaliśmy, czy to ja popełniłam tak wiele błędów – powiedziała Joanna, gdy zrozumiała, że wnuczka się nie odezwie. – Bez względu na to, jakie zlecenie przyjął, twoja rola się skończyła. Niemniej Jacob Red to poważny problem. Bardzo poważny. Wbrew pozorom też dla nas.

Jagoda nie zdążyła odpowiedzieć. Telefon Sebastiana zaczął dzwonić, a chwilę po tym, jak Wilczek odebrał, przekazał iPhone'a siostrze.

– Zdaje się, że to do ciebie.

Wszystkie spojrzenia zwróciły się ku niej. Wiedźma bez wahania wstała i pomaszerowała do drzwi, za którymi, jak zakładała, kryła się łazienka.

– Słucham?

Po drugiej stronie rozległ się głos Caleba.

– Gdzie jesteś?

– W hotelu. Przyjechali tu mój brat, moja uczennica, jej gwardia honorowa i co gorsza, moja babka – wymruczała bardzo cicho. Joanna Wilczek nie wzbraniałaby się przed podsłuchiowaniem, ale na pewno nie zniżyłaby się do przyciskania ucha do drzwi. (Jagoda podejrzewała, że całe lata szpiegowała rodzinę za pomocą Tadeusza). Sonia jednak nie miałaby podobnych oporów. Dlatego usadowiła się w najdalszym zakamarku łazienki. – Co się dzieje?

– Udało mi się skontaktować z jednym z rozsądniejszych pracowników Thomasa i być może zostaniemy oczyszczeni z zarzutów. Jeżeli pytasz o Reda, na razie wiem tyle, że opuścił Donlon. Prawdopodobnie Scotland Yard dowiedział się więcej, po prostu mi tego nie mówią.

Może lepiej, pomyślała. Gdyby Caleb dowiedział się więcej, gotów byłby zrobić bez namysłu coś głupiego. A po wizycie w Big Benie raczej nie był w pełni sił.

– Co z Markiem?

– Evan próbuje się tego dowiedzieć. Gdzieś go przeniesiono z Donlonu, ponoć z obawy, że go odbijemy. Chwilowo nikt nic nie wie albo nie chcą udzielić nam tych informacji – mruknął Caleb, a w jego głos wkradła się nowa nuta.

Jagoda zacisnęła i rozluźniła palce. Oboje na pewno myśleli o tym samym. Marek mógł być już martwy, skoro znikł z powierzchni ziemi.

– Co dalej?

– Jeżeli w magicznej policji albo Izbie znajdzie się wreszcie ktoś, kto ma choćby odrobinę rozumu w głowie, zorganizują obławę. I może nawet uświadomią sobie, że jeśli nie pójdę z nimi, nie będą mieli większych szans. Pod jaki adres odesłać twoje rzeczy?

– Słucham?

– Twoje rzeczy – powtórzył. – Masz tutaj laptopa, książkę i trochę ubrań. Być może uda się też odzyskać te z Rainharbour. Chcesz je na adres hotelu czy do Warszawy? Sugeruję jak najszybszy powrót, tutaj będzie bałagan.

– Jasny szlag, Blythe – warknęła, zapominając, że ma mówić cicho. – Nigdzie nie wracam, póki to się nie rozwiąże.

– Ustaliliśmy już, że nie jesteś magiem bojowym.

– Możemy też ustalić, że jeżeli Red ma jakąś kryjówkę, na pewno postawi parę klątw. Poza tym, czy ja powiedziałam, że będę pchać się na pierwszą linię? Nie, jeżeli miałabym tam przeszkadzać, ale nie ma mowy, żebym po prostu tak to wszystko zostawiła.

Sprawy zaszły za daleko, aby zwyczajnie pojechała do Warszawy. Nie. Nie planowała upierać się przy tym, że będzie walczyć. Doskonale wiedziała, że nie jest magiem bojowym. Ba, wolała wręcz unikać bezpośredniego starcia, jeżeli nie było konieczności. Ale chciała być w pobliżu. Pomóc, jeśli zdoła. I przynajmniej wiedzieć, co dzieje się z ludźmi, z którymi miała do czynienia w ostatnich tygodniach. Nie przywiązywała się łatwo, nie mogła powiedzieć, że z kimkolwiek tutaj się zaprzyjaźniła, jednak nie byli jej zupełnie obojętni.

Nie wspominając już o tym, że babka miała rację. Jacob Red stanowił problem dla całego świata. Trudno było przewidzieć, co ten człowiek zrobi dalej.

– Jaga, nasz kontrakt został wypełniony. Dostaniesz wszystkie środki wpisane w umowie jako dodatkowe wynagrodzenie finansowe, ale nie musimy dalej współpracować.

Wynagrodzenie finansowe.

Gdyby Caleb był w tym samym pomieszczeniu, prawdopodobnie czymś by w niego rzuciła. Jakby wciąż tkwiła tutaj dla pieniędzy.

– Świetnie, w takim razie zaoferuję pomoc Scotland Yardowi. Może jest tam ktoś rozsądny oprócz Doherty'ego.

– Sądzę, że odmówią.

– Sądzisz, że odmówią, czy planujesz zadbać, żeby odmówili?

Z drugiej strony rozległo się westchnienie.

– Wszyscy, którzy bezpośrednio przeciwko niemu działają, to albo funkcjonariusze, albo osoby, które skrzywdził czy na których spróbuje się zemścić w ten czy inny sposób – powiedział. – Oprócz ciebie. Wciągnąłem cię w to, ale nie spodziewałem się, że Jacob Red objawi się osobiście.

– Może więc po prostu rzucisz na mnie klątwę snu? – zaproponowała ironicznym tonem.

– To co innego – stwierdził Caleb. W jego głosie zadźwięczało zakłopotanie i przyjęła to z czymś na kształt ulgi. Przynajmniej było mu głupio, że to zrobił. – Big Ben zniszczyłby umysł Mayi. Nie „być może”, nie „prawie na pewno”, ale „z całą pewnością”. Była... jest w zbyt złym stanie, aby mogła to przetrwać. Sam ledwo przetrwałem. Próbowałem wszystkiego, żeby ją od tego odwieść. Rozmawiała z nią Erin i potem nawet Eleanore. Obie były wściekłe, że chcę jej pozwolić na takie ryzyko. Erin wspomniała nawet coś o przerobieniu mnie na nawóz dla roślin, jeżeli Maya nie wyjdzie z tego żywa. Czy pozwoliłabyś komuś bliskiemu na popełnienie pewnego samobójstwa w twoim imieniu? W dodatku całkowicie na darmo?

Zawahała się. Wszystko, co przeczytała o Big Benie, potwierdzało, że to cholernie niebezpieczne miejsce. O ile do Tower, jak na jej gust i tak dość upiornego, dało się jeszcze dostać bez większych problemów, o tyle stary zegar otoczono wieloma czarami zabezpieczającymi, które Caleb musiał najpierw złamać. Ponoć magia działała tam, jak chciała, ożywały twoje lęki i pragnienia, a czas płatał figle, nagle zwalniając lub przyspieszając. Kilku magów zginęło, a paru oszalało, zanim odcięto to miejsce od reszty Donlonu.

Widziała, że Maya była w złym stanie. Czy aż tak przeceniała swoje siły? Gdyby sądził tak jedynie Caleb, Jagoda mogłaby w to wątpić. Skoro jednak zgadzały się z nim siostry Donelly...

– Nie – przyznała w końcu. – Ale ja nie planuję popełnić samobójstwa i nie przeceniam swoich sił.

– Długo też tak sądziłem. A potem w Batorym i na pewnym placu budowy miałem okazję zobaczyć coś innego – odparł zgryźliwym tonem. W tym przypadku nie mogła się nawet z nim kłócić. W szpitalu faktycznie przeceniła swoje siły. – Jesteś pewna, Jaga?

– Tak – oświadczyła, chociaż ledwie parę godzin temu, kiedy wchodziła do Tower, myślała coś zupełnie przeciwnego.

– W razie potrzeby możesz pisać pod ten numer. Prześlę ci adres, gdy zdecydujemy, gdzie się zatrzymać. I uważaj na siebie. Twój brat jest chyba niezły w osłonach? Niech je rzuci.

– Sądzisz, że Red może mnie szukać? – spytała, a strach wpełził jej pod skórę i rozgościł się tam na dobre.

Nagle jego sugestia, by jak najszybciej wracali do Warszawy, stała się bardziej zrozumiała. I kusząca. Nie chodziło o nią, ale byli tutaj jej brat, babka i trójka młodych magów.

Jacob Red miał teraz wiele innych kłopotów na głowie. Na przykład to, że ścigał go cały Scotland Yard. Za niepowodzenie jego planów odpowiadał jednak Caleb, który odrzucił ofertę pojednania.

A najwyraźniej Red uważał Jagodę za słaby punkt swojego ucznia.

– Wątpię, ale szansa istnieje – mruknął Blythe ponuro. – Z nami nic by ci nie groziło, ale mamy parę rzeczy do zrobienia i parę problemów do przepracowania. Muszę kończyć. Bądźcie ostrożni.

*

Przedziwna magia spowijająca Donlon w ciągu paru godzin się rozwiała i gdy Jagoda przekroczyła granicę enklawy późnym wieczorem, nie wyczuwała już niczego... dziwniejszego niż zwykle. Kiedy jednak zmierzała pod wskazany w SMS-ie adres – trochę szybszym krokiem niż zwykle, bo ostrzeżenia Blythe'a nie potraktowała lekko – wszędzie widziała kruki. Przelatywały jej nad głową. Przysiadły na magicznych, błękitnych lampach. Spoglądały na nią z gzymsów. Gdy jeden z nich przefrunął tak blisko, że niemal musnął ramię wiedźmy, przez chwilę było tak, jakby dotknęła ją magia Tower.

Mogło to być ostrzeżenie albo przypomnienie.

Mieszkanie należące do Madainn ùr znajdowało się w jednej z kamienic położonych blisko obrzeży enklawy. Drzwi otworzyła Erin, ubrana w fartuch i rękawiczki, z włosami skrytymi pod czepcem i w maseczce zakrywającej nos oraz usta. Policzki miała zaczerwienione i lśniące od potu. Zapach unoszący się we wnętrzu sugerował, że zabrała się do przygotowywania eliksirów.

– Dobrze, że jesteś – powiedziała po prostu i wpuściła Jagodę do środka. – Ellie i Evan są w Madainn ùr, a Maya dąsa się w swoim mieszkaniu. Twój brat to palant, wiesz?

– Nie jest taki zły, gdy go bliżej poznać – odparła Jagoda lojalnie, chociaż gdyby się nad tym zastanowić, pewnie bardzo wiele kobiet by się z nią nie zgodziło. – Potrzebujecie mnie do czegoś?

– Co? Nie. Po prostu dobrze, że nie zamknęli cię w jakiejś wieży. – Erin wzruszyła ramionami. – Chociaż może postawisz Cale'a do pionu. Odbija mu bardziej niż zwykle.

– I oczekujesz, że ja postawię go do pionu. To w ogóle możliwe?

– Jak jesteś w pobliżu, czasem prawie zapomina, że ma obsesję na punkcie Reda. Wracam do eliksiru. A, Caleb jest w pokoju na końcu korytarza.

Erin znikła w jednym z pomieszczeń. Nim zamknęła za sobą drzwi, ze środka wydobył się kłęb zielonkawego dymu.

Caleb otworzył chwilę po tym, jak zapukała. Pokój był nieduży, urządony bezosobowo jak hotelowa sypialnia. Blythe otworzył okno na oścież, a na podłodze Jagoda dostrzegła krąg, od którego wciąż czuć było magię: wyglądało na to, że Caleb próbował szybko zregenerować zasoby energii.

Kruk przysiadł na parapecie, nim zdążyła się odezwać, a gdy zakrakał, jego głos brzmiał prawie jak śmiech.

– Mogę zamknąć okno?

– Możesz, ale grozi nam uduszenie – powiedział Blythe i usiadł na łóżku.

Jagoda i tak podeszła do okna. Nie chciała mówić tego na głos, ale wolała zapach spalenizny i opary eliksirów niż najwyraźniej śledzące ją ptaki. Kruk odleciał dopiero, kiedy dosłownie zepchnęła go z parapetu. – Twoi krewni tak po prostu cię puścili?

– Mam dwadzieścia osiem lat. Od dekady moi krewni nie mogą mi mówić, co mam robić – przypomniała, obracając się ku niemu. – Czego się dowiedzieliście?

– Oficjalnych informacji brak. Ale w tej chwili trwa ewakuacja Rainharbour – zaraportował. – Teren zamknięto i większość obszaru... dużym wysiłkiem dodajmy... otoczono barierą uniemożliwiającą używanie portali. Jak sądzę, wniosek jest jasny.

Zamek. Jacob Red wrócił do swojego zamku. To, że raz go zdobyto, w teorii dobrze wróżyło. W praktyce jednak... Red na pewno nie umknąłby właśnie tam, gdyby nie był przygotowany do obrony. Może liczył, że nie znajdą go tak szybko, owszem, ale nawet Jagoda nauczyła się już o tym człowieku jednego: zawsze miał plan zapasowy.

Co gorsza, tym razem nie było nikogo, kto w krytycznym momencie wbije mu nóż w plecy.

– Historia lubi się powtarzać – podsumowała.

– Jacob na pewno wysnuł z niej swoje wnioski. Coś szykuje.

Chciałaby móc zaprzeczyć, ale myślała dokładnie to samo.

– Co dalej?

– Szturm, jak sądzę. Najwcześniej jutro wieczorem, najpóźniej za dwa dni. Muszą zebrać ludzi, a prawdopodobnie Jacob nie będzie sam. Zdaje się, że przynajmniej jeden funkcjonariusz pomógł mu w ucieczce. Tutejsza jednostka nie da rady sama.

– Nie planujesz dostać się tam wcześniej? – spytała podejrzliwie.

Caleb uśmiechnął się do niej, ale uśmiech nie objął oczu.

– Nie zdołałbym. Obstawiono całą enklawę – odparł krótko.

Zerknęła na krąg, dręczona dziwnym przeczuciem, że potrzebował go, bo stracił siły, gdy to sprawdzał. Nie drażyła jednak. Chyba nie chciała wiedzieć, co mogłoby mu przyjść do głowy. Zawsze wydawało się jej, że Blythe działa może trochę zbyt brawurowo, co pewnie wynikało z wiary we własne moce, ale nie jest szaleńcem. W ostatnich tygodniach jednak coraz bardziej się ku szaleństwu staczał.

Obsesja, powiedziała Erin. Może desperacja. Niewykłuczone, że i piętno pozostawione przez magię Big Bena. Caleb zdawał się nie myśleć teraz rozsądnie.

– Co zamierzasz? – spytała ostrożnie, przysiadając na łóżku obok niego.

– Oficjalnie zaoferowałam nasze wsparcie. Na razie, zdaje się, nie mają pojęcia, co z tym zrobić, bo pojawiły się problemy... z łańcuchem dowodzenia.

– A jeżeli powiedzą „nie”?

– Poczekam w pobliżu, aż Jacob ich zdzięsiatkuje, w nadziei, że go osłabia, i wtedy wkroczę, nie pytając nikogo o zdanie – odparł szczerze. – Potępiasz pomysł?

– Chyba nie – stwierdziła po zaledwie sekundzie wahania. Mogło się to wydawać okrutne, ale jeżeli nie pozwoliliby mu do nich dołączyć, co innego miał zrobić? Miała nadzieję, że wydadzą mu zgodę. Dla dobra funkcjonariuszy i samego Caleba.

– Wciąż chcesz brać w tym udział?

– Tak. Nie jako bojówka, ale być może się przydam. O ile dobrze zrozumiałam raporty, Red ostatnio miał w zamku parę kłąt. Jeżeli spróbujesz mnie od tego odciąć, jak Mayę, to cię zamorduję.

Zdażyła przemyśleć sprawę, kiedy tkwiła w hotelu – choćby dlatego, że dostała jakieś sto jeden pytań, co zamierza i dlaczego. Nawet jeżeli sama dotąd niezbyt wiele myślała nad swoimi motywami i plany miała bardzo mgliste, to Sonia, babka i Sebastian zmusili ją do ich rozważenia (i przynajmniej częściowo zaprezentowania im).

Jeżeli Red spróbuje ustawić jakieś kłątwy, będzie mogła je rozbroić. Jeśli ktoś od takiej ucierpi – zdejmie ją. Gdyby pchała się naprzód, nie pomogłaby wiele i tylko niepotrzebnie by ryzykowała. Chciała tu jednak zostać do samego końca.

Trochę dla Caleba.

Trochę, bo tak po prostu było trzeba. Nie chciała świata, w którym Jacob Red może robić, co mu się żywnie podoba, bez baczenia na konsekwencje. Jedno spotkanie w lesie wystarczyło, aby wiedziała, że Red stanie się potworem z jej koszmarów. I dlatego musiała się upewnić, że pozostanie tylko tym: koszmarem, który nie może skrzywdzić i przemija wraz z nadejściem świtu. Jak mogła oczekiwać, że zajmą się nim inni, jeżeli sama nie byłaby skłonna pomóc? Jak mogłaby wrócić do domu świadoma, że już zawsze będzie musiała oglądać się za siebie? Nie potrafiła tego znieść nawet wtedy, gdy niewidzianym wrogiem był Potocki, a co dopiero jeżeli miałby stać się nim Jacob Red.

Żaden z tych powodów w pojedynkę mógłby nie wystarczyć, aby się na to zdecydowała. Razem tworzyły jednak całkiem solidne motywy.

– Masz moje słowo, że nie potraktuję cię jak Mayi. I nigdy nie brałem pod uwagę zamknięcia cię gdziekolwiek – powiedział po chwili milczenia. W jego głosie pobrzmiwała rezygnacja, ale tym razem nie wątpiła w szczerść słów. Wprawdzie Jagoda nie dowierzała, że faktycznie rzuciłby na nią kłątwe snu czy spróbował uwięzić ją w domu sióstr Donelly, ale miło było usłyszeć potwierdzenie. – Nie będę też zabraniał ci się w to angażować, ale powinnaś wiedzieć, że mamy już kłatwołamacza. Scotland Yardowi pomoże Jeanette Brown. Pójdzie z pierwszą grupą. Prawdopodobnie zdejmie większość kłatw. Nawet Jacob nie będzie miał dość czasu, aby ustawić coś... tak skomplikowanego, że stanie się dla niej dużym problemem.

– Jeanette? – zdziwiła się Jagoda. – Nie przyjmuje takich zleceń.

– Zgłosiła się na ochotnika. *Pro publico bono*.

– Mówimy o tej samej osobie, tak? – upewniła się.

Brown liczyła sobie majątek za swoje usługi. I nigdy nie zgadzała się na nic ryzykownego. A w skali „ryzykowne zachowania” od jeden do dziesięciu ruszenie na czele do szturm na zamek Jacoba Reda dostawało dziesiątkę.

– Trzy lata temu ona i Thomas się pobrali – odparł Caleb cicho. – Nie rozgłaszali tego, ale była jego drugą żoną.

Czegoś takiego Jagoda nigdy by się nie spodziewała: chociaż, jak uświadomiła sobie niemal natychmiast, to wyjaśniało wiele rzeczy. Poufałość, z jaką Thomas zdrabniał imię Brown. To, jak mocno angażowała się w sprawę kłatwy, chociaż nie nawykła brać udziału w takich przedsięwzięciach. Nawet zgodę na udział w rzucaniu grobowej pieśni. Chciała chronić męża.

– Dlatego, jakkolwiek doceniam twoją pomoc i zrobiłaś już bardzo wiele, podkreślam, że w tym przypadku nie jest absolutnie niezbędna – podjął, kiedy nie odpowiedziała. Z pewną ostrożnością, jakby ważył każde słowo, żeby nie doprowadzić do wybuchu, dodał: – Bez ciebie może nigdy nie odkrylibyśmy prawdy, ale to już bezpośrednio starcie, Jaga. Czarnomagiczna afera. Wiem, że nie chciałaś się mieszać w takie rzeczy.

– Zastanawiam się, o co ci właściwie chodzi – stwierdziła, siadając obok niego. – Uważasz, że jakimś cudem nagle znajdę się na przodzie, i nie chcesz, żebym dała się zabić? Masz mnie za idiotkę, która robi coś bardzo głupiego i położy akcję? Czy może koniecznie chcesz się mnie pozbyć, bo nie jestem już „absolutnie niezbędna” i będę dla ciebie kłopotem?

– Widzę, że nie masz już oporów przed zadawaniem pytań.

– Sam do nich zachęcałeś – odpowiedziała i wzruszyła ramionami z pozorną beztroską.

Początkowo nie miała zamiaru pytać, ale to on wiele razy wręcz upierał się przy wyjaśnianiu pewnych rzeczy wprost. A nie potrafiła rozgryźć, czy Blythe od jakiegoś czasu robi wszystko, aby się jej stąd pozbyć, bo się o nią martwi, czy nagle zaczął się bać, że wiedźma zacznie oczekiwać od niego czegoś więcej. Być może trochę z powodu stanu, do jakiego doprowadził Mayę – lub do jakiego doprowadziła się sama – i tego, jak to się skończyło.

– Nie mam cię za idiotkę, Jaga.

– W takim razie dwa pozostałe, jak rozumiem. Wiesz co? Są znacznie większe szanse na to, że to ty dasz się zabić – odparła. Bardzo wiele energii włożyła w to, by jej głos brzmiał spokojnie. Po dwukrotnej wyprawie Caleba do Big Bena i tym, co zrobił po śmierci Benetta, w głębi ducha myślała, że są duże szanse na to, iż Blythe ostatecznego starcia nie przeżyje. Ba, być może poprzednim razem uszedł z życiem z tego samego powodu, co ona. Red mu na to pozwolił. – Jeżeli chodzi o resztę? Myślałam, że to ustaliliśmy. Nie chcę cholernego białego płotu.

– Białego płotu?

– Przed domem. Bardzo szybko by się brudził – wyjaśniła chłodno. – Dzieci, szkolne przedstawienia i tak dalej zupełnie mnie nie interesują.

Dopiero po chwili w jego oczach pojawił się błysk zrozumienia.

– Ja nie...

– Nic nie obiecywałeś i ja też nie – przerwała mu. – Więc jeśli martwisz się, że zamienię się w Mayę, to przestań.

Doskonale wiedziała, że większość kobiet marzyła o małżeństwie i dzieciach. A jeżeli ktoś tego nie miał, to w oczach świata uchodził za nieszczęśliwego. Problemami Jagody były jednak raczej stosunki z krewnymi, złe wspomnienia, ciągnąca się za nią opinia i panowanie nad nieposłuszną magią, która zdominowała całe jej życie. Zawsze potrzebowała masy przestrzeni i spokoju. Nigdy nie chciała mieć dzieci, ani rodzonych, ani adoptowanych – właściwie nawet nie lubiła dzieci. Małżeństwo niespecjalnie ją interesowało, a była zaręczona głównie dlatego, że Antoni na to nalegał. I nawet jeżeli zależało jej na Calebie, ani przez ułamek sekundy nie oczekiwała od niego żadnej z tych dwóch rzeczy.

– Nie podejrzewam cię o to – powiedział szybko, jakby w obawie, że nie da mu dojść do głosu. Uniósł nawet ręce w geście kapitulacji. – Tak, masz rację, istnieje całkiem realna szansa, że dam się tam zabić.

Nie zareagowała. Głównie dlatego, że nie spodziewała się, iż Blythe to przyzna. Albo że w ogóle zdaje sobie sprawę z tego, że może stracić życie.

– Jeżeli nie jutro, to kiedy indziej – podjął. – Podróżuję, eksperymentuję, wdaję się w różne... czarnoksiężskie afery. Nie umiem usiedzieć na miejscu. Nigdy nie będę umiał.

Mimowolnie pomyślała o tym, co babka kiedyś powiedziała o Calebie.

Mężczyźni z taką mocą nie są zainteresowani przeciętnym życiem.

– Upewniam się, że chcesz się w to mieszać, bo tak, martwię się, że tam zginiesz. Przeze mnie. I to, że chcesz wziąć w tym udział, z mojego powodu zapewne, sprawiło, że uznałem, że lepiej będzie, jeżeli wrócisz do Warszawy. Bo nie jestem... zbyt rodzinnym człowiekiem. A chociaż mi na tobie zależy, to się nigdy nie zmieni.

– Ja też nie jestem – odparła. Owszem, wolała siedzieć na miejscu i nie szukała kłopotów, te raczej zwykle same ją znajdowały. Ale nie wyobrażała sobie siebie jako „rodzinnej osoby”. I do licha, za żadne skarby nie planowała pójść drogą swojej prababki, która wyszła za męża i urodziła dziecko, bo sądziła, że tak trzeba, a potem okazała się okropną żoną, okropną matką i nieszczęśliwą kobietą. A liczenie, że Caleb się zmieni? Ani na to nie miała nadziei, bo takie rzeczy działy się tylko w książkach dla nastolatek, ani nawet tego nie chciała. – I gdybyś nie zauważył, wdaję się w różne afery sama z siebie, poza tym ani razu nawet nie zasugerowałam, że nie powinieneś ryzykować i z nim nie walczyć. Bo doskonale wiem, że musisz.

Patrzył na nią chwilę, nim w końcu wyciągnął rękę i zacisnął palce na jej dłoni.

– Wiem – przyznał z czymś na kształt rezygnacji. – Przepraszam. Big Ben, zniknięcie Marka, awantura z Mayą i powrót Jacoba z za grobu namieszały mi trochę w głowie.

– Skąd ja to znam? – powiedziała, uśmiechając się krzywo, bo gdy sytuacja zaczynała ją przerastać, też bywała okropna dla innych i niekoniecznie podejmowała racjonalne decyzje.

Jego słowa sprawiły, że odetchnęła, wreszcie pozbyła się przynajmniej jednego ciężaru. Chociaż na krótką chwilę. O tym, że faktycznie mógł jutro zginąć – i o tym, co będzie potem, jeżeli oboje wyjdą żywi – wolała za wiele nie myśleć.

Jeszcze nie teraz.

– Jutro rano mam spotkanie z prawdopodobnie nowym komendantem – mruknął, a po chwili wahania objął Jagodę. Przynalęła się do niego i ułożyła głowę na jego ramieniu. – Dam ci znać, na czym stanie.

– Dzięki. Caleb?

– Aha?

- Spróbuj się nie dać zabić przy jakimś szaleństwie. Ładnie proszę.
- Roześmiał się, a potem na moment ukrył twarz w jej włosach.
- Obiecuję, że postaram się przeżyć. A ty spróbuj mi udowodnić, że chociaż raz nie trafisz do miejsca, do którego absolutnie nie powinnaś trafić.
- Spróbuję.
- Wyjdę na durnia, jeżeli po tej rozmowie spytam, czy zostaniesz?
- Tym razem to ona parsknęła śmiechem. Odsunęła się na moment, tylko po to, by zarzucić mu ramiona na szyję.
- Byłabym rozczarowana, gdybyś tego nie zrobił.
- *

Jagoda wróciła do hotelu dopiero nad ranem. Myślała, że o tej porze wszyscy będą spać. Gdy jednak weszła do apartamentu babki, okazało się, że nie tylko nikt nie śpi, ale do salonu ściągnęli już goście. Sonia, wciąż w piżamie, siedziała przy stole i grała z Jeremiaszem w karty. Krystian obserwował ich z fotela. Sebastian rozmawiał przez telefon na balkonie. Nie było widać tylko Joanny.

- Cześć, Jaaaaga – powiedziała Sonia, tłumiąc ziewnięcie. – Co tam?
- Znaleźli Reda. Prawdopodobnie.
- Masz teraz taką minę, bo zastanawiasz się, jak nam powiedzieć, że szykuje się wielki szturm na zamek w Rainharbour, a ty, jakżeby inaczej, planujesz się w to wmieszać? – spytała Sonia, zerkając na nią kątem oka.

Słowa uczennicy zbiły Jagodę z tropu, chociaż zdołała to ukryć.

- Babka czy Sebastian? – odparła pytaniem na pytanie.
- Niezbyt ją dziwiło, że pazury Wilczków sięgały aż do Anglii i nawet tu zdołali zdobyć potrzebne informacje.
- Właściwie to Krystian – wyjaśnił Jeremiasz i wskazał na Wiśniewskiego. – No i... no i ja.
- Ty?

Tym razem w tonie Jagody zadźwięczało zdziwienie. Jeremiasz nie skończył jeszcze dziewiętnastu lat, nie miał też żadnych koneksji, znajomości ani pieniędzy. Ba, nawet dachu nad głową: wciąż mieszkał z Jagodą i Sonią. Zatrudniono go wprawdzie na stażu w WilCom, ale Jagoda wątpiła, aby w ciągu niewiele ponad miesiąca jej nieobecności zdołał wyrobić sobie w firmie mocną pozycję.

– To będzie największa akcja Scotland Yardu od kilkunastu lat – mruknął Krystian niechętnie. – A właśnie stracili aż dziewięć osób. W tym głównodowodzących.

Michael, Thomas, Ian. W dodatku też czterech kolejnych, których Red zabił najpierw podczas ucieczki z Izby, a potem w trakcie pościgu. I było jeszcze dwóch, którzy rozplłynęli się w powietrzu... i którzy być może znajdują się u boku Reda.

– Zwrócili się po pomoc do innych jednostek, w kraju, ale też za granicą – dodał Jeremiasz jakby nieśmiało. – Bo za granicą Thunderbird... Red... raczej nikogo nie werbował, nie? Prosilili o bojowych i wyspecjalizowanych w magii ochronnej.

– Mario dał im ciebie, skoro już jesteś na miejscu – odgadła Jagoda, spoglądając na Wiśniewskiego.

Miała mieszane uczucia wobec angażowania tak młodego maga w tego typu akcje. Nie mogła jednak zaprzeczyć, że jeśli szło o sianie zniszczenia, Krystian nie miał sobie równych. Ukończył też wszystkie wymagane szkolenia.

- Tak. Rozmawialiśmy godzinę temu. Maeve ma spróbować dolecieć, ale nie wiadomo, czy zdąży.
- I... dał mnie... to znaczy sam się zgłosiłem, żeby dał i mnie – wtrącił Jeremiasz, tak cicho, że wiedźma w pierwszej chwili sądziła, że się przesłyszała.

Chłopak jednak spuścił głowę i skulił ramiona, jakby coś przeszkrobał i bał się bury.

– Wstąpiłeś do WMM? Kiedy? – spytała i z wrażenia aż opadła na najbliższy fotel.

Odwróciła się dosłownie na pięć minut! Pięć minut! A Mariusz już zdołał złapać w swoją sieć Jeremiasza! Paskudne podejrzenie zakiełkowało w głowie Jagody i zwróciła spojrzenie na uczennicę.

– Na mnie nie patrz! – oświadczyła Sonia, unosząc ręce. – Chociaż to nie z braku chęci. Żeby mnie przyjęli jako specjalistkę od klątw, muszę zdać egzamin. Za to żeby kogoś zatrudnili jako no... wilkołaka, nie potrzeba egzaminu. Wystarczy że jesteś, tym, no, wilkołakiem. Masz te wszystkie superwyostrzone zmysły,

wielką siłę i kły, i pazury.

– Jestem na kursie przygotowawczym – wymamrotał Jeremiasz. Jagoda nie mogła oprzeć się wrażeniu, że gdyby teraz przybrał wilkołaczą formę, opuszczałby łeb i kulął ogon pod siebie. – Mam być funkcjonariuszem terenowym. Jesteś... jesteś zła?

– Nie... – odpowiedziała i niemal natychmiast zmieniła zdanie. – Nie wiem. Właściwie to nie wiem. Dlaczego wstąpiłeś do WMM? Olcha ci to zaproponował?

Bo jeżeli tak, to owszem, była zła, ale na Olchę, nie Jeremiasza. Nie podobało się jej, że Dagmarek obierał taką drogę życiową. Był lykaninem, ale też bardzo młodym, bardzo nieśmiałym i bardzo zagubionym chłopakiem, który niekoniecznie powinien zarabiać na życie ganiem w wilkołaczej formie za czarnoksiężnikami. Niemniej ona nie była ani jego matką, ani nawet prawną opiekunką. Mogła wskazać mu inne ścieżki – jak stado zmiennokształtnych, do którego ostatecznie nie dołączył – lecz nie miała prawa decydować za niego.

Jeśli jednak była to jakaś intryga Mariusza...

– Tak samo wyszło – zapewniła pospiesznie Sonia. – Był taki jeden, okej? W Warszawie, znaczy się, jak ty byłaś tutaj. Narobił trochę kłopotów, Jeremiasz załatwił sprawę i mu zaproponowali!

Jagoda otworzyła usta, żeby zapytać, dlaczego, do cholery, nic o tym nie wie... ale zaraz zmieniła formę pytania.

– Ach. Czyli mieliście kłopoty w Warszawie i nic mi nie powiedzieliście, ale jesteście źli, że ja nie informowałam was o tym, co dzieje się tutaj? – spytała uprzejmie.

Jeremiasz zapatrzył się w podłogę, Sonia przewróciła oczyma, ale się nie odezwała.

– Kiedy tak patrzysz, wyglądasz zupełnie jak babcia – poinformował Sebastian, który akurat wrócił z balkonu. Jagoda rzuciła mu złe spojrzenie. – Tak, dokładnie o tym mówię, chociaż siła wzroku jeszcze nie ta.

– Nie chcieliśmy cię martwić i rozpraszać – wymamrotała Sonia w końcu. – Po tym, jak pisałaś... Było widać, że masz tutaj dużo roboty.

– Doprawdy – odparła chłodno Jagoda, po czym przeniosła wzrok na Jeremiasza. – Jesteś pewny, że właśnie taka ścieżka kariery cię interesuje?

– To jedyny sposób, bym jako wilk mógł pomagać innym. – Chłopak wzruszył ramionami, nie patrząc na nią.

Wiedźma stłumiła westchnienie. Mniej więcej czegoś takiego się obawiała. Ten dzieciak był po prostu zbyt dobry. Wydawało mu się to słuszne, ale ta praca albo wyleczy go z tego idealizmu, albo go zabije.

Jeżeli miał brać udział w obławie, to prędzej to drugie.

– Świetnie. Ale stażystów nie powinno się posyłać na takie akcje.

– Dlatego jasno podkreślono, że nie znajdzie się na pierwszej linii, prawda? – spytał Sebastian. Przeszedł przez pomieszczenie i położył dłonie na oparciu fotela siostry. – Zostanie razem z Sonią na tyłach.

– Przepraszam?

– Zostanie razem z Sonią na tyłach – powtórzył Sebastian nieomal radosnym tonem, a gdy Jagoda obróciła się na fotelu, aby spojrzeć na brata, obdarzył ją przebiegłym uśmiechem. – Chyba nie myślałaś, że dziewczyna zostawi tę swoją dwójkę? Krystian ma znaleźć się na pierwszej linii, ale nie martw się, dostanie najlepszą ochronę. Ode mnie.

– A co ty masz zamiar tam robić?! – wybuchnęła Jagoda, bo jej młodszy brat jako uczestnik szturm na zamek Jacoba Reda był ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzyła.

– To samo, co ty, oczywiście. Bohatersko ratować świat. A przynajmniej Anglię. Uważasz, że nie mogę być bohaterem? Ranisz mnie w samo serce, siostrzyczko...

– Jasny szlag – warknęła, chwyciła go za dłoń i mocno zacisnęła palce. Sebastian bohaterem? Był typowym Wilczkiem, w przeciwieństwie do Wawrzyńca. Jeżeli w coś się angażował, dokładnie rozważał wszystkie za i przeciw. I naprawdę, naprawdę nie chciała, żeby to zmieniał. A na pewno nie w takim momencie. – Co ty sobie myślisz?

– Och, chłopiec wygaduje bzdury – padło od strony sypialni.

Wyszła z niej Joanna, tym razem ubrana znacznie swobodniej niż wczoraj, choć wciąż elegancko. Wszelka ulga, jaką Jagoda poczuła na jej słowa, została brutalnie uśmiercona chwilę później.

– Nie robi tego z powodu bohaterskich porywów, tylko dlatego, że Scotland Yard zaoferował naszemu partnerowi biznesowemu, Madainn ùr, bardzo intratny kontakt. A ponieważ oni mają obecnie pewne problemy

w firmie, my zaoferowaliśmy pomoc w zamian za daleko idące korzyści finansowe i wsparcie w wejściu na nowy rynek...

– Poszaleliście – wyszeptała Jagoda. Czowała, że kręci się jej w głowie, krew tętni w żyłach, serce wali w szaleńczym tempie. Wszyscy chcieli wziąć udział w walce z Jacobem Redem. Mogli w niej zginąć. I nieważne, co opowiadali o WMM albo kontraktach, to była jej wina. Jej cholerna wina. Przyjechali tutaj przez nią. – To Jacob Red.

– Dlatego należy go powstrzymać – powiedziała Joanna. Usiadła na fotelu i przybrała pozę królowej na tronie. – Wspominałam ci, że kiedyś go poznałam? Byłam pod wrażeniem i wtedy, i potem, gdy odkryłam, jak wiele udało mu się osiągnąć bez ściągnięcia niepotrzebnej uwagi...

– Babciu! Nie o tym rozmawiamy!

– Jak to nie? – zdziwiła się Joanna. – Kiedyś ci powiedziałam, kochanie. Mężczyźni tacy jak on nie zadowolają się przeciętnością. Skoro nie może już działać po cichu, zacznie siać terror. To źle robi interesom. Trochę dobrej sławy też nam się przyda.

– Ostatnim razem w nalocie na zamek Reda wzięło udział trzydzieści osób – wycodziła Jagoda. Studiowała szczegóły tej akcji. I to dogłębnie. Najpierw te ujawnione publicznie, a potem kolejne, kiedy dostała więcej danych, badając sprawę kławy... – Tylko w bezpośredniej walce, bo drugie tyle rzucało zaklęcia ochronne, miało zajmować się rannymi i tak dalej. Sześć z tych trzydziestu osób zginęło. Dziesięć zostało ciężko rannych. A wtedy Jacob nie spodziewał się akcji, której szczegóły ukrywano nawet przed uczestnikami. Był sam, a teraz nie będzie. W dodatku Caleb wpuścił ich do zamku, zdejmując ochrony od środka. Tym razem będzie gorzej.

– Dlatego w samym szturmie weźmie udział sześćdziesiąt osób, a drugie tyle pozostanie na tyłach – odparła Joanna pogodnie, udowadniając, że jest lepiej poinformowana niż Jagoda. – Och, nie rób takiej miny, kochanie. Mam tylko pomóc przełamać zaklęcia ochronne zamku. Jacob na pewno zadbał, by nikogo już nie przepuściły.

– Ty też chcesz wziąć udział w tej akcji?! – jęknęła Jagoda. Poczowała, że robi się jej słabo. Jej babka miała niemal dziewięćdziesiąt lat! – Na litość boską, nie musicie. Nie wiem, co sobie myślicie, ale nie mam tam walczyć. Prawdopodobnie tylko być w pobliżu, gdyby ktoś oberwał kławą albo jakaś bronila wstępu. Nie będę nawet z przodu, bo to załatwi Jeanette Brown...

– Skarbie, świat nie kręci się wokół ciebie – napomknęła ją babka.

– Może i nie, ale jesteście tu przeze mnie – wycodziła, wodząc spojrzeniem po ich twarzach. – Nie macie nic wspólnego z tą sprawą.

– A ty masz? – spytał Sebastian.

Odetchnęła. To było proste, a zarazem cholernie podchwytliwe pytanie. Milczała długo. Miała wrażenie, że znalazła się w pułapce: gorszej niż wtedy, gdy w lesie ścigał ją Red w ciele Michaela Thunderbirda. Coś zaciskało jej się na gardle i odbierało dech. Jeżeli Caleb czuł się choć w ułamku tak, jak ona, mogła rozgrzeszyć go z kławy rzuconej na Mayę i z tego, że chciał wyłączyć ze sprawy ją samą. Ją samą kusiło, aby zapleść przekleństwo wokół nich wszystkich i przebudzić, kiedy będzie po wszystkim.

Ale tak jak ona nigdy nie wybaczyłaby czegoś takiego, tak nie wybaczyliby tego i oni.

– W porządku. Wygraliście – powiedziała martwym głosem. Nie chciała się wycofywać, ale nie była tam naprawdę niezbędna, a jeśli któreś z nich spotka coś złego... – Nie pójdę tam, jeżeli wy tego nie zrobicie.

– Ja się tym zajmuję – przypomniał Krystian. – Jak nie ten czarnoksiężnik, to inny. Nie mam zamiaru odpuścić komuś, kto... w ten sposób bawi się ludźmi.

Jagoda spojrzała na Krystiana z rezygnacją. Wszystkie argumenty, jakie mogłaby wysunąć, traciły na znaczeniu wobec tego zdania: nie odpuści komuś, kto w ten sposób bawi się ludźmi. Chociaż Wiśniewski udawał, że jest w porządku, wspomnienie Izabeli i tego, co ta mu zrobiła, wciąż pozostawało w nim żywe.

Jeden rzut oka na Sonię oraz Jeremiasza wystarczył, aby zrozumiała, że przegrała. Oboje tam pójda. Może nie kierowani tym pragnieniem sprawiedliwości, co Krystian, może nie dlatego, że „tak trzeba”, ale jeżeli nie dla Jagody, to dla Wiśniewskiego.

A w takim razie ona też musi tam być.

– Ja już się zgodziłem. Nie zamierzam tracić twarzy. Interes to interes – stwierdził Sebastian lekkim tonem.

– Madainn ùr samo się z wami skontaktowało? – spytała ze zwodniczym spokojem Jagoda. W duchu

obiecała sobie, że jeżeli odpowiedź będzie twierdząca, osobiście zamorduje Caleba Blythe'a.

– Przyznaję, że nie, wynikało to z pewnych rozmów, jakie prowadziliśmy, gdy próbowałem poznać sytuację w mieście. Prowadzonych z zastępcą dotychczasowego dyrektora, jeżeli dobrze zrozumiałem, aresztowanego. Mamy z nimi wiele wspólnego, prawda? – oświadczył Wilczek, szczerząc zęby w uśmiechu, jakby myśl o tym, że szefem Madainn ur był przestępca, niezmiernie go cieszyła.

– Świetnie – powiedziała Jagoda. – Po prostu świetnie.

Oto nadchodził szturm na przeklęty zamek czarnoksiężnika i nie tylko ona miała wziąć w nim udział, lecz także jej uczennica, dwójka młodzików i połowa rodziny. Co mogło pójść nie tak?

*

– Musimy kiedyś wybrać się do Londynu w przyjemniejszych okolicznościach. Chętnie zabrałabym was do Muzeum Brytyjskiego. A w Donlonie wystawiana jest wspaniała kolekcja artefaktów. Część jeszcze z czasów Merlina. Świątynię Westminsterską też warto zobaczyć.

Jagoda drgnęła, słysząc za sobą głos babki. Spoglądała z balkonu na londyńskie ulice, skąpane w promieniach słońca, a jej myśli umykały ku mglistej enklawie, gdzie właśnie zapadały ostatnie decyzje, i do Rainharbour, gdzie Jacob Red bez wątpienia przygotowywał jakiś diaboliczny plan.

– Miałam okazję zwiedzić donlońską Tower i chyba wystarczy mi poznawania tajemnic tutejszej enklawy – odparła, obracając się do Joanny.

Przypatrywała się jej uważnie, bo za dobrze знаła swoją babkę, aby uwierzyć, że ta przyszła tutaj tylko po to, by porozmawiać o okolicznych zabytkach.

Joanna podeszła bliżej i oparła się o barierkę. Zapadło między nimi milczenie wypełnione ulicznym szumem.

– Czy na pewno? – spytała w końcu Joanna, a na jej ustach zagrał uśmiech. – Myślę, że gdyby zostawić cię tu na kilka miesięcy, jakimś cudem wplątałabyś się w poszukiwania Excalibura albo przejścia do Avalonu.

– Nie szukam przygód, babciu. – Zwykle to one znajdowały ją. Jakoś tak mniej więcej od momentu, w którym Sonia sama na siebie rzuciła kłątwe snu. – A jeżeli chodzi o Rainharbour, przypominam, że chciałam się wycofać.

– Ciągle możesz.

– Tylko że wtedy i tak pójdziecie tam beze mnie – powiedziała. – Zastanawiam się dlaczego. To nie w waszym stylu.

– Względy firmowe są ważne i pewnie i tak bym to rozważała... Ale właściwie to był pomysł Sebastiana – przyznała Joanna ku zaskoczeniu wnuczki. – Wydaje się dość zdeterminowany. Chyba zależy mu na poprawieniu swojej pozycji w firmie i przy okazji udowodnieniu światu, że jest... jak to ująć, gotów stawić czoła złu i występki. Ty również chcesz tam iść, kochanie, oczywiście więc, że nie puszcę moich wnuków samych, prawda? Rodzina jest najważniejsza.

– O tym chciałaś porozmawiać? – spytała Jagoda.

– Nie. Właściwie to nie. Chciałam spytać, na ile jesteś pewna, że Caleb nie wesprze swojego mistrza.

– Kilkanaście lat temu pomógł się go pozbyć – przypomniała wiedźma. – A zaledwie kilka dni temu próbował go zabić. Skąd w ogóle pomysł, że nagle postanowi zostać sługą nowego mrocznego pana?

– Miałam okazję poznać tego chłopca, wiele lat temu. Kiedy uciekł z kraju, sprawdzałam, co się z nim działo.

– Chciałaś pozbyć się kogoś, kto ośmielił się skrzywdzić twoją matkę?

Nie było to taktowne, ale Jagoda brała pod uwagę, że babka mogła postąpić w ten sposób. Nawet jeżeli twierdziła, że nie może obwiniać Caleba i sama miała trudne relacje ze swoją rodzicielką. Sama w końcu powtarzała, że rodzina jest najważniejsza.

– A skąd ten pomysł? – Joanna zwróciła na nią uważne spojrzenie ciemnych oczu, tak podobnych do tych, które patrzyły na Jagodę z lustra.

– Może pamiętam, jak bardzo się starałaś, żeby zamieść pod dywan to, co zrobił Filip? Ludzie nagle wycofujący zeznania, policjant wyrzucony ze służby i tak dalej? – warknęła Jagoda i odwróciła wzrok. Napięła mięśnie, gdy dostrzegła, że na krańcu barierki usiadł kruk i przypatrywał się im teraz, po ptasiemu przechylając głowę. Przemknęło jej przez głowę pytanie, co stałoby się, gdyby faktycznie wycofała się ze szturm. Czy Kruczarka uznałaby to za złamanie danej jej obietnicy?

– Dalej mi tego nie wybaczyłaś.

Jagoda zawahała się nad odpowiedzią. Miała chęć odpowiedzieć, że nie, ale coś w tonie babki, może niepasująca do niej rezygnacja, sprawiło, że tego nie zrobiła.

Tkwiło to w niej jak zadra. Joanna była wściekła na Filipa. Cierpiała. W pewnym sensie wymierzyła mu karę za to, że nie dopatrzył spraw i Wawrzyńiec zginął podczas nielegalnego zlecenia. Jednocześnie zrobiła wszystko, aby sprawa nie wyszła na jaw.

Bo rodzina jest najważniejsza.

Z drugiej strony teraz, z perspektywy lat, Jagoda wcale nie była pewna, czy gdyby sytuacja się odwróciła, nie postąpiłaby tak samo. Czy gdyby Filip umarł z winy Wawrzyńca, nie odwrotnie, nie poruszyłaby nieba i ziemi, aby ochronić brata?

– Nie umiem mu wybaczyć – powiedziała w końcu cicho. – Nigdy się z tym nie pogodzę. Ale nie. To nie tak, że obwiniam ciebie.

– To była moja wina. Przynajmniej po części – stwierdziła Joanna sucho, po raz kolejny wprawiając Jagodę w zdumienie.

Wilczek splotła palce, mocno je zaciskając. Pomyślała, że może między innymi dlatego babka teraz tak bardzo nie chce puścić ich do Rainharbour samych. Zwłaszcza gdy Sebastian na to nalegał.

Nie chciała, aby życie stracił kolejny wnuk.

I może – tylko może – Joanna Wilczek nie potrzebowała przebaczenia od wnuczki. Raczej od samej siebie. Tego Jagoda się nie spodziewała.

– W każdym razie... – podjęła babka. – W tym przypadku raczej czułam się odpowiedzialna za tego chłopca. Sprawdziłam, jak się miewa. Dlatego nie ufam mu i bardzo mi się nie podoba, że oboje... zignorowaliście moje ostrzeżenia. On i Jacob Red wydawali się doskonale dogadywać.

– Do momentu, w którym rzucili się sobie do gardeł – podkreśliła Jagoda z rezygnacją. Może słowa babki by ją zmartwiły, gdyby nie fakt, że już całkiem sporo wiedziała o relacji mistrza i ucznia. Skomplikowanej, faktycznie, ale zmierzającej ku jednemu. Nieuchronnej konfrontacji, a nie pojednaniu. – Tak, wiem, że Caleb nie jest dobrym chłopcem, ale Reda traktuje jak wroga. I tak, walczył z prababką. Wiesz dlaczego? Bo miała zamiar zamknąć go w swoim domu. Na jego miejscu zrobiłabym dokładnie to samo.

– Och. – Brwi Joanny powędrowały w górę, chociaż nie zdawała się jakoś szczególnie zdziwiona. – Tak, to wiele wyjaśnia. I bardzo by do niej pasowało.

– Ona... zamykała ciebie...?

– Ależ skąd – prychnęła babka. – Byłam jej córką, kochanie. Zawsze była... bardzo surową matką, ale nie, nie zrobiłaby czegoś takiego, a ojciec nigdy by na to nie pozwolił. Co innego ten chłopiec. Nie był z jej krwi. Podejrzewam zresztą, że gdy odkryła twój talent, przestała być tak zainteresowana uczeniem Caleba. W dodatku nie tolerowała sprzeciwu, a on stawał się coraz bardziej nieposłuszny.

– Taaak. To zdarza się szesnastolatkom – odparła Jagoda. – Byłam przy jej śmierci, prawda?

– Tak – przyznała Joanna. – Myślałam, że tego nie pamiętasz.

– Nie pamiętałam. – Wzruszyła ramionami, pozornie obojętnie. – Ale sobie przypominałam.

Jedną z wielu śmierci, których była świadkiem. Wspomnienia odzyskały dawną ostrość i Jagoda nie była pewna, czy kiedykolwiek uwolni się od widoku martwych twarzy.

– Nie puszczałyśmy cię do niej w ostatnich miesiącach jej życia – powiedziała Joanna w zamyśleniu. – Nie podobało mi się, że tak ją interesujesz. W dodatku raz zostawiła was z tym chłopcem samych i oboje spadliście z jakiegoś dachu. Byłam na nią taka wściekła... Ale przed śmiercią koniecznie chciała cię zobaczyć. Chyba planowała nam powiedzieć, że władasz magią klątw, ale nie zdołała. Wstrząsnęło to tobą, kochanie, więc nigdy więcej o niej nie wspominałam. Kiedy mówiłaś o jej domu, twoja matka powtarzała, że to był tylko sen.

– Aż sama w to uwierzyłam – wymruczała Jagoda. Pamiętała babkę, ale jak przez mgłę. Caleb w jej wspomnieniach zachował się na jednym, może dwóch obrazkach i nawet by go nie rozpoznała. Pewne rzeczy w enklawie prababki zdawały się znajome, ale to wszystko. Minęło za wiele lat, nikt nie rozmawiał z nią ani o prababce, ani o Calebie, matka przekonywała, że dom i chłopiec to tylko sny. – Jestem do niej podobna, prawda?

Pytanie wyrwało się jej samo. Nie chciała go zadawać. Nie babce.

– Pod pewnymi względami – odparła Joanna, po czym wyciągnęła rękę i poklepała ją po ramieniu. –

Ale pod wieloma bardzo się od niej różnisz, kochanie. Dręczy cię to? Bo jeżeli tak, to niepotrzebnie.

Musiała się zastanowić nad odpowiedzią. Jeszcze niedawno odpowiedź brzmiałaby „tak”. Teraz...

– Nie – powiedziała w końcu, spoglądając nie na Joannę, lecz prosto w paciorkowate, czarne oczy kruka. – Już nie.



ROZDZIAŁ TRZYNASTY

**CZASEM WYSTARCZY
ŻYCZENIE**

W lesie dzielącym dom sióstr Donelly od wzgórza, na którym wzniesiono zamek, zaroilo się od ludzi, a powietrze zgęstniało od magii. Zaklęcia ochronne i maskujące ustawiono tu już poprzedniego dnia i teraz pod ich osłoną czyniono ostatnie przygotowania. Sprawdzano amulety, tkano czary, przekazywano instrukcje. Między drzewami wzniesiono namiot uzdrowicieli i magomedycy kręcili się między łózkami polowymi, szepcząc inkantacje.

Jagoda siedziała na pniu obalonego drzewa i wypatrywała w kłębowisku ludzi znajomych twarzy. Przez moment zdołała zobaczyć Erin, która rozmawiała z Maeve. Dziewczyna pomachała jej, nim znikła w namiocie, a Maeve spłoszyła się wyraźnie, kiedy zauważyła Jagodę. Wiedźmie przyszło do głowy, że być może właśnie poznała źródło doskonałych informacji Blythe'a o polskim WMM. Grupy szturmowe przygotowywały się jednak kawałek dalej i nie zdołała dostrzec Caleba, Eleanore, Evana, Krystiana ani Sebastiana.

Młody Wilczek był wyposażony w najlepsze ochronne amulety, jakie dało się kupić, jeden z przeklętych przedmiotów, który przygotowała jeszcze wtedy, kiedy się kryli, oraz własną całkiem potężną magię. Miał zapewnić barierę ochronną i nie angażować się w samą walkę. Mimo to lęk o niego spychał na bok wszystkie inne uczucia. Sebastian, w przeciwieństwie do Caleba i jego towarzyszy czy nawet Krystiana, nie był wojownikiem. Nigdy nie powinien się tu znaleźć. Prawdziwe źródło strachu Jagody leżało jednak znacznie głębiej: w koszmarach siostry, która raz już straciła brata.

– Szkoda, że nie będziemy z przodu – jęknęła Sonia.

Nie mogła usiedzieć w miejscu, co rusz to siadała obok Jagody, to wstawała i kręciła się w pobliżu. Gdy próbowała odejść dalej, zaraz ktoś na nią furczał, żeby trzymała się swojej pozycji.

– Szkoda? – powtórzyła Jagoda. Być może nie powinna niepokoić uczennicy, ale tym razem postanowiła brutalnie zniszczyć jej fantazje. Sama tak bardzo martwiła się o to, co będzie dalej, że ekscytacja dziewczyny wywoływała w niej złość. – Jesteś świadoma, że część tych ludzi zginie?

– Co? To znaczy... tak, ja... – Sonia znów opadła na pień, a jej entuzjazm jakby przygasł. – Po prostu... to ekscytujące.

– Gra komputerowa może być ekscytująca. Tam możesz wrócić do bezpiecznego punktu, a ginące NPC nie mają twarzy.

Instynkt samozachowawczy Zawickiej czasem ewidentnie szwankował. Bywała zaskakująco bystra, chłonęła wiedzę jak gąbka i jeżeli szło o magię klątw, wszystko chwyciła błyskawicznie, ale w takich chwilach Jagoda była bliska podejrzenia uczennicy o socjopatię.

– No dobra, przepraszam – westchnęła Sonia. – Źle się wyraziłam. Wiem, że będzie ciężko i to... wszystko straszne. To jest... chodzi o to, że to historyczna chwila, prawda? Poza tym naprawdę sądzisz, że będą ofiary? Podejmują tyle środków ostrożności... przygotowali się...

– Red też na pewno się przygotował – ucięła Jagoda. – W dodatku nie mamy pewności, czy tych przygotowań, tak na wszelki wypadek, nie zaczął jakiś czas temu.

Czar, który miał umożliwić mu przejęcie ciała Thunderbirda, stworzył przecież dużo wcześniej. W tamtym momencie mógł co najwyżej się zorientować, że funkcjonariusze zaczynają szukać dowodów na jego zbrodni. Nie spodziewał się pewnie nawet, że sytuacja eskaluje, a jednak podjął tak drastyczne kroki. Starannie wybrał ofiarę. Zdobył odpowiednie komponenty.

Gwałtownie uniosła głowę, gdy usłyszała krakanie. Czarny ptak przysiadł na gałęzi tuż nad nimi. Ale to przecież nie mógł być jeden z kruków Tower. Nie opuszczały enklawy.

Prawda?

Podniosła się, wciąż zapatrzona w kruka, a wtedy po okolicy poniosł się przeciągły gwizd i ptak poderwał się do lotu. Dreszcz przeszedł przez ciało Jagody, bo to był pierwszy z sygnałów, na które czekali. Prawie podskoczyła, gdy ktoś dotknął jej ramienia. Za nią stała babka.

– Moja droga? Zdaje się, że powinniśmy iść?

– Tak. Jasne. Sonia...

– Tak, tak. Będę na siebie uważać. Chociaż tutaj mogłaby mnie zaatakować co najwyżej wściekła wiewiórka – powiedziała Zawicka.

Wbrew niefrasobliwym słowom i wcześniejszej postawie w jej spojrzeniu krył się niepokój. Jagoda wraz z babką ruszyły ku swojej grupie, mającej przemieścić się na obrzeża w chwili, gdy zgromadzone tam bojówki skierują się bezpośrednio na zamek. Osoby na skraju lasu były drugą linią – miały służyć wsparciem w razie potrzeby lub pomóc w ewakuacji rannych i trzymać się na tyłach.

Plan zakładał podejście z trzech stron tak, by Red do ostatniej chwili nie wiedział, że atak się rozpoczął. Jagoda nie była aż taką optymistką, by sądzić, że to się uda. I rzeczywiście, chwilę po tym, jak rozbrzmiał drugi sygnał i zajęli nowe pozycje, pojawiły się pierwsze problemy. Nawet z odległości kilkudziesięciu metrów wyczuła aktywowaną kłtwę. Szybko się rozwiła, prawdopodobnie odbita przez Caleba lub Brown, ale to oznaczało, że choć zamek stale obserwowano, Red zdołał zostawić kilka niespodzianek wokół niego. Grupa zresztą zwolniła, najwyraźniej rozbrajając inne pułapki, których Jagoda nie potrafiła już z takiego dystansu wyczuć.

To był dopiero początek.

Nagle wokół dało się wyczuć przyływ magii. Potem ziemia lekko zadrżała, zerwał się wiatr i wreszcie niebo nad ich głowami zaczęło migotać. Jagoda zadarła głowę; z początku nie rozumiała, co się dzieje. Paznokcie babki zniemacka wbiły się w jej nadgarstek, tak mocno, że jeden z nich przebił skórę.

– Osłony enklawy! – krzyknęła Joanna Wilczek. Osłony enklaw stanowiły jej specjalizację: od dobrych sześćdziesięciu lat pomagała pracować nad tymi warszawskimi. – Osłony enklawy pękają!

– Nie – wyszeptała Jagoda. Opuściła głowę i spoglądała ku zamkowi. Zdawał się migotać w świetle zachodzącego słońca i wiedźma zrozumiała – zbyt późno – co planował Jacob Red. Co przygotowywał, być może już od tego dnia, kiedy uwolnił ją w lesie. Nawet on musiał coś takiego zaplanować. Pewnie pozostawić runy w różnych punktach Rainharbour. Rzucić drobne zaklęcia. Zrobił to na wszelki wypadek, bo Jacob Red zawsze miał plan awaryjny. – Nie pękają. Ściąga ich moc do zamku.

– Przecież to niemożliwe!

– Nie dla niego – wykrztusiła wiedźma. – Zniszczy enklawę. Poza tym fragmentem. I dzięki jej mocy albo wzmocni osłony zamku... albo siebie.

Babka puściła jej rękę i przepchnęła się pomiędzy ludźmi do funkcjonariusza, który zarządzał grupą. Każdy z dowódców miał zestaw komunikacyjny, a części towarzyszyli też telepaci, by umożliwić skoordynowanie akcji. Joanna zaczęła pospiesznie wyjaśniać, co się dzieje, wskazując przy tym to na niebo, to na zamek. Jagoda nie patrzyła jednak na nich. Przypatrywała się czarodziejom, którzy posuwali się do przodu... wolno... tak strasznie wolno... a w tej chwili mogli albo się wycofać, albo błyskawicznie przebić...

...albo zginąć.

Jacob Red zrówna z ziemią większą część enklawy. Nie dało się przewidzieć, co stanie się z ludźmi, którzy byli na jej terenie, ale Jagoda podejrzewała, że nic dobrego. Prawdopodobnie przy okazji wyrwie z Rainharbour sam zamek: być może stworzy przy tym dokładnie taką kryjówkę, jaką po prababce odziedziczyła Wilczkówna. Niemożliwą do sforsowania z zewnątrz.

W głowie wiedźmy huczało. Prawie nie słyszała wypowiedzianych wokół słów. Gdy dostrzegła na wzgórzu błysk srebra, a potem zobaczyła charakterystyczną srebrną osłonę, która otaczała grupę, przez moment skupiła się tylko na tym widoku: bo oto jej brat poświęcał właściwie całe swoje zasoby energii, aby przyspieszyć marsz.

Wiadomość dotarła. I zdecydowano, że należy przebić się jak najszybciej. Ujęcie Reda, uniknięcie ofiar, to wszystko zeszło na dalszy plan. Przede wszystkim należało przerwać niszczenie Rainharbour.

Ledwie chwilę później z grupy stojącej na skraju lasu oderwało się kilka osób, które pędem ruszyły w ślad pierwszej drużyny. Wiedźma zdała sobie sprawę, że byli wśród nich Jeremiasz, a pochod zamykała Joanna. Wokół niej też zaczęła się formować srebrna bańka, zaklęcie opracowane przez pradziadka. Jagoda bez namysłu ruszyła za babką.

Nie było mowy, żeby Joanna poszła tam sama!

Jeremiasz w skoku zamienił się w wilka i wyprzedził ich wszystkich. Nie napotkali przeszkód, już usuniętych przez pierwszą grupę, ale gdy Jagoda zbliżyła się do nich, dostrzegła, jak osłona wyczarowana przez Sebastiana faluje, miejscami znika, gdy atakujący aktywowali pułapki, zamiast je usuwać. Zaraz się jednak odnawiała. Jeszcze w biegu wyczuła gdzieś przed nimi kłtwę i napędzana adrenaliną zmiażdżyła ją, nawet nie sprawdzając działania.

Dogonili pierwszą grupę już niemal pod wejściem. Kątem oka Jagoda zauważyła, że gdzieś z prawej nadciągają kolejni ludzie, ale pozbawieni takiej osłony, jaką tutaj wyczarował Sebastian, posuwali się wolniej. Przepchnęła się do brata, który opadł na klęczki, a jej babka, zadyszana, potykająca się po takim wysiłku, dopadła bramy. Jeanette Brown, Caleb i trójka funkcjonariuszy Scotland Yardu stanęli u jej boku, a wokół nich rozszalała się magia. Walczyli z osłonami.

Wolno.

Za wolno.

– W porządku?

– Czuję się świetnie – zapewnił Sebastian. – Potrzebuję tylko minutki.

Możemy nie mieć minutki, pomyślała Jagoda, zadzierając głowę. Niebo już nie tylko iskrzyło: nad nimi roztaczała się błyszcząca sieć. Osłony enklawy stały się widoczne.

– Wszyscy, którzy nie biorą udziału w niszczeniu osłon, niech się cofną! Magowie bojowi do przodu! – padł rozkaz.

Gdy Jagoda próbowała zlokalizować dowódcę, dostrzegła mężczyznę z szopą rudych włosów, świeżo mianowanego komendanta tutejszych służb. Druga grupa dotarła chyba pod mur: jeśli sądzić po wyczuwalnej stamtąd magii, zaczęli atakować ochronne bariery.

Początkowo ich usunięcie zamierzano pozostawić specjalistom, by бойówki oszczędziły energię. To było bardziej czasochłonne, ale bezpieczniejsze i wymagało dużo mniej mocy. Żle, źle, źle. Nawet jeżeli się przebiją, dalej czekał przecież jeszcze Red i być może jego ludzie.

– Na mój sygnał!

Wilczek chwycił ją za rękę i przyciągnął ku sobie. Bariera, którą postawił, była na tyle słaba, że zaraz się rozpadła, ale uchroniła ich przed odpryskiem mocy skierowanej w bramę. Dwie inne osoby w pobliżu nie miały tyle szczęścia i upadły, oszołomione, choć na szczęście nie ranne.

– Tak na wszelki wypadek... – mruknął Sebastian i otoczył ją ramionami. – Bardzo cię kocham, siostrzyczko.

Jagodę zmroziły jego słowa. Znał się na osłonach dużo lepiej od niej i skoro mówił coś takiego, tu i teraz, zakładał, że... nie zdążą. Podniósł się i ruszył do babki, a potem ich dłonie splotły się, kiedy łączyli moc, by przełamać obronę zamku. Joanna ściągnęła z szyi amulet ochronny, wyciągnęła z niego energię, by się wzmocnić, i po chwili medalion zamienił się w proch. Ziemia ponownie zdrząła, może na skutek poczynań Reda, może z powodu Krystiana, uwalniającego pełnię swoich niszczycielskich możliwości. Jagoda sięgnęła własną mocą do bramy i rozplotła kłątwe wplecioną w struktury obronne.

Połączone wysiłki w końcu przyniosły rezultat. Brama rozpadła się w pył wraz z barierami ochronnymi.

– Osłony! – zażądał rudzielec, problem polegał jednak na tym, że jeden z funkcjonariuszy, którzy mieli ochraniać resztę, osunął się na ziemię bez przytomności. Medyk podbiegł do niego, ale nawet najlepszy uzdrowiciel nie mógł od razu postawić na nogi człowieka w stanie skrajnego wyczerpania magicznego.

Sebastian ruszył do przodu i zajął miejsce mężczyzny. Jagoda знаła swojego brata: Wilczek wcześniej nie planował wchodzić do środka i to, że teraz ktoś zemdłał, nie zmieniłoby jego planów. Rozpadająca się wokół nich enklawa stanowiła jednak dobrą motywację. Nie mieli już wyboru. Nie zdążyliby uciec.

Z trudem powstrzymała impuls, który nakazywał jej natychmiast stanąć obok brata. Gdyby szła na przodzie, byłaby tylko dodatkową osobą wymagającą ochrony. Krystian, Caleb oraz kilku funkcjonariuszy już wchodzili zaraz za Sebastianem i jeszcze jednym policjantem otoczonym ochronnym czarem. A choć jeden z magów bojowych wciąż siedział na ziemi z twarzą umazaną krwią, osłabiony po tym przyspieszonym szturmie, to z prawej nadbiegli członkowie drugiej grupy. Obok Jagody przemknęła Eleanore, zaraz za nią biegli Evan i Maeve...

Medyk szepnął coś nad nieprzytomnym i też wstał. On, jego obstawa, dowódca i Jeremiasz również znikli we wnętrzu. Jagoda zeszywniała na pierwsze odgłosy walki i zrobiła krok w przód, po czym zamarła, niezdeterminowana, spoglądając na Joannę, która oparła się o mur obok zniszczonych wrót.

– Równie dobrze możemy wejść do środka – oświadczyła babka idealnie spokojnym tonem. – Wolę nie spuszczać Sebastiana z oczu, a jeżeli nie zdążymy, zamek, nawet z czarnoksiężnikiem w środku, za pięć minut będzie najbezpieczniejszym miejscem w tej enklawie.

– Nie – odparła Jagoda, która pomyślała o podziemnej komnacie Reda. – Nie będzie.

Obejrzała się w stronę lasu. Mogła tylko mieć nadzieję, że ktoś rozkazał, aby ci, którzy mieli trzymać się tyłów, jak najszybciej opuścili enklawę. Jeśli się pospieszą, była szansa, że zdążą.

Potem przekroczyła próg.

Ruszyła znanym już sobie korytarzem i zaklęła pod nosem, bo zarówno hałas, jak i magiczne impulsy dochodziły z dwóch stron. Z miejsca, gdzie schody wiodły do laboratorium Jacoba i gdzie zapewne sam czarnoksiężnik tkął swój starannie przygotowany czar, oraz z sali, w której uwięzili kiedyś brownie. Istota albo

bronila domu, albo ktoś z ludzi, o których Michael sam jej przecież opowiadał, odciągał część sił.

– Sebastian jest tam – oświadczyła babka i skręciła w lewo.

Jagoda na moment została z tyłu, niezdecydowana, bo może i Wilczek był w sali, ale to z prawej strony toczyła się główna walka. Tam musiał być Caleb. Tam będzie Red.

Nie mogła pozwolić sobie na zwłokę. Gdy wyczuła klątwę, swoją własną, wcześniej zaplecioną na przedmiocie i wręczoną Sebastianowi, ruszyła w pogoń za babką. Obie wpadły do pomieszczenia, gdzie trzech – czy raczej dwóch, bo jeden z nich zdawał się stać beczynnym – funkcjonariuszy oraz jej brat próbowało się uporać z...

Magiem ognia.

Kula płomieni, która ogarnęła jednego z mężczyzn – jego krzyk przebrzmiał niemal natychmiast, gwałtownie urwany, gdy zatchnął się żarem, a zapach spalenizny rozniósł się dokoła – była wystarczającą wskazówką.

Jagoda wypuściła klątwę, jedną, drugą, trzecią, wszystkie kierując w ognistego maga. Walczący z nim funkcjonariusz, otoczony ochronnym czarem Sebastiana, wykorzystał moment, w którym jego przeciwnik się zachwiał, i zaklęcie rzuciło magiem, aż z impetem wbił się w ścianę.

W tym właśnie momencie trzeci z funkcjonariuszy, dotąd stojący w bezruchu, dokończył tkany czar: tak silny, że jego moc była doskonale wyczuwalna, mimo całej magii zgromadzonej w pomieszczeniu.

I wypalił go wprost w Sebastiana.

Jagoda, jeszcze nim do niej dotarło, że wśród nich jest zdrajca, rzuciła się ku napastnikowi. Klątwa, utkana odruchowo, bez udziału świadomości, trafiła go pierwsza, a potem sama wiedźma wpadła na niego z rozpędu i zbiła z nóg. Ktoś krzyczał: ten krzyk dźwięczał w uszach Jagody, a choć był krótki, niezbyt głośny, odbijał się echem w jej głowie i nie słyszała już niczego poza nim.

Kolejny czar, dość słaby, pospiesznie utkany, uderzył w nią i został zneutralizowany przez ochronny amulet, który się rozpadł. Jagoda nawet tego nie dostrzegła podczas swojej szarpaniny z funkcjonariuszem. Gdy uderzył ją w twarz, nie poczuła bólu. Oddała cios, pięść trafiła go w nos, a następna klątwa wplotła się w jego aure, następna i następna, i nie zdołał się już bronić, gdy kolejne uderzenia Jagody spadały na policzki, czoło, usta, zamieniając je w krwawą miazgę. Zaślepiona wściekłością może biłaby dalej, długo po tym, jak wyzionąłby ducha, gdyby nie otrzeźwił jej rozpaczliwy okrzyk brata.

– JAGA! JAGA!

Chwyliła przeciwnika za włosy i z całej siły walnęła jego głową o posadzkę, po czym się poderwała. Nie dbała o to, czy zostawia za sobą nieprzytomnego, czy trupa. Sebastian – nietknięty – klęczał na podłodze i obejmował Joannę. Wydawała się taka drobna i mała, kiedy nieruchomo leżała w jego ramionach: prawie jak dziecko. Jagoda uklękła przy nich, chwyciła babkę za rękę i przez sekundę poczuła ulgę, bo Joanna spojrzała na nią zamglonym wzrokiem i uśmiechnęła się, a wiedźma pomyślała, że może ten czar nie był aż tak silny, że może babka, mimo wyczerpania, zdążyła postawić ochronną barierę...

...ale ciemne oczy Joanny uciekły zaraz w tył głowy, ostatni oddech uszedł z jej ust, a dłoń w uścisku wnuczki zwiotczała. Sebastian jęknął i sięgnął do szyi babki, szukając pulsu.

– Medyka, do cholery! – zawołał.

Ułożył Joannę na podłodze, by zacząć resuscytację. Jagoda się nie poruszyła. Nie próbowała mu pomóc. Wiedziała, że na to jest już za późno: o wiele za późno. Za późno o życie.

Gdyby babka była młodsza, gdyby wcześniej nie wyczerpała jej walka z osłonami, mogłaby to przeżyć. Może gdyby czar trafił Wilczka, on by przetrwał.

Gdyby go nie osłoniła.

Gdyby tu nie przyszła.

Gdyby Jagoda ich tu nie ściągnęła.

Te myśli odbijały się jej w głowie, a gniew i rozpacz brały górę. Moc Jagody odpowiadała, formowała klątwę, reagując na życzenie, którego wiedźma jeszcze nie umiała ubrać w słowa. Magia sama, bez świadomej decyzji czarownicy, pochwyliła ostatnie tchnienie Joanny, pochłonęła je, zmieniła w energię, która tylko czekała, by skierować ją przeciwko konkretnej osobie.

Morderca leżał jednak już na ziemi, a nie mogła przekląć brata ani samej siebie.

Gdyby nie Jacob Red...

Poderwała się i pędem ruszyła korytarzem. Zlekceważyła nawoływania Sebastiana, pochłonięta

jednym pragnieniem: dopaść Reda i posłać go na tamten świat. A magia posłuszna temu życzeniu związała się, tańczyła wokół niej, nici klątwy oplatały palce. Gdzieś na skraju świadomości Jagoda wreszcie zrozumiała, że tak zawsze działała jej magia; że to dlatego wykraczała poza to, czego można było zwykle dokonać przy przekleństwach – że odpowiadała na życzenia swojej pani. Ale tylko te złe, bo nie było dobrych klątw. A nawet wtedy, gdy zginął Wawrzyniec, nikomu nie życzyła śmierci tak gorąco, jak teraz.

Z kieszeni wygrzebała pióro otrzymane od kruczej czarodziejki: nic się jednak nie stało, gdy je ścisnęła. No dalej, Kruczarko, pomyślała. Potrzebowała wszystkiego, absolutnie wszystkiego, co tylko mogła dostać, bo w tej chwili dzieliła obsesję Caleba, Eleanore i wielu innych: nade wszystko na świecie pragnęła śmierci Jacoba Reda.

Na piętrze pozostały tylko trzy osoby, dwóch rannych i zajmujący się nimi medyk. Jagoda minęła ich i skierowała się ku schodom. Zejście, na szczęście, było już otwarte. Pomknęła po stopniach, a gdy już niemal dotarła na dół, schody zadrżały. Nie: zadrżał cały zamek. Red lub Wiśniewski. Wiedźma straciła równowagę. Nabiła sobie parę siniaków, przez moment zawirowało jej w głowie, kostkę zaś przeszył ostry ból. Okulary spadły z nosa Jagody i poleciały w kąt, a bez nich obraz stał się zamazany, jakby patrzyła na wszystko przez zaparowaną szybę. Zamroczona, nie zdołała poderwać się od razu. Spojrzała na rękę wciąż kurczowo zaciśniętą na piórze: teraz pogniecionym, w kilku miejscach rozerwanym. Ujęła je i z rozmachem uderzyła ostrą końcówką o wnętrze drugiej dłoni. Pękło od uderzenia, ale z zadraśniętego miejsca popłynęła krew.

Na pozór nic się nie stało. Jagoda wstała i ruszyła dalej. Tu i ówdzie ściany oraz podłoga nosiły ślady po rzucanych zaklęciach, przeskoczyła też nad czymś ciałem leżącym w korytarzu. Z przodu, z „oficjalnego” laboratorium Reda, dobiegały krzyki. Sądziła, że wpadnie w sam środek walki, nic takiego jednak się nie stało.

W sali znajdowało się parę osób, włącznie z Jeremiaszem, wciąż w wilczej formie. Kolejne tłoczyły się w przejściu i próbowały sforsować niewidzialną barierę. Jeśli sądzić po tym, że ziemia znów zadrżała, wśród nich był Krystian.

– Co się dzieje? – spytała wiedźma Jeremiasza.

Poruszyła palcami, gdy zaswędziała ją ręka. Spojrzała na wnętrze dłoni. Od ranki biegły ciemne linie, rozprzestrzeniając się coraz szerzej. Sięgnęły nadgarstka, a kiedy podwinęła rękaw, zobaczyła, jak mkną dalej, ku łokciowi.

Innego dnia mogłoby ją to przestraszyć. Teraz lęk nie mógł przebić się przez rozpacz i wściekłość. Kruczarka obiecała, że pomoże, i Jagoda była gotowa przyjąć tę pomoc z otwartymi ramionami, niezależnie od ceny, jaką później przyjdzie zapłacić.

– Złe wieści. Dolnego laboratorium bronią bardzo potężne bariery. Próbują je przełamać. Dobre wieści. Caleb przez nie przeszedł. Cokolwiek się tam dzieje, Red chwilowo nie niszczy enklawy – odparł Jeremiasz.

Chłopak przemienił się na moment i udzielił wyjaśnień skulony na podłodze, nim na powrót przybrał wilczą postać.

Wiedźmie kręciło się w głowie, od uderzenia, od własnej, niespokojnej magii i od mocy, która zaczynała płynąć w żyłach ku sercu. Obca i znajoma jednocześnie, magia Tower, z którą na krótką chwilę Jagoda połączyła się deszczowego wieczora w Donlonie. Może ktoś inny potrafiłby wykorzystać ją skuteczniej, wiedźma jednak zrobiła z tą całą, przedziwną energią jedną rzecz: wlała ją w tworzącą się klątwę przeznaczoną dla Jacoba Reda.

Nie miała nic, co do niego należało. Nie było też żadnego jabłka ani wrzeciona. Brak punktów zaczepienia. A tego potrzebowały nawet najpotężniejsze przekleństwa: zwłaszcza one. Nawet z całą magią Tower, musiała przynajmniej zobaczyć ofiarę, aby to zadziało.

Głosy ludzi zgromadzonych w podziemiach rozmyły się w krakaniu, które wypełniło jej uszy. Cudze twarze i sylwetki coraz bardziej rozmazywały się przed oczyma wiedźmy. Tkała zbyt wiele magii, aby ciało mogło to dłużej znieść. Rzuciła się do przodu, przepychając między funkcjonariuszami. Zaskoczyła ich na tyle, że zdołała przemknąć po schodach, prawie kogoś przy tym przewracając, potem ktoś próbował ją schwycić, ale wywinęła się i skoczyła ku barierze, owładnięta jedną myślą: musiała poznać pozycję Reda, by rzucić tę klątwę.

Wbrew oczekiwaniom nie uderzyła jednak o niewidzialną ścianę. Poleciała do przodu, przeniknęła na drugą stronę. Przez sekundę klęczała zdezorientowana, kiedy jednak nikt nie ruszył za nią, dotarło do niej, co się stało.

Jacob Red ją przepuścił. Dokładnie tak, jak wcześniej Caleba. Wpisał w osłonę wyjątki.

Być może, gdyby zostało w niej miejsce na coś prócz gniewu i magii, przeraziłoby ją to. Nie poświęciła temu jednak wiele uwagi. Cokolwiek planował Jacob Red, popełnił ogromny błąd: nie spodziewał się zagrożenia z jej strony. Miałby rację... gdyby nie moc Tower i ostatnie tchnienie Joanny Wilczek. Dźwignęła się na nogi i pokonała te ostatnie kilka kroków, by znaleźć się w komnacie szklanych trumien. I nie była pewna, czy faktycznie iskrzy tam od zaklęć, czy to tylko jej wzrok płatał figle. Pośrodku sali zobaczyła ciało leżące w kałuży krwi. Chociaż widziała tak słabo, że zdołała dostrzec tylko ciemne włosy, domyśliła się, kto to był. Marek. Specjalista od osłon, idealna ofiara, kiedy chciało się nad taką magią zapanować.

Przed jej oczyma mignęły inne ciała, głowy opadające na szafocie, trupy dzieci ukrywane pod schodami, człowiek wmurowywany w ścianę, ktoś mordowany nocą w łóżku, ofiary Tower, dwóch Tower, tej w Londynie i w jego odbiciu.

– ...pani Wilczek.

Tylko te dwa słowa przebiły się przez szum i nawoływania kruków. Chwilę później czar poderwał ją w powietrze i wiedźma uderzyła o jedną ze szklanych trumien. Patrzyły z niej martwe oczy. Jagoda nie miała pewności, czy naprawdę widzi w środku białą, zamazaną plamę twarzy, co by oznaczało, że Red schwytał następną osobę, żeby nakarmić nią swoje zaklęcia, czy to kolejna halucynacja, wspomnienie, wyobraźnia. Unieruchomiona, nie mogła się rozejrzeć za Calebem, chociaż musiał tu być, bo ktoś coś mówił, chyba krzyczał – słowa zlewały się ze sobą i nie umiała ich zrozumieć – i w powietrzu kłębiły się czary.

To jednak nie miało znaczenia.

Bo wreszcie zdołała zobaczyć Reda.

Mordercza klątwa pomknęła ku niemu, a wraz z nią z ciała Jagody umknęła cała moc pożyczona przez Kruczarkę i wszystkie zasoby jej własnej energii. Chyba na parę sekund straciła przytomność, bo ocknęła się już niespętana zaklęciem na kamiennej podłodze. W samą porę, by zobaczyć, jak Caleb Blythe skręca kark Jacobowi. Przekleństwo, nawet tak potężne, nie wystarczyło, aby zabić czarnoksiężnika, ale dało jego uczniowi szansę na dokończenie sprawy.

Nawet Red nie zdołał oprzeć się tej klątwie.

Nie miała siły, by wstać lub choćby usiąść. Przypatrywała się trupowi, który upadł ledwo kilka metrów od niej, żałowała, że widzi tylko zarys jego sylwetki: że nie może dostrzec wyrazu, jaki zastygł na twarzy Reda. Śmierć czarnoksiężnika powinna przynieść jej ulgę albo satysfakcję, ale gdy wściekłość i napędzające Jagodę pragnienie zemsty opadły, pozostały tylko wszechogarniające zmęczenie i czarna dziura rozpaczy.

Jacob Red nie żył.

Joanna Wilczek nie żyła.

Jeszcze jedno nazwisko na liście strat, którym nikt się nie przejmie. Ktoś przeczyta o śmierci Reda w gazecie, ucieszy się, że nie ma już zagrożenia, a potem popędzi na kawę ze znajomymi, bo tak już wyglądało życie.

– Jesteś cała?

Caleb przykląkł obok, kiedy do pomieszczenia wpadli funkcjonariusze z rudym dowódcą na czele. Twarz i ubranie Blythe'a były umazane krwią, a jeden policzek pokrywała opuchlizna.

– Jasne – mruknęła, choć wciąż się nie poruszyła i jej głos nie był głośniejszy od szeptu. Trochę poobijana, na ciele i na duszy, ale cała, prawda? – A ty?

– Jasne – odparł, chociaż miała nieodparte wrażenie, że jest to dokładnie takie samo „jasne”, jak to wypowiedziane przez nią.



ROZDZIAŁ CZTERNASTY

**UWAŻAJ,
BO CIĘ PRZEKLNIE**

Kilka godzin później Jagoda była trochę mniej zmęczona i trochę bardziej obolała. Teraz, kiedy adrenalina opadła, wszystkie sińce, które wcześniej ledwo czuła, dawały się we znaki, kostka bolała, prawdopodobnie od zwichnięcia, a rana na dłoni piekła niemiłosiernie. Uzdrowiciele w Rainharbour mieli pełne ręce roboty z ciężej rannymi i wiedźma nie chciała tam czekać, aż ich opatrzą.

Ciało Joanny Wilczek miało trafić do kostnicy w Donlonie, gdzie zostanie obrzucone ochronnymi zakłęciami, by następnie rodzina mogła zabrać je do Warszawy. Zajęła się tym głównie Sonia, która jakimś cudem jeszcze w Rainharbour błyskawicznie dotarła do odpowiednich osób. Jagoda była jej wdzięczna, ale czuła się też winna, że wszystko to spadło na jej uczennicę – jednak ona nie zdołała nawet wyjść z podziemi o własnych siłach. Nie była ciężko ranna, za to kompletnie wyczerpana magicznie. Chyba nawet bardziej niż kilkanaście miesięcy temu, po pierwszym starciu z Izabelą, i potem, kiedy rzucili grobową pieśń na obrzeżach enklawy.

A może Jagodzie tylko się tak zdawało, bo gdzieś w jej wnętrzu ziała dziura.

Pragnęła jedynie zasnąć. Na długo. Niechby i na sto lat i jeden dzień. Nie myśleć, nie czuć. Zapomnieć o przytłaczającym poczuciu winy choćby na kilka chwil. Może by tak zrobiła jeszcze parę miesięcy temu, ale tym razem wyrzuty sumienia właśnie zagnały ją pod pokój Sebastiana. One i ulotne wspomnienie sprzed lat, gdy w noc po śmierci Wawrzyńca zatrzasnęła drzwi swojej sypialni i serca przed nim, Lilianą i wszystkimi innymi.

Stała długą chwilę przed drzwiami i nie mogła się zdecydować, żeby zapukać, aż w końcu jej brat sam otworzył. Musiał ją wyczuć: wciąż pozbawiona sił w żaden sposób nie ukrywała swojej aury.

– Czegoś potrzebujesz, Jaga?

– Nie... to znaczy tak.

– Zdecyduj się na jedno.

Milczała. Chciała, bardzo chciała coś powiedzieć, ale nie znajdowała właściwych słów, a te niewłaściwe, kiedy już zamierzała je wypowiedzieć, utknęły w gardle. Sebastian westchnął i przesunął się, wpuszczając ją do pokoju. Czuć było od niego alkoholem, a na stoliku Jagoda dostrzegła whisky. Wilczek chwycił butelkę i ruszył na balkon, a Jagoda, wciąż w ciszy, poszła tam za nim, choć kwietniowa noc była chłodna i zanosilo się na deszcz.

– Nie powiedziałem Lilce – stwierdził martwym głosem, opierając się o barierkę i spoglądając na londyńską ulicę, która tonęła w światłach latarni. – Zadzwoiłem, ale nie umiałem.

– Ja jej powiem – odparła Jagoda.

Stanęła u boku Sebastiana, ale nie patrzyła na brata, tylko przed siebie, wprost na budynki. Musiała wyjaśnić wszystko siostrze, zanim informacja pojawi się w prasie. A Jagoda nie wątpiła, że nastąpi to bardzo szybko, pewnie w ciągu najbliższych godzin.

– Chcesz?

Podsunał jej butelkę. Zawahała się. Przez większość życia unikała alkoholu, jak wszystkiego, co mogło odebrać jasność zmysłów i sprowokować do utkania kłątwy. Teraz jednak przyjęła whisky i upiła łyk. Może palący trunek przepali gardło, sprawi, że łatwiej będzie rozmawiać z bratem, że kula chłodu, wciąż tkwiąca w żołądku, wreszcie się roztopi.

– Wuj już wie – dodał Sebastian.

Przejął butelkę i też się napił, prosto z gwinta, jak nie on, bo przecież zawsze dbał o odpowiednie szkło...

– Jak to przyjął?

– Jak to Filip. Z udawaną albo prawdziwą obojętnością – mruknął Sebastian, a w jego głosie zadźwięczała gorycz, chociaż z całego rodzeństwa to on był najbliżej z wujem. – Pewnie poczeka na odpowiedni moment, by rzucić mi w twarz, że zabiłem mu matkę.

– Nie zabiłeś jej – odparła Jagoda, spoglądając na niego wreszcie.

Też na nią spojrzał, oczy błyszczały mu od wypitego alkoholu.

– Nie? – parsknął. – Osloniła mnie. Cholera jasna, wzięła na siebie ten czar. Zdążyłbym postawić osłonę, ale ona wzięła go na siebie.

Nie. Nie zdążyłbyś, pomyślała Jagoda i poczuła, jak jej serce znowu się ściska. Przez moment widziała przed oczyma twarz babki. Prawie czuła magię, w którą pochwyliła ostatnie tchnienie Joanny Wilczek.

– Znalazła się tam przeze mnie. Ty znalazłeś się tam przeze mnie – powiedziała głucho. – Jeżeli ktoś z

nas jest winny jej śmierci, to ja.

Sebastian warknął coś, pociągnął kolejny łyk, a potem znów podał butelkę siostrze. Wypiła, tym razem więcej niż poprzednio, chociaż wiedziała, że alkohol nie pomoże. Że tylko wszystko pogorszy. Ale odepchnęła od siebie tę myśl, bo chciała ulec złudzeniu, że whisky uczyni życie choćby odrobinę znośniejszym.

– To nie przez ciebie. Chciała raz w życiu zrobić coś dobrego – szepnął Sebastian. – Wiesz co, Jagoda? Solennie obiecuję, że nie będę robić w życiu dobrych rzeczy. Wilczkom, cholera jasna, zawsze wychodzą na złe. Ojciec umarł akurat, jak zaczął mieć wyrzuty sumienia, Wawrzyniec zginął bohatersko, a teraz babka...

Urwał. W przypiływie złości cisnął butelką o ścianę, szkło się roztrzaskało, resztką alkoholu spłynęła po murze.

– Naprawdę w to wierzysz? – spytała Jagoda. – Gdyby nie chodziło o rodzinę...

– ...i interesy – wtrącił. Oparł się plecami o barierkę. Odchylił się, zadarł głowę, spojrzenie ciemnych oczu wbił w szare niebo. – Nie zapominaj o interesach. Dobrze, wiedziała w tym interes, ale chyba uważała, że Red jest przesadą. Że trzeba go zatrzymać. A potem rzuciła się między mnie i zakłęcie. Co jej, cholera jasna, przyszło do głowy? Czy chciała... odpokutować Wawrzyńca?

– Nie. Po prostu cię kochała.

Jagoda czasem w to wątpiła. Bywały dni, gdy zastanawiała się, czy nie są tylko częścią wielkiego planu Joanny Wilczek. Aktorami niezbędnymi w jej przedstawieniu. Teraz gorzko tego żałowała. Podobnie jak wszystkich nieporozumień, wielu słów wypowiedzianych i wielu, które nigdy nie padły, a powinny.

Ale czasem taki żal przychodził za późno.

– Świetnie. Cudownie. W takim razie nigdy nie chcę nikogo kochać.

Patrzyła na brata. Na jego zaciśniętą szczękę, na palce, wczepione w barierkę tak, że aż pobiełały mu knykcie. I wciąż nie znajdowała właściwych słów. W końcu zrobiła po prostu krok do przodu i go objęła. Przez moment stał sztywno, nie reagując, ale potem jego dłonie znalazły się na jej plecach i przycisnął ją do siebie tak mocno, że Jagodzie zabrakło tchu. Ramiona Sebastiana zdrząły od płaczu. Wiedźma zacisnęła powieki, powstrzymując łzy, które cisnęły się do oczu. Stali tak długą chwilę, nim w końcu ją puścił.

– Masz może jeszcze jedną butelkę? – spytała.

*

Wyszła z pokoju Sebastiana nad ranem, gdy brat zasnął w fotelu. Za oknami wciąż panowały ciemności, choć do świtu zostały może dwie godziny. Nie była pijana, ale na pewno podchmielona, a lekkie problemy z równowagą i zwichnięta kostka wcale nie ułatwiały dotarcia do własnego łóżka. Jeżeli dostrzegł ją ktoś z obsługi, prawdopodobnie właśnie potwierdziła najgorsze stereotypy dotyczące polskich turystów.

Od razu za progiem wyczuła przejmujący ziąb i zamarła, kiedy jej wzrok padł na otwarte okno. Przecież zamknęła je przed wyjściem... Znajomy głos odezwał się jednak, nim zdążyła sobie uświadomić, co to może oznaczać.

– Zastanawiałem się, gdzie znikłaś.

– Caleb? – zdziwiła się i na oślep ruszyła w stronę źródła głosu.

Zakłęła, gdy wpadła na nocny stolik, po czym chwilę walczyła, żeby namierzyć lampkę. Kiedy w końcu zdołała ją włączyć, zobaczyła Blythe'a siedzącego w fotelu.

Pozbył się krwi z twarzy, znikła opuchlizna z policzka. Jego musiał dopaść któryś z uzdrowicieli.

– Jak się tu dostałeś?

– Niemagiczny hotel? Co to za wyzwanie. Czy ty jesteś pijana?

– Nie. Może niezbyt trzeźwa, ale na pewno nie pijana – zapewniła, niemal zgodnie z prawdą. – Co tutaj robisz?

– Właściwie nie jestem pewien – odparł po chwili milczenia. Wyciągnął rękę: chwyciła jego dłoń, pozwoliła, by pociągnął ją na kolana. Wciąż pachniał dymem i krwią, i zdała sobie sprawę z tego, że dalej miał na sobie to samo ubranie, w którym walczył w zamku. Musiał przyjść tu niedługo po tym, jak złożył zeznania i zajął się najpilniejszymi sprawami. – Chyba sprawdzam, jak się trzymasz. Widział cię uzdrowiciel?

– Nic specjalnego mi nie dolegało.

– Jasne. – Obrócił jej rękę i popatrzył na krwawy ślad. Od drobnej ranki w samym centrum biegł szereg zadrapań, znaczących całą dłoń, ale teraz, może przez alkohol, Jagoda prawie nie czuła bólu. – Przykro mi z powodu Joanny.

– A mnie z powodu Marka.

Nie odpowiedział, tylko ją objął. Ukryła twarz w jego ramieniu, w milczeniu, bo niemal natychmiast dotarło do niej, że nie tylko ją dręczyło poczucie winy. Ani rozmowa z bratem i przekonanie się, że on też się obwiniał, ani uświadomienie sobie, że być może ostatecznie to był wybór babki, nie mogły całkowicie uśmierzyć wyrzutów sumienia. Gdyby nie Jagoda, Joanna nigdy nie znalazłaby się w zamku. Gdyby Caleb nie zaatakował Michaela, nigdy nie schwymano by Marka.

Gdyby to się nie stało, mogliby żyć.

Gdyby to się nie stało, być może nigdy nie pochwycono by Jacoba Reda.

Może Caleb nie tylko sprawdzał, jak się trzyma, lecz szukał też pocieszenia. Po Marku. Po Jacobie, ojcu, którego musiał zabić dwukrotnie. Chciałaby coś powiedzieć, ale nie znajdowała słów: objęła go tylko, z całej siły.

– Co to była za klątwa? Tam, w zamku? – mruknął jej do ucha po długim milczeniu.

– Sama nie jestem pewna – wyznała. – Trochę prezent od Kruczarki. Trochę to, jak bardzo chciałam, żeby zginął.

– Zrobiłaś coś podobnego. W Bromierzyku. Na Dana. Twoja klątwa była wtedy dużo słabsza, ale w połączeniu z moim zaklęciem... – Urwał.

W pierwszej chwili nie pojęła, o czym mówił. Rzuciła na Daniela bardzo wiele klątw, żadna jednak nie była ani trochę podobna do tej, którą utkała w zamku.

Nie zrobiła tego świadomie.

Parsknęła niewesołym śmiechem prosto w jego kołnierz, kiedy pomyślała o tym, jak czuła się, gdy biegła przez zamkowe korytarze, i przypomniała sobie, że przecież tam, w Bromierzyku, życzyła Danielowi śmierci. Chciała, by zdechł.

Czy rzuciłaś zaklęcie, które doprowadzi do śmierci MacClone'a?

Być może.

Jego czar nie powinien tak zadziałać, jej pośpiesznie utkana klątwa też – mimo życzenia – w pojedynkę nie miała dość mocy, by zabić, ale gdy splotły się razem...

– Nigdy więcej – westchnęła w końcu. – Nigdy więcej afer z mrocznymi czarnoksiężnikami i takich klątw. Choćbym miała zamknąć się w enklawie prababki na kolejne dziesięć lat.

Miała dość. Niech ktoś inny zajmuje się takimi problemami. Czterokrotnie została w nie wplątana, czasem przypadkiem, czasem z własnego wyboru, i za każdym razem cena była coraz wyższa. Tym razem ją przerosła.

– Może faktycznie więcej nie rób czegoś takiego, ale pomogło – powiedział Caleb. – Myślę, że inaczej bardzo źle bym skończył. Kruczarka musiała naprawdę nie lubić Jacoba.

– Zdaje się, że obiecał jej swoją duszę.

– Och. Czyli o to jej chodziło, gdy mnie tam zaczepiała.

– Obiecałaś jej duszę?! – Gwałtownie się od niego odsunęła.

Uśmiechnął się do niej blado.

– Nie. Na nic się nie zgodziłem – zapewnił, przesuując jedną dłoń z pleców na jej kark. – Kiedy wyjeżdżacie?

– Pewnie pojutrze. Jeżeli uda się... zapewnić transport. Musimy zorganizować pogrzeb. Jesteś tu, bo chcesz się pożegnać, tak?

Nie była pewna, jak się z tym czuje. Od samego początku było jasne, że on tu zostanie, a ona wyjedzie: nigdy nie brała pod uwagę innego scenariusza. A jednak nie mogła nie odczuwać czegoś na kształt żalu.

– Wcale nie chcę się żegnać – powiedział Caleb. Pochylił się w stronę Jagody, lekko nacisnął na jej kark, aż zetknęli się czołami. – Ale nie mogę wsiąść z tobą w samolot. Prosić, żebyś została, też nie mogę.

– Wiem.

Bo naprawdę wiedziała. On też miał pogrzeb do zorganizowania. Firmę, w której panował chaos po przesłuchaniach, przeszukaniach i śmierci dotychczasowego dyrektora. Przyjaciół, którzy bardzo źle zniesli ostatnie wydarzenia. Zapewne też konsekwencje akcji w zamku długo jeszcze będą wymagać jego uwagi. Tak jak ona nie mogła rzucić wszystkiego, całego swojego życia, rodziny, domu, znajomych, by nagle przenieść się do Anglii, tak i on nie mógł tego zrobić.

Może nie zależało im na sobie nawzajem dostatecznie mocno, a może tylko nie byli dość szaleni na

takie decyzje, podejmowane z minuty na minutę.

– Mógłbym wpaść latem, jeżeli zechciałabyś mnie przyjąć.

– Słucham?

– Mógłbym. Wpaść. Latem – powtórzył. – A ty mogłabyś wpaść jesienią tutaj. Zawsze byłem trochę nomadą. Chyba że zmieniłaś zdanie i jednak chcesz domu z ogródkiem?

– Ja już mam dom z ogródkiem – przypomniała i znów się od niego odsunęła. Powiedziała pierwszą rzecz, która przyszła jej na myśl, trochę po to, by zagrać na czas, bo miała zamęt w głowie. Działo się zbyt wiele, w zbyt krótkim czasie.

– Nie, masz przeklęty dom więdźmy – sprostował, przywołując na twarz uśmiech. Błady, niezbyt wesoły, ale jednak uśmiech. – Co znacznie lepiej do ciebie pasuje. To prosta propozycja, Belladona. Wystarczy odpowiedzieć tak lub nie. Chociaż możesz to zrobić później, kiedy nie będziesz pijana.

– Nie jestem pijana – powtórzyła automatycznie. – Dlaczego to proponujesz?

– Może mieć to coś wspólnego z tym, że prawdopodobnie jestem w tobie zakochany. Ewentualnie tak strasznie stęskniłem się za domem twojej prababki. Wybierz jedno.

Mówił lekkim tonem, chociaż uśmiech znikł mu z ust, a spojrzenie miał poważne.

– Cholera jasna.

– Niedokładnie takiej reakcji oczekiwałem, ale to chyba dobrze, że nie oberwałem klątwą.

– Tak.

– Oberwę klątwą?

– Chciałeś odpowiedzi tak lub nie – przypomniała. – Tak.

*

Wieczorem, w przededniu wylotu, Jagoda siedziała w hotelowym pokoju, przerzucając strony książki z domu prababki. Sonia i chłopcy znikli gdzieś w płataninie londyńskich ulic, a wiedźma nie była pewna, co ze sobą zrobić. Było jeszcze za wcześnie, aby mogła po prostu pójść zwiedzać miasto: nie miała nastroju i wydawało się jej to niewłaściwe, gdy jeszcze nie zdążyli nawet pochować babki.

Sebastian musiał myśleć podobnie, bo też nie opuścił hotelu i koło dwudziestej zapukał do drzwi siostry. Doszedł do siebie, przynajmniej pozornie: znów wyglądał nienagannie i zdawał się opanowany. Załamanie, na jakie pozwolił sobie poprzedniej nocy, stało się przeszłością. Na progu zawahał się zaledwie na chwilę, jakby niepewny, po co tu przyszedł. Zaraz jednak przemaszerował przez pomieszczenie i usiadł naprzeciwko Jagody.

– Ciekawa lektura?

– W pewnym sensie. – Jagoda zamknęła książkę. – Podsunęła mi kilka pomysłów.

Jeszcze nie tak dawno temu – dwa, może trzy lata – sądziła w swoim zadufaniu, że o klątwach wie niemal wszystko. Zbiory babki, klątwa tkana przez Adriana i przede wszystkim ta, którą sama rzuciła na Jacoba Reda, uświadomiły jej, że to nieprawda. Może zbiło ją to z tropu, ale też do pewnego stopnia... podekscytowało.

Sonia prawdopodobnie wkrótce przestanie być uczennicą Jagody, co oznaczało sporo wolnego czasu. A przeznaczenie go na badania i eksperymenty nie zdawało się złym pomysłem.

– Powiniennem się bać?

– O siebie, mnie czy o innych?

– To pierwsze, oczywiście – odparł Sebastian bez wahania. – O ciebie nigdy się nie bałem, a inni niezbyt mnie obchodzą.

Uśmiechnęła się do niego. To był błady uśmiech, pozbawiony jeszcze prawdziwej wesołości, ale szczerzy.

Dobrze było wiedzieć, że są ludzie, którzy ani się jej nie boją, ani nie podejrzewają o wszystko, co najgorsze. To była kolejna zmiana ostatnich lat – powiększenie się tego grona.

– Nie. Te pomysły oznaczają dużo siedzenia nad książkami w ciemnościach biblioteki i ćwiczenia praktyczne w bezpiecznym, podwójnym kręgu, z uwzględnieniem wszystkich przepisów BHP dla specjalistów od klątw.

– Prawie ci wierzę. Prawie... – wymruczał brat. Potem na długą chwilę zapadło milczenie. Jagoda nie przerywała go, czekając cierpliwie, bo przeczuwała, że Sebastian ma coś do powiedzenia, a nie może się

zebrać, by to z siebie wykrztusić. – Mogłabyś wykorzystać umiejętności nabyte w toku tych ćwiczeń dla WilCom.

– Potrzebujesz jakiejś klątwy?

Czasem rzucała je dla niego. Bardzo rzadko: głównie przy największych zleceniach, gdy potrzebował naprawdę dobrego specjalisty. Zawsze upewniała się wcześniej, czy umowę dopinał Sebastian, a nie wuj, i sprawdzała ją pod kątem legalności.

– Nie chodzi mi o okazjne zlecenia, Jaga. Firma... babka... – zająknął się, ale zaraz podjął już pewnym tonem. – Wiem, jak brzmiał jej testament. Dziewięćdziesiąt sześć procent udziałów firmy należało do niej. Podzieliła je po równo między nas, Lilianę i Filipa.

– Nie chcę ich – odparła Jagoda natychmiast, nim zdążyła nad tym pomyśleć. Zacisnęła palce na okładce książki, a wględny spokój, jaki czuła jeszcze chwilę temu, ulotnił się bez śladu. Serce przyspieszyło bieg i wiedzmę ogarnęły mdłości. Do tej pory nawet nie przyszło jej do głowy, że odziedziczy coś po babce. Choć przecież powinno. Może zastanawiała się nad tym później, ale nawet w najśmielszych snach nie oczekiwała, że Joanna zapisze jej część udziałów w WilCom. Spodziewałyby się raczej, że albo wszystko dostanie Filip, albo babka podzieli je między Sebastiana i wuja.

– Powinnaś to przemyśleć. Przecież...

– Nie!

– No tak – mruknął Sebastian, a przez jego twarz przebiegł nieładny grymas. – Na co ja głupi liczyłem? Dalej nie chcesz mieć nic wspólnego z rodziną, bo ograniczamy twoją niezależność. Wybacz, że zwracałem ci głowę.

Przypatrywała się mu zdumiona, gdy wstawał. Jeszcze parę miesięcy temu pewnie pozwoliłaby mu po prostu wyjść. Nie umiałaby inaczej. Teraz jednak poderwała się i chwyciła go za rękaw.

– Asti...

– Nie. Żadnych wymówek, Jaga – warknął, uwalniając rękę. – Tyle razy wyraźnie dawałaś znać, że uważasz naszą rodzinę za zło wcielone. Mnie pewnie też. A ty jesteś przecież lepsza od nas...

– Tu nigdy nie chodziło o ciebie i Lilianę. Nawet nie o babkę – przerwała mu znowu i przesunęła się, by stanąć między nim a drzwiami. Nie mogła pozwolić, by wyszedł, wierząc... Sama nie była pewna, w co on wierzył. – Nie umiałam. Nie umiem. Nie mogę wybaczyć wujowi.

Niektórzy uważali, że wybaczenie jest warunkiem poradzenia sobie z przeszłością.

Jagoda tak nie uważała: bo nie każdy zasługiwał na wybaczenie. Wybaczyła babce. Wybaczyła Antoniemu. Gdyby wciąż trzymała się dawnych uraz, raniłaby tylko samą siebie. Ale Potocki i Filip nigdy nie mieli dostać jej rozgrzeszenia, co nie oznaczało, że ona nie była gotowa pójść dalej.

Była. Zrozumiała to w pełni chyba dopiero w Tower, gdy cofała dłoń wyciągniętą do ducha.

– Nie chcę z nim współpracować. Nie chcę robić nielegalnych interesów. Ale też przede wszystkim chcę sama pracować na swoje nazwisko. Nie dlatego, że nasza rodzina jest zła, ale dlatego, że ja... ja jestem sobą. Po prostu. Nie masz pojęcia... tutaj przynajmniej dla nikogo... dobra, prawie dla nikogo nie byłam przede wszystkim wnuczką Joanny. – Język się jej plątał, zająknęła się raz czy dwa, zupełnie jak nie ona. Nie wiedziała, w jaki sposób to wyjaśnić: jak przekazać emocje i pragnienia w słowach tak, aby Sebastian zrozumiał.

Kiedyś, dawno temu, czuł się odstawiony na boczny tor przez nią i Wawrzyńca.

Teraz Jagoda nagle pojęła, że to uczucie chyba nigdy go nie opuściło.

Nie tylko Joanna Wilczek pewne rzeczy zrobiła źle.

– Nie muszą być nielegalne.

– Słucham?

– Interesy – wyjaśnił młody Wilczek. Minę wciąż miał pochmurną, ale przynajmniej się cofnął i nie próbował już wyjść. – A wuj nie musi być dyrektorem firmy.

– Ale...

– Siedemdziesiąt dwa procent, Jaga – uświadomił ją. – We troje mamy siedemdziesiąt dwa procent udziałów. Dość, aby wykopać go ze stanowiska i nie przejmować się jego zdaniem.

Zamrugała. Wizja była... nieprawdopodobna. Filip od lat kierował firmą. A Sebastian od jakiegoś czasu zdawał się jego prawą ręką.

– Chcesz pozbyć się Filipa?

– Jestem typowym Wilczkiem, siostrzyczko. Po pierwsze, mam ogromne ambicje. Po drugie, przede wszystkim myślę o rodzinie. A wuj u sterów nie służy ani nam, ani firmie, ani magicznej społeczności Warszawy – wyrecytował Sebastian gładko. – Babka po śmierci Wawrzyńca ukroczyła większość jego interesów, ale nie chciała odbierać mu stanowiska. Ja nie mam takich oporów, a nauczyłem się już dość, by dać sobie radę. Myślałem, że przejęcie firmy zajmie mi jeszcze parę lat, ale to doskonała okazja.

Nie była pewna, co powiedzieć. Nie powinna być tym chyba zaskoczona... a jednak była. Najwyraźniej nie doceniała brata, który przez cały czas realizował własny plan. Że wcale nie wybaczył i nie zaakceptował, że w rodzinie Wilczków tak to po prostu działa. Może nawet wszystko, co robił tutaj, umowa z firmą Caleba, wyrwanie się do walki z Redem, były elementami tego planu.

Pewnie Sebastian nie spodziewał się, że przy jego wcielaniu w życie zginie Joanna.

– I chcesz skończyć nielegalne interesy?

– Ten niedowierzający ton rani mnie w samo serce – powiedział teatralnie, unosząc dłoń do piersi, ale zaraz spoważniał. – Czasy się zmieniły. Nasze najbardziej lukratywne kontrakty są legalne. Nie obiecuję, że wszystko zawsze będzie na papierze, bo lubię mieć właściwych ludzi we właściwych miejscach, nie tłumaczyć się za wiele Departamentowi, a procedury... czasem są za mało elastyczne, ale nie chcę mieć na rękach więcej krwi. Przypomnę ci, że tamtego dnia... ja też straciłem brata, Jaga. Doskonale pamiętam dlaczego.

– Wiem – szepnęła.

Oparła się o drzwi, bo od nadmiaru wrażeń zakręciło się jej w głowie. Wiedziała. Oczywiście, że wiedziała. Ale wiedziała też, jak bardzo Sebastian był do nich podobny. Do ojca, do wuja, do dziadka.

W wielu sprawach też do niej.

Jedynym naprawdę dobrym Wilczkiem był Wawrzyniec, a on nie żył od wielu lat.

– Poza tym planuję karierę polityczną. Babka gorąco mnie do tego namawiała.

– A nielegalne interesy nie są w niej przypadkiem pomocne?

– Bardzo, ale wizerunek bohatera również pomaga – powiedział Sebastian, po czym się skrzywił, cofnął i opadł na fotel, jakby zabrakło mu sił. Ukrył twarz w dłoniach i się zgarbił. – Chociaż gdybym mógł cofnąć czas, doskonale obyłbym się bez niego. Domyślam się, co o tym sądzisz. Wcale nie jestem szczęśliwy, że...

– Wiem. Wiem – powtórzyła Jagoda. Podeszła do niego i uklękła przed bratem, chwytając go za rękę.

– Asti, przyjmę te udziały i ci je oddam.

– Wolałbym, żebyś mi pomogła – stwierdził i wyprostował się powoli. – Wykopmy go. Z hukiem. A potem dokończmy zmiany w firmie. We troje. Nie nadaję się na samotnego wilka, Jaga.

Odetchnęła. Świetnie. Może kiedyś sama wepchnęła go w ramiona wuja i pod kuratelę babki, bo postanowiła zostać takim samotnym wilkiem.

– Nie nadaję się ani do rozkazywania, ani do wykonywania poleceń.

– Z tym pierwszym bym polemizował, ale możesz zajmować się realizacją zleceń wymagających rzucania klątw. Własna grupa i nie ma mowy o wykonywaniu poleceń, bo będziesz współwłaścicielką firmy – przypomniał Sebastian. – Dowolny wymiar i godziny pracy.

– Liliana na to nie pójdzie. Uwielbia swoją kancelarię.

– Na pewno więc bardzo się ucieszy, kiedy wraz z wujem wykopię połowę działu prawnego, a ona dostanie wyłączność na obsługiwanie naszych interesów.

– Nie specjalizuje się w tym!

– Lilka akurat nie, ale może kogoś zatrudnić. Właściwie będzie musiała. A ty... zlecenia ci nie odpowiadają? Możesz zająć się badaniami i instruowaniem naszych specjalistów, jeżeli wymyślisz coś ciekawego. A na pewno coś wymyślisz. Nawiasem mówiąc, wspomniałem, że będziemy podpisywać umowę z Madainn ùr? Jeżeli tak strasznie cię cieszy, że tutaj nie znają naszej rodziny, będziesz mogła często wpadać z wizytą.

– Nie chcę...

– ...być postrzegana jako część rodziny Wilczków? Jesteś jej częścią. Zawsze będziesz. Nie podoba ci się opinia, jaką ma ta rodzina, to pomóż ją zmienić.

Jagoda odetchnęła. Wprawdzie miała zamiar powiedzieć coś zupełnie innego, ale to, że niezbyt chciała być utożsamiana z interesami rodzinnymi, też było ważne.

– Tu nie chodzi o reputację Wilczków. Jestem sobą. Nie dziadkiem albo wujem. Jeżeli ktoś tego nie widzi...

- ...to jego problem – dokończył Sebastian. – Po prostu to przemysł.
- Przemysłę – powiedziała, a z jej ust wyrwało się westchnienie. – Asti...
- Aha?
- Wiesz, że cię kocham, prawda?

Otworzył oczy szerzej, zaskoczony.

- Ostatni raz powiedziałaś mi to, kiedy miałem jakieś jedenaście lat.

Jako dziecko nie miała z tym większych problemów. A potem pojawiły się problemy z własną magią, zrozumienie, jaką opinię o niej mają krewni, rozwód rodziców, śmierć ojca. Miała Wawrzyńca i Antoniego, i oni byli jej ostoją, reszta świata nie miała wtedy znaczenia.

Odkąd ich straciła, nikomu nie powiedziała, że go kocha. I nie mogła oprzeć się żalowi, że nie zdążyła powiedzieć tego babce.

Sebastian nie chciał nikogo kochać.

Jagoda nie chciała więcej żałować.

– Mówię teraz – stwierdziła i ujęła jego twarz, by złożyć pocałunek na czole brata. – Nie wiem, czy przyjmę twoją propozycję. Ale cokolwiek się stanie, ja, ty i Liliana jesteśmy rodziną. Nigdy nie powinnam pozwolić, żebyś poczuł, że myślę inaczej.

*

Sonia, Jeremiasz i Krystian zdaniem Jagody zachowywali się nieco dziwnie. Nie była pewna, czy coś knują, czy jakimiś sprawami nie chcieli dzielić się z Wilczkami, czy może tylko było im głupio. Żadne z nich przecież nie znało Joanny dobrze. W ich życiu nic się nie zmieniło, wolny dzień w Londynie stanowił ekscytującą okazję do zwiedzania i może milkli na widok Wilczków, a Jeremiasz robił takie miny, jakby coś przeszkrobał, bo wiedzieli, że gdy oni świetnie się bawią, Jagoda i Sebastian są w żałobie? Nawet gdy chciała ich zawołać do taksówki, trafiła na środek rozmowy, którą na widok Jagody gwałtownie przerwali, po czym wszyscy unikali jej wzroku.

Jagoda zdecydowała, że nie będzie pytać. Wszyscy byli dorośli. Do egzaminu Soni pozostało zaledwie parę dni, a gdy go zda, oficjalnie wyleci spod skrzydeł nauczycielki. Jagoda mogła tylko mieć nadzieję, że nie wpadną w wielkie kłopoty, a jeżeli będą potrzebowali pomocy, to o nią poproszą. Minał czas, kiedy musiała pilnować uczennicy.

Tymczasem przyszły oficjalne podziękowania ze Scotland Yardu, a na konto Jagody wpłynęły dwa przelewy, jeden od londyńskiej Izby, drugi od Madainn ũr. Przez chwilę rozważała, czy o ten drugi powinna urządzić awanturę, uznała jednak, że nie warto: w pewnym sensie wykonała zlecenie. Obie sumy rozwiązywały wszystkie jej problemy finansowe i postanowiła, że zaakceptuje ten podarek od losu. Odbyła trudną rozmowę z matką, jeszcze trudniejszą z Lilianą, i prawie cieszyła się, że jej telefon przepadł i żaden znajomy nie miał szansy wypytywać o wydarzenia, o których rozpisywała się prasa. Pragnęła teraz jedynie dotrzeć do Warszawy, przetrwać pogrzeb...

...a potem wrócić do domu. Cieszyć się spokojem, choćby przez jakiś czas. Spędzić trochę czasu w bibliotece prababki, i może, tylko może: nieco więcej z bratem i siostrą. Sprawdzić zlecenia, które mogły nagromadzić się w ostatnich tygodniach w skrzynce mailowej. Zaplanować jesienny wyjazd do Anglii. Może przyjmie propozycję Sebastiana, być może nie, nie groziły jej już jednak problemy finansowe i była pewna, że znajdzie sobie wiele rzeczy do roboty.

Ot, zwyczajne życie.

– Czy mi się tylko wydaje, czy oni coś knują? – mruknął Sebastian już przed lotniskiem, gdy wyładowali torby.

Trójka młodych ludzi zbiła się razem i wszyscy spoglądali na ekran telefonu Soni.

– Prawdopodobnie.

– I?

– I nic. To ich sprawa – powiedziała Jagoda. – Będą czegoś potrzebowali, to dadzą mi znać.

– Ty też coś knujesz, prawda?

– Ja? Nie.

– W takim razie co oni tutaj robią?

Obróciła się i dostrzegła Caleba oraz Erin, którzy szli w ich stronę.

– Daj mi chwilę – poprosiła, po czym ruszyła ku nim.

Poprzedniego dnia nie miała okazji żadnego z nich zobaczyć: Blythe i jego towarzysze mieli jakiś milion rzeczy do zrobienia. Donlon wracał do codzienności szybko, ale wymagało to wielu starań. Z tego, co Jagoda wiedziała, za parę godzin miały odbyć się pogrzeby osób, które zginęły w zamku Reda, nie spodziewała się więc, że Caleb zdoła się wyrwać.

– Cześć! – zawołała Erin już z daleka. Gdy znaleźli się bliżej, wcisnęła Jagodzie w ręce niewielki pakunek. – Cale powiedział, że idzie się pożegnać, więc pomyślałam, że zabiorę się z nim. Proszę bardzo, pakiet moich najlepszych maści i eliksirów. Nie martw się, zakłety, przejdzie każdą kontrolę. To tak w ramach powiedzenia „dziękuję, że pomogłaś rozprawić się z tym draniem”. Odezwij się, jeżeli kiedyś wpadniesz do Anglii.

Jagoda uśmiechnęła się mimowolnie, przyjmując podarek. Raczej nie przywykła do takich gestów.

Być może jednak Erin, która zadawała się z Uczniem Czarnoksiężnika, nie zwracała uwagi na takie szczegóły.

– Wpadnie – odpowiedział za nią Blythe. – Jesienią. Prawda?

– Prawda – przytaknęła tylko, a potem Caleb pochylił się i musnął ustami jej wargi. Erin westchnęła, teatralnie rozkładając ręce. – Do zobaczenia latem.

– Do zobaczenia – powiedziała Jagoda, czując na sobie (była pewna!) spojrzenia pięciu par oczu. Pomyślała, że lot, który ją czekał, będzie bardzo długi i wypełniony bardzo wieloma pytaniami. – Wam obojgu. Pozdrówcie ode mnie resztę.

Odeszła, bo spędzili w londyńskich korkach tyle czasu, że nie zostało im go wiele. Faktycznie, kiedy zgarniała swoją torbę, całe towarzystwo nie odrywało od niej wzroku.

– Czy powinienem dać mu w gębę? – zastanowił się Sebastian na głos, a siostra lekko szturchnęła go łokciem.

– Tylko jeżeli chcesz, żebym rzuciła na ciebie kłątę.

– No tak – westchnął Sebastian, podnosząc walizkę i ruszając ku wejściu do terminala. – Zapomniałem. Zła wiedźma kłątę. Wilcza Jagoda. Uważaj, bo cię przeklnie.

POZNAJ WCZEŚNIEJSZE LOSY BOHATERÓW



Szukaj w dobrych księgarniach

SQN

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl

NAUKA NA MAGICZNYM WYDZIALE UJ WCALE NIE JEST TAKA PROSTA

W trzech opowieściach z uniwersum Polanii studenci wydziału magicznego Uniwersytetu Jagiellońskiego muszą uporać się z problemem tajemniczej anomalii w niewielkiej wiosce, odkryć, dlaczego jeden z czarowników z roku zaczyna podejrzanie się zachowywać oraz dowiedzieć się, jakie sekrety skrywa wiekowy czarodziej z gór świętokrzyskich.



**ODWIEDŹ Z NAMI WYDZIAŁ MAGII PRAKTYCZNEJ
I TEORETYCZNEJ UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO**

Szukaj w dobrych księgarniach

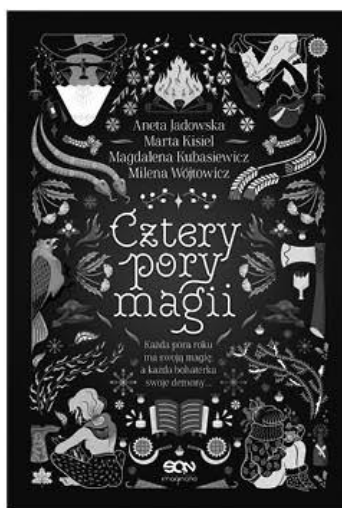


WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

**www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl**

**CZTERY PISARKI.
CZTERY OPOWIEŚCI.
CZTERY PORY ROKU.**

Cztery oblicza słowiańskiej mitologii i magii.
Wymarzone i wyczekiwane połączenie jednych
z najgorętszych nazwisk polskiej fantastyki!
Jadowska, Kisiel, Kubasiewicz, Wójtowicz
– to musi być magicznie wciągające!



**KAŻDA PORA ROKU MA SWOJĄ MAGIĘ, A KAŻDA
BOHATERKA SWOJE DEMONY...**

Szukaj w dobrych księgarniach



WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

**www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl**

ZA KURTYNĄ ŻYCIA I ŚMIERCI W THORNIE

Przytulny dom Katii przestał być azylem. Pomysł, by startować w wyborach do Starszyny Thornu, zaczyna jej się odbijać czkawką.

I wszystko wskazuje na to, że musi się przeprowadzić i postawić swoje dotychczasowe życie na głowie. A do tego ktoś wykrada z trumien ciała dziewczynek.

Czy w tym całym zamęcie Katia ma w ogóle jeszcze czas na sprawy sercowe?



NEKROMANTKA I PRZEDSIĘBIORCA POGRZEBOWY, CZY TO W OGÓLE MOŻE SIĘ UDAĆ?

Szukaj w dobrych księgarniach

SQN

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl